

Wybór nowel

Henryk Sienkiewicz



calibre 0.9.27



Wybór nowel

[Bartek Zwycięzca](#) – str 2

[Szkice węglem](#) – str 31

[Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela](#) – str 69

[Orso](#) – str 79

[Sachem](#) – str 90

[Latarnik](#) – str 94

[Wspomnienie z Maripozy](#) – str 102

[Za chlebem](#) – str 108

[Janko Muzykant](#) – str 142

Omówienie – str 146

1

[Bartek Zwycięzca](#)

Bohater mój nazywał się Bartek Słowik, ale ponieważ miał zwyczaj wytrzeszczać oczy, gdy do niego mówiono, przeto sąsiedzi nazywali go: Bartek Wyłupiasty. Ze słowikiem istotnie mało miał wspólnego, natomiast jego przymioty umysłowe i prawdziwie homeryczna naiwność zjednały mu także przydomek: Głupi Bartek. To ostatnie było najpopularniejsze i zapewne samo jedno tylko przejdzie do historii, chociaż Bartek nosił jeszcze czwarte, urzędowe. Ponieważ wyrazy: człowiek i słowik, nie przedstawiają dla ucha niemieckiego żadnej różnicy, a Niemcy lubią w imię cywilizacji przekładać barbarzyńskie słowiańskie nazwy na bardziej kulturowy język, przeto w swoim czasie przy spisach wojskowych miała miejsce następująca rozmowa:

- Jak się nazywasz? - pytał Bartka oficer.

- Słowik.

- Szloik?... Ach! ja. Gut.

I oficer napisał: —Menschl.

Bartek pochodził ze wsi Pogńębina, której to nazwy wsi jest bardzo wiele w Księstwie Poznańskim i innych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Był on, nie licząc gruntu, chałupy i paru krów, właścicielem srokatego konia i żony Magdy. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności mógł sobie żyć spokojnie i zgodnie z mądrością zawartą w wierszu: Koń srokacz - żona Magda

Co ma Bóg dać - to i tak da.

Jakoż życie jego układało się zupełnie, jak Bóg dał, i dopiero gdy Bóg dał wojnę, Bartek zafrasował się nie pomału. Przyszło zawiadomienie, że trzeba się było stawić, trzeba było porzucić chałupę, grunt i zdać wszystko na babską opiekę. Ludzie w Pogńębinie byli w ogóle dosyć biedni. Bartek zimą, bywało, chodził do fabryki i tym sobie w gospodarstwie pomagał -

teraz zaś co? Kto wie, kiedy się wojna z Francuzem skończy? Magda, gdy przeczytała kartkę powołującą, poczęła kłać:

- Ażeby ich nawidziło! żeby olśnęli... Chociażes głupi... jednak mi cię żal; Francuzy też ci nie przepuszczą: albo głowę utną, albo co!...

Czuł Bartek, że kobieta sprawiedliwie mówi. Francuzów bał się jak ognia, a przy tym i jemu było żal. Co jemu Francuzi zrobili? po co on tam pójdzie i dlaczego na tę straszną obczyznę, gdzie nie ma jednej duszy życzliwej? Jak się w Pogńębinie siedzi, to zdaje się, ot ni tak, ni owak, jak zwyczajnie w Pogńębinie; a jak każą iść, dopiero się widzi, że wszelako tu lepiej niż gdzie indziej. Ale już nic nie pomoże taka dola! trzeba iść. Bartek uściskał babę, potem splunął, przeżegnał się i wyszedł z chałupy, a Magda za nim. Nie żegnali się zbyt czule. Ona i chłopak szlochali, on powtarzał: —No cicho-no!! - i tak znaleźli się na drodze. Tu dopiero ujrzeli, że w całym Pogńębinie działo się to samo co u nich. Cała wieś wyległa: droga zapchana powołanymi. Idą oni do stacji kolejowej, a baby, dzieci, starcy i psy odprowadzają ich. Powołanym ciężko na sercu, kilku tylko młodszym fajki wiszą z gęby; kilku już pijanych na początek; kilku śpiewa ochrypłymi głosami:

Skrzyneckiego ręce i złote pierścieńce

Już nie będą wymachiwać siablą na wojence.

Jeden też i drugi Niemiec z pogńębińskich kolonistów śpiewa ze strachu Wacht am Rhein.

Cały ów tłum pstry i różnobarwny, wśród którego połyskują bagnety żandarmskie, posuwa się opłotkami ku końcowi wsi z krzykiem, gwarem i rwetesem. Baby trzymają swoich

—żołnierzyków! za kark i lamentują; jakaś staruszka pokazuje żółty ząb i wygraża pięścią gdzieś w

przestrzeń. Inna klnie: —Niech wam Pan Bóg policzy nasze płakanie!!; słyhać wołania: —Franku! Kaško! Józek! bądźta zdrowil. Psy szczekają. Dzwon na kościele dzwoni.

Proboszcz sam odmawia modlitwy za konających, boć przecie niejedyn z tych, co teraz idą na 2

stację, nie wróci. Wojna ich bierze wszystkich, ale wojna ich nie odda. Pługi pordzewieją na polach, bo Pognębin wypowiedział wojnę Francji. Pognębin nie mógł zgodzić się na przewagę Napoleona III i wziął do serca sprawę o tron hiszpański. Odgłos dzwonu przeprowadza tłumy, które już wyszły z opłotków. Mijają figurę: czapki i pikielhauby lecą z głów. Kurz złoty wstaje na drodze, bo dzień jest suchy i pogodny. Po dwóch stronach drogi zboże dojrzewające szeleści ciężkim kłosem i gniew się pod wietrzykiem, który od czasu do czasu dmucha łagodnie. W niebie błękitnym tkwią skowronki i każdy świergoce, jakby się zapamiętał.

Stacja!... Tłumy jeszcze większe. Są tu już powołani z Krzywdy Górnej, Krzywdy Dolnej, z Wywłaszczyniec, z Niedoli, Mizerowa. Ruch, gwar i zamieszanie! Ściany na stacji oblepione manifestami. Wojna tu —w imię Boga i Ojczyzny!, landwera pójdzie bronić swych zagrożonych rodzin, żon, dzieci, chat i pól. Francuzi widocznie szczególnie zawzięli się na Pognębin, na Krzywdę Górną, na Krzywdę Dolną, na Wywłaszczyńce, Niedolę i Mizerów.

Tak przynajmniej wydaje się tym, którzy czytają afisze. Przed stacją przybywają coraz nowe tłumy. W sali dym z fajek napełnia powietrze i przesłania afisze. W gwarze trudno się zrozumieć: wszyscy chodzą, wołają, krzyczą. Na peronie słyhać komendę niemiecką, której gwałtowne słowa brzmią krótko, twardo, stanowczo.

Rozlega się dzwonek: świst! z dala słyhać gwałtowny oddech lokomotywy. Coraz bliżej, wyraźniej. To wojna zdaje się przybliżać.

Drugi dzwonek! Dreszcz przebiega wszystkie piersi. Jakaś kobieta poczyną krzyczeć:

—Jadom! Jadom!! Woła ona widocznie swego Adama, ale kobiety podchwytyją wyraz i wołają —Jadą!! Głos jakiś przeraźliwszy nad inne dodaje: —Francuzi jadą!! - i przez jedno mgnienie oka panika ogarnia nie tylko kobiety, ale i przysłych bohaterów Sedanu. Tłum zakołysał się. Tymczasem pociąg staje przed stacją. We wszystkich oknach widać czapki z czerwonymi lampasami i mundury. Wojska widocznie jak mrowia. Na węglarkach czernieją posępne, podługowate ciała armat; nad otwartymi wozami jeży się las bagnetów. Widocznie kazano żołnierzom śpiewać, bo cały pociąg aż dygoce od silnych głosów męskich. Jakaś siła i potęga bije od tego pociągu, którego końca nie dojrzeć.

Na peronie poczynają formować rekrutów; kto może, żegna się jeszcze. Bartek machnął łapami, jakby skrzydłami wiatraka, oczy wytrzeszczył.

- No, Magda, bywaj zdrowa!

- Oj! moje biedne chłopisko!

- Już mnie nie obaczysz więcej!

- Już cię nie obaczę więcej!
- Nie ma rady nijakiej!
- Niech cię Matka Boska strzeże i chroni...
- Bądź zdrowa; chałupy pilnuj.

Kobieta uchwyciła go za szyję z płaczem.

- Niechże cię Bóg prowadzi.

Nadchodzi ostatnia chwila. Pisk, płacz i lament kobiet zagłusza przez kilka minut wszystko:

—Bądźta zdrowi! Bądźta zdrowi!! Ale owoż żołnierze są już oddaleni od bezładnego tłumu: już tworzą czarną zbitą masę, która zwiera się w kwadraty, prostokąty i poczyną poruszać się z tą sprawnością i regularnością ruchów maszyny. Komenda: —Siadać!! Kwadraty i prostokąty przełamują się w środku, wyciągają się wąskimi pasami ku wagonom i giną w ich wnętrzu. W

dali lokomotywa świszczce i rzuca kłęby siwego dymu. Teraz oddycha jak smok, zionąc pod siebie strumienie pary. Lament kobiet dochodzi do najwyższego stopnia. Jedne zasłaniają oczy fartuchami, inne wyciągają ręce ku wagonom. Łkające głosy powtarzają imiona mężów i synów. - Bądź zdrow, Bartek! - woła z dołu Magda. A nie leż tam, gdzie cię nie poślą! Niech cię Matka Boska... Bądź zdrow! O dlaboga!

- A chałupy pilnuj! - odzywa się Bartek.

3

Korowód wagonów drgnął nagle; wozy stuknęły jedno o drugie i ruszyły.

- A pamiętaj, że masz żonę i dziecko! - wołała Magda, drepcząc za pociągiem. - Bądź

zdrowy, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Bądź zdrowy...

Pociąg poruszał się coraz prędzej, wioząc wojowników z Pognębina, z obydwóch Krzywd, z Niedoli i Mizerowa.

II

W jedną stronę wraca ku Pognębiniowi Magda z tłumem bab i płacze, w drugą stronę świata rwie w siwą dal pociąg najeżony bagnetami, a w nim Bartek. Siwej dali końca nie widać.

Pognębina też ledwo dojrzeć. Lipa tylko szarzeje i wieża na kościele się złoci, bo po niej słońce igra. Wkrótce i lipa rozpląnęła się, a złoty krzyż wyglądał tylko jak punkt błyszczący.

Dopóki ten punkt świecił, patrzył na niego Bartek, ale gdy i on zniknął, frasunkowi chłopu nie było miary. Zdjęła go niemoc wielka i czuł, że przepadł. Zaczął tedy patrzeć na podoficera, bo już prócz Boga nikogo więc nie było nad nim. Co się teraz z nim stanie, to już w tym głowa kaprała; sam Bartek już nic nie wie, nic nie rozumie. Kaprał siedzi na ławce i trzymając karabin między kolanami pali fajkę. Dym co chwila jakby chmura zasłania mu twarz poważną i markotną. Nie tylko Bartkowe oczy patrzą na tę twarz: patrzą na nią wszystkie oczy ze wszystkich kątów wagonu. W Pognębinie lub Krzywdzie każdy Bartek lub Wojtek jest sobie pan, każdy musi myśleć o sobie, za siebie, ale teraz od tego kaprał. Każe im się patrzeć na prawo, będą patrzeć na prawo, każe na lewo, to na lewo. Każdy pyta się wzrokiem: —No? a co z nami będzie?! - on sam zaś tyle wie, ile i oni, i rad by także, aby kto starszy dał mu pod tym względem jakie rozkazy lub wyjaśnienia. Zresztą chłopu boją się pytać wyraźnie, bo teraz jest wojna z całym aparatem sądów wojennych. Co wolno, a czego nie wolno, nie wiadomo.

Przynajmniej oni nie wiedzą, a straszy ich dźwięk wyrazów takich jak Kriegsgericht, których dobrze nie rozumieją, ale tym bardziej się boją.

Jednocześnie czują, że ten kaprał potrzebniejszy im jeszcze teraz niż na manewrach pod Poznaniem, bo on jeden wie wszystko, on za nich myśli, a bez niego ani rusz. Tymczasem zaciężył mu widocznie karabin, bo go rzucił Bartkowi do trzymania. Bartek porwał

skwapliwie za broń, dech wstrzymał, oczy wyłupił i patrzył w kaprała jak w tęczę, ale mała mu i z tego pociecha.

Oj, coś źle słyhać, bo i kaprał jak z krzyża zdjęty. Na stacjach śpiewy i krzyki; kaprał komenderuje, kręci się, łaje, żeby to starszym się pokazać, ale niech no pociąg ruszy, cichną wszyscy i on cichnie. Dla niego także świat ma teraz dwie strony: jedna jasna i zrozumiała to jego izba, żona i pierzyna; druga ciemna, ale to zupełnie ciemna to Francja i wojna. Zapał

jego, jak i zapał całej armii, chętnie by zapożyczył chodu od raka. Wojowników pognębińskich ożywiał istotnie duch tym widoczniejszy, że siedzący nie w żołnierzach, ale każdemu na ramieniu. A ponieważ każdy żołnierz dźwigał na ramionach tornister, płaszcz i inne wojskowe przybory, więc wszystkim było nader ciężko.

Tymczasem pociąg fukał, huczał i leciał w dal. Co stacja przyczepiano nowe wagony i lokomotywy. Co stacja widać było tylko pikielhauby, armaty, konie, bagnety piechurów i chorągiewki ułanów. Zapadał z wolna pogodny wieczór. Słońce rozlało się w wielką czerwoną zorzę, wysoko na niebie unosiły się stada drobnych, lekkich obłoków, o brzegach poczerwieniałych od zachodu. Pociąg wreszcie przestał brać ludzi i wagony na stacjach, trząsł

się tylko i leciał naprzód w ową jasność czerwoną, jakby w morze krwi. Z otwartego wagonu, w którym siedział Bartek z pognębińskimi ludźmi, widać było wsie, sioła i miasteczka, wieżyczki na kościołach, bociany poprzeginane jak haki, stojące jedną nogą na gniazdach, chałupy osobne, sady wiśniowe. Wszystko to migąło przelotem, a wszystko czerwone.

Żołnierze poczęli szeptać między sobą tym śmielej, że podoficer, podłożywszy sakwy pod głowę, zasnął z porcelanową fajką w zębach. Wojciech Gwizdała, chłop z Pognębina siedzący wedle

Bartka, trącił go łokciem:

- Bartek, słuchaj no!

4

Bartek zwrócił ku niemu twarz z zamyślonymi wylupiastymi oczyma.

- Czegóż patrzysz jak ciele, co idzie na rzeź?... - szeptał Gwizdała.

- Ale ty, nieboże, idziesz na rzeź, i pewnikiem...

- Oj, oj! - jęknął Bartek.

- Boisz się? - pytał Gwizdała.

- Co się nie mam bać!...

Zorza stała się jeszcze czerwiejsza, więc Gwizdała wyciągnął ku niej rękę i szepnął dalej:

- Widzisz tę jasność? Wiesz, głupi, co to jest? To krew. Tu jest Polska, niby nasz kraj: rozumiesz? A hen tam daleko, gdzie się tak świeci, to właśnie Francja...

- A prędko zajedziewa?

- Albo ci pilno? Mówią, że okrutnie daleko. Ale nie bój się: Francuzi wyjdą naprzeciw...

Bartek zaczął pracować ciężko swoją pogiębińską głową. Po chwili spytał:

- Wojtek?

- Czego?

- A na ten przykład, co to za naród te Francuzi?

Tu uczoność Wojtka ujrzała nagle przed sobą dół, w który łatwiej jej było wlecieć z głową niż wylecieć na powrót. Wiedział, że Francuzi to są Francuzi. Słyszał coś o nich od starych ludzi, którzy mówili o nich, że zawsze wszystkich bili; na koniec wiedział, że to jacyś bardzo obcy ludzie. Ale jak to tu wytłumaczyć Bartkowi, aby i on wiedział, jak dalece obcy.

Przede wszystkim tedy powtórzył pytanie:

- Co to za naród?

- A juści.

Trzy narody były znane Wojtkowi: w środku —Polakilll, z jednej strony —Moskalell, a z drugiej —Niemcyll. Ale Niemców były różne gatunki. Chcąc więc być jasnym więcej niż ściśłym, rzekł:

- Co to za naród, Francuzy? Jak ci powiedzieć: musi takie Niemcy, tylko jeszcze gorsze...

A Bartek na to:

- O ścierwa!

Do tej pory żywił względem Francuzów jedno tylko uczucie, to jest uczucie nieopisanego strachu. Teraz dopiero poczuł ku nim ten pruski landwerzysta wyraźniejszą patriotyczną niechęć. Jednakże nie wszystko jeszcze zrozumiał należycie i dlatego spytał znowu:

- To Niemcy będą z Niemcami wojować?

Tu Wojtek, jak drugi Sokrates, postanowił pójść drogą porównań i odparł:

- Albo to się twój Łysek z moim Burkiem nie gryzą?

Bartek otworzył usta i popatrzył chwilę na swego mistrza.

- O prawda!...

- Przecie i Austriaki Niemcy - prawil Wojtek - a czy się nasi z nimi nie bili? Toć stary Świerszcz opowiadał, że jak był na onej wojnie, to Szteinmec krzyczał na nich: —Dalej, chłopcy, na Niemców!! Tylko że z Francuzami nie tak łatwo!

- O laboga!

- Francuzy nigdy żadnej wojny nie przegrały. Taki jak się do ciebie przyczepi, to się nie wykpiasz, nie bój się! Każdy jest chłop jak dwa albo trzy razy nasz, a brody to ci mają jak Żydy. Inszy też jest czarny jak diabeł. Takiego jak zobaczysz, to poleć się Bogu!

- No, to po co my do nich pójdziema? - pyta zdesperowany Bartek.

Filozoficzna ta uwaga nie była może tak głupią, jak zdawało się Wojtkowi, który widocznie pod wpływem urzędowych natchnień pośpieszył z odpowiedzią:

- Ja bym też wolał nie iść. Ale nie pójdziemy my, to przyjdą oni. Nie ma rady. Czytałeś, co stało drukowane. Dycht najgorzej zawzięte na naszych chłopów. Ludzie gadają, że ony dlatego takie łakome na tutejsze grunta, bo chcieli wódkę przemycać z Królestwa, a rząd nie daje, i z tego jest wojna: no, rozumiesz?

5

- Co nie mam rozumieć! - rzekł z rezygnacją Bartek.

Wojtek mówił dalej:

- Na baby ci też łakome jak pies na sperkę...

- A to by na ten przykład i Magdzie nie przepuścili?

- Ony i starym nie przepuszczają!

- O! - krzyknął Bartek takim tonem, jakby chciał powiedzieć:

—Jeżeli tak, to będę walił!!

Jakoż wydało mu się, że tego już nadto. Wódkę niechby jeszcze sobie z Królestwa przemycali, ale do Magdy im zasię! Teraz mój Bartek jał na całą tę wojnę patrzeć ze stanowiska własnego interesu i poczuł jakąś otuchę na myśl, że tyle wojska i armat występuje w obronie zagrożonej przez bałamuctwo francuskie Magdy. Pięści mu się zacisnęły mimowolnie i strach przed Francuzami pomieszał się w jego umyśle z nienawiścią do nich.

Przyszedł do przekonania, iż nie ma już chyba rady, że trzeba iść. Tymczasem jasność niebieska zgasała. Ściemniło się. Wagon na nierównych relsach począł się kołysać mocno, a w takt z jego ruchami kiwały się na prawo i lewo pikielhauby i bagnety.

Upłynęła jedna godzina i druga. Z lokomotywy sypały się miliony iskier, które jak długie złociste kresy i wężyki krzyżowały się ze sobą w ciemnościach. Bartek długo nie mógł

zasnąć. Jako owe iskry po powietrzu tak w głowie jego skakały myśli w wojnie, o Magdzie, Pognębinie, Francuzach i Niemcach. Zdawało mu się, że choćby chciał, nie mógłby się podnieść z tej ławki, na której siedział. Usnął wreszcie, ale niezdrowym półsnem. I zaraz nadleciały widziadła: ujrzał najprzód, jak jego Łysek gryzie się z Wojtkowym Burkiem, aż sierść z nich leci. On cap za kij, żeby ich pogodzić, aż nagle widzi co innego: koło Magdy siedzi Francuz, czarny jak święta ziemia, a Magda kontenta, śmieje się i szczyrzy zęby. Inni Francuzi kpią z Bartka i pokazują na niego palcami... To zapewne lokomotywa trajkoce, ale jemu się zdaje, że to Francuzi wołają: —Magda! Magda! Magda! Magda!! Bartek w krzyk:

—Stulta pyski, złodzieje, puszczejta babę!! A oni: —Magda! Magda! Magda!! Łysek i Burek szczekają, cały Pognębin woła: —Nie daj baby!! On czy skrępowany, czy co? nie! rzucił się, targnął, powrozy pękły, Bartek Francuza za łeb - i nagle...

Nagle wstrząsa nim silny ból jakoby gwałtownego uderzenia. Bartek budzi się i zrywa na równe nogi. Cały wagon rozbudzony, wszyscy pytają: co się stało? A to biedaczysko Bartek złapał podoficera przez sen za brodę. Teraz oto stoi wyciągnięty jak drut, dwa palce przy skroni, a podoficer macha rękoma i krzyczy jak wściekły:

- Ach, się dummes Vieh aus der Polakei! Hau' ich den Lümmel in die Fresse, dass ihm die Zähne sektionenweise aus dem Maul herausfliegen werden !

Podoficer aż ochrypl z wściekłości, a Bartek ciągle stoi z palcami przy skroni. Inni żołnierze gryzą wargi, by się nie śmiać, ale boją się, gdyż z ust podoficera padają jeszcze ostatnie strzały: Ein polnischer Ochse! Ochse aus Podolien! Na koniec ucichło wszystko. Bartek usiadł na powrót na dawnym miejscu. Czuł tylko, że policzki poczynają mu jakoś nabrzmiwać, a lokomotywa jak na

złość powtarza ciągle:

- Magda! Magda! Magda!

Czuł też wielki jakiś żal...

III

Ranek! Rozpierzchłe, blade światło oświeca twarze senne i zmęczone z niewywczasu. Na ławkach śpią w nieładzie żołnierze: jedni z głowami pospuszczanymi na piersi, drudzy z zadartymi w tył. Wstaje jutrzienka i zalewa różowością cały świat. Jest świeżo i rzeźwo.

Żołnierze budzą się. Promienny ranek wydobywa z cienia i mgły jakąś nie znaną im krainę.

Hej! a gdzie teraz Pogńębin, gdzie Wielka i Mała Krzywda, gdzie Mizerów? To już obczyzna i wszystko inne. Naokół wzgórze porośnięte dębina, w dolinach domy kryte czerwoną dachówką, z czarnymi krzyżownicami w białych ścianach, domy piękne jak dwory, obrosłe winem.

Gdzieniegdzie kościoły o spiczastych wieżach, gdzieniegdzie kominy fabryczne z 6

pióropuszcami różowych dymów. Tylko ciasno tu jakoś, równi brak i łąnów zbożowych. Ludzi za to mrowie. Migają wsie i miasta. Pociąg nie zatrzymuje się, mija mnóstwo pomniejszych stacyj. Coś się musiało stać, bo wszędy widać tłumy. Słońce wychyla się z wolna zza wzgórze, więc jeden i drugi Maciek poczyną głośno pacierz. Za ich przykładem idą i inni; pierwsze promienie kładą blask na chłopskie twarze modlące się i poważne.

Tymczasem pociąg zatrzymuje się na głównej stacji. Tłum ludzi otacza go natychmiast: są już wieści z placu boju. Zwycięstwo! Zwycięstwo! Depesze przysły od kilku godzin. Wszyscy oczekiwali klęsk, więc gdy zbudzono ich pomyślną wieścią, radość nie zna miary. Ludzie na wpół ubrani poopuszczali domy, łóżka i pośpieszyli na stację. Z niektórych dachów powiewają już chorągwie, a ze wszystkich rąk chustki. Do wagonów donoszą piwo, tytoń i cygara. Zapal jest nieopisany, twarze rozpromienione. Wacht am Rhein huczy jak burza.

Niektórzy płaczą, inni padają sobie w objęcia. Unser Fryc pobił na głowę! wzięto armaty, chorągwie. W szlachetnym zapale tłumy oddają żołnierzom wszystko, co mają. Otucha wstępuje w serca żołnierzy i zaczynają śpiewać także. Wagony drżą od mocnych męskich głosów, a tłum słucha z zadziwieniem słów niezrozumiałych pieśni. Pogńębińscy śpiewają:

—Bartoszu! Bartoszu! oj, nie traćwa nadzieil - Die Polen! Die Polen! - powtarza tłum sposobem objaśnienia i kupi się koło wagonów, podziwiając postawę żołnierza, a zarazem umacniając się w radości opowiadaniem anegdot o strasznym męstwie tych polskich pułków.

Bartek ma rozpuchnięte policzki, co przy jego żółtych wąsach, wyłupiastych oczach i ogromnej kościstej postawie czyni go starszym. Podziwiają go też jak osobliwsze zwierzę.

Jakich to Niemcy mają obrońców! Ten dopiero sprawi Francuzom! Bartek uśmiecha się z zadowoleniem, bo i on jest kontent, że Francuzów pobili. Nie przyjdą już przynajmniej do Pogńębina,

nie zbałamucą Magdy i nie zabiorą gruntu. Uśmiecha się tedy, ale ponieważ twarz boli go mocno, więc krzywi się zarazem i naprawdę jest straszny. Je za to z apetytem homerycznego bohatera. Kiszki grochowe i kufle piwa znikają w jego ustach jak w czeluści.

Dają mu cygara, fenigi: bierze to wszystko.

- Dobry jakiś naród te Niemiaszki - mówi do Wojtka, a po chwili dodaje: - A widzisz, że Francuzów pobili!

Ale sceptyczny Wojtek rzuca cień na jego wesołość. Wojtek wróży jak Kasandra: - Francuzy zawdy naprzód dają się pobić, żeby zbałamucić, a potem jak się wezmą, aż wióry lecą!

Wojtek nie wie o tym, że zdanie jego podziela większa część Europy, a jeszcze mniej o tym, że cała Europa myli się z nim razem.

Jadą dalej. Wszystkie domy jak okiem sięgnąć pokryte chorągwiami. Na niektórych stacjach zatrzymują się dłużej, bo wszędy pełno pociągów. Wojsko ze wszystkich stron Niemiec śpieszy wzmocnić zwycięskich współbraci. Pociągi poubierane w zielone wieńce. Ułani zatykają na lance bukiety kwiatów darowywane im po drodze. Między tymi ułanami większość także Polaków. Nieraz słyhać z wagonu do wagonu rozmowy i nawoływania:

- Jak się mata, chłopcy! A gdzie Pan Bóg prowadzi?

Czasem z przelatującego po sąsiednich relsach pociągu zaleci znajoma piosenka: Z tamtej strony Sandomierza

Mówi panna do żołnierza...

A wtedy Bartek i jego kamraci podchwytyją w lot:

Panie żołnierzu, chodź pokochać!

Jeszczem nie jadł, Bóg ci zapłaci!

O ile z Pogonębina wszyscy wyjeżdżali smutni, o tyle teraz pełni są zapału i ducha. Pierwszy pociąg z pierwszymi rannymi przybywającymi z Francji psuje jednak to dobre usposobienie.

Staje on w Deutz i stoi długo, by przepuścić te, które śpieszą na plac boju. Ale nim wszystkie przejdą przez most do Kolonii, potrzeba kilku godzin czasu. Bartek leci razem z innymi oglądać chorych i rannych. Niektórzy leżą w zamkniętych, inni dla braku miejsca w 7

otwartych wagonach, i tych można widzieć dobrze. Po pierwszym spojrzeniu duch bohaterski Bartka ulatuje znowu na ramię.

- Chodźże tu, Wojtek - woła z przerażeniem - widzisz ino, ile te Francuzy napsowały narodu!

I jest na co patrzeć! Twarze blade, zmęczone; niektóre szerniały od prochu lub bólu, powalane

krwią. Na odgłosy ogólnej radości ci odpowiadają tylko jękami. Niektórzy klną wojnę, Francuzów i Niemców. Usta spieczone i szerniałe wołają co chwila wody; oczy pogładają jak błędne. Tu i ówdzie między rannymi widać zeszywniałą twarz konającego, czasem spokojną, z błękitnymi sińcami naokół oczu, czasem wykrzywioną przez konwulsje, z przerażonymi oczyma i wyszczerzonymi zębami. Bartek po raz pierwszy widzi krwawe owoce wojny. W głowie jego znów powstaje zamęt, patrzy jak odurzony i stoi w tłoku z otwartymi ustami; popychają go na wszystkie strony: żandarm daje mu kolbą w kark. On szuka oczyma Wojtka, odnajduje go i mówi:

- Wojtek, bój się Boga! o!

- Będzie tak i z tobą.

- Jezu, Maria! I to się ludziska tak mordują! Toć jak chłop chłopa pobije, to go żandarmy biorą do sądu i karzą.

- No, a teraz ten lepszy, kto więcej ludzisków napsuje. Cóżes, głupi, myślał, że będziesz prochem strzelał jak na manewrach, albo li też do tarczy nie do ludzi?

Tu okazała się widocznie różnica między teorią a praktyką. Nasz Bartek był przecie żołnierzem, chodził na manewry i musztry, strzelał, wiedział, że wojna od tego, by się zabijać, a teraz, jak zobaczył krew rannych, nędzę wojny, zrobiło mu się tak jakoś niedobrze i ckliwo, że ledwie się mógł na nogach utrzymać. Nabrał znów uszanowania dla Francuzów, które zmniejszyło się dopiero wtedy, gdy przyjechali z Deutz do Kolonii. Na centralnym Bahnhofie ujrzeli po raz pierwszy jeńców. Otaczało ich mnóstwo żołnierzy i ludu, który patrzył

na nich z dumą, ale jeszcze bez nienawiści. Bartek przedarł się przez tłum rozpychając go łokciami, spojrział na wagon i zdziwił się.

Gromada piechurów francuskich w podartych płaszczach, małych, brudnych, wynędzniałych, napełniała wagon jak śledzie beczkę. Wielu z nich wyciągało ręce po szczupłe datki, jakimi obdzielał ich tłum, o ile straż nie stawiała przeszkody. Bartek, wedle tego, co słyszał od Wojtka, zgoła inne o Francuzach miał wyobrażenie. Duch z ramienia wstąpił mu na powrót w piersi. Obejrzał się, czy Wojtka nie ma. Wojtek stał obok.

- Cóżes gadał? - pyta Bartek - dyć to chmyzy!! Jakbym jednego bez łeb lunął, to by się ze czterech wywróciło.

- Musi jakoś zmarnieli - odrzekł również rozczarowany Wojtek.

- Po jakiemu oni szwargocą?

- Juści nie po polsku.

Uspokojony pod tym względem Bartek poszedł dalej wzdłuż wagonów.

- Straszne kapcany - rzekł skończywszy przegląd wojsk liniowych.

Ale w następnych wagonach siedzieli żuawi. Ci więcej dali Bartkowi do myślenia. Z powodu, że siedzieli w wagonach krytych, nie można było sprawdzić, czy każdy jest chłop jak dwa albo trzy razy zwyczajny człowiek, ale przez okna widać było długie brody i marsowate, poważne twarze starych żołnierzy o ciemnej cerze i błyszczących groźnie oczach. Duch Bartka znowu skierował się ku ramionom.

- Te straszniejsze - szepnął cicho, jakby się bał, by go nie słyszeli.

- Jeszcześ nie widział tych, co się nie dali wziąć - odparł Wojtek.

- Bójże się Boga!

- Obaczysz!

Napatrzywszy się żuawom poszli dalej. Zaraz przy następnym wagonie Bartek rzucił się w tył jak oparzony.

- O rety! Wojtek, ratuj!

8

W otwartym oknie widać było ciemną, prawie czarną twarz turkosa z przewróconymi białkami oczu. Musiał być ranny, bo twarz wykrzywiła mu się cierpieniem.

- A co? - rzecze Wojtek.

- To złe, nie żołnierz... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

- Spójrzj ino, jakie on ma zębiska.

- A niech go wciornaści! ja tam nie będę na niego patrzył.

Bartek umilkł, po chwili jednak spytał:

- Wojtek!

- Czego?

- A żeby takiego przeżegnać, czy by nie pomogło?

- Pogany na świętą wiarę nie mają wyrozumienia.

Dano znak do wsiadania. Po chwili pociąg ruszył. Gdy ściemniło się, Bartek widział ciągle przed sobą czarną twarz turkosa i straszne białka jego oczu. Z uczuć, które w tej chwili ożywiały tego pognębińskiego wojownika, niewiele można by wywróżyć o jego przyszłych czynach.

Bliższy udział w walnej rozprawie pod Gravelotte początkowo przekonał Bartka tylko o tym, że w bitwie jest na co się gapić, a nie ma co robić. Z początku bowiem kazano stać i jemu, i jego pułkowi z karabinem u nóg u stóp wzgórza pokrytego winogradem. Z dala grały armaty, z bliska przelatywały pułki konne z tętentem, od którego ziemia się trzęsła; migotały to chorągiewki, to kirasjerskie miecze. Nad wzgórzem po błękitnym niebie przelatywały z sykiem granaty w kształcie białych obłoczków, potem dym napełnił powietrze i zasłonił

horyzont. Zdawało się, że bitwa jak burza przechodzi stronami, ale trwało to niedługo.

Po pewnym czasie dziwny jakiś ruch powstał koło Bartkowego pułku. Poczęły koło niego stawać inne pułki, a w przerwy pomiędzy nimi nadbiegały, co koń wyskoczy, armaty, które wyprzęgano na gwałt i obracano paszczami ku wzgórzom. Cała dolina napełniła się wojskiem.

Teraz na wszystkie strony grzmia komendy, latają adiutanei. A nasi szeregowcy szepczą sobie do ucha: —Oj! będzie nam, będzie!! - lub pytają jeden drugiego z niepokojem: —Czy to już się zacznie?! - —Zapewne już!! Oto zbliża się niepewność, zagadka, może śmierć... W dymie, który zasłania wzgórze, wre coś i kotłuje się strasznie. Słychać coraz bliżej basowy huk dział i stukotanie karabinowego ognia. Z dala dochodzi jakby niewyraźny jakiś trzask: to kartaczownice już słychać. Nagle, jak hukną dopiero co postawione armaty, aż ziemia i powietrze zadygotały razem. Przed Bartkowym pułkiem zasyczało strasznie. Spojrzą: leci niby róża jasna, niby chmurka, a w tej chmurce coś syczy, śmieje się, zgrzyta, rzy i wyje.

Chłopi wołają: —Granat! granat!! Tymczasem pędzi ten ptak wojny jak wichur, zbliża się, spada, pęka! Huk straszny rozdarł uszy, łoskot, jakby się świat walił, i pęd jakby od uderzenia wiatru. Zamieszanie powstaje w szeregach stojących w pobliżu armat, rozlega się okrzyk i komenda: —Szlusuj!! Bartek stoi w pierwszym szeregu, karabin przy ramieniu, łeb do góry, broda podpięta, więc zęby nie kłapią. Nie wolno drgnąć, nie wolno strzelać. Stać! Czekać! Aż tu leci drugi granat, trzeci, czwarty, dziesiąty!... Wichur zwiewa dym z wzgórza. Francuzi już spędzili z niego baterie pruskie, już postawili swoje i teraz zieją ogniem na dolinę. Co chwila z gęstwy winogradu wyskakują długie, białe rzuty dymu. Piechota pod zasłoną armat zstępuje coraz niżej, by rozpocząć ręczny ogień. Są już w połowie wzgórza. Teraz widać ich doskonale, bo wiatr odrzuca dymy. Czy winograd zakwitł makiem? Nie, to czerwone czapki piechurów. Naraz nikną między wysoką łożą winną, nie widać ich; gdzieniegdzie tylko wieją trójkolorowe chorągwie. Ogień karabinowy rozpoczyna się szybki, gorączkowy, nieregularny, wybuchający nagle w coraz innych miejscach. Nad tym ogniem wyją ciągle granaty i krzyżują się w powietrzu. Na wzgórzach czasem wybuchną okrzyki, którym z dołu odpowiada niemieckie: —hurra!! Armaty z doliny huczą nieprzerwanym ogniem. Pułk stoi niewzruszony.

9

Sfera ognia poczyną go jednak z kolei obejmować. Kule bzykają niby muchy, niby bąki z daleka lub przelatują ze strasznym świstem w pobliżu. Coraz ich więcej: oto świszczą koło głów, nosów, oczu, ramion, idą ich tysiące, miliony. Dziw, że jeszcze ktoś stoi na nogach.

Nagle tuż za Bartkiem odzywa się jęk: —Jezu!! , potem: —Szlusuj!! , znów: —Jezu!! - —Szlusuj!!

Wreszcie jęk już nieprzerwany, komenda coraz śpieszniejsza, szeregi ściskają się, świst coraz częstszy, nieustający, okropny. Zabitych wyciągają za nogi. Sąd Boży!

- Boisz się? - pyta Wojtek.

- Co się nie mam bać!... - odpowiada nasz bohater szczękając zębami.

A jednak stoją obaj, i Bartek, i Wojtek, i nawet do głowy im nie przychodzi, że można by zemknąć. Kazali im stać - i kwita! Bartek kłamie. Nie boi on się tak, jakby tysiące innych bało się na jego miejscu. Dyscyplina panuje nad jego wyobraźnią, a wyobraźnia nie maluje mu nawet tak okropnym położenia, jak ono jest. Bartek jednak sądzi, że go zabiją, i powierza tę myśl Wojtkowi.

- Dziury w niebie nie będzie, jak jednego kpa zabiją! - odpowiada rozdrażnionym głosem Wojtek.

Słowa te uspokajają Bartka znacznie. Zdawałoby się, że głównie chodziło mu o to, czy się dziura w niebie nie robi. Uspokojony pod tym względem, stoi cierpliwie, czuje tylko okropne gorąco i pot zlewa mu twarz. Tymczasem ogień staje się tak straszny, że szeregi topnieją w oczach. Zabitych i rannych nie ma już kto wyciągać. Chrapanie konających miesza się ze świstem pocisków i hukami wystrzałów. Po ruchu trójbarwnych chorągwi widać, że ukryte w winnicy piechury zbliżają się coraz bardziej. Stada kartaczy dziesiątkują szeregi, które poczynają ogarniać rozpacz.

Ale w odgłosach tej rozpaczycy czuć pomruk zniecierpliwienia i wściekłości. Gdyby kazano im iść naprzód, poszliby jak burza. Nie mogą tylko ustać na miejscu. Jakiś żołnierz zrywa nagle czapkę z głowy, ciska ją z całej siły o ziemię i mówi:

- Raz kozie śmierć!

Bartek doznaje znów na te słowa tak znakomitej ulgi, że prawie zupełnie przestaje się bać. Bo jeżeli raz kozie śmierć, to właściwie o nic wielkiego nie chodzi. Jest to filozofia chłopska, lepsza od każdej innej, skoro dodaje otuchy. Bartek zresztą wiedział, że raz kozie śmierć, ale miło mu to było usłyszeć i mieć zupełną pewność, zwłaszcza że bitwa zaczęła się zmieniać w pogrom. Oto pułk, nie wystrzeliwszy ani razu, jest już do połowy zniszczony. Tłumy żołnierzy z innych rozbitych pułków przebiegają koło niego w nieładzie; tylko ci chłopcy z Pogonibina, Krzywdy Wielkiej, Krzywdy Małej i Mizerowa, trzymani żelazną pruską dyscypliną, stoją jeszcze. Ale i w ich szeregach czuć już pewne wahanie się. Za chwilę pękną karby dyscypliny. Ziemia pod ich nogami staje się już miękka i śliska od krwi, której surowy zapach miesza się z wonią dymu. W niektórych miejscach szeregi nie mogą się zewrzeć, bo trupy czynią w nich przerwy. U nóg tych ludzi, którzy jeszcze stoją, druga połowa leży we krwi, w jękach, w konwulsjach, w konaniu lub w ciszy śmierci. Oddechem braknie powietrza.

W szeregach powstaje szmer.

- Na rzeź nas przywiedli!

- Nikt nie wyjdzie!

- Still, polnisches Vieh! - odzywa się głos oficera.

- Dobrze ci za moim kołnierzem...

- Steht der Kerl da!

Nagle jakiś głos poczyna mówić:

- Pod Twoją obronę...

Bartek podchwytuje natychmiast:

- Uciekamy się, święta Boża Rodzicielko!

I wkrótce chór polskich głosów na tym polu zagłady woła oto do Patronki Częstochowskiej:

—Naszymi prośbami nie racz gardzić!! A spod nóg wtórują im jęki: —O Mario, Mario!! I 10

wysłuchiwała ich widocznie, bo w tej chwili na spienionym koniu przybiega adiutant, rozlega się komenda: —Do ataku broń! hurra, naprzód!! Grzebień bagnatów pochyła się nagle, szereg wyciąga się w długą linię i rzuca się ku wzgórzom szukać bagnetem tych nieprzyjaciół, których nie mogły dostrzec oczy. Wszelako od stóp wzgórza dzieli naszych chłopów jeszcze ze dwieście kroków i przestrzeń tę muszą przebyć pod morderczym ogniem... Czy nie wyginą do reszty? Czy się nie cofną? Wyginać mogą, ale się nie cofną, bo komenda pruska wie, na jaką nutę grać tym polskim chłopom do ataku. Wśród ryku dział, wśród karabinowego ognia, dymu i zamieszania, i jęków głośniejszym nad wszystko trąby i trąbki biją w niebo hymnem, od którego każda kropla krwi skacze w ich piersiach. —Hurra!! odpowiadają Maćki. —Póki my żyjemy!! Ogarnia ich zapal, płomień bije im na twarze! Idą jak burza przez zwalone ciała ludzkie, końskie, przez złomy armatnie. Gina, ale idą z krzykiem i śpiewem. Już dobiegają krańca winnicy, nikną w zaroślach. Śpiew tylko brzmi, czasem błysnie bagnet. Na górze wre ogień coraz straszniejszy. Na dole trąbki wciąż grają. Salwy francuskich wystrzałów stają się spiesniejsze, jeszcze spiesniejsze, gorączkowe i nagle...

Nagle milkną.

Tam na dole stary wilk wojny, Steinmetz, zapala porcelanową fajkę i mówi z akcentem zadowolenia:

- Im tylko to grać! Doszli, zuchy!

Jakoż po chwili jeden z dumnie powiewających trójbarwnych sztandarów podskakuje w górę, pochyła się i niknie...

- Nie żartują! - mówi Steinmetz.

Trąby grają znowu tenże sam hymn. Drugi pułk poznański idzie w pomoc pierwszemu.

W gęstwinie wre bitwa na bagnety.

Teraz, Muzo, śpiewaj mojego Bartka, aby potomność wiedziała, co czynił. Oto i w jego sercu strach,

niecierpliwość, rozpacz zlały się w jedno uczucie wściekłości; a gdy usłyszał ową muzykę, to każda żyłka wyprężyła się w nim jak drut żelazny. Włos stanął mu dębem, z oczu skry poszły. Zapomniał o świecie, o tym, że —raz kozie śmierć! i chwyciwszy w potężne łapy karabin skoczył z drugimi naprzód. Dobiegłszy wzgórza przewrócił się z dziesięć razy na ziemię, stłukł sobie nos, powalał się ziemią i krwią, która mu z nosa pociekła, i biegł naprzód, wściekły, zziębnięty, chwytając w otwarte usta powietrze. Wytrzeszczał oczy, by w gęstwinie zobaczyć jak najprędzej jakiego Francuza, i dojrzał ich wreszcie trzech naraz przy chorągwi.

Byli to turkosy. Ale czy myślicie, że Bartek się cofnął? Nie! on by teraz samego Lucypera brał za rogi! Dopadł już do nich i oni z wyciem rzucili się ku niemu; dwa bagnety jakby dwa żądła już, już tykają jego piersi, a mój Bartek jak złapie za karabin z cienkiego końca, niby kłonicę, jak machnie, jak poprawi. Wrzask tylko odpowiedział mu straszny, jęk dwa czarne ciała poczęły drgać konwulsyjnie na ziemi. W tej chwili trzeciemu, który trzymał chorągiew, podbiegło na pomoc z dziesięciu towarzyszy. Bartek jak furia rzucił się na wszystkich razem.

Dali ognia - błysnęło, huknęło - i jednocześnie w kłębach dymu zagrzemiał chrapliwy ryk Bartka.

- Chybiliście!

I znów karabin w jego ręku zatoczył łuk straszliwy. Znów jęki odpowiedziały ciosom.

Turkosi cofnęli się w przerażeniu na widok tego oszalałego z wściekłości olbrzyma i czy się Bartek przesłyszał, czy też wołali coś po arabsku, dość że wyraźnie mu się zdało, iż z ich szerokich warg wychodzi okrzyk:

- —Magda! Magda!!

- Magdy wam się chce! - zawył Bartek i jednym skokiem był w środku nieprzyjaciół.

Szczęściem w tej chwili Maćki, Wojtki i inni Bartkowie przybiegli mu w pomoc. Wśród gęstwiny winogrodu zawiązała się bitwa ścieśniona i tłumna, której wtórował trzask karabinów, świst nozdrzy i gorączkowy oddech walczących. Bartek szalał jak burza.

Osmalony dymem, oblany krwią, podobniejszy do zwierzęcia niż do człowieka, niepamiętny i

na nic, każdym uderzeniem przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwalał głowy. Ręce jego poruszały się z straszną szybkością maszyny siejącej zniszczenie. Dotarłszy do chorążego chwycił go żelaznymi palcami za gardło. Oczy chorążego wyszły na wierzeh, twarz nabrzmiała, zacharczał i ręce jego puściły drzewiec.

- Hurra! - krzyknął Bartek i podniósłszy chorągiew zakołysał nią w powietrzu.

Ten to wznoszący się i opadający sztandar widział z dołu generał Steinmetz.

Ale mógł go widzieć tylko przez jedno mgnienie oka, bo w drugim Bartek tą samą chorągwią strzaskał już jakąś głowę nakrytą kepi ze złotym sznurkiem.

Tymczasem towarzysze jego skoczyli już naprzód.

Bartek został przez chwilę sam. Obdarł sztandar, schował go w zanadrze i chwyciwszy w obie ręce drzewce rzucił się za towarzyszami.

Gromady turkosów wyjąc nieludzkimi głosami uciekały teraz ku stojącym na szczycie wzgórza armatom, za nimi zaś biegli Maćki krzycząc, goniąc, tłukąc kolbami i bagnetami.

Żuawi, stojący przy armatach, powitali jednych i drugich karabinowym ogniem.

- Hurra! - krzyknął Bartek.

Chłopi doszli do armat. Zawiązała się przy nich nowa bitwa na białą broń. W tej chwili też drugi pułk poznański nadbiegł na pomoc pierwszemu. Chorągwi drzewce w potężnych łapach Bartka zmieniły się teraz w jakieś piekielne cepy. Każde ich uderzenie otwierało wolną cdrogę w ścieśnionych szeregach francuskich. Przerażenie też zaczęło ogarniać żuawów i turkosów. W miejscu, w którym walczył Bartek, pierzchli. Po chwili pierwszy Bartek siedział już na armacie jak na pogłębińskiej kobyle.

Ale nim żołnierze mieli czas dostrzec go na niej, on już siedział na drugiej, przy której znów obalił chorążego z chorągwią.

- Hurra, Bartek! - powtórzyli żołnierze.

Zwycięstwo było zupełne. Zdobyto wszystkie kartaczownice. Pierzchająca piechota wpadłszy po drugiej stronie wzgórza na nowy pruski pułk, złożyła broń.

Bartek zdobył jednak w pogoni trzecią jeszcze chorągiew.

Trzeba było go widzieć, gdy zmęczony, oblany potem i krwią, sapiąc jak miech kowalski, zstępował teraz wraz z innymi ze wzgórza, dźwigając na ramionach trzy chorągwie. Francuzi!

hej! co on sobie teraz z nich robił! Obok niego szedł podrapany i pokiereszowany Wojtek, więc Bartek do niego:

- Cóżes gadał? Toć to robactwo: siły w kościach nijakiej nie ma. Podrapały ta mnie i ciebie jak kociaki, ale i tyła. A com którego lunął, to ci o ziemię...

- Kto cię wiedział, żeś taki zawzięty! - odparł Wojtek, który widział czyny Bartka i począł

patrzeć na niego zgoła innymi oczyma.

Ale któż tych czynów nie widział? Historia, cały pułk i większość oficerów. Wszyscy spoglądali teraz na tego olbrzymiego chłopca o rzadkich płowych węsach i wyłupiastych oczach z podziwem. - Ach! się verfluchter Polacke! - powiedział mu sam major i pociągnął

go za ucho, a Bartek aż mu trzonowe zęby pokazał z radości. Gdy pułk znów stanął u stóp wzgórza,

major pokazał go pułkownikowi, a pułkownik samemu Steinmetzowi.

Ten obejrzał sztandary i kazał je zabrać, po czym począł oglądać Bartka. Mój Bartek stoi znowu wyciągnięty jak struna i prezentuje broń, a stary generał patrzy na niego i kręci głową z zadowoleniem. Na koniec zaczyna coś mówić do pułkownika. Słysząc wyraźnie słowo: Unteroffizier.

- Zu dumm, Excellenz - odpowiada major.

- Spróbujmy - mówi Jego Ekscelencja i zwracając konia zbliża się do Bartka.

Bartek sam już nie wie, co się z nim dzieje. Rzecz niesłychana w pruskiej armii: generał

będzie rozmawiał z szeregowcem! Jego Ekscelencji przyjdzie to tym łatwiej, że umie po polsku. Zresztą szeregowiec ten zdobył trzy sztandary i dwie armaty.

- Skąd jesteś? -- pyta generał.

12

- Z Pogńębina - odpowiada Bartek.

- Dobrze. Imię twoje?

- Bartek Słowik.

- Mensch... - tłumaczy major.

- Mens! - powtarza Bartek.

- Wiesz, za co bijesz Francuzów?

- Wiem, Celencyjo...

- Powiedz!

Bartek poczyna się jąkać: —Bo... bo...|| Nagle słowa Wojtka przychodzą mu szczęśliwie na pamięć, wybucha więc prędko, by nie przekreślić:

- Bo to także Niemcy, tylko ścierwa gorsze!

Twarz starej Ekscelencji poczyna tak drgać, jakby Jego Ekscelencja miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Po chwili jednak Jego Ekscelencja zwraca się do majora i mówi:

- Miałeś pan słuszność.

Mój Bartek, kontent z siebie, stoi ciągle jak struna.

- Kto wygrał dziś bitwę? - pyta znowu generał.

- Ja, Celencyjo! - odpowiada bez wahania Bartek.

Twarz Ekszelencji poczyną znów drgać.

- Tak, tak, ty! A oto masz nagrodę...

Tu stary wojownik odpina krzyż żelazny z własnej piersi, następnie schyla się i przypina go Bartkowi. Dobry humor generała drogą zupełnie naturalną odbija się na twarzach pułkownika, majorów, kapitanów, aż do podoficerów. Po odjeździe generała pułkownik daje ze swej strony Bartkowi dziesięć talarów, major pięć i tak dalej. Wszyscy powtarzają mu śmiejąc się, że wygrał bitwę, skutkiem czego Bartek jest w siódmym niebie.

Dziwna rzecz. Jeden tylko Wojtek nie bardzo jest z naszego bohatera zadowolony.

Wieczorem, gdy zasiedli obaj przy ognisku i gdy szlachetna twarz Bartka zapchana była kiszka grochową tak dokładnie, jak sama kiszka grochem, Wojtek ozwał się tonem rezygnacji:

- Oj, ty Bartek, głupi jesteś, bo głupi...

- Albo co? - mówi przez kizkę Bartek.

- Cóżes ty, człeku, nagadał generałowi o Francuzach, że ony Miemcy?

- A sameś prawil...

- Ale trzeba ci było zmiarkować, że generał i oficery też Miemcy.

- To i co z tego?

Wojtek począł się jakoś jąkać.

- To, że choć ony Miemcy, ale nie trzeba im tego mówić, boć to zawdy nieładnie...

- Toć ja na Francuzów powiedziałem, nie na nich...

- Ej, kiedy bo to...

Wojtek uciał nagle, widocznie sam chciał także co innego powiedzieć; chciał oto wytłumaczyć Bartkowi, że przy Niemcach nie należy źle mówić o Niemcach, ale jakoś mu się język poplątał...

V

W jakiś czas potem królewsko-pruska poczta przywiozła do Pognębina list następujący:

—Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Jego święta Rodzicielka! Najukochańsza Magdo!

Co u ciebie słyhać? Dobrze ci w chałupie pod pierzyną, a ja tu wojuję okrutnie. Byliśma koło wielkiej fortecy Miecu, i była bitwa, i takim ci Francuzów sprął, że się cała infanterija i artylerija dziwowały. I sam jenerał się dziwował, i powiedział, że bataliją wygrał, i dał

mnie krzyż. A teraz to ci mnie i oficery, i unteroficery bardzo szaniują i po pysku mało co biją. Potem pomaszerowaliśma dalej i była druga batalija, jeno zobaczyłem, jak się to miasto nazywa, i teżem prął, i czwarty sztandar wziąłem, a jednego największego pułkownika od 13

kirasyjerów tom przetrącił i do niewoli zabrałem. A jak będą nasze pułki odsyłać do domu, to mi unteroficer radził, żebym napisał <<ryklamacyją>> i ostał się, bo na wojnie tylko spać gdzie nie ma, ale żreć czasem, ile wytrzymasz, i wino w tym kraju jest wszędzie, bo naród bogaty. Jakeśma palili jedną wieś, tośma i dzieciom, i babom nie przepuścili, i ja też. Kościół

ci się spalił do cna, bo ony są katoliki, i ludzie się popiekło niemało. Idziema teraz na samego cesarza i będzie koniec wojny, a ty pilnuj chałupy i Franka, bo niechbyś nie pilnowała, to bym ci chyba giry poprzetrącał, żebyś wiedziała, com za jeden. Bogu cię polecam.

Bartłomiej Słowik.¶

Bartek widocznie zasmakował w wojnie i począł patrzeć na nią jak na właściwe sobie rzemiosło. Nabrał wielkiej ufności w siebie i do bitwy teraz szedł, jakby się zabierał do jakiej roboty w Pognębinie. Na piersi jego po każdej rozprawie leciały medale i krzyże, a choć podoficerem nie został, powszechnie miano go za pierwszego szeregowca w pułku. Był

zawsze karny jak dawniej i posiadał ślepe męstwo człowieka, który nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Męstwo to nie płynęło już tak jak w pierwszych chwilach z wściekłości.

Teraz źródłem jego była praktyka żołnierska i wiara w siebie. Przy tym olbrzymie jego siły wytrzymywały wszelkie trudy, pochody i niewczasy. Ludzie marnieli obok niego, on jeden trwał niespożycie, tylko dziczał coraz bardziej i stawał się coraz sroższym pruskim żołdakiem. Począł on teraz nie tylko bić Francuzów, ale i nienawidzić ich. Pozmieniały się też i inne jego pojęcia. Stał się żołnierzem-patriotą i uwielbiał ślepo swoich przywódców. W

następnym liście pisał do Magdy:

—Wojtka na dwoje rozerwało, ale od tego jest wojna, rozumiesz? On też był kiep, bo powiadał, że Francuzy to Niemcy, a ony są Francuzy, a Niemcy to nasi.¶

Magda w odpowiedzi na obydwie listy nawymyślała mu, co wlaźło:

— Najukochańszy Bartku - pisała - przed ołtarzem świętym mi poślubiony! Ażeby cię Bóg pokarał! Tyś sam kiep, poganinie, kiedy naród katolicki na spółkę z kasztanami mordujesz.

To nie rozumiesz, że kasztany są lutry, a ty, katolik, im pomagasz! Chce ci się wojny, wałkoniu, bo możesz nic nie robić, jeno się bić, pić i innych poniewierać, i nie pościć, i kościoły palić. A bodaj ciebie w piekle za to palili, że się jeszcze tym chwalisz, i ni na starych, ni na dzieci nie masz wyrozumienia. Pamiętaj, baranie, na to, co w świętej wierze jest pisane złotymi literami od początku

świata do dnia sądu ostatecznego dla polskiego narodu, w którym dniu Bóg najwyższy nie będzie miał dla takich capów wyrozumienia, i pohamuj się, Turku jeden, żebym ci tego twojego łba nie rozbiła. Pięć talarów ci posyłam, choć mi tu bieda, bo sobie rady dać nie mogę, i gospodarstwo się marnuje. Ściskam cię, najukochańszy Bartku.

Magda.¶

Morały w liście tym zawarte małe na Bartku zrobiły wrażenie: —Baba służby nie rozumie -

myślał sobie - a wtrąca się.¶ I wojował po staremu. Odznaczał się w każdej niemal bitwie, tak że w końcu padły nań oczy jeszcze od Steinmetzowych dostojniejsze. Na koniec, gdy zniszczone pułki poznańskie odesłano w głąb Niemiec, on za radą podoficera podał

—reklamację¶ i został. Skutkiem tego znalazł się pod Paryżem.

Listy jego pełne były teraz lekceważenia dla Francuzów. —W każdej bitwie ta ci zdzierają jak zajęce¶ - pisał do Magdy. I pisał prawdę. Ale oblężenie niezbyt przypadło mu do smaku. Pod Paryżem trzeba było leżeć po całych dniach w okopach i słuchać huku dział, częstokroć sypać szańce i moknąć. Przy tym żał mu było swego dawnego pułku. W tym, do którego przeniesiono go teraz jako ochotnika, otaczali go po większej części Niemcy. Po niemiecku umiał on trochę, bo się jeszcze w fabryce nieco poduczył, ale tak sobie piąte przez dziesiąte.

Teraz począł się wprawiać szybko. Nazywano go jednak w pułku ein polnischer Ochs i tylko jego krzyże, i straszliwe pięści zasłaniały go przed dotkliwymi żartami. Wszelako po kilku bitwach zyskał sobie szacunek u nowych towarzyszy i począł się z nimi zżywać powoli. W

końcu uważano go za jednego ze swoich, ile że cały pułk okrywał sławą. Bartek 14

poczytywałyby sobie zawsze za obelgę, gdyby go kto nazwał Niemcem, ale za to sam siebie, w przeciwstawieniu do Francuzów, nazywał ein Deutscher. Zdawało mu się, że to zupełnie co innego, a przy tym nie chciał uchodzić za gorszego niż inni. Zaszedł wszelako wypadek, który dałby mu wiele do myślenia, gdyby myślenie w ogóle było łatwiejsze dla tego bohaterskiego umysłu. Oto pewnego razu kilka kompanij jego pułku wykomenderowano przeciw wolnym strzelcom, zrobiono na nich zasadzkę i strzelcy w nią wpadli. Ale tym razem Bartek nie ujrzał

czerwonych czapek pierzchających po pierwszych strzałach, oddział bowiem składał się ze starych żołnierzy, rozbitków jakiegoś pułku legii zagranicznej. Otoczeni, bronili się zacięciem, a wreszcie rzucili się, by bagnetem utorować sobie drogę przez opasujący ich krąg pruskiego żołdactwa. Bronili się z taką zaciętością, że część ich przebiła się przez wojska, szczególnie zaś nie dawali się brać żywcem, wiedząc, jaki los czeka pochwyconych wolnych strzelców.

Kompania, w której służył Bartek, pochwyliła też dwu tylko jeńców. Wieczorem umieszczono ich w izbie, w domu leśnika. Nazajutrz mieli być rozstrzelani. Straż kilku żołnierzy stanęła przy drzwiach, Bartka zaś postawiono w izbie pod wybitym oknem razem ze związanymi jeńcami.

Jeden z nich był to niemłody człowiek, z siwiejącymi wąsami i twarzą obojętną na wszystko; drugi

wyglądał na dwadzieścia kilka lat: jasne wąsy zaledwie sypały mu się na twarzy, podobniejszej do twarzy panny niż żołnierza.

- Ot i koniec - rzekł po chwili młodszy - kula w łeb i koniec!

Bartek drgnął, aż karabin zadzwieczał mu w rękę: młody chłopak mówił po polsku...

- Mnie tam już wszystko jedno - odrzekł zniechęconym głosem drugi - dalibóg, wszystko jedno. Nateralem się już tyle, że mam dosyć...

Bartkowi serce biło pod mundurem coraz żywiej...

- Słuchaj no - mówił dalej stary - nie ma rady. Jeśli się boisz, to myśl o czym innym albo się połóż spać. Życie jest podłe! Jak mi Bóg miły, tak wszystko jedno.

- Matki mi żal! - odparł głucho młodszy.

I widocznie chcąc stłumić wzruszenie lub oszukać samego siebie, począł gwizdać. Nagle przerwał i zawołał z głęboką rozpaczą:

- Niechże mnie piorun trzaśnie! Nawetem się nie pożegnał!

- Toś uciekł z domu?

- Tak. Myślałem: pobiją Niemców, będzie Poznańczykom lepiej.

- I ja tak myślałem. A teraz...

Stary kiwnął ręką i dokończył coś z cicha, ale resztę jego słów zagłuszył szum wiatru. Noc była zimna. Drobny deszcz zacinał od czasu do czasu falami, pobliski las czarny był jak kir.

W izbie wicher świstał po kątach i wył w kominie jak pies. Lampa umieszczona wysoko nad oknem, aby jej wiatr nie zgasił, rzucała sporo migotliwego światła na izbę, ale stojący pod nią tuż przy oknie Bartek pogrążony był w ciemności.

I może lepiej, że jeńcy nie widzieli jego twarzy. Z chłopem działy się dziwne rzeczy. Z

początku ogarnęło go zdziwienie i wytrzeszczał na jeńców oczy, i starał się zrozumieć, co mówią. Toż oni przyszli bić Niemców, żeby Poznańczykom było lepiej, a on bił Francuzów, żeby Poznańczykom było lepiej! I tych dwóch jutro rozstrzelają! Co to jest? Co on, biedak, ma o tym myśleć? A żeby się tak ozwał do nich? Żeby im powiedział, że on swój człowiek, że mu ich żal. Nagle złapało go coś za gardło. I co on im powie? czy ich wyratuje? To i jego rozstrzelają! Hej, rety! co się z nim dzieje? Żal go tak dusi, że nie może ustać na miejscu.

Jakaś straszna tęsknota nadlatuje na niego, aż het gdzieś z Pognębina. Nieznany gość w żołdackim sercu, litość, krzyczy mu w uszy: —Bartku! ratuj swoich, to swoi!! - a serce wyrywa się do domu, do Magdy, do Pognębina, i tak się rwie jak nigdy przedtem. Dosyć ma tej Francji, tej wojny i bitew!

Coraz wyraźniej słyszy głos: —Bartku, ratuj swoich!! Ażeby ta wojna pod ziemię się zapadła! Przez wybite okna czernieje las i szumi jako pogłębińskie sosny, a w tym szumie woła coś znowu:

15

—Bartku, ratuj swoich!!

Cóż on zrobi?

Ucieknie z nimi do lasu czy co? Wszystko, co tylko pruska dyscyplina zdołała w niego wszczepić, od razu wzdryga się na tę myśl... W Imię Ojca i Syna! Tylko się przed nią przeżegnać. On, żołnierz, ma dezertować? Nigdy!

Tymczasem las szumi coraz mocniej i wicher świszcząc coraz żałośniej.

Starszy jeniec odzywa się nagle:

- A to wiatr, jakby jesienią u nas...

- Daj mi pokój... - rzecze pogłębionym głosem młodszy.

Po chwili jednak powtarza kilkakrotnie:

- U nas, u nas, u nas! O Boże! Boże!

Głębokie westchnienie zlewa się z poświstem i jeńcy leżą znów cicho.

Bartka poczyna febra trząść.

Najgorzej, gdy sobie człowiek nie zdaje sprawy z tego, co mu jest. Bartek nic nie ukradł, a tak mu się zdaje, jakby co ukradł i jakby się bał, że go złapią. Nic mu nie grozi, a przecie boi się czegoś okrutnie. Oto nogi dygocą pod nim, karabin cięży mu strasznie i coś go dusi, jakby jaki wielki płacz. Za Magdą czy za Pogłębinem? Za obojgiem, ale i tego młodszego jeńca tak mu żal, że sobie rady dać nie może.

Chwilami zdaje się Bartkowi, że śpi. Tymczasem zawierucha na dworze jeszcze się powiększa. W poświście wiatru mnożą się dziwne wołania i głosy.

Nagle Bartkowi każdy włos staje dębem pod pikielhaubą.

Oto wydaje mu się, że tam gdzieś w ciemnych, mokrych głębiach boru ktoś jęczy i powtarza:

—U nas, u nas, u nas!!

Bartek wzdryga się i uderza kolbą w podłogę, by się rozbudzić.

Jakoż przychodzi do przytomności... Ogląda się: jeńcy leżą w kącie, lampa migoce, wiatr wyje,

wszystko w porządku.

Światło pada teraz obficie na twarz młodego jeńca. Iście twarz dziecka albo dziewczyny. Ale oczy ma przymknięte, słomę pod głową i wygląda jakby już umarły.

Jak Bartek Bartkiem, nigdy go tak nie nurtował żal. Wyraźnie ściska go coś za gardło, wyraźnie płacz mu idzie z piersi.

Tymczasem starszy jeniec obraca się z trudnością na bok i mówi:

- Dobranoc, Władek...

Następuje cisza. Upływa godzina. Z Bartkiem coś naprawdę źle. Wiatr gra jak organy pognębińskie. Jeńcy leżą cicho, nagle młodszy podnosi się trochę z wysileniem i woła:

- Karol?

- Co?

- Śpisz?

- Nie...

- Słuchaj! Ja się boję... Mów, co chcesz, a ja się będę modlił...

- To się módl!

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Łkanie przerywa nagle słowa młodego jeńca... wszelako słyhać jeszcze przerywany głos:

- Bądź... wola... Twoja!...

- O Jezu! - wyje coś w piersiach Bartka. - O Jezu!...

Nie! on już nie wytrzyma dłużej! Chwila jeszcze, a krzyknie: —Paniczu! toć ja chłop!...||

Potem przez okno... w las... Niech się dzieje, co chce!...

Nagle od strony sieni dają się słyszeć miarowe kroki. To patrol, a z nim podoficer. Zmieniają straż!

Nazajutrz Bartek od rana był pijany. Następnego dnia także...

*

bohater wrócił do równowagi. Po owej nocy zostało mu tylko trochę zamięłowania do butelki, w której zawsze można znaleźć smak, a czasem i zapomnienie. Zresztą w bitwach bywał jeszcze okrutniejszy niż dotąd; zwycięstwo szło w jego ślady.

VI

Znów upłynęło kilka miesięcy. Było już dobrze z wiosny. W Pognębiniu wiśnie w sadzie kwitły i pokryły się bujnym liściem, a na polach zieleniała ruń obfita. Pewnego razu Magda, siedząc pod chałupą, obierała na obiad marne, kielkowane kartofle, zdatniejsze dla trzody niż dla ludzi. Ale był to przednówek i bieda zajrzała trochę do Pognębina. Znać ją było i z twarzy Magdy, poczerńiałej i pełnej frasunku. Może też dla rozpedzenia go kobieta przymykając oczy śpiewała cienkim, wytężonym głosem:

Oj! mój Jasieńko na wojnie! oj! listy pisze do mnie!

Oj! i ja też do niego - oj! bom żoneczka jego.

Wróble na czereśniach świergotały, jakby ją pragnęły zagłuszyć, a ona śpiewając spoglądała w zamyśleniu to na psa, śpiącego na słońcu, to na drogę, przechodzącą koło chałupy, to na steczkę, idącą od drogi przez ogród i pola. Może i dlatego poglądała Magda na steczkę, że wiodła ona na przelaj i do stacji, i tak Bóg dał, że tego dnia nie spoglądała na nią na próżno. W

dali ukazała się jakaś postać i kobieta przysłoniła oczy ręką, ale nie mogła nic dojrzeć, bo ją blask ślepił. Łysek tylko rozbudził się, podniósł głowę i szczerkawszy krótko począł węszyć, nadstawiając uszu i przekręcając łeb na obie strony. Jednocześnie do uszu Magdy doszły niewyraźne słowa pieśni. Łysek zerwał się naraz i całym pędem skoczył ku zbliżającemu się człowiekowi. Wówczas Magda przybladła trochę.

- Bartek czy nie Bartek?

Wstała nagle, tak że aż niecułka z kartoflami potoczyła się na ziemię: teraz już nie było wątpliwości. Łysek tam skakał do piersi przybyłego. Kobieta rzuciła się naprzód krzyknawszy z całej siły z radości:

- Bartek! Bartek!

- Magda! to ja! - wołał Bartek, przykładając dłoń do ust i przyśpieszając kroku.

Otworzył wrota, zawadził o zaworę, mało nie upadł, aż się zatoczył, padli sobie w objęcia.

Kobieta zaczęła mówić szybko:

- A ja myślała, że już nie wrócisz... Myślałam: zabili go... Cóż ci? Pokaż się... Niech się napatrzę! Bardzo zmizerowany! Oj, Jezu! Oj, ty, kapcanie!... Oj, najmilejszy!... Wrócił!

wrócił!...

Chwilami odrywała ręce od jego szyi i patrzyła na niego, i znów je zarzucała.

- Wrócił! Chwała bądź Bogu... Mój ty Bartczysko kochane!... Cóżes?... Chodź do chałupy...

Franek w szkole! Niemczysko trochę dzieciom dopieka. Chłopak zdrów. Ino ślepie na wierzchu ma jak ty. Oj, czas ci wracać! Bo ani rady. Bieda, mówię, bieda!... Chałupsko się psuje. Do stodoły bez dach leci. Cóżes? Oj, Bartku! Bartku! że też ja jeszcze ciało twoje oglądam! Co ja tu miałam kłopotu z sianem!... Czemierniccy mi pomagali, ale bogać!... I cóżes ty? zdrów? Oj, raduję ja ci się, raduję! Bóg cię strzegł. Chodź do chałupy. O dlaboga, coś niby Bartek, niby nie Bartek! A tobie co? Rety!

Magda w tej chwili dopiero spostrzegła długą szramę, ciągnącą się przez twarz Bartka, przez lewą skroń, policzek, aż do brody.

- At, nic... Kiryser mnie ta pomacał, ale i ja jego też. W szpitalu byłem.

- O Jezu!

- Ej, mucha.

- A chudyś jak ta śmierć.

- Ruhig - odrzekł Bartek.

Był rzeczywiście wychudły, szerniały, obszarpany. Prawdziwy zwycięzca! Przy tym chwiał się na nogach.

17

- Cóżes ty, pijany?

- Ti... słabym jeszcze.

Był słaby, to pewno! Ale był i pijany, bo przy jego wycieńczeniu jedna miarka wódki wystarczała, a Bartek na stacji wypił ich coś cztery. Ale za to miał animusz i minę prawdziwego zwycięzcy. Takiej miny nigdy przedtem nie miewał.

- Ruhig! - powtórzył. - Skończyliśmy Krieg! teraz ja pan, rozumiesz? A to widzisz? - Tu ręką wskazał na krzyże i medale. - Wiesz, com za jeden? - He? links! rechts! Heu! Stroh! siano!

słoma! słoma! siano halt!

Ostatnie halt! wrzasnął tak przeraźliwe, że kobieta odskoczyła o kilka kroków.

- Cóżes ty oszalał?

- Jak się masz, Magda!... kiedy ci mówię: jak się masz, to jak się masz? A po francusku umiesz,

głupia?... Musiu, musiu, kto musiu? ja musiu ! wiesz?

- Człeku, co z tobą jest?

- Tobie co do tego! Was? done dine? rozumiesz?

Na czole Magdy zaczęła się zbierać burza.

- Po jakiemu ty bełkoczesz? Cóż to, nie umiesz po polsku? To ci kasztan! Sprawiedliwie mówię? Co z ciebie zrobili!

- Daj mi jeść!

- Ruszaj do chałupy.

Wszelka komenda robiła na Bartku wrażenie, któremu żadną miarą oprzeć się nie mógł.

Usłyszawszy tedy: —ruszaj!!, wyprostował się, ręce wyciągnął wzdłuż bioder i zrobiwszy pół

obrotu pomaszerował we wskazanym kierunku. Na progu dopiero ochłonął i począł patrzeć na Magdę ze zdumieniem.

- No, co ty, Magda? co ty?

- Ruszaj! Marsz!

Wszedł do chałupy, ale upadł na samym progu. Wódka teraz zaczęła mu naprawdę uderzać do głowy. Zaczął śpiewać i oglądać się po chałupie za Frankiem. Powiedział nawet: Morgen, Kerl! - choć Franka nie było. Następnie roześmiał się, dał jeden krok nader wielki, dwa bardzo małe, krzyknął: —hurra!!, i legł jak długi na tapczanie. Wie czorem zbudził się trzeźwy, wypoczęty, przywitał się z Frankiem i wyprosiwszy u Magdy kilkanaście fenigów odbył triumfalny pochód do karczmy. Sława jego czynów poprzedziła go już w Pognębinie, gdyż niektórzy żołnierze innych kompanii tegoż samego pułku, wróciwszy wcześniej, opowiadali jego przewagi pod Gravelotte i Sedanem. Obecnie, gdy się wieść rozeszła, że zwycięzca jest w karczmie, wszyscy dawni towarzysze pośpieszyli go zobaczyć.

Siedzi więc nasz Bartek za stołem, nikt by go teraz nie poznał. On, taki dawniej potulny, bije oto pięścią w stół, puszy się jak indyk i gul goce jak indyk.

- A pamiętacie, chłopcy, jakem wtedy Francuzów sprął, co powie dział Steinmec?

- Co nie mamy pamiętać?

- Gadali za Francuzami, straszili, a to jest mdły naród, was? Ony sałatę jedzą jak zające, to i umykają jak zające. A piwa to ci nie piją, ino dycht wino.

- Juści.

- Jakeśma palili jaką wieś, to ony ręce składały i zaraz krzycza ły: pitie! pitie!, to niby znaczy, że dadzą picie, żeby im co ino dać spokój. Aleśma nie zważali.

- To to można zrozumieć, jak ony szwargocą? - spytał młody parobczak.

- Ty nie rozumiesz, boś głupi, a ja rozumiem. Done di pę, rozu miesz?

- Co zaś gadacie?

- A Paryż widzieliśta? Tam ci były batalije jedna za drugą. Ale w każdej pobiliśma. Ony komendy dobrej nie mają. Tak też ludzie mówili. Płot, powiadają, u nich też dobry, ale kołki kiepskie. I oficery kiepskie, i generały kiepskie, a z naszej strony dobre.

Maciej Kierz, stary, mądry gospodarz z Pogńębina, począł kiwać głową.

18

- Oj, wygrały Niemcy straszną wojnę, a myśma im pomogli; ale co nam z tego przyjdzie, Bóg jeden wie.

Bartek wytrzeszczył na niego oczy.

- Co gadacie?

- Toż Niemcy i tak nie chcieli nas szanować, a teraz to ci nosy pozadzierały, jakby i Boga już nad nimi nie było. I będą jeszcze go rzej nas poniewierać albo już poniewierają.

- A nieprawda! - rzekł Bartek.

W Pogńębinie stary Kierz miał taką powagę, że cała wieś myślała wedle jego głowy, i zuchwalstwem było mu przeczyć, ale Bartek był teraz zwycięzcą i sam powagą.

Wszelako oni spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a nawet z pewnym oburzeniem.

- Cóż ty z Maciejem będziesz się spierał?... Cóż ty?...

- Co mi tam Maciej! Ja nie z takimi gadałem, rozumita! Chłopcy, czy nie gadałem ze Steinmecem? was? A kiej Maciej zmyśla, to zmyśla. Tera nam będzie lepiej.

Maciej popatrzył chwilę na zwycięzcę.

- Oj, ty głupi! - rzekł.

Bartek uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły wszystkie kieliszki i kufle.

- Still der Kerl da! Heu, Stroh!...

- Cicho, nie wrzeszcz! Spytaj się, głupi, jegomości albo i pana.

- Albo jegomość na wojnie był? albo pan był? A ja byłem. Nie wierzta, chłopcy. Tera ci nas zacząną szanować. Kto bataliję wygrał? Myśma wygrali. Ja wygrałem. Teraz o co ci poproszę, to dadzą. Bym chciał dziedzicem we Francji ostać, to ostanę. Rząd dobrze wie, kto najlepiej prał Francuzów. A nasze pułki były najlepsze. Tak pisało w rozkazach. Tera Polaki górą -

rozumietą?

Kierz machnął ręką, wstał i poszedł. Bartek i na polu politycznym odniósł zwycięstwo.

Młodzi, którzy z nim zostali, patrzyli teraz w niego jak w tęczę! On mówił:

- A ja czego bym nie chciał, to dadzą. Żeby nie ja, to no! Stary Kierz jest kiep: rozumietą?

Rząd każe bić, to bić! Kto mnie będzie poniewierał? Niemiec? A to co?

To znów pokazał na krzyże i medale.

- A za kogo prałem Francuzów? Nie za Niemców, co? Ja tera lepszy jak Niemiec, bo żaden Niemiec nie ma tyle tego. Piwa dajta! Ze Steinmecem gadałem i z Podbielskim gadałem.

Piwa dajta!

Z wolna zbierało się na pijatykę. Bartek począł śpiewać: Trink, trink, trink!

Wenn in meiner Tasche

Noch ein Thaler klingt!...

Nagle wydobył z kieszeni garść fenigów.

- Bierzta! ja tera pan... Nie chceta? Oj, nie takich my pieniędzy we Francji, nabrali, ino że poszło. Mało to my nie napalili, ludzi nabili!... Bóg wie nie kogo... francirerów...

Humor ludzi pijanych miewa nagłe zmiany. Nadspodziewanie Bartek zgarnął pieniądze ze stołu i począł wołać żałośnie:

- Boże! bądź miłościw grzesznej duszy mojej!

Następnie podparł się oboma łokciami na stole, głowę ukrył w łapy i milczał.

- Co ci jest? - spytał któryś z pijanych.

- Com im winien? - mruknął ponuro Bartek. - Sami leźli! Ino mi ich było żal, bo swojaki oba.

Boże, bądź miłościw! Jeden był jak ta zorza rumiana. Nazajutrz to ci był blady jak chusta. A potem to ci ich jeszcze żywych przysypali... Wódki!

Nastała chwila posępnej ciszy. Chłopi spoglądali jeden na drugiego ze zdziwieniem.

- Co on prawi? - spytał któryś.

- Ze sumieniem cości gada.

- Bez tę wojnę człowiek pije - mruknął Bartek.

19

Napił się wódki raz i drugi. Chwilę posiedział w milczeniu, potem splunął i niespodzianie wrócił mu dobry humor.

- A wyśta gadali ze Steinmecem?... A ja gadałem! Hurra! Pijta. Kto płaci? Ja!

- Ty płacisz, pijaku, ty! - ozwał się głos Magdy. - Ale i ja ci zapłacę, nie bój się!

Bartek popatrzył na przybyłą kobietę szklanymi oczyma.

- A ze Steinmecem gadałaś? coś za jedna?

Magda zamiast mu odpowiedzieć zwróciła się do czułych słuchaczów i poczęła lamentować:

- Oj, ludzie, ludzie, widzita mój srom i moją niedolę! Wrócił, ucieszyłam się, jak komu dobremu, a on wrócił pijany. I Boga zapomniał, i po polsku zapomniał. Położył się spać, wytrzeźwiał, a teraz znowu pije i moją pracę, moim potem płaci. A skądęś wziął tych pieniędzy? Nie mójże to starunek, nie moja krwawica? co? Oj, ludzie, ludzie, nie katolik to już, nie człowiek, to je Niemiec opętany, co po niemiecku szwargoce i na krzywdę ludzką dybie. To jest odmieniec, to jest...

Tu kobieta zalała się łzami, następnie podniosła głos o oktawę wyżej:

- Głupi był, ale dobry; ale teraz co z niego zrobili? Czekałam ci go wieczór, czekałam i rano, i doczekałam się. Znikąd pociechy, znikąd zmiłowania! Boże mocny! Boże cierpliwy!... Żebyś ty skołowaciał, żebyś do reszty Niemcem ostał!

Ostatnie słowa skończyła tak żałośnie, że prawie śpiewając. A Bartek na to:

- Cichoj, bo cię lunę!

- Bij utnij głowę, utnij zaraz, zabij, zamorduj! - woła natarczywie kobieta i wyciągnawszy szyję zwróciła się do chłopów:

- A wy, ludzie, patrzajta!

Ale chłopci poczęli się wynosić. Wkrótce karczma opustoszała; został tylko Bartek i baba z wyciągniętą szyją.

- Cóż tę tchawicę wyciągasz jak gęs - mruczał Bartek. - Chodź do chałupy.

- Utnij! - powtarza Magda.

- Oto, że nie utnę - odparł Bartek i wsadził ręce w kieszenie.

Tu karczmarz, chcąc położyć koniec zajściu, zgasił jedną świecę.

Zrobiło się ciemno i cicho. Po chwili w ciemności rozległ się piskliwy głos Magdy:

- Utnij!

- Oto, że nie utnę - odparł triumfalny głos Bartka.

Przy świetle księżycy widać było dwie postacie idące od karczmy ku chałupom. Jedna z nich, idąca naprzód, lamentowała głośno: to była Magda; za nią ze spuszezoną głową postępował

dość pokornie zwycięzca spod Gravelotte i Sedanu.

VII

Bartek wrócił jednak tak osłabiony, że przez kilka dni nie mógł pracować. Było to wielkie nieszczęście dla całego gospodarstwa, które na gwałt potrzebowało męskiej ręki. Magda radziła sobie, jak umiała. Pracowała od rana do nocy; sąsiedzi Czemierniccy pomagali jej, jak mogli, ale swoją drogą wszystko to nie wystarczało i gospodarstwo szło po trochu w ruinę.

Było też już i nieco długów zaciągniętych u kolonisty Justa, Niemca, który w Pogńebinie zakupił był w swoim czasie u dworu kilkanaście morgów nieużytków, a teraz miał najlepsze w całej wsi gospodarstwo i gotówkę, którą wypożyczał na dość wysokie procenty.

Wypożyczał przede wszystkim dziedzicowi p. Jarzyńskiemu, którego nazwisko jarzyło się w Złotej księdze, ale który dlatego właśnie musiał podtrzymywać splendor domu na odpowiedniej stopie; wypożyczał jednak Just i chłopom. Magda winna mu była od pół roku kilkadziesiąt talarów, które częścią włożyła w gospodarstwo, częścią posyłała w czasie wojny Bartkowi. Byłoby to jednak nic. Bóg dał dobre urodzaje i z przyszłych plonów można było dług spłacić, byle rąk i pracy przyłożyć. Na nieszczęście Bartek pracować nie mógł. Magda nie bardzo chciała temu wierzyć i chodziła do proboszeza na narady, jakby chłopą rozruszać, a on rzeczywiście nie mógł. Brakło mu oddechu, gdy się cokolwiek strudził, i krzyże go 20

bolały. Siadywał więc po całych dniach przed chałupą i palił porcelanową fajkę z wyobrażeniem Bismarka w białym mundurze i kirasjerskim hełmie na głowie, i poglądał na świat zmęczonym, sennym okiem człowieka, z którego kości trud jeszcze nie wyszedł.

Rozmyślał przy tym trochę o wojnie, trochę o zwycięstwach, o Magdzie, trochę o wszystkim, trochę o niczym.

Raz, gdy tak siedział, usłyszał z dala płacz Franka.

Franek wracał ze szkoły i beczał, aż się rozlegało.

Bartek wyjął z ust fajkę.

- No, ty, Franc! co ci jest?

- Ale, co ci jest?... - powtórzył szlochając Franek.

- Czego beczysz?

- Ale, co nie mam beczeć, kiedy dostałem po pysku...

- Kto ci dał po pysku?

- Kto, jak nie pan Boege!

Pan Boege pełnił obowiązki nauczyciela w Pogńbinie.

- A on co ma za prawo bić cię po pysku?

- Juści ma, bo dał.

Magda, która okopywała w ogrodzie, przelazła przez płot i z motyką w ręku zbliżyła się do dziecka.

- Cóżeś sprawił? - spytała.

- Com miał sprawić? Jeno Boege nawymyślał mi od polskich świń i dał mnie w pysk, i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały, to nas będą nogami kopać, bo ony najmocniejsze. A ja jemu nic nie zrobiłem, jeno on się pytał, jaka jest największa osoba na świecie, a ja powiedziałem, że Ojciec święty, a on mi dał w pysk, a ja począłem krzyczeć, a on nawymyślał mi od polskich świń i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały...

Franek począł powtarzać w kółko: —a on powiedział, a ja powiedziałem!; wreszcie Magda zakryła mu twarz ręką, a sama, zwróciwszy się do Bartka, poczęła wołać:

- Słyszysz! Słyszysz!... Idź ty, wojuj Francuzów, a niech ci dziecko potem Niemiec tłucze jak tego psa! niech mu wymyśla!... Idź ty, wojuj... niech ci Szwab dziecko zabija: masz nagrodę...

niech ci plucha...

Tu Magda rozczulona własną wymową zaczęła także płakać do wtóru z Frankiem, a Bartek wytrzeszczył oczy, otworzył gębę i zdumiał - zdumiał tak, iż słowa nie mógł przemówić, a przede wszystkim zrozumieć tego, co się stało. Jak to? A jego zwycięstwa?... Siedział jeszcze chwilę w milczeniu, nagle błysło mu coś w oczach, krew rzuciła się do twarzy. Zdumienie, równie jak przestrasz, częstokroć u prostaków przechodzi w wściekłość. Bartek zerwał się nagle i wyrzucił przez zaciśnięte zęby:

- Ja się z nim rozmówię.

I poszedł. Niedaleko było. Szkoła leżała tuż za kościołem. Pan Boege stał właśnie przed gankiem otoczony gromadą prosiąt, między które rozrzucał kawałki chleba.

Był to rosły człowiek, lat około pięćdziesięciu, krzepki jeszcze jak dąb. Nie był zbyt tłusty, twarz tylko miał bardzo tłustą, a w tej twarzy pływały duże rybie oczy z wyrazem śmiałości i energii.

Bartek przystąpił do niego bardzo blisko.

- Za co ty mi, Niemcze, dziecko bijesz? was? - spytał.

Pan Boege odstał od niego kilka kroków, zmierzył go oczyma bez cienia bojaźni i rzekł z flegmą:

- Won, polska —turnia!

- Za co dziecko bijesz? - powtórzył Bartek.

- Ja i ciebie, bić, polska —chama! Teraz my wam pokazemy, kto tu pan. Idź do diabła, idź na skargę do sądu... precz!

21

Bartek schwyciwszy nauczyciela za ramię począł potrząsać nim silnie, wołając chrapliwym głosem:

- Wiesz, com za jeden? wiesz, kto Francuzów sprzął? wiesz, kto ze Steinmecem gadał? Za co dziecko bijesz, szwabska plucho?

Rybie oczy pana Boege wylażyły na wierzch, nie gorzej Bartkowych, ale pan Boege był silny człowiek i postanowił jednym zamachem uwolnić się od napastnika.

Zamach ten ozwał się potężnym policzkiem na twarzy zwycięzcy spod Gravelotte i Sedanu.

Wtedy chłop stracił pamięć. Głowa Boegego wstrząsnęła się dwoma nagłymi ruchami przypominającymi ruch wahadła, z tą różnicą, że wstrząśnienia były przerażająco szybkie. W

Bartku znów zbudził się straszliwy pogromca turkosów i żuawów. Na próżno dwudziestoletni Oskar, syn Boegego, chłop równie silny jak ojciec, pospieszył mu z pomocą. Zawiązała się walka krótka, straszna, w której syn padł na ziemię, a ojciec uczuł się wyniesionym w powietrze. Bartek, wyciągnąwszy ręce do góry, niósł go, sam nie wiedząc dokąd. Na nieszczęście pod chałupą stała beczka z pomyjami, skrętnie zlewany dla świń przez panią Boegową, i oto bulknęło w beczce, a po chwili widać z niej było sterczące nogi Boegego, poruszające się gwałtownie. Boegowa wypadła z domu:

- Pomocy ! ratunku !

Przytomna kobieta wyrwała natychmiast beczkę i wylała męża wraz z pomyjami na ziemię.

Z pobliskich domów koloniści pośpieszyli na pomoc sąsiadom. Kilkunastu Niemców rzuciło się na

Bartka i poczęli okładać go to kijami, to pięściami. Powstało ogólne zamieszanie, w którym trudno było odróżnić Bartka od wrogów; kilkanaście ciał zbiło się w jedną masę, poruszającą się konwulsyjnie.

Nagle jednak z masy walczących wypadł, jak szalony, Bartek dążąc co sił do płotu.

Niemcy skoczyli za nim, jednocześnie jednak dał się słyszeć przeraźliwy trzask płotu i w tejże chwili potężna żerdź zakołysała się w żelaznych łapach Bartka.

Odwrócił się zapieniony, wściekły, wznosił ręce z żerdzią do góry: pierzchli wszyscy.

Bartek sunął za nimi.

Szcęściem nie dogonił nikogo. Przez ten czas ochłonał i począł rejterować ku domowi. Ach!

Gdyby miał przed sobą Francuzów! Odwrót ten unieśmiertelniłaby historia.

Było tak: napastnicy w liczbie blisko dwudziestu ludzi, zebrawszy się, nacierali na nowo na Bartka. On cofał się z wolna, jak odyniec party przez psiarnię. Chwilami odwracał się i zatrzymywał, a wtedy zatrzymywali się i goniący. Żerdź przejmowała ich zupełnym szacunkiem.

Ciskali jednak kamieniami, jeden z tych kamieni zranił Bartka w czoło. Krew zalewała mu oczy. Czuł, że słabnie. Zachwiał się raz i drugi na nogach, opuścił żerdź i upadł.

- Hurra! - krzyknęli koloniści.

Ale nim dobiegli, Bartek podniósł się znowu. To ich wstrzymało. Ten ranny wilk mógł

jeszcze być niebezpieczny. Zresztą było to już niedaleko pierwszych chałup i z dala widać już było kilku parobków, pędzących co siły na plac potyczki. Koloniści cofnęli się do domów.

- Co się stało? - pytali nadbiegający.

- Niemców krzyne pomacałem - odpowiedział Bartek. I zemdłał.

VIII

Sprawa stała się groźną. Gazety niemieckie umieściły nader wzruszające artykuły o prześladowaniach, jakich doznaje spokojna ludność niemiecka od barbarzyńskiej i ciemnej masy, podniecanej przez antypaństwowe agitacje i fanatyzm religijny. Boege stał się bohaterem. On, nauczyciel cichy i łagodny, krzewiący oświatę na dalekich krańcach państwa; on, prawdziwy misjonarz kultury wśród barbarzyńców, pierwszy padł ofiarą rozruchu.

Szcęściem, że za nim stoi sto milionów Niemców, którzy nie pozwolą, aby itd.

Bartek nie wiedział, jaka burza zbiera się nad jego głową. Owszem, był dobrej myśli. Był

pewny, że w sądzie wygra. Przecie Boege mu dziecko pobił i jego pierwszy uderzył, a potem 22

tylu na niego napadło! Musiał się przecie bronić. Rozbili mu jeszcze głowę kamieniem. I komu? jemu, którego wymieniały rozkazy dzienne, jemu, który —wygrał bitwę pod Gravelotte, który gadał z samym Steinmecem, który miał tyle krzyżów! Nie mieściło mu się to wprawdzie w głowie, jak Niemcy mogli o tym wszystkim nie wiedzieć i tak go pokrzywdzić, również jak nie mieściło się mu i to, jak Boege mógł obiecywać Pogłębińcom, że ich teraz Niemcy będą nogami kopać za to, że oni, Pogłębińcy, tak dzielnie bili Francuzów, ilekroć była sposobność. Ale co do siebie, był pewny, że sąd i rząd ujmą się za nim. Tam przecie będą wiedzieć, co on za jeden i co on na wojnie robił. Choćby nie kto inny, to Steinmec ujmie się za nim. Przecie Bartek przez tę wojnę i zbiedniał, i chałupę zadłużył, toć przecie nie odmówią mu sprawiedliwości.

Tymczasem do Pogłębina przyjechali po Bartka żandarmi. Spodziewali się widać straszego oporu, bo przyjechało ich aż pięciu z nabitymi karabinami. Mylili się. Bartek o oporze nie myślał. Kazali mu na brykę sięść: siadł. Magda desperowała tylko i powtarzała uparcie:

- Oj, trzebaż ci było tych Francuzów tak wojować? Maszże teraz, biedaku, masz.

- Cichoj, głupia! - odpowiadał Bartek i uśmiechał się po drodze dość wesoło do przechodzących.

- Ja im pokażę, kogo krzywdzili! - wołał z bryczki.

I ze swymi krzyżami na piersiach jechał jak triumfator do sądu.

Jakoż sąd okazał się na niego łaskawy. Zgodzono się na istnienie okoliczności łagodzących.

Bartek osobiście skazany został tylko na trzy miesiące więzienia.

Prócz tego skazano go na zapłacenie stu pięćdziesięciu marek tytułem wynagrodzenia rodzinie Boege i innym —obrażonym na ciele kolonistom.

—Zbrodniarz wszelako - pisała w sprawozdaniu sądowym <<Posener Zeitung>> - nie tylko po odczytaniu mu wyroku nie okazał najmniejszej skruchy, ale wybuchnął tak grubiańskimi słowami i tak bezczelnie począł wyrzucać państwu swoje rzekome usługi, iż dziwić się tylko należy, że obecny prokurator nie uformował przeciw niemu nowej sprawy za obelgi względem sądu i względem niemieckiego plemienia...

Tymczasem Bartek rozpamiętywał w kozie spokojnie swoje czyny pod Gravelotte, Sedanem i Paryżem.

Popełnilibyśmy jednak niesprawiedliwość twierdząc, że i postępek p. Boegego nie wywołał

żadnej publicznej nagany. Owszem, owszem. Pewnego dżdżystego poranku jakiś poseł polski bardzo wymownie dowodził, jak zmieniło się postępowanie z Polakami w Poznańskim jak za męstwo i ofiary poniesione przez poznańskie pułki w czasie wojny należałoby dbać o prawa ludności w poznańskiej prowincji; jak na koniec p. Boege z Pogłębina nadużywał swej pozycji nauczyciela, bijąc polskie dzieci, nazywając je polskimi świniami i obiecując, że po takiej wojnie napływowa

ludność będzie kopać nogami aborygenów.

I gdy tak poseł mówił, deszcz sobie padał, a ponieważ takiego dnia senność ludzi ogarnia, więc ziewali konserwatyści, ziewali national-liberalni i socjaliści, ziewało i centrum, bo było to jeszcze przed walką kulturową.

Wreszcie nad tą —polską skargą|| Izba przeszła do porządku dziennego.

Bartek tymczasem siedział w kozie, a raczej leżał w szpitalu więziennym, bo od uderzenia kamieniem otworzyła mu się rana, jaką na wojnie otrzymał.

Gdy nie miał gorączki, myślał jak ów indyk, który zdechł od myślenia. Ale Bartek nie zdechł, tylko nic nie wymyślił.

Czasem jednakże w chwilach, które nauka zwie lucida intervalla, przychodziło mu do głowy, że może niepotrzebnie tak —prał|| Francuzów.

Na Magdę za to nadeszły ciężkie godziny. Trzeba było zapłacić karę: nie było skąd wziąć.

Ksiądz pogłębiński chciał pomóc, ale pokazało się, że w kasie nie miał całych czterdziestu marek. Biedna to była parafia ten Pogłębin, a zresztą staruszek nigdy nie wiedział, jak mu się 23

pieniądze rozchodzą. Pana Jarzyńskiego nie było w domu. Mówili, że pojechał w konkury do jakiejś bogatej panny do Królestwa.

Magda nie wiedziała, co ma począć.

O przedłużeniu terminu nie było co i myśleć. Cóż więc? Sprzedać konie, krowy? I tak był

przednówek, czas najcięższy. Żniwo się zbliżało, gospodarka wymagała pieniędzy, a wyczerpały się już wszystkie. Kobieta ręce łamała z rozpacz. Podała kilka próśb o zmiłowanie do sądu, wymieniając zasługi Bartka. Nie otrzymała nawet odpowiedzi. Termin się zbliżał, a z nim sekwestr.

Modliła się i modliła, wspominając gorzko dawne czasy przed wojną, gdy byli zamożni i gdy Bartek zimną jeszcze w fabryce zarabiał. Poszła do kumów pożyczyć pieniędzy: nie mieli.

Wojna wszystkim dała się we znaki. Do Justa nie śmiała iść, bo i tak była mu winna, a nie płaciła nawet procentów. Tymczasem Just niespodziewanie sam przyszedł do niej.

Pewnego popołudnia siedziała na progu chaty i nie robiła nic, bo ją siły z rozpacz odeszły.

Patrzyła przed siebie na goniące się po powietrzu muszki złote i myślała: —Jakie to ono robactwo szczęśliwe, buja sobie i nie płaci itd.|| Czasem wzdychała ciężko lub z jej pobladłych ust wyrывało się ciche wezwanie: —O Boże! Boże!! Nagle przed wrotami pokazał

się spuszczone nos Justa, pod którym widać było spuszczone fajkę: kobieta pobladła. Just ozwał się:

- Morgen!

- Jak się macie, panie Just!

- A moje pieniądze?

- O mój złocieńki panie Just, bądźcie cierpliwi. Ja biedna, co ja zrobię? Chłopa mi wzięli, karę za niego płacić muszę, rady sobie dać nie mogę. Lepiej bym zmarła, niż się mam tak męczyć z dnia na dzień. Poczekajcie, mój złocieńki panie Just!

Rozpłakała się i schyliwszy się ucałowała pokornie tłustą, czerwoną rękę pana Justa.

- Pan przyjedzie, to od niego pożyczę, a wam oddam.

- No, a sztraf z czego zapłacicie?

- Czy ja wiem? Chyba krowinę sprzedam.

- To ja wam pożyczę jeszcze.

- Niech panu Pan Bóg zapłaci, mój złoty panie. Pan, choć luter, ale dobry człowiek.

Sprawiedliwie mówię! Żeby inne Niemcy były jak pan, to by ich człowiek błogosławił.

- Ale ja bez procentu nie dam.

- Ja wiem, ja wiem.

- To mi napiszcie jeden kwit na wszystko.

- Dobrze, złoty panie. Bóg panu zapłaci i tak.

- Będę w mieście, to sporządzimy akt.

Był w mieście i sporządził akt, ale poprzednio Magda poszła radzić się proboszcza. Co tu jednak było radzić? Ksiądz mówił, że termin za krótki, że procenta za wysokie, i biadał

bardzo, że p. Jarzyńskiego w domu nie ma, bo gdyby był, to by może pomógł. Nie mogła jednak Magda czekać, aż jej sprzedadzą sprzężaj, i musiała przyjąć warunki Justowe.

Zaciągnęła trzysta marek długu, to jest dwa razy tyle, ile wynosił —sztrafl, boć przecie trzeba było mieć w domu jaki grosz na prowadzenie gospodarstwa. Bartek, który dla ważności aktu obowiązany był stwierdzić go własnym podpisem, podpisał. Magda w tym celu umyślnie chodziła do niego do —karceresull. Zwycięzca był bardzo pogwałcony, przybity i chory. Chciał

on jeszcze pisać skargę i przedstawić swoje krzywdy, ale skargi nie przyjęto. Artykuły

—Posener Zeitungll nader nieprzychylnie usposobiły dla niego opinię sfer rządowych. Czyż bowiem

władze owe nie powinny były rozciągnąć opieki nad spokojną ludnością niemiecką,
—która w ostatniej wojnie tyle złożyła dowodów miłości dla ojczyzny i poświęceń!

Słusznie więc odrzucano skargę Bartka. Ale nie dziw, że to go pognębiło ostatecznie.

- Już my teraz przepadniemy z krete sem - rzekł do żony.

24

- Z krete sem - powtórzyła.

Bartek począł namyślać się nad czymś usilnie.

- Krzywda mi się dzieje okrutna - rzekł.

- Chłopca Boege prześladowuje - mówiła Magda. - Chodziłam go prosić, jeszcze mi nawymyślał. Oj, teraz w Pognębinie Niemcy górą. Ony się teraz nikogo nie boją.

- Pewno, że ony najmocniejsze - rzekł smutno Bartek.

- Jać prosta jestem kobieta, ale to ci powiem: mocniejszy jest Bóg.

- W nim ucieczka nasza - dodał Bartek.

Chwilę milczeli oboje, potem znowu spytał:

- No, a co Just?

- Żeby Bóg najwyższy dał urodzaj, to może go jakoś zapłaciwa. Może też i pan nam dopomoże, chociaż on sam ma długi u Niemców. Jeszcze przed wojną mówili, że musi Pognębin sprzedać. Chyba że bogatą pannę weźmie.

- A prędko on wróci?

- Kto go wie? We dworze prawią, że niedługo już z żoną przyjedzie. Niemcy go przycisną, jak wróci. Zawdy to Niemcy! Dyć to lezie jak robactwo! Gdzie się obejrzysz, gdzie się nie dopatrzysz, czy na wsi, czy w mieście - Niemcy, za grzechy chyba nasze! A ratunku znikąd!

- Może też co uradzisz, tyś przecie mądra kobieta.

- Co ja zradzę, co? Czy to ja po dobrej woli brała od Justa pieniądze? Na dobrą sprawę, toć ta chałupina, w której siedzimy, i też grunt, to już jego. Just jest lepszy Niemiec od innych, ale on też swoje dobro, nie cudze, ma na oku. Nie pofolguje on, jak i inny nie pofolgował. Czy ja taka głupia, czy ja nie wiem, po co on mi wtyka pieniądze! Ale co zrobić co zrobić! - mówiła łamiąc ręce. - Radź ty, kiedyś mądry. Francuzów umiałeś bić, a co poczniesz, jak ci dachu nad głową nie stanie abo łyżki strawy do gęby?

Zwyczajca spod Gravelotte uchwycił się za głowę.

- O Jezu, Jezu!

Magda miała dobre serce: wzruszył ją ten ból Bartkowy, więc rzekła zaraz:

- Cichaj, chłopie! cichaj! nie łap się za łeb, skoro ci się jeszcze nie zgoił. Byle Bóg urodzaj dał! Żytko ci takie śliczniutki, że aż się ziemię chce całować, pszenica też. Ziemia nie Niemiec, nie ukrzywdzi. Choć to i bez twoją wojnę kiepsko koło roli zrobione, to ci tak rośnie, że a!

Pocziwa Magda uśmiechnęła się przez łzy.

- Ziemia nie Niemiec... - powtórzyła raz jeszcze.

- Magda! - rzekł Bartek patrząc na nią swymi wylupiastymi oczyma. - Magda!

- Czego ?

- A bo tyś jest... niby...

Bartek czuł dla niej wdzięczność wielką, ale nie umiał tego wyrazić.

IX

Magda naprawdę była tyle warta, ile dziesięć gorszych od niej kobiet! Trzymała trochę krótko swego Bartka, ale przywiązana była do niego prawdziwie. W chwilach uniesienia, jako na przykład wczas w karczmie, mówiła mu w oczy, że głupi, ale zwyczajnie wołała wszelako, by ludzie inaczej myśleli: —Mój Bartek głupiego udaje, a on je chytry! - mawiała nieraz.

Tymczasem Bartek był tak chytry jak jego koń i bez Magdy nie dałby sobie rady ani w gospodarstwie, ani w niczym. Teraz oto wszystko było na jej pocziwej głowie i jak zaczęła dreptać, zabiegać, chodzić, prosić, tak i wyprosiła ratunek. W tydzień po ostatnich odwiedzinach w więziennym szpitalu wpadła znowu do Bartka zadyszana, rozpromieniona, szczęśliwa.

- Jak się masz, Bartek, kasztanie! - zawołała z radością. - Wiesz, przyjechał pan! Ożenił ci się w Królestwie; młoda pani dycht jagódka. A nabrał ci też za nią wszelakiego dobra, oj! oj!...

25

Dziedzic Pogębina ożenił się rzeczywiście, zjechał z żoną na miejsce i rzeczywiście nabrał za nią sporo —wszelakiego dobra.

- No i co z tego? - spytał Bartek.

- Cicho, głupi! - odrzekła Magda. - O, tom się zadyszała! O Jezu!... Poszłam się pani pokłonić, patrzę: wyszła do mnie jak królewna jaka, młodzusienska, kiej łoński kwiateczek, śliczniuchna jak ta

zorza... A to upał! A tom się zadyszała!...

Magda podniosła fartuch i poczęła obcierać twarz spoconą. Po chwili mówiła znów przerywanym głosem:

- Suknię ci miała jak ten chaber niebiesiuchną... Podjęłam ją za nogi: rączkę mi dała...

pocałowałam, a rączki to ci ma pachnące i maluśkie jak u dziecka!... Dycht jaka święta na obrazku i dobra jest, i wyrozumiała na biedę ludzką. Poczęłam ją prosić o poratowanie... Żeby jej Bóg dał zdrowie!... A ona powiada: —Co w mojej mocy powiada - to zrobię.‖ A głosik to ci ma taki, że jak przemówi, to cię aż słodkość ogarnie. To dopiero ja poczęłam prawić, jak to w Pognębinie naród nieszczęśliwy, a ona powiada: —Ej, nie tylko w Pognębinie...‖, i dopiero ja się rozbeczałam, i ona też. Aż pan nadszedł, zobaczył, że ona płacze, i jak ją weźmie całować: gęba nie gęba, oczko nie oczko. Panowie nie takie jak wy! Dopiero ona mu powiada: —Zrób, co możesz, dla tej kobiety.‖ A on powiada: —Wszystko na świecie, czego zechcesz...‖ Niechże ją Matka Boska błogosławi, ona jagódkę złotą! niech ją na dzieciach błogosławi i na zdrowiu.

I zaraz pan powiada: —Zawiniliście ciężko, boście się w niemieckie ręce podali, ale - powiada

- poratuję was i na Justa dam.‖

Bartek począł drapać się w kark.

- Dyc pana też Niemcy mieli w ręku.

- No to co! ale pani bogata. Państwo by teraz wszystkich Niemców w Pognębinie mogli kupić, to i panu wolno gadać. —Wybory - powiada pan - niedługo będą: niech patrzą, by za Niemcami nie głosowali, a ja na Justa dam i Boegego przykróczę.‖ A pani go za to za szyję wziena, a pan się pyta o ciebie i powiada: —Jeśli słaby, to ja z doktorem pogadam, żeby mu napisał świadectwo, jako teraz nie może siedzieć. Jeśli go nie zwolnią całkiem, to - powiada -

odsiedzi w zimie, a teraz do roboty na żniwa potrzebny. Słyszysz? Wczoraj pan w mieście był, a dziś doktor jedzie do Pognębina z wizytą, bo go pan zaprosił. On nie-Niemiec. I świadectwo napisze. W zimie będziesz sobie siedział w karceresie, jako ten król, będzie ci ciepło i zreć darmo ci dadzą, a teraz pójdziesz do dom, do roboty, i Justa zapłaciwa, a pan może i nijakiego procentu nie będzie chciał, a jak nie oddamy wszystkiego w jesieni, to u pani wyproszę. Niechże ją Matka Boska!... Słyszysz?...

- Dobra pani. Nie ma co! - rzekł rażno Bartek.

- Padnieszże ty jej do nóg, padniesz, a nie, to ci chyba ten żółty łeb ukrećę! Byle Bóg urodzaj dał! A widzisz, skąd poratowanie? od Niemców? dały ci choć grosz za te twoje głupie mentale? co? Dały ci po łbie i tyła. Padniesz że ty pani do nóg, mówię.

- Co nie mam paść! - odparł rezolutnie Bartek.

Los zdawał się znowu uśmiechać zwycięzcy. W kilka dni później zawiadomiono go, że z powodów

zdrowia na teraz zostaje zwolniony z kozy aż do zimy. Przedtem jednak landrat kazał mu się stawić przed sobą. Bartek stawił się z duszą na ramieniu. Ten chłop, który z bagnetem w ręku brał sztandary i armaty, począł się teraz bać każdego munduru więcej niż śmierci, począł nosić w sercu jakieś głuche, bezwiedne poczucie, że go prześladują, że mogą zrobić z nim, co zechcą, że jest nad nim jakaś siła ogromna i nieżycziwa, i zła, która, gdyby się jej opierał, to go zetrze. Stał więc oto przed landratem, jak ongi przed Steinmetzem, wyprostowany, z brzuchem wciągniętym, piersią wydaną naprzód i bez tchu w piersiach.

Było także i kilku oficerów: wojna i karność wojenna stanęły Bartkowi w oczach jakby żywe.

Oficerowie patrzyli na niego przez złote binokle z dumą i pogardą, należną prostemu żołnierzowi i polskiemu chłopu od pruskich oficerów; on stał dech wstrzymując, a landrat 26

mówi coś rozkazującym tonem. Nie prosił, nie namawiał, rozkazywał, groził. W Berlinie poseł umarł, nowe wybory rozpisano.

- Du polnisches Vieh! spróbuj tylko głosować za panem Jarzyńskim, spróbuj !

Brwi oficerów ściągnęły się w tej chwili w groźne łwie zmarszczki. Jeden, ogryzając cygaro, powtórzył za landratem: —Spróbuj!!, a w zwyczajnym Bartku dech zamierał. Gdy usłyszał

pożądane: —Poszedł precz!! zrobił pół obrotu w lewo, wyszedł i odetchnął. Dano mu rozkaz, by głosował za panem Szulbiergiem z Krzywdy Wielkiej. Nad rozkazem nie namyślał się, ale odetchnął, bo szedł oto do Pognębina, bo na żniwa mógł być w domu, bo pan obiecał spłacić Justa. Wyszedł za miasto. Kłos ciężki z wiatrem o kłos uderzał i szeleściły wszystkie miłym dla chłopskiego ucha szelestem. Bartek słaby był jeszcze, ale słońce go grzało. Hej! jak to na świecie pięknie! myślał sterany żołnierz. I do Pognębina już niedaleko.

X

Wybory! Wybory! Pani Maria Jarzyńska ma ich pełną głowę, nie myśli, nie mówi i nie marzy o niczym więcej.

- Pani dobrodzika to wielki polityk - mówi do niej sąsiad szlachcic, całując jak smok jej małe rączki, a wielki polityk rumieni się jak wiśnia i odpowiada ze ślicznym uśmiechem:

- O, my agitujemy, jak tylko możemy!

- Pan Józef będzie posełem! - mówi przekonywająco szlachcic, a —wielki polityk!! odpowiada:

- Chciałabym bardzo, chociaż nie tylko o Józia chodzi, ale (tu —wielki polityk!! piecze znowu niepolitycznego raka), ale to sprawa ogólna...

- Czysty Bismark! jak Boga kocham! - woła szlachcic i znowu całuje maleńkie rączki, potem radzą oboje nad agitacją.

Szlachcic bierze na siebie Krzywdę Dolną i Mizerów (Krzywda Wielka stracona, bo dziedzicem jej

pan Szulberg), a pani Maria ma zająć się przede wszystkim Pognębiniem. Aż jej się główka pali, że odgrywa taką rolę. Jakoż czasu nie traci. Co dzień widać ją na wielkiej drodze między chałupami: sukienka podniesiona w jednej ręce, parasolka w drugiej, a spod sukienki wyglądają malutkie nóżki, drepczące z zapalem w wielkich celach politycznych.

Wstępuje do chałup, pracującym ludziom mówi po drodze: —Boże, dopomóż!! Odwiedza chorych, ujmuje sobie ludność, pomaga, gdzie może. Robiłaby to i bez polityki, bo ma dobre serce, ale dla polityki tym bardziej. Czego by ona nie zrobiła dla tej polityki?! Oto nie śmie tylko przyznać się mężowi, że ma niepowstrzymaną ochotę pojechać na wiec włościański; ułożyła sobie nawet w główce mowę, jaką wypadałoby na wiecu powiedzieć. Co to za mowa!

co za mowa! Wprawdzie pewno by nie śmiała jej wypowiedzieć, ale gdyby wypowiedziała, to no! Za to, gdy do Pognębina doszła wiadomość, że władze wiec rozpędziły, —wielki polityk!

rozbeczał się ze złości w swoim pokoju, podarł jedną chusteczkę i cały dzień miał czerwone oczy. Na próżno mąż prosił jej, by nie —demenowała się! do tego stopnia. Nazajutrz agitacja w Pognębiniu prowadzona była z większym jeszcze ferworem. Pani Maria nie cofa się teraz przed niczym. Jednego dnia jest w kilkunastu chatach i wymyśla tak głośno na Niemców, że aż mąż musi ją powstrzymywać. Ale nie ma niebezpieczeństwa. Ludzie przyjmują ją z radością, całują po rękach i uśmiechają się do niej, bo taka jest ładna, taka różowa, że gdzie wejdzie, jasno się robi. Z kolei przychodzi i do chałupy Bartka. Łysek jej nie puszeza, ale Magda daje mu w zapale drewnem w łeb.

- O jaśnie pani! moje złoto, moje śliczności, moja jagódko! - woła Magda, tuląc się do jej rąk.

Bartek zgodnie z postanowieniem rzuca się jej do nóg, mały Franek całuje ją naprzód w rękę, następnie kładzie palec w usta i pograża się w całkowitym podziwieniu.

- Spodziewam się - mówi po powitaniach młoda pani - spodziewam się, mój Bartku, że będziecie głosować za moim mężem, nie za panem Szulbergiem.

- O moja zorzo! - woła Magda - kto by ta za Siulbergiem głosował! Niech go tam paralius! -

Tu całuje panią w rękę. - Niech się jaśnie pani nie giewa, ale człek, gdy o Niemcach mówi, to i języka nie może utrzymać.

27

- Mąż właśnie mówił mi, że zapłaci Justa.

- Niech go Bóg błogosławi! - Tu Magda zwraca się do Bartka. Czego stoisz jak drąg? On, proszę pani, strasznie niemowny.

- Będziecie za moim mężem głosować? - pyta pani - prawda? Wyście Polacy, my Polacy!

będziemy się trzymać.

- Łeb bym mu ukrećła, żeby nie głosował! - rzecze Magda. Czegóż stoisz jak drąg? On strasznie

niemowny. Ruszże się!

Bartek całuje znowu panią w rękę, ale milczy ciągle i jest ponury jak noc. W myśli stoi mu landrat.

Dzień wyborów zbliża się i nadchodzi. Pan Jarzyński pewny jest wygranej. Do Pognębina zjeżdża się sąsiedztwo. Panowie wracają już z miasta, dali już głosy i czekać będą teraz w Pognębiniu na wiadomość, którą przywiezie ksiądz. Potem będzie obiad, wieczorem zaś państwo wyjadą do Poznania, a następnie i do Berlina. Niektóre wsie z okręgu wyborczego głosowały jeszcze wczoraj. Rezultat dziś będzie wiadomy. Zgromadzeni wszelako dobrej są myśli. Młoda pani trochę niespokojna, ale pełna nadziei i uśmiechnięta, jest tak uprzejmą gospodynią, że wszyscy zgadzają się, iż pan Józef znalazł prawdziwy skarb w Królestwie.

Skarb ten nie może wprawdzie teraz usiedzieć spokojnie na miejscu, biega od gościa do gościa i każe się każdemu po sto razy zapewniać, że —Józio będzie wybrany! Nie jest ona rzeczywiście ambitną i nie z próżności chce zostać panią posłową, ale wymarzyła sobie w swojej młodej główce, że oboje z mężem mają do spełnienia prawdziwą misję. Serce więc jej bije tak żywo, jak w chwili ślubu, i radość oświeca ładną twarzyczkę. Lawirując zręcznie wśród gości zbliża się do męża, pociąga go za rękaw i szepce mu do ucha jak dziecko, które kogoś przezywa: —pan poseł! On uśmiecha się i oboje są nad wszelki wyraz szczęśliwi.

Oboje mają wielką ochotę wyczałować się porządnie, ale przy gościach nie wypada. Wszyscy zresztą wyglądają co chwila za okno, bo sprawa jest istotnie ważna. Dawny zmarły poseł był

Polakiem i pierwszy to raz dopiero Niemcy stawiają w tym okręgu swego kandydata.

Widocznie zwycięska wojna dodała im odwagi, ale właśnie dlatego zgromadzonym w pognębińskim dworze tym bardziej chodzi o to, by ich kandydat był wybrany. Nie brak też jeszcze przed obiadem patriotycznych przemówień, które szczególnie wzruszają młodą panią, jako do nich nieprzywykłą. Chwilami ma ona napady obawy. A jeśli zrobią jakie malwersacje przy obliczaniu głosów? Ale przecie w Komitecie zasiadają nie tylko Niemcy!

Starsi obywatele tłumaczą właśnie pani, jak się obliczanie głosów odbywa. Słyszała to ona już sto razy, ale jeszcze chce słyszeć. Ach! bo przecie chodzi tu o to, czy ta miejscowa ludność będzie miała w parlamencie obrońcę czy wroga? Za chwilę się to rozstrzygnie, nawet za małą chwilę, bo na drodze powstaje nagle kłęb kurzu. —Proboszcz jedzie! proboszcz jedzie! -

powtarzają obecni. Pani blednie. Na wszystkich twarzach znać wzruszenie. Są pewni zwycięstwa, a jednak ostatnia chwila przyspiesza bicie serc. Ale to nie proboszcz, to władarz wraca konno z miasta. Może co wie? Przywiązuje konia do kołka i śpieszy do dworu.

Goście z gospodynią na czele wypadają na ganek.

- Są wiadomości? Są? Nasz pan wybrany? Co? Chodź tu! Wiesz na pewno? Rezultat ogłoszony?

Pytania krzyżują się i padają jak race, a chłop rzuca czapkę do góry.

- Nasz pan wybrany!

Pani siada nagle na ławce i przyciska ręką falujące piersi.

- Wiwat! wiwat! - krzyczą sąsiedzi. - Wiwat!

Służba wypada z kuchni. - —Wiwat! Pobite Niemcy! Niech żyje poseł! I pani posłowa!||

- A proboszcz? - pyta ktoś.

- Zaraz tu będzie - odpowiada włódarz - jeszcze reszty obliczają...

- Obiad dawać! - woła pan poseł.

- Wiwat! - powtarzają inni.

28

Wchodzą znów wszyscy z ganku do sali. Powinszowania panu i pani płyną już spokojnie, sama pani tylko nie umie pohamować radości i bez względów na świadków rzuca mężowi ręce na szyję. Ale nie biorą jej tego za złe; owszem, rozczulenie ogarnia wszystkich. - No, jeszcze żyjemy! - mówi sąsiad z Mizerowa.

Tymczasem przed gankiem rozlega się turkot i do sali wchodzi ksiądz proboszcz, a za nim stary Maciej z Pogńębina.

- Witamy! Witamy! - wołają zgromadzeni. - No, jaka większość?

Ksiądz milczy przez chwilę i nagle rzuca jakby w twarz tej powszechnej radości szorstkie i krótkie dwa wyrazy:

- Szulberg... wybrany!

Chwila zdumienia, grad pytań przyspieszonych i trwożnych, na które ksiądz odpowiada znowu:

- Szulberg wybrany!

- Jak? Co się stało? Jakim sposobem? Włódarz mówił, że nie! Co się stało?

W tej chwili pan Jarzyński wyprowadza biedną panią Marię, która gryzie chusteczkę, by nie wybuchnąć płaczem lub nie zemdleć.

- O nieszczęście! nieszczęście! - powtarzają.

W tej chwili od strony wsi dochodzą jakieś zmacone głosy jakby radosnych krzyków. To Niemcy pogńębińscy obchodzą tak radośnie swoje zwycięstwo.

Państwo Jarzyńscy wracają znów do sali. Słysząc, jak przy drzwiach młody pan mówi do pani: —Il faut faire bonne mine.|| Jakoż młoda pani już nie płacze. Oczy ma suche i bardzo silne rumieńce.

- Powiedzcież teraz, jak się to stało? - pyta spokojnie gospodarz.

- Jakże się nie miało stać, jaśnie panie - mówi stary Maciej skoro i tutejsze chłopcy pogłębińskie głosowali za Szulbergiem.

- Kto taki?

- Jak to? tutejsi?

- A jakże. Ja sam widziałem i wszyscy, jak Bartek Słowik głosował za Szulbergiem...

- Bartek Słowik? - mówi pani.

- A jakże. Teraz ci go inni wymyślają. Chłop tarza się po ziemi, płacze, baba go wymyśla.

Aleć ja sam widziałem, jak głosował.

- Ze wsi takiego wyświecić! - rzecze sąsiad z Mizerowa.

- Bo jaśnie panie - mówi Maciej - inni też, co byli na wojnie, to też głosowali jak i on. Gadają, że im kazali...

- Nadużycie, czyste nadużycie, nieważny wybór, przymus, szachrajstwo! - wołały różne głosy.

Niewesoły był obiad tego dnia w pogłębińskim dworze.

Wieczorem państwo wyjechali, ale już nie do Berlina, tylko do Drezna.

Nędzny, przeklinany, sponiewierany i zniechęcony Bartek siedział tymczasem w swojej chałupie, obcy nawet dla żony własnej, bo i ta nie przemówiła do niego cały dzień ni słowa.

*

Jesienią Bóg urodzaj dał i pan Just, który właśnie objął w posiadanie Bartkową kolonię, rad był, że wcale niezły zrobił interes.

Pewnego dnia szło z Pogłębin do miasta troje ludzi: chłop, baba i dziecko. Chłop był

pochylony bardzo, podobniejszy do dziada niż do zdrowego człeka. Szli do miasta, bo w Pogłębinie nie mogli służby znaleźć. Deszcz padał, baba szlochała okrutnie z żalu za straconą chałupą i całą wsią. Chłop milczał. Na całej drodze pusto było: ani wozu, ani człeka; krzyż tylko wyciągał ponad nią zmoczone od deszczu ramiona. Deszcz padał coraz większy, gęstszy i ciemniało na świecie.

Bartek, Magda i Franek szli do miasta, bo zwycięzca spod Gravelotte i Sedanu miał jeszcze w zimie odsiedzieć w kozie za sprawę Boegego.

Państwo Jarzyńscy bawili ciągle w Dreźnie.

30

Szkice węglem

SZKICE WĘGLEM

CZYLI EPOPEJA POD TYTUŁEM CO SIĘ DZIAŁO W BARANIEJ GŁOWIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

w którym zabieramy znajomość z bohaterami i zaczynamy się spodziewać, że coś więcej nastąpi

We wsi Barania Głowa w kancelarii wójta gminy cicho było jak makiem siał. Wójt gminy, niemłody już włościanin nazwiskiem Franciszek Burak, siedział przy stole i z natężoną uwagą gryzmolił coś na papierze; pisarz zaś gminny, młody i pełen nadziei pan Zołzikiewicz, stał

pod oknem i dłubał w nosie lub opędzał się od much.

Much było w kancelarii jak w oborze. Wszystkie ściany, popstrzone od nich, straciły swój dawny kolor. Również popstrzone było szkło na obrazie wiszącym nad stołem, papier, pieczęcie, krucyfiks i urzędowe księgi wójtowskie.

Muchy łąziły i po wójcie, tak jakby po jakim zwyczajnym sobie ławniku. ale, szczególnie nęciła je wypomadowana, woniejąca goździkami głowa pana Zołzikiewicza... Nad tą głową unosił się ich cały rój: siadały na rozbiorze włosów tworząc żywe, ruchome, czarne plamy.

Pan Zołzikiewicz podnosił od czasu do czasu ostrożnie rękę. a potem spuszczał ją nagle; dawał się słyszeć plask dłoni o głowę, rój wzbijał się, brzęcząc, w powietrze, a pan Zołzikiewicz, schyliwszy czuprynę, wybierał palcami trupy z włosów i zrzucał je na ziemię.

Godzina była czwarta po południu, w całej wiosce panowała cisza, bo ludzie wyszli na robotę; za oknem tylko kancelarii cochała się o ścianę krowa i od czasu do czasu ukazywała przez okno sapiące nozdrza ze śliną wiszącą u pyska.

Czasem zarzucała ciężki łeb na grzbiet broniąc się także od much, przy czym rogiem zawadzała o ścianę. Wówczas pan Zołzikiewicz wyglądał przez okno i wołał:

- A hej! A żeby cię...

Potem przeglądał się w lusterku wiszącym tuż koło okna, poprawiał włosy i znów zaczynał flegmatycznie dłubać w nosie.

Na koniec przerwał milczenie wójt.

- Panie Zołzikiewicz - rzekł z mazurska - niech ino pan napisze ten "rapurt", bo mię jakoś nieskładno. Przecie pan je pisarz.

Ale pan Zołzikiewicz był w złym humorze, a jak tylko był w złym humorze, wójt musiał sam wszystko robić.

- To i cóż, zem pisarz? - odparł z lekceważeniem. - Pisarz jest od tego, żeby pisywał do naczelnika i do komisarza; a do wójta, takiego jak wy, to wy sobie sami piszcie.

Potem dodał z majestatyczną pogardą:

- Albo to dla mnie wójt to co? Chłop, i basta! Smaruj chłopca miodem... a chłop zawsze będzie chłopem.

Potem poprawił włosy i znów spojrział w lusterko.

Wójt jednak czuł się dotknięty i odrzekł:

- Patrzcie no się. A niby ja to z "koniusarzem" nie piłem arbaty ?

- Wielka mi rzecz herbata! - odparł niedbale Zołzikiewicz. - A może jeszcze bez araku?

- A nieprawda, bo z harakiem.

- To niech będzie z arakiem, a ja dlatego raportu nie będę pisał.

31

Wójt ozwał się gniewliwie:

- Kiejś pan taki delikatny fizyk, to czemu było prosić się na pisarza?

- A was się kto prosił? Ja tylko po znajomości z naczelnikiem...

- Wielga znajomość, a jak tu przyjadzie, to pan ani pary z gęby...

- Burak! Burak! ostrzegam, że wy jakoś nadto rozpuszczacie język. Mnie już wasze chłopcy kością w gardle stoją razem z waszym pisarstwem. Człowiek z edukacją tylko między wami ordynarnieje. Jak się rozgniewam, tak rzucę pisarstwo i was do diabła!

- Ba! i cóż pan będzie robił?

- Co? Albo to mi krokwie gryźć bez pisarstwa? Człowiek z edukacją da sobie rady. Już wy się o człowieka z edukacją nie bójcie. Jeszcze wczoraj rewizor Stołbicki do mnie powiada: "Ej ty, Zołzikiewicz! z ciebie byłby czort nie podrewizor, bo ty wiesz, jak trawa rośnie." A podrewizor to co? Tylko po dworach jeździć i z szlachtą w karty grywać. Przepuścisz przez nogi jeden i drugi zacier, to ci jeszcze kieszeń spęcznieje. A dziś gdzie nie ma szachrajstw po gorzelniach? Albo to u

nas. w Baraniej Głowie, pan Skorabiewski nie kręci? Powiedzcie głupiemu. Mnie plunąć na wasze piarstwo. Człowiek z edukacją...

- O wa! to się jeszcze świat nie skończy.

- Świat się nie skończy, ale wy będziecie kwacza w maźnicy maczać i kwaczem w księgach pisać. Będzie wam ciepło, aż przez aksamit olszowy drąg poczujecie.

Wójt począł się drapać w głowę.

- Kiej bo pan to zara na zadnie nogi.

- A to nie rozpuszczajcie gęby...

- Juści, bo juści.

I znowu nastala cisza, tylko pióro wójtowskie z wolna skrzypiało po papierze.

Na koniec wójt wyprostował się, obtarł pióro o sukmanę i rzekł:

- Ano! z pomocą bożą skończyłem.

- Przeczytajcież, coście nagwazdali.

- Co miałem ta gwazdać. Wypisałem akuratnie wszycko, co potrzeba.

- Przeczytajcie, mówię.

Wójt wziął papier w obie ręce i zaczął czytać:

"Do wójta gminy Wrzeczadza. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Naczelnik kozoł, żeby spisy wojskowe były dycht po Matce Bozkiej, a tu u waju mentryki w parafii u dobrodzieja i też nasze chłopaki chodzą do waju na bandosę, rozumita, żeby były wypisane i bandośniki też przysłać przed Matką Bozką, jak skończone ośmnaście lat, bo jak tego nie uczynita, to dostanieta po łbie, czego sobie i wam życzę. Amen."

Pocziwy wójt co niedziela słyszał, jak proboszcz kończył w ten sposób kazanie, zakończenie więc takie zdawało mu się również koniecznym, jak i odpowiadającym wszelkim wymaganiom przyzwoitego stylu, a tymczasem Zołzikiewicz zaczął się śmiać.

- To tak? - spytał.

- A to niech pan napisze lepiej.

- Pewno, że napiszę, bo mi wstyd za całą Baranią Głowę.

To rzekłszy Zołzikiewicz siadł, wziął pióro w rękę, zatoczył nim kilka kół, jakby dla nabrania

rozpędu, i począł szybko pisać.

Wkrótce zawiadomienie było gotowe; wówczas autor poprawił włosy i czytał, co następuje:

"Wójt gminy Barania Głowa do wójta gminy Wrzeczadza!

Tak jak spisy wojskowe z polecenia władzy wyższej mają być gotowe na dzień ten i ten, roku tego a tego, tak zawiadamia się wójta gminy Wrzeczadza, ażeby metryki włościan baraniogłowskich nachodzące się w kancelarii parafialnej z takowej kancelarii wyjął i do gminy Barania Głowa w samym skorym czasie nadesłał. Włościan zaś gminy Barania Głowa znajdujących się na robociznie we Wrzeczadzy na tenże dzień przystawić."

32

Wójt chciwym uchem łowił te dźwięki, a twarz jego wyrażała przejęcie się i niemal religijne skupienie ducha. Jakże to wszystko wydało mu się pięknym, uroczystym, jak na wskroś urzędowym. Oto, na przykład, choćby ten początek: "Tak jak spisy wojskowe etc." Wójt uwielbiał to: "Tak jak", ale się go wyuczyć nigdy nie mógł, a raczej zacząć wprawdzie umiał, ale dalej ani rusz! A u Zołzikiewicza płynęło to jak woda, że nawet i w kancelarii w powiecie lepiej nie pisali. Potem tylko okopcić pieczętkę, kropnąć nią o papier, ażby stół trzasnął, i ot co!

- No, jużci, co głowa, to głowa - rzekł wójt.

- Ba - rzekł udobruchany Zołzikiewicz - przecież pisarz to jest ten, co książki pisze.

- A to pan i książki pisze?

- Pytacie, jakbyście nie wiedzieli; a księgi kancelaryjne któż pisze?

- Prawda - rzekł wójt.

I po chwili dodał:

- Spisy pójdą piorunom

- Wy oto patrzcie, żeby się pozbyć ze wsi ladaców.

- Bogać ich się tam pozbędzie!

- A ja wam mówię że naczelnik skarżył się, że w Baraniej Głowie lud niedobry. Na składkę, powiada, nic nie dali i piją. Burak, powiada, ludzi nie pilnuje, więc się też i na nim skrupi.

- Ba! dyć ja wiem - odrzekł wójt - że się wszystko na mnie krupi. Jak Rozalka Kowalicha zległa, sąd kazał jej dać dwadzieścia pięć, dlatego tylko, żeby na drugi raz pamiętała, że to, powiada, dziewce nieładno. Kto kazał? Ja? Nie ja, jeno sąd. A mnie do tego co? Niech ta sobie i wszystkie zlegną. Sąd kazał, a potem na mnie. "Czy to nie wiesz - powiada naczelnik -

że teraz kara cielesna zniesiona! - i zara buch mię w pysk - że bić nie wolno nikogo?" - i znów mię w łeb. Taka już moja dola...

W tym miejscu krowa z łoskotem uderzyła o ścianę, że aż się kancelaria zatrzęsała. Wójt zawołał głosem pełnym gorczy;

- A hej, żeby cię wciornaści!

Pisarz, który przez ten czas siadł na stole, począł znów dłużyć w nosie.

- Dobrze wam tak - rzekł - czemu się nie pilnujecie. Z tym pić będzie tak samo. Jedna parszywa owca wszystkie zaraża. Albo to nie wiadomo, kto w Baraniej Głowie wszystkim dowodzi i ludzi ciąga do karczmy?

- Pewnikiem, że nie wiadomo, a co do picia: jenszy się też potrzebuje napić, jak się napracuje w polu.

- A ja wam mówię tylko to: jednego Rzepy się pozbyć i wszystko będzie dobrze.

- Cóż mu ta łeb urwę?

- Łba mu nie urwiecie, ale uraz spisy wojskowe. Ot, zapisać by go w listę, niechby pociągnął

los, i basta

- Toćże on żeniaty i chłopaka ma już rocznego.

- A kto by tam wiedział. (On by na skargę nie poszedł, a poszedłby, to by go i nie chcieli słuchać. W czasie branki nikt nie ma czasu.

- Oj, panie pisarzu! panie pisarzu! musi panu nie o pijaństwo chodzi, ino o Rzepową, a to tyłu obraza boska.

- A wam co do tego? Wy patrzcie, ot, że i wasz syn ma dziewiętnaście lat i że tak też musi losować.

- Wiem ci ja o tym, ale ja jego nie dam. Jak nie będzie można inaczej, to i wykupię.

- O! kiedyście taki bogacz...

- Ma tam Pan Bóg u mnie trochę koprowiny, niewiele tego jest, ale może i wstrzyma.

- Ósmset rubli koprowiną będziecie płacić?

- A klej powiadam, że zapłacę, to choć i koprowiną zapłacę, a potem byle Pan Bóg pozwolił zostać wójtem, to przy jego najwyższej pomocy może mi się to ta w jakie dwa roki powrócić.

- Powróci się albo i nie powróci. Ja też potrzebuję i wszystkiego wam nie oddam. Człowiek z edukacją zawsze ma większe wydatki niż drugi prosty; a jakbyśmy Rzepę zapisali na miejsce waszego syna, to i dla was byłaby oszczędność... ośmset rubli na drodze nie znaleźć.

- Wójt pomyślał chwilę. Nadzieja zaoszczędzenia tak znaczne sumy poczęła go łechtać i uśmiechać mu się przyjemnie.

- Ba ! - rzekł w końcu - zawdyk to nieprzezpieczna rzecz.

- Już to nie na waszej głowie.

- Tego to ja się i boję, że pańską głową się zrobi, a na mojej się skrupi.

- Jak sobie chcecie, to płąćcie ośmset rubli...

- Nie powiadam, żeby mi ta nie było żal..

- A! skoro myślicie, że się wam wróci, to czegoż żałować? Ale wy na swoje wójtostwo tak bardzo nie liczcie. Jeszcze na was wszystkiego nie wiedzą, ale żeby tylko wiedzieli to, co ja wiem...

- Dyć pan kancelaryjnego więcej bierze jak ja

- Nie o kancelaryjnym też mówię, ale o trochę dawniejszych czasach...

- A nie boję się! Co mi kazali, tom robił.

- No! Będziecie się tłumaczyć gdzie indziej.

Tu rzekłszy pan pisarz wziął za zieloną kortową w kraty czapkę i wyszedł z kancelarii. Słońce już było bardzo nisko; ludzie wracali z pola. Więc naprzód pan pisarz spotkał pięciu kosiarzy z kosami na plecach, którzy pokłonili mu się mówiąc: "Pochwalony"; ale pan pisarz kiwnął

im tylko wypomadowaną głową, a zasię: "Na wieki", nie odpowiedział, bo sądził, że człowiekowi z edukacją to nie wypada. Że pan Zołzikiewicz miał edukację, to o tym wiedzieli wszyscy, a wątpić mogli chyba ludzie złośliwi i w ogóle źle myślący, którym każda osobistość wyrastająca głową nad zwykły poziom zaraz solą w oku siedzi i spać spokojnie nie daje.

Gdybyśmy mieli, jak się należy, biografie wszystkich naszych znakomitych ludzi, w biografii tego niepospolitego człowieka, którego portretu - nie rozumiem dlaczego - żadna z naszych ilustracyj jeszcze nie podała, czytalibyśmy, że pierwsze nauki pobierał w Osłowicach, stołecznym mieście powiatu osłowickiego, w którym to powiecie leżała i Barania Głowa. W

siedemnastym roku życia doszedł już młodociany Zołzikiewicz do klasy drugiej, a byłby również wcześniej doszedł i wyżej, gdyby nie to, że nagle nastąpiły burzliwe czasy, które raz na zawsze przerwały jego ściśle naukową karierę. Uniesiony zwykłym młodości zapałem, pan Zołzikiewicz, którego zresztą jeszcze poprzednio prześladowała niesprawiedliwość procesorów, stanął na czele żywiej czujących kolegów, wyprawił kocią muzykę swym prześladowcom, podarł książki, połamał

linię, pióra i porzuciwszy Minerwę udał się na pole Marsa i Bellony. Była to epoka w jego życiu, w której spodnie nosił nie na cholewach, ale w cholewach, i w której wyśpiewywał z zapalem, przepelnionym równie gorzką, jak straszną ironią: "O cześć wam, panowie magnaci! Życie obozowe, śpiewy, obłoki tytoniowego dymu, romantyczne przygody na kwaterach, na których młode dziewice, z krzyżkami na piersiach, na plecach, na głowach i Bóg wie nie gdzie, niczego nie żałowały dla "Ojczyzny i walecznych jej obrońców", życie takie - powiadam - harmonizowało z namiętą i burzliwą duszą młodego Zołzikiewicza. Znajdował w nim urzeczywistnienie owych marzeń, które nieraz, jeszcze dawniej, wstrząsały jego umysłem, gdy w klasie pod ławką czytał Rynalda Rynaldiniego i inne podobne utwory, kształcące serce. Rozwijające umysł i budzące wyobraźnię naszej młodzieży.

Ale życie to miało i swoje ciemne, a raczej ryzykowne strony. Wrząca odwaga zbyt unosiła Zołzikiewicza. Jak zaś unosiła go wysoko, niepodobna by prawie uwierzyć, gdyby nie to, że dziś jeszcze pokazują płot we Wrzeciędzy, którego najlepszy koń nie może przesadzić, a który pan Zołzikiewicz pewnej burzliwej nocy, uniesiony namiętym pragnieniem zachowania się nadal dla obrony i szczęścia ojczyzny, przesadził jednym skokiem. Dziś, 34

kiedy czasy te dawno już minęły, ile razy zdarzy się panu Zołzikiewiczowi być we Wrzeciędzy, spogląda na ów płot i sam sobie prawie nie wierząc myśli w duchu: „Niech to diabli wezmą! Dziś bym już tego nie potrafił.”

Po tym jednak nadludzkim czynie, o którym zresztą wspomniały i wydawane naówczas biuletyny, fortuna, która dotąd strzegła jak żrenicy w oku pleców pana Zołzikiewicza, uleciała nagle od niego, jak gdyby przerażona jego odwagą. Tydzień nawet nie upłynął od owego wypadku, gdy jednego poranku bohatersko narażane ustawicznie plecy pana Zołzikiewicza spotkały się- wprawdzie (dzięki Opatrzności, która zawsze wie, co czyni) nie z kulą lub z bagnetem, ale z pewnym innym, również prawie antylojalnym narzędziem uplecionym z byczej skóry i opatrzonym kawałkiem ołowiu na końcu, które to narzędzie zmieniło jak gdyby w rzeszoto niepokalaną dotąd skórę na krzyżu i łopatkach naszego sympatycznego bohatera.

Odtąd począł się w jego myślach i uczuciach zwrot stanowczy. Leżąc nosem na dół na prostym sienniku w baraniogłowskiej karczynie, po całych nocach bezsennych rozmyślał -

rozmyślał, jak dawniej Ignacy Lojola- i doszedł wreszcie do przekonania, że każdy powinien służyć ogółowi taka bronią, jaką władza najlepiej; inteligencja więc powinna służyć głową, nie plecami, bo głowę ma nie każdy a plecy każdy, wiec oto nie potrzebnie swoje narażał. - Cóż mógł więcej zrobić dla ojczyzny na tej drodze którą postępował dotąd? Przeskoczyć znowu jaki płot? Nie! Dostyc było tego, który przeskoczył. - "Niechby tylko każdy przeskoczył taki" -

myślał sobie. Rozlewać krew dalej ? A małoż to mu jej już uszło?! Nie! jeszcze raz nie!

Ogółowi mógł teraz tylko dożyć na drodze wprost przeciwnej, pacyficznej, i inteligencją, alias wiedzą. Że zaś wiedział dużo, że wiedział coś prawie o każdym mieszkańcu powiatu osłowickiego, mógł więc w czasie pacyfikacji znakomite oddawać ogółowi usługi.

Jakoż wstąpił na tę nową drogę, usługi oddawał i idąc po tej nowej drodze doszedł aż do pisarstwa

gminnego, a - jak to już słyszeliśmy - marzył nawet o podrewizorstwie.

Jednakże i na pisarstwie wiodło mu się nieźle. Gruntowna wiedza zawsze potrafi obudzić dla siebie szacunek, że zaś, jak wspomniałem, sympatyczny mój bohater wiedział coś o każdym prawie z mieszkańców powiatu osłowickiego, wszyscy więc byli dlań z szacunkiem pomieszany z pewną ostrożnością, ażeby się w czymś tak niepospolitej osobistości nie narazić. Kłaniała mu się więc i szlachta w ogóle, kłaniali się i chłopci zdejmując już z daleka czapki i mówiąc: "Pochwalony !" Tu widzę jednak, że muszę, jaśniej czytelnikowi wytłumaczyć, dlaczego pan Zołzikiewicz nie odpowiadał na "Pochwalony" zwykłym: "Na wieki wieków."

Wspomniałem już, że sądził iż człowiekowi z edukacją to nie wypada; ale były jeszcze i inne przyczyny. Umysły na wskroś samodzielne bywają zwykle śmigte i radykalne. Otóż pan Zołzikiewicz jeszcze za owych burzliwych czasów doszedł do przekonania, że "dusza to para, i basta". Przy tym pan pisarz czytał teraz właśnie wydawnictwo warszawskiego księgarza, pana Breslauera, pod tytułem "Izabela hiszpańska, czyli tajemnice dworu madryckiego".

Znakomity ten pod każdym względem romans tak mu się nawet podobał i przejmował go tak dalece, że w swoim czasie zamierzał nawet rzucić wszystko i jechać do Hiszpanii. "Udało się Marforemu - myślał sobie wspominając na scenę, w której Marfory całuje Izabelę w pończochy - dlaczegoż i mnie nie miałyby się udać?" Byłby może nawet i pojechał za tymi pończochami, bo zresztą był teraz zdania, że "w tym głupim kraju tylko się człowiek marnuje", ale wstrzymywały go, na szczęście, inne, krajowe pończochy, o których ta epopeja później mówić będzie.

Owóż skutkiem czytania owej Izabeli hiszpańskiej, wydawanej periodycznie, ku większej chwale naszej literatury, przez pana Breslauera, pan Zołzikiewicz zapatrywał się bardzo sceptycznie na duchowieństwo, a zatem i na wszystko, co pośrednio lub bezpośrednio z duchowieństwem związane. Nie odpowiedział więc kosiarzom jako zwykle: "Na wieki wieków", tylko szedł dalej... Idzie, idzie, aż tu spotyka i dziewczki z sierpami na ramionach, 35

wracające od żniwa. Przechodziły właśnie koło wielkiej kałuży, więc szły jedna za drugą gęsiego, podejmując z tyłu kiecki i pokazując burakowe nogi. Dopiero pan Zołzikiewicz powiada: "Jak się macie, sikory!", i zatrzymał się na tej samej steczce, a co która dziewczyna przechodzi, to on ją wpół i całusa, a potem ją w kałużę, ale to tylko tak, przez dowcip.

Dziewki też krzychały oj! oj! śmiejąc się, aż im zęby trzonowe było widać. A potem, kiedy już przeszły, pan pisarz nie bez pewnej przyjemności usłyszał, jak mówiły jedna do drugiej:

"A już to piękny kawalir ten nasz pisarz!" "I czerwony kieju jabłuszczyko." Trzecia zaś mówi: "A głowa to mu tak puszy kieby róża; jak cię złapi wpół, to aż cię zamgli!" Pan pisarz poszedł dalej, pełen dobrych myśli. Ale dalej znów, koło chałupy, usłyszał rozmowę o sobie i zatrzymał się za płotem. Za płotem, z drugiej strony, był gęsty wiśniowy sad, w sadzie ule, a niedaleko ulów stały dwie baby rozmawiając. Jedna miała kartofle w podołku i obierała je cygankiem, druga zaś mówiła:

- Oj, moja Stachowa, tak się boję, żeby mi mego Franka w żoźmirze nie wzieni, że aż mi skora cierpnie.

A Stachowa a to:

- Do pisarza by wam, do pisarza. Jak on nie zaradzi, to nikt nie zaradzi.

- A z czymże, moja Stachowa, ja do niego pójdę. Do niego z gołymi rękami nie można. Wójt je lepszy; przyniesiesz mu czy białych raków, czy masła, czy lnu pod pachą, czy kurę, to wszystko weźmie nie wybredzając. A pisarz ani spojry. O! on strasznie ambitny. Jemu to tyłu chuścinę rozwiąż i zara rubla.

- Niedoczekanie wasze! - mruknął do siebie pisarz - żebym ja od was jaja albo kury brał. Cóż to ja łapownik jestem czy co? A idź z twoją kurą do wójta.

To pomyślawszy rozsunął gałęzie wiśniowe i już było chciał na kobiety zawołać, gdy nagle rozległ się z tyłu turkot bryczki. Pan pisarz odwrócił się i spojrzął. Na bryczce siedział młody akademik w czapce na bakier, z papierosem w zębach, powoził zaś ów Franek, o którym baby rozmawiały przed chwilą.

Akademik wychylił się z bryki, dojrzał pana Zołzikiewicza, kiwnął ręką i zawołał:

- Jak się masz, panie Zołzikiewicz? Co tam słysząc? Cóż, zawsze pomadujesz się na dwa cale?

- Sługa pana dobrodzieja! - ozwał, kłaniając się nisko, Zołzikiewicz, ale gdy bryka mignęła dalej, zawołał w ślad za nią z cicha:

- Żebyś kark skręcił, nim dojedziesz.

Tego akademika pan pisarz nie cierpiał. Był to kuzyn państwa Skorabiewskich, który przyjeżdżał zawsze do nich na lato. Zołzikiewicz nie tylko go nie cierpiał, ale bał się go jak ognia, bo to był drwiarz, frant wielki, a z pana Zołzikiewicza kpił jak gdyby umyślnie i on jeden w okolicy, co sobie z niego nic nie robił. Raz nawet wpadł na posiedzenie gminne i powiedział wyraźnie Zołzikiewiczowi, że głupi; chłopom zaś, że nie mają potrzeby go słuchać. Byłby się na nim pan - Zołzikiewicz chętnie pomścił, ale... cóż mu mógł zrobić? O

innych to choć coś wiedział, a o nim to nawet nic nie wiedział.

Przyjazd tego akademika był mu i z innych względów nie na rękę, dlatego poszedł dalej z zachmurzonym czołem i nie zatrzymał się aż dopiero przed jedną chałupą stojącą trochę opodal od drogi. Gdy ją jednak ujrzał, czoło jego wyjaśniło się znowu. Była to chałupa może biedniejsza jeszcze od innych, ale wyglądała porządnie. Umiecione było przed nią czysto, a podwórko przytrząśnięte tatarakiem. Pod płotem leżały szczapy drzewa, a w jednej z nich, wspartej na pieńku, sterczała siekiera. Nieco dalej widać było stodołę z otwartymi wierzejami, obok niej szopę, która była chlewkiem i oborą zarazem; dalej jeszcze ogrodzenie, w którym koń szczypał trawę przestępując z nogi na nogę. Przed chlewem świeciła wielka gnojówka, w której leżały dwie świny. Kaczki brodziły koło gnojówki, kiwając głowami i wyławiając żuki z nawozu. Blisko szczap, między wiórami kogut rozgrzebywał ziemię, a znalazłszy ziarno lub 36

czerwia, poczynął krzyczeć: "kocz! kocz! kocz!" Kury zlatywały się na to hasło na wyścigi i dziobały

specjał odbierając go sobie wzajemnie.

Przed drzwiami chałupy kobieta tłukła w mędlicy konopie śpiewając: "oj ta dada! oj ta dada!

da- da- na!" Koło niej leżał z wyciągniętymi przednimi nogami pies kłapiąc pyskiem za muchami, które mu siadały na rozerwanym uchu.

Kobieta była młoda, może dwudziestoletnia, i dziwnie urodziwa. Na głowie miała czepek zwyczajny babski, na sobie białą koszulę zaściągniętą czerwoną tasiemką. Pod tą koszulą rysowały się zdrowe, wypukłe piersi jak dwie głowy kapusty, a i cała kobieta była jak rydz, szeroka w plecach i w biodrach, smukła w stanie, gibka, słowem: łania.

Ale rysy miała drobne, głowę niewielką i pleć może nawet i bladawą, tylko trochę ozłoconą promieniami słońca; oczy duże, czarne, brwi jakby napisane, mały cienki nosek i usta jak wiśnie. Śliczne ciemne włosy wymykały się jej spod czepca.

Gdy pan pisarz się zbliżył, pies leżący koło mędlicy wstał, schował ogon pod siebie i począł warczeć błyskając od czasu do czasu kłami, jakby się uśmiechał.

- Kruczek - zawołała dźwięcznym, cienkim głosem kobieta - nie będziesz ty leżał! żeby cię robole!...

- Dobry wieczór, Rzepowa! - zaczął pisarz.

- Dobry wieczór panu pisarzowi - odrzekła kobieta nie przestając mędlić.

- Wasz w domu?

- Na robocie w lesie.

- A to szkoda! Jest do niego interes z gminy.

Interes z gminy to dla prostych ludzi zawsze znaczy coś niedobrego. Rzepowa przestała mędlić i spojrzawszy trwożnie spytała niespokojnie:

- No? cóże to takiego?

Pan pisarz tymczasem przeszedł wrota i stanął koło niej.

- A dacie się pocałować? to wam powiem.

- Obędzie się! - odparła kobieta.

Ale pan pisarz już zdołał ją objąć wpół i przygarnąć do siebie.

- Panie! bo będę krzyceć - wołała Rzepowa wrywając się silnie.

- Przyjdźcie dziś do mnie wieczorem - co? - szeptał pan pisarz nie puszczając jej z objąć.

- Nie przyjdę ani dziś, ani nikt!
- Moja śliczna, Rzepowa... Marysiu!
- Pa- nie! toć to obraza boska! Panie!

To mówiąc wydzierała się coraz silniej, ale pan Zołzikiewicz był także mocny i nie puszczał.

Zaczęli się szamotać i w tym szamotaniu kobieta przewróciła się na wióry przez mędlicę, a pan pisarz z nią razem.

- O dla Boga! rety! - poczęła wrzeszczeć głośno Rzepowa.

W tej chwili Kruczek przyszedł jej na pomoc. Zjeżył szersć na karku i z wściekłym szczekaniem rzucił się na pana pisarza, a ponieważ pan pisarz leżał twarzą do ziemi, a plecami do góry, ubrany był zaś w krótką marynarkę, Kruczek więc chwycił za nieosłonięty marynarką kort, przejął kort, chwycił za nankin, przejął nankin, chwycił za skórę, przejął

skórę i dopiero poczuwszy pełno w pysku począł potrząsać wściekle łbem i targać.

- Jezus! Maria! - krzyczał pan pisarz zapominając o tym, że należał do esprits forts.

Kobieta tymczasem zerwała się, zerwał się jak oparzony i pan pisarz, a Kruczek podniósł się na przednie łapy, ale pana pisarza nie puszczał, dopiero gdy ten chwyciwszy polano zaczął

nim zadawać w tył ślepe razy, Kruczek, otrzymawszy uderzenie w krzyż, odskoczył skomlać żałośnie.

Po chwili jednak znów zaczął doskakiwać.

- Weźcie tego psa! weźcie tego diabła - krzyczał pan pisarz machając rozpaczliwie polanem.

Kobieta zawołała na psa i odpędziła go za wrota.

37

Potem oboje z pisarzem, sapiąc jeszcze, spoglądali na siebie w milczeniu.

- Oj, dola moja! Coże se pan do mnie upatrzył? - zawołała na koniec Rzepowa, przestraszona tak krwawym obrotem sprawy.

- Pomsta na was! - krzyknął pan pisarz. - Pomsta na was!

Czekajcie! pójdzie Rzepa w żołdacy. Chciałem bronić... ale teraz...

Przyjdziecie wy jeszcze do mnie... Pomsta na was!...

Kobiecina aż pobladła, jakby ją kto obuchem w głowę uderzył, rozłożyła ręce, otworzyła usta, jakby

chciała coś mówić. Ale tymczasem pan pisarz, podniósłszy z ziemi kortową czapkę w zielone kraty, oddalił się szybko, machając jedną ręką polanem, a druga podtrzymując rozdarte szpetnie korty i nankiny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niektóre inne osoby i przykre widzenia

W godzinę potem może przyjechał Rzepa z lasu z cieślą Łukaszem na dworskim wozie.

Rzepa chłopisko był rosły jak topola, tęgi: prawdziwie od topora. Jeździł on teraz codziennie do lasu bo pan wszystek las, na którym nie było serwitutów, sprzedał Żydom, szedł więc wyrąb sosen. Rzepa zarobek miał dobry, bo i do roboty był dobry. Jak, bywało, plunie w garście, a chwyci za topór, a machnie, a stęknie, a uderzy: to aż sosna zadrży, a wiór na pół

łokcia się od niej oderwie. W ładowaniu drzewa na fury także był pierwszy. Żydy, co chodziły po lesie z miarą w rękę i spoglądały na wierzchołki sosen, jakby szukając gniazd wronich, dziwowały się jego sile. Bogaty kupiec z Osłowic, Dryśła, mawiał do niego:

- No, ty Rzepa! niech ciebie diabeł weźnie. Na! sieć groszy na wódkę... nie, czekaj: na pięć groszy na wódkę...

A Rzepa nic. Machał tylko toporem, aż grzmiało, a czasem, ot, dla uciechy, puszczał głos po lesie:

- Hoop! hop!

Głos leciał między pnie, a potem wracał echem.

I znowu nie było nic słyszeć prócz huku Rzepowego toporu; a czasem także sosny zagadały między gałęziami szumem, zwyczajnie jak w lesie.

Czasem znów drwale śpiewali, ale i do tego Rzepa był pierwszy. Trzeba było słyszeć, jak buczał z drwałami pieśń, której ich sam nauczył:

Coś tam w boru hukneno

Buuuu!

I okrutnie stukneno

Buuuu!

A to komar z dęba spadł

Buuuu!

I stłukł sobie w plecach gnat

Buuuu!

A tu mucha poćciwa

Buuuu!

Leci ledwie co żywa

Buuuu!

I pyta się komara

Buuuu!

Czy nie trzeba doktora

Buuuu!

Oj! nie trzeba doktora

Buuuu!

38

Tylko księdza przeora

Buuuu!

Ani żadnej aptyki

Buuuu!

Jeno rydla, motyki

Buuuu!

W karczmie też Rzepa pierwszy był do wszystkiego, tylko że siwuchę lubił, a skory był do bitki, jak podpiał. Raz Damazemu, parobkowi dworskiemu, zrobił taką dziurę we łbie, że Józwowa, gospodyni folwarczna, zaklinała się, że mu duszę było przez nią widać. Innym razem, ale to ledwie miał wtedy siedemnaście lat, pobił się w karczmie z urlopnikami. Pan Skorabiewski, który wtedy jeszcze był wójtem, sprowadził go do kancelarii, dał mu raz i drugi w łeb, ale tylko dla pozoru, a potem udobruchawszy się zara, pytał:

- Rzepa, bój się Boga! jakżeś ty z nimi poradził, przecie ich było siedmiu?

A Rzepa na to:

- A cóż, jaśnie dzieicu! nożyska mają masierunkiem zerwane, to tylo com się którego tknon, to on

zaraz o ziem.

Pan Skorabiewski zatarł sprawę. On dawniej był dziwnie łaskaw na Rzepę. Baby gadały nawet jedna drugiej do ucha, że Rzepa to jego syn: "Toć znać zaraz - dodawały - że fantazyją ma psia jucha ślachecką."

Ale to nie była prawda, choć matkę Rzepy znali wszyscy, a ojca nikt. Sam Rzepa siedział komornym na chałupie i na

trzech morgach, na których go też i uwłaszczenie zastało. Potem zaczął gospodarować na swoim, a że chłop był gospodarny, więc szło mu jako tako. Ożenił się, dostał żonę taką, że lepszej i ze świecą szukać; więc byłoby się pewno i bardzo dobrze wiodło, żeby nie to, że wódkę trochę zanadto lubił.

Ale cóż było na to poradzić. Jak ktoś do niego z wymówką, tak zaraz odpowiadał:

- Piję, to za swoje, a wam zasię!

Nikogo się we wsi nie bał, przed jednym pisarzem mores znał.

Gdy zobaczył z daleka zieloną czapkę, zadarty nos i kozią bródkę idące na wysokich nogach z wolna po drodze, to się za czapkę brał. Na Rzepę pisarz też wiedział jakieś sprawki. Kazali Rzepie wozić wtedy w czasie zawieruchy jakieś papiery, to i woził. A jemu to co? Zresztą on wtedy miał piętnaście lat i jeszcze za gęsiami a za świńmi chodził. Ale potem pomyślał, że jednakże za owo wożenie papierów może być odpowiedzialność, więc się pisarza bał.

Taki to był Rzepa.

Gdy wrócił tego dnia z boru do chałupy, wypadła do niego kobieta z płaczem wielkim i dalejże wołać:

- Już ciebie, nieboże, niedługo moje oczy będą oglądały; już ja ci nie będę ni chustów prała, ni jeść gotowała. Pójdiesz ty, nieboraku, na kraj świata.

A Rzepa się zdziwił.

- Czyś ty się, kobieto - rzeknie - blekotu najadła, czy cię ta giez ukąsił?

- Ni ja się szaleju najadłam, ni mnie giez ukąsił, jeno pisarz tu był i mówił, że tobie już nijak od wojska się nie wykręcić... Oj! pójdiesz, pójdiesz na kraj świata!

Dopiero on ją wypytywać: jak, co, a ona mu opowiedziała wszystko, tylko o bałamuctwie pisarza zataiła, bo się bała, żeby Rzepa głupstwa pisarzowi nie powiedział albo, czego Boże broń! na niego się nie porwał i tym sprawy swojej nie pogorszył.

- Ty głupia! - powiedział w końcu Rzepa - czego płaczesz? Mnie do wojska nie wezmą, bom wyszedł z lat; przy tym i chałupę mam, grunt mam, ciebie, głupia, mam, a i tego raka utrapionego także.

To mówiąc pokazał na kołyskę, w której rak utrapiony, tj. tęgi roczny chłopak, wierzgał nogami i wrzeszczał, że aż uszy pękały.

39

Kobieta poczęła obcierać oczy fartuchem i rzekła:

- Co ta wszystko znaczy! Albo to on nie wie o papierach, coś je woził z boru do boru?

Teraz Rzepa podrapał się w głowę.

- Jużci bo wie.

Po chwili zaś dodał:

- Pójdę ja z nim pogadać. Może to nic straszego.

- Idź, idź! - rzekła kobieta - a weź ze sobą rubla. Do niego bez rubla nie przystępuj.

Rzepa wydobył ze skrzyni rubla i poszedł do pana pisarza.

Pisarz był kawaler, nie miał więc osobnego domu, ale mieszkał w czworakach stojących nad stawem, czyli w tak zwanym murowańcu. Tam w osobnej sieni miał dwie izby na swój użytek.

W pierwszej izbie nie było nic, tylko trochę słomy i para kamaszów, druga była zarazem salonem i sypialnią. Stało tam łóżko nie zaścielane prawie nigdy, na łóżku dwie poduszki bez poszewek, z których sypały się pierze; obok stół, na nim kałamarz, pióra, książki kancelaryjne, kilkanaście zeszytów Izabeli hiszpańskiej wydawnictwa pana Breslauera; dwa brudne kołnierzyki angielskie, słoik pomady, gilzy do papierosów i wreszcie świeca w blaszanym lichtarzu z rudym knotem i muchami potopionymi w łoju koło knota.

Przy oknie wisiało spore lustro, naprzeciw zaś okna mieściła się komoda obejmująca nader wykwintną toaletę pana pisarza: różnych odcieniów majtki, kamizelki bajecznych kolorów, krawaty, rękawiczki, lakierki, a nawet i cylinder, którego pan pisarz używał wtedy, gdy wypadło mu jechać do powiatowego miasta Osłowic.

Oprócz tego w chwili, o której mowa, na krześle przy łóżku spoczywały korty i nankiny pana pisarza, sam zaś pan pisarz leżał w pościeli i czytał zeszyt Izabeli hiszpańskiej wydawnictwa pana Breslauera.

Położenie jego, to jest nie pana Breslauera, ale pana pisarza, było okropne, tak nawet okropne, że trzeba by mieć chyba styl Wiktora Hugo, żeby je opisać, jak było okropne.

Przede wszystkim w ranie czuł wściekły ból. Owo czytanie Izabeli, które było dlań zawsze najmiłą pociechą i rozrywką, teraz powiększało jeszcze nie tylko ból, ale i gorycz, jaka go trapiła po owym wypadku z Kruczkiem.

Miał trochę gorączki i ledwo mógł zebrać się z myślami. Czasem nawiedzały go straszne marzenia. Czytał właśnie, jak młody Serrano przybywa do Eskurialu pokryty ranami po świetnym zwycięstwie nad karlistami. Młoda Izabela przyjmuje go wzruszona i blada. Muślin faluje żywo na jej piersiach.

- Jenerale! tyś ranny? - pyta Serrana ze drżeniem w głosie.

Tu nieszczęśliwemu Zołzikiewiczowi zdaje się, że istotnie jest Serranem.

- Oj! oj! jestem ranny! - powtarza przygnębionym głosem. - Najjaśniejsza pani, przebacz! Nie mogę ci powiedzieć: gdzie. Etykieta nie pozwala. Oj! oj! A żeby to najjaśniejsze!...- Spocznij, jenerale! Siadaj! siadaj! Opowiedz mi swoje bohaterskie czyny.

- Opowiedzieć mogę, ale usiąść żadną miarą - woła zdesperowany Serrano. - Oj! Wybacz, królowo. Ten przekłety Kruczek!... chciałem powiedzieć: Don Jose... Aj! aj! aj!

Tu ból rozprasza marzenie. Serrano rozgląda się; świeca pali się na stole i pryska, bo właśnie zaczęła się palić nasiąknięta łojem mucha; inne muchy łążą po ścianach... A? Więc to czworaki, nie Eskurial? Królowej Izabeli nie ma? Tu pan Zołzikiewicz przychodzi całkowicie do przytomności, podnosi się na łóżku, macza chustkę w dzbanku z wodą stojącym pod łóżkiem i zmienia okład.

Po czym zwraca się do ściany, zasypia, a raczej rozmarza się w półśnie, w półjawie, i oczywiście jedzie znowu jakby ekstrapocztą do Eskurialu.

- Miły Serrano! kochanku mój! sama opatrzę twe rany - szepcze królowa.

40

Serranowi włosy na głowie powstają. Czuje całą okropność swej pozycji. Jak tu nie posłuchać królowej, a jak tu zarazem poddać się interesującemu opatrunkowi? Zimny pot występuje mu na czoło, gdy nagle...

Nagle królowa znika, drzwi otwierają się z trzaskiem i staje w nich ni mniej, ni więcej; jak tylko Don Jose, zacięty wróg Serrana.

- Czego tu chcesz? Ktoś ty? - woła Serrano.

- To ja, Rzepa - odpowiada ponuro Don Jose.

Zołzikiewicz budzi się po raz drugi; Eskurial staje się znów murowańcem; świeca się pali, mucha przy knocie trzeszczy i pryska błękitnymi kropelkami; we drzwiach stoi Rzepa, a za nim... pióro wypada mu z ręki... przez półodchylone drzwi wsadza łeb i kark Kruczek.

Potwór trzyma oczy utkwione w pana Zołzikiewicza i zdaje się uśmiechać.

Zimny pot naprawdę występuje na skronie pana Zołzikiewicza, a przez głowę przelatuje mu myśl: "Rzepa przyszedł połamać mi kości, a Kruczek z drugiej strony..."

- Czego tu obaj chcecie? - woła wystraszonym głosem.

Ale Rzepa kładzie rubla na stół i odzywa się pokornie:

- Jelemozny pisarzu! a to ja przyszedłem wedle... tej branki.

- Won! won! won! - krzyknie na to Zołzikiewicz, w którego nagle duch wstąpił.

I wpadłszy w wściekłość zrywa się do Rzepy, ale w tej chwili w karlistowskiej ranie zabołało go srodze, pada więc nazad na poduszki wydając tytko przygłuszone jęki:

- Oj! oj!

ROZDZIAŁ TRZECI

Rozmyślenia i eureka!

Rana ogniła się.

Widzę, jak piękne czytelniczki poczynają łzy ronić nad moim bohaterem, a zatem, nim która z nich zemdleje, pośpieszam dodać, że jednak bohater nie umarł z tej rany. Przeznaczonym mu było żyć jeszcze długo. Zresztą gdyby umarł, złamałbym pióro i skończył powieść, ale że nie umarł, ciągnę więc dalej.

Owóż więc rana ogniła się, ale nadspodziewanie wyszła na korzyść kanclerzowi z Baraniej Głowy, a stało się to bardzo prostym sposobem: ściągnęła mu h u m o r y z głowy, więc zaczął myśleć jaśniej i zaraz poznał, że robił dotychczas same głupstwa. [Bo tylko proszę posłuchać: kanclerz zagiął sobie, jak mówi w Warszawie, parol na Rzepową i nie dziwić się mu, bo też to była kobieta, jakiej drugiej nie znaleźć w całym powiecie osłowickim, chciał się więc pozbyć Rzepy. Gdyby raz Rzepę wzięli do wojska, kanclerz mógłby sobie powiedzieć:

"Hulaj dusza bez kontusza." Ale nie tak łatwo było zamiast wójtowego syna podsunąć Rzepę.

Pisarz jest potęgą: Zołzikiewicz był potęgą między pisarzami, to jednak nieszczęście, że w sprawie poboru nie był ostatnią instancją. Tu przychodziło mieć do czynienia ze strażą ziemską, z komisją wojskową, z naczelnikiem powiatu, z naczelnikiem straży, które to wszystkie osobistości bynajmniej nie były interesowane, żeby zamiast Buraka obdarzyć armię

- i państwo Rzepą. "Umieścić go w spisie wojskowym? i cóż dalej?" - pytał się siebie mój sympatyczny bohater. Spisy sprawdzają, a że metryki muszą być załączone i że Rzepie trudno także zakneblować usta, dadzą więc nosa, zrzucą może jeszcze z pisarstwa i skończyło się.

Najwięksi ludzie pod wpływem namiętności robili głupstwa, ale w tym właśnie ich wielkość, że poznawali się na tym dość wcześnie. Zołzikiewicz powiedział sobie, że obiecawszy Burakowi zaciągnąć Rzepę na listę popisowych uczynił pierwsze głupstwo, poszedłszy do Rzepowej i napadłszy ją przy mędlicy uczynił drugie głupstwo; przestraszywszy ją i męża poborem, uczynił trzecie głupstwo. O chwilo szczytna! w której mąż prawdziwie wielki mówi sobie: "Jestem osłem!",

nadeszłaś wówczas i dla Baraniej Głowy, zleciałaś jakoby na 41

skrzydłach z tej krainy, gdzie wzniosłe wspiera się na szczytnym, bo Zołzikiewicz powiedział sobie wyraźnie: "Jestem osłem!"

Czyż jednak miał porzucić plan teraz, kiedy oblał go już krwią własnych... (w zapale powiedział: własnych piersi), miałżeby porzucić plan, gdy uświęcił go nowiutką parą kortowych, za którą nie zapłacił jeszcze Srulowi, i parą nankinowych, którą sam nie wiedział, czy dwa razy miał na sobie?

Nie i nigdy!

Przeciwnie, teraz, gdy do apetytu na Rzepową przyłączyła się jeszcze chęć zemsty nad obojgiem i nad Kruczkiem z nimi razem. Zołzikiewicz przysiągł sobie, że kpem będzie, jeżeli Rzepie sadła za skórę nie zaleje.

Myślał więc nad sposobami pierwszego dnia, zmieniając okłady, myślał drugiego, zmieniając okłady, myślał trzeciego; zmieniając okłady, i czy wiecie, co wymyślił? Oto nic nie wymyślił!

Na czwarty dzień przywiózł mu stójka z osłowickiej apteki diachylum: Zołzikiewicz rozsmarował na płatek, przyłożył i - co za cudowne skutki tego medicamentum! - prawie jednocześnie wykrzyknął:

- Znalazłem!

Istotnie coś znalazł.

ROZDZIAŁ CZWARTY

który by można zatytułować: Zwierz w sieci

W parę dni potem, nie wiem dobrze, czy w pięć, czy w sześć, w alkierzu karczmy baraniogłowskiej siedział wójt Burak, ławnik Gomuła i młody Rzepa. Wójt wziął za szklanę.

- Przestalibyście się o to swarzyć, kiedy nie mata o co! - rzekł wójt.

- A ja powiadam, że Francuz nie da się Prusakowi - mówi Gomuła uderzając pięścią o stół.

- Prusak, psia jucha, chytry! - odparł Rzepa.

- To co, że chytry? Turek pomoże Francuzowi, a Turek je namocniejszy.

- Co wy wieta. Namocniejszy jest Harubanda (Garibaldi)!

- Musiście wstali do góry... plecami. A wyście skąd wyrwali Harubandę?

- Co go miałem wrywać? A bo to ludzie nie gadali, że sześć lat temu pływał po Wiśle ze statkami i z mocą wielką? Ino mu się piwo w Warsiawie nie spodobało, bo zwyczajny doma lepszego, to się i

wrócił.

- Nie bluźnilibyście po próżnicy. Kuźden Śwab to je Żyd.
- Przecie Harubanda nie Śwab.
- Ino co?
- Ba? co? musi: cysarz, i basta.
- Oj, strasnieście mądrzy!
- Wyšta też nie mądrzejsi.
- A kiejsza tacy mądrzy, to powidzta, jak ta było na przezwisko pierwszemu rodzicowi?
- Jak? juści: Jadam.
- No, to na krzestne imię, ale na przezwisko?
- Czy ja wiem.
- - A widzita? A ja wiem: Na przezwisko było mu: "Skruszyła".

- Chybaście pypcia dostali.

- Nic wierzyta, to posłuchajta:

Gwiazdo morza, któraś Pana

Mlekiem swoim wykarmiła!

Tyś śmierci szczep, który wszczepił

Pierwszy rodzic, skruszyła.

- A co, czy nie Skruszyła?

42

- No, juści prawda.
- Napilibyšta się lepiej - rzeki wójt.
- Zdrowie wasze, kumie!
- Zdrowie wasze!

- Haim!

- Siulim!

- Daj, Panie Boże, szczęście!

Wypili wszyscy trzej, ale że to było w czasie francusko- pruskiej wojny, ławnik więc Gomuła znowu wrócił do polityki.

- Francuzy - rzekł - to też jest bałamutny naród. Ja ich ta nie pamiętam, ale mój ojciec to powiadał, że jak stali u nas kwaterami, to ta sądny dzień był w całej Baraniej Głowie.

Strasznie do bab ciekawe! Mere naszej chałupy mieszkał Staś, ociec Walentego, a u nich też stał Francuz - może i dwóch! - czy ja wiem? Aż tu się budzi Staś w nocy i mówi: "Kaśka, Kaśka! Mnie się widzi, że to Francuz cościć kiele ciebie majstruje? A ona powiada: "A i mnie się widzi to samo." Tak Staś powiada: "A powiedzże mu, żeby sobie poszedł precz!" - "Ba -

powiada baba - gadajże z nim, kiej on po polsku nie rozumie!" To i cóż miał robić.

- No! napijwa się jeszcze - rzekł po chwili Burak.

- Daj, Panie Boże, szczęście!

- Panie Boże zapłać!

- No, za wasze zdrowie!

Napili się znowu, a że pili arak, Rzepa więc uderzył wypróżnioną szklanką o stół i rzekł:

- Ej! dobroć też to, dobroć!

- Ano jeszcze? - rzekł Burak.

- Nalejta!

Rzepa stawał się coraz czerwieńszy, Burak dolewał mu ciągle.

- A wy - rzekł wreszcie do Rzepy - to choć korzec grochu zarzucita na plecy jedna ręką, a balibyśta się pójść na wojnę!

- Co bym się miał bać? Kiej się bić, to się bić.

Gomuła na to rzekł:

- Jenszy jest mały a odważny, jenszy wielgi i mocny, i bojący.

- A nieprawda! - rzekł Rzepa - ja ta nie jestem bojący.

Gomuła zaś na to:

- Kto was tam wie?

- A ja pojedam - odparł Rzepa pokazując pięść jak bochenek chleba - że ino bym was zajechał w pacierze tą pięścią, to rozlecielibyście się jak stara beczka.

- A może i nie.

- Chceta spróbować?

- Dajta spokój - wtrącił wójt. - Będzieta się bili czy co? Ot, napijwa się jeszcze.

Napili się znowu, ale Burak i Gomuła tylko że umoczyli usta. Rzepa zaś wypił całą szklankę araku, aż mu oko zbielało.

- Pocałujta się teraz - rzekł wójt.

Rzepa aż się rozplakał przy uściskach i pocałunkach, co było znakiem, że już podpiał dobrze; po czym zaczął wyrzekać, gorzko wspominając graniaste cielę, które dwa tygodnie temu zdechło mu w nocy w oborze.

- Oj! jakiego to cielaka Pan Bóg zabrał ode mnie! - wołał żałośnie.

- No, nie smućta się! - rzekł Burak. - Do pisarza z urzędu przyszło pisanie, że pono dworski las pójdzie na gospodarzy.

Rzepa odpowiedział na to:

- I po sprawiedliwości! Albo to pan las siał?

Ale potem zaraz znów zaczął zawodzić:

43

- Oj! co cielak był, to cielak; jak ta krowę huknął łbem przy ssaniu, to aż zadem pod belkę poleciała.

- Pisarz mówił...

- Co mi ta pisarz! - przerwał gniewnie Rzepa. - Pisarz dla mnie: Tyle znaczy.

Co Ignacy...

- Nie pomstowalibyście! Napijwa się!

Napili się jeszcze raz. Rzepa jakoś się pocieszył i siadł spokojnie na zydlu, a wtem drzwi się otworzyły i ukazały się w nich: zielona czapka, zadarty nos i kozia bródka pisarza.

Rzepa, który czapkę miał nasuniętą na tył głowy, zrzucił ją zaraz na ziemi, powstał i wybełkotał:

- Pochwalony.

- Jest tu wójt? - spytał pisarz.

- Jest! - odpowiedziały trzy głosy.

Pisarz zbliżył się, zaraz też podleciał i Szmul arendarz z kieliszkiem araku. Zołzikiewicz powąchał, skrzywił się i siadł przy stole.

Chwilę panowało milczenie. Na koniec Gomuła zaczął:

- Panie pisarzu?

- Czego?

- Czy to prawda wedle tego boru?

- Prawda. Musicie tylko podpisać prośbę całą gromadą.

- Ja tam nie będę nic podpisywał - ozwał się Rzepa, który miał wstręt wspólny wszystkim chłopom do podpisywania swego nazwiska.

- Ciebie się też nikt nie będzie prosił. Nic podpiszesz, to nic nie dostaniesz. Twoja wola.

Rzepa zaczął się drapać w głowę, pisarz zaś, zwróciwszy się do wójta i do ławnika, rzekł tonem urzędowym:

- O lesie prawda, ale każdy musi ogrodzić swoją część płotem, żeby nie było sporów.

- To- ta płot będzie więcej kosztował, niż las wart - wtrącił Rzepa.

Pisarz nie zwracał na niego uwagi.

- Na kosztą płotu - mówił do wójta i ławnika - rząd przysyła pieniądze. Jeszcze każdy na tym zarobi, bo wypada po pięćdziesiąt rubli na głowę.

Rzepie aż się oczy zaiskrzyły po pijanemu.

- A, jak tak, to podpiszę. A pieniądze gdzie są?

- Są u mnie - rzekł pisarz. - A to dokument.

To rzekłszy wydobył złożony we czworo papier i odczytał coś, czego chłopci wprawdzie nie rozumieli, ale radowali się bardzo; gdyby jednak Rzepa był trzeźwiejszy, dojrzałby, jak wójt mrugał na ławnika.

Potem, o dziwo! pisarz wydobywszy pieniądze rzekł:

- No! który pierwszy?

Podpisywali kolejno, gdy zasię Rzepa wziął się do pióra, Zołzikiewicz usunął dokument i rzekł:

- A może nie chcesz? Tu wszystko dobrowolnie.

- Co nie mam chcieć?

A pisarz na to:

- Szmul!

Szmul ukazał się we drzwiach.

- Ny, co pan pisarz chce?

- Chodź i ty na świadka, że tu wszystko dobrowolnie.

A potem znów powiada do Rzepy:

- Może nie chcesz?

44

Ale Rzepa już podpisał i żyda usadził nie gorszego od Szmula, potem wziął pieniądze od pisarza, całych pięćdziesiąt rubli, i schowawszy je za pazuchę zawołał:

- A dajta no jeszcze haraku!

Szmul przyniósł: wypili raz i drugi. Następnie Rzepa wsparł pięści na kolanach i począł drzemać.

Kiwnął się raz, kiwnął się drugi raz, na koniec zwalił się z zydla mruknąwszy: "Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!" - i usnął.

Rzepowa nie przyszła po niego, bo wiedziała, że jeśli się upił, to może się jej co oberwać. Tak i bywało. Na drugi dzień Rzepa przeproszał żonę, całował ją po rękach. Po trzeźwemu nie dał jej nigdy złego słowa, ale po pijanemu czasem jej się co obrywało.

Przespał więc Rzepa w karczmie całą noc. Nazajutrz rozbudził się o wschodzie słońca.

Patrzy, wylupia oczy, aż to nie jego chałupa, ale karczma, i nie alkierz, w którym siedział

wczoraj, ale ogólna izba z szynkwasem.

- Imię Ojca i Syna, i Ducha.

Patrzy jeszcze lepiej, słońce już wschodzi i zagląda przez ubarwione szyby za szynkwasa, a w oknie stoi Szmul ubrany w śmiertelną koszulę i w cycełe na głowie; stoi w oknie i kiwa się, i modli się głośno.

- Szmul! psio- wiaro! - zawołał Rzepa.

Ale Szmul nic. Kiwnął się naprzód, kiwnął w tył; wyciągnął zza pazuchy jakiś rzemień, pocałował go i dalej wrzeszczeć na Pana Boga, dziękując mu, że oto daje zorzę ranną i słońce na niebie, że zdjął noc z ziemi, a uczynił dzień, że jest wielki i mocny.

Więc Rzepa zaczął się macać, jak robi każdy chłop przespawszy noc w karczmie. Namacał pieniądze.

- Jezus Maryja! a to co?

Tymczasem Szmul przestał się modlić i zdjawszy śmiertelną koszulę i cycełe poszedł je schować do alkierza, a potem wrócił wolnym krokiem, poważny i spokojny.

- Szmul!

- Ny, czego chcesz?

- Co to ja mam za pieniądze?

- Co, głupi, nie wiesz? Toć się wczoraj z wójtem zgodziłeś, że za jego syna będziesz losował, i pieniądze wzięłeś, i kontrakt podpisałeś.

Dopiero chłop zbladł jak ściana: rzucił czapkę o ziemię, potem sam grzotnął się o nią i jak nie ryknie, aż się szyby w karczmie zatrzęsły.

- No, pasioł won, ty sałdat! - rzekł flegmatycznie Szmul.

W pół godziny potem Rzepa zbliżał się do chałupy; Rzepowa, która właśnie gotowała stawę, usłyszawszy go, jak skrzypiał wrotami, prosto od komina pobiegła na jego spotkanie, gniewna bardzo.

- Ty pijaku! - zaczęła.

Ale spojrzawszy na niego, aż się sama przeraziła, bo ledwo go poznała!

- A tobie co jest?

Rzepa wszedł do chaty i z początku ani słowa nie mógł przemówić, tylko siadł na ławie i patrzył w ziemię. Ale kobieta zaczęła pytać i dopytała wreszcie wszystkiego. "Zaprzędali mnie - jako Żydy Chrystusa" - zakończył wreszcie Rzepa, nie bacząc, że Chrystus w innych nieco warunkach został zaprzędany faryzeuszom... Wówczas ona z kolei uderzyła w lament wielki; on za nią; dzieciak w kołysce zaczął wrzeszczeć; Kruczek we drzwiach wył tak żałośnie, że aż z innych chałup powylały baby z łyżkami w rękę, pytając jedna drugiej:

- Co się tam u Rzepów stało?

- Musiał ją bić czy co?

A tymczasem Rzepowa lamentowała jeszcze bardziej niż Rzepa, bo miłowała ona jego, nieboga, nad wszystko w świecie.

45

ROZDZIAŁ PIĄTY

w którym poznajemy ciało prawodawcze Baraniej Głowy i głównych jego przywódców Nazajutrz dzień było posiedzenie sądu gminnego. Ławnicy poschodzili się z całej gminy z wyjątkiem panów, alias szlachty, z której jakkolwiek kilku było ławnikami, ale tych kilku, nie chcąc różnić się od ogółu, trzymało się polityki angielskiej, to jest zasady nieinterwencji, tak zachwalanej przez znakomitego męża stanu Johna Bright. Nie wyłączało to jednak pośredniego wpływu "inteligencji" na losy gminne. Jeśli bowiem ktoś z "inteligencji" miał

sprawę, wówczas wigilią posiedzenia zapraszał pana Zołzikiewicza do siebie, przynoszono następnie do pokoju przedstawiciela inteligencji - wódeczkę, podawano cygara i wtedy obgadywała się rzecz z łatwością. Potem następował obiad, na który zapraszano pana Zołzikiewicza uprzejmymi słowami: "Ano, siadaj, panie Zołzikiewicz! siadaj!"

Pan Zołzikiewicz też siadał, a na drugi dzień mawiał niedbale do wójta: "Byłem wczoraj na obiedzie u Mieciszewskich, Skorabiewskich lub Ościeszyskich. Hm! córka w domu jest: rozumiem, co to znaczy!" Przy obiedzie zaś pan Zołzikiewicz starał się zachowywać dobre maniery, jeść rozmaite zagadkowe potrawy tak, jak uważał, że inni jedzą, i nie okazywać przy tym, jakoby ta poufałość z dworem miała go zbyt mocno cieszyć.

Był to człowiek pełen taktu, który wszędzie umiał się znaleźć: dlatego też nie tylko nie tracił

w takich razach śmiałości, ale wtrącał się do rozmowy wspominając przy tym "tego poczciwego komisarza" lub "tego wybornego sobie naczelnika", z którymi wczoraj lub onegdaj machnął maleńką pulkę po kopiejce punkt. Słowem, starał się okazać, że jest za pan brat z pierwszymi powagami w osłowickim powiecie. Uważał wprawdzie, że w czasie jego opowiadań panie dziwnie jakoś patrzyły w talerz, ale sądził, że to taka moda. Po obiedzie dziwiło go także nieraz, że szlachcic nie czekając, aż on się zżegnać zacznie, klepał go w łopatkę i mówił: "No, to bywaj zdrow, panie Zołzikiewicz!", ale znów sądził, że to w dobrych towarzystwach przyjęte. Przy tym ściskając na pożegnanie rękę gospodarza domu uczuwał w niej zawsze coś szeleszczącego. Wówczas zginał palce i drapiąc

szlachcica w dłoń, wygarniał

z niej to "coś szeleszczącego" nie zapominając jednak nigdy dodać: "A, panie dobrodzieju!

między nami to niepotrzebne! a co do sprawy, może pan dobrodziej być spokojny!"

Jakoż pan dobrodziej istotnie mógł być spokojny, pan Zołzikiewicz bowiem trzymał w ręku Buraka i ławnika Gomulę, a we trzech trzymali w ręku cały sąd, któremu pozostawionym było poświadczać tylko to, co owa trójka postanowiła. Nie było w tym nic dziwnego, w każdym bowiem ciele zbiorowym jednostki genialne zagarniają zwykle cały wpływ, a z nim razem i ster w swoje ręce.

Przy tak sprężystym zarządzie i przy wrodzonych talentach pana Zołzikiewicza sprawy gminne szłyby zapewne jak najlepiej, gdyby nie jedno nieszczęście, a mianowicie, że pan Zołzikiewicz w niektórych tylko sprawach zabierał głos i tłumaczył sądowi, jak należy ze stanowiska prawnego na rzecz się zapatrywać; resztę zaś spraw, zwłaszcza nie poprzedzonych niczym szeleszczącym, pozostawiał samodzielnemu uznaniu sądu i podczas przebiegu ich spokojnie dłubał w nosie, ku wielkiemu zaniepokojeniu ławników, którzy wówczas czuli się po prostu bez głowy.

Ze szlachty, a wyrażając się ściślej: z panów, jeden tylko pan Floss, dzierżawca Małych Postępowic, bywał początkowo jako ławnik na sądach gminnych i twierdził, że inteligencja powinna w nich brać udział. Ale miano mu to powszechnie za złe. Szlachta twierdziła bowiem, że pan Floss musi być "czerwony", czego zresztą i samo nazwisko jego: Floss, dowodziło, chłopci zaś w demokratycznym poczuciu własnej odrębności utrzymywali, że nie wypada siadać panu na jednej ławie z chłopami, czego najlepszym dowodem jest, że "jensze panowie tego nie robią". W ogóle chłopci mieli do zarzucenia panu Flossowi to, że nie jest panem z panów, że zaś nie lubił go i pan Zołzikiewicz, bo pan Floss nie starał się niczym szeleszczącym zasłużyć na jego przyjaźń, a raz na posiedzeniu jako ławnik nakazał mu nawet 46

milczenie, niechęć więc ku niemu była powszechna: skutkiem czego usłyszał pewnego pięknego poranka wobec całej gminy z ust siedzącego obok ławnika, co następuje: "Albo to wielmożny pan - to pan? Pan Ościeszński - to jest pan, pan Skorabiewski - to jest pan, a wielmożny pan - to nie pan, ino dorobiec." Usłyszawszy to pan Floss, który właśnie także kupił był jakoś w owym czasie Kruchą Wolę, plunął na wszystko i gminę pozostawił gminie, tak jak w swoim czasie miasto pozostawiono miastu. Szlachta zaś mówiła: "Doigrał się", przy czym na obronę zasady nieinterwencji przytaczano jedno z tych przysłów stanowiących mądrość narodów: "Smaruj chłopa etc."

Gmina tedy, nie zakłócona udziałem "inteligencji", radziła o własnych sprawach bez pomocy powyższego pierwiastku, a za pośrednictwem tylko baraniogłowskiego rozumu, który przecież dla Baraniej Głowy powinien był wystarczać na mocy tejże zasady, na mocy której paryski rozum wystarcza dla Paryża albo np. autonomiczny galicyjski dla Galicji. Zresztą pewną jest rzeczą, że praktyczny rozsądek albo inaczej tak zwany w "Nadwiślańskim Kraju"

i jemu przyległych okolicach "zdrowy chłopski rozum" więcej jest wart od każdej obcozywiółowej inteligencji, że zaś mieszkańcy tak wymienionego powyżej kraju, jak i jeszcze przyległych prowincji z urodzenia już ów "zdrowy rozum" na świat przynoszą, to -

zdaje mi się - nie potrzebuje być dowodzonym.

Okazało się to także zaraz w Baraniej Głowie, gdy na posiedzeniu, o którym mowa, odczytano zapytanie z urzędu, czy gmina nie zechce własnym kosztem na przestrzeni swych gruntów naprawić gościńca wiodącego do Osłowic. Projekt ten w ogóle nadzwyczaj nie podobał się zgromadzonym patres conscripti, jeden zaś z miejscowych senatorów wyraził

światły pogląd, że gościńca nie ma potrzeby naprawiać, bo można jeździć przez łąkę pana Skorabiewskiego. Gdyby pan Skorabiewski był obecny na posiedzeniu, byłby zapewne znalazł coś do nadmienienia przeciwko temu pro publico bono, ale pana Skorabiewskiego nie było, i on bowiem trzymał się zasady nieinterwencji. Projekt więc byłby przeszedł

niezawodnie unanimitate, gdyby nie to, że pan Zołzikiewicz był poprzedniego dnia na obiedzie, podczas którego opowiadał panie Jadwidze scenę uduszenia dwóch generałów hiszpańskich w Madrycie, wyczytaną w Izabeli hiszpańskiej wydawnictwa pana Breslauera, po obiedzie zaś przy uściśnięciu dłoni pana Skorabiewskiego poczuł w ręku coś szeleszczącego. Pan pisarz tedy, zamiast zapisać poprawkę, przestał dłużyć w nosie i położył

pióro, co oznaczało zawsze, że pragnie głos zabrać.

- Pan pisarz chce cosik powiedzieć - rozległy się głosy w zgromadzeniu.

- Ja chcę powiedzieć, żeście durnie - odpowiedział z flegmą pan pisarz.

Potęga prawdziwej parlamentarnej wymowy, choćby w najtreściwszej zawarta formie, tak jest wielka, że po powyższym orędziu, oznaczającym protest przeciw poprawce i w ogóle przeciw administracyjnej polityce ciała baraniogłowskiego, ciało wymienione poczęło spoglądać po sobie z niepokojem i drapać się w szlachetne organa myślenia, co u tego ciała było niezawodną oznaką głębszego w rzecz wnikania. Wreszcie po długiej chwili milczenia jeden z jego reprezentantów ozwał się tonem zapytania:

- Abo co?

- Boście durnie!

- Musi tak być! - ozwał się jeden głos.

- Łąka łąką - dodał drugi.

- A na wiosnę to nawet bez nią nie przejechać - zakończył trzeci.

Skutkiem tego poprawka zalecająca łąkę pana Skorabiewskiego upadła, przyjęto projekt urzędowy i zaczął się rozkład kosztów naprawy gościńca wedle nadesłanego kosztorysu.

Początkowo postawiono jeszcze projekt, aby koszta te poniósł wyłącznie dwór, który za to pozostaje w niezaprzeczonej już używalności łąki, ale gdy i ten nowy projekt dzięki panu Zołzikiewiczowi upadł, starania każdego z prawodawców zwróciły się już tylko do zwalnia ciężaru z siebie na

zadowolenia, jakie są bezpośrednim wpływem poczucia, że dla dobra ogólnego ponosi się jak największe ofiary. Sprawiedliwość do tego stopnia była już wkorzeniona w umysły ciała prawodawczego baraniogłowskiego, że nie udało się nikomu wykręcić z wyjątkiem samego wójta i ławnika Gomuły, którzy natomiast wzięli na siebie ciężar przypilnowania, ażeby wszystko szło jak najprędzej.

Należy jednak wyznać, że tak bezinteresowne poświęcenie się ze strony wójta i ławnika, jak każda cnota wychodząca poza obręb pospolicności, obudziło pewną zazdrość w innych ławnikach, a nawet wywołało jeden głos protestacji, który ozwał się gniewliwie:

- A wy to dlaczego nie będzieta płacić?

- A coże my to będziemy darmo pieniądze dawać, kiej tego, co wy zapłacita, wystarczy -

powiedział na to Gomuła.

Był to argument, na który - spodziewam się - nie tylko zdrowy rozsądek baraniogłowski, ale i żaden inny nie znalazłby odpowiedzi; głos zatem protestującego umilkł na chwilę, a po chwili odrzekł tonem przekonania:

- A prawda!

Sprawa była całkowicie ukończona i przystąpiono by zapewne bezzwłocznie do roztrząsania innych, gdyby nie nagłe a niespodziewane wtargnięcie do izby prawodawczej dwóch prosiąt, które wpadłszy jak szalone przez niedomknięte drzwi, zaczęły bez żadnej rozumnej przyczyny latać po izbie, kręcić się pod nogami i kwiczeć wniebogłose. Oczywiście obrady zostały przerwane, ciało prawodawcze zaś rzuciło się w pogoń za intruzami i przez pewien czas deputowani z rzadką jednomyślnością powtarzali: "A syk! a ciu! ażeby was paralus!", i tym podobnie. Prosięta tymczasem zabiły się pod nogi pana Zołzikiewicza i splamiły mu jakąś nadzwyczaj podejrzaną zielonością drugą parę kortowych koloru piaskowego, o której to zieloności - gdyby nasze gazety miały jak się należy korespondencje z prowincji -

czytalibyśmy, że się wyprać nie dała, choć pan Zołzikiewicz zmywał ją glicerynowym mydłem i tarł własną szczoteczką od zębów.

Dzięki jednak stanowczości i energii, która jak nigdy, tak i w tym wypadku nie opuściła przedstawicieli gminy baraniogłowskiej, prosięta zostały pochwycone za zadnie nogi i mimo najusilniejszych protestacji wyrzucone za drzwi, po czym już można było przejść do porządku dziennego. Na porządku tym znajdowała się obecnie sprawa włościanina imieniem Środa ze wzmiankowanym wyżej panem Flossem. Zdarzyło się, że woły. Środy, najadłszy się w nocy koniczyny pana Flosa, nad ranem opuściły ten padół łez i nędzy, przeniósłszy się do lepszego - wołowego świata. Zrozpaczony Środa przedstawił całą tę smutną sprawę sądowi prosząc o poratowanie i sprawiedliwość.

Sąd, wniknąwszy w głąb rzeczy, z właściwą sobie bystrością doszedł do przekonania, że choć Środa puścił umyślnie woły na pole Flossa, jednakże gdyby na tym polu rósł np. owies albo pszenica, nie zaś ta "gadzina" koniczyna, woły cieszyłyby się dotychczas najlepszym i najpożądańszym zdrowiem i z pewnością nie doznałyby tych smutnych przypadłości rozdęcia, których padły ofiarą. Wychodząc z tej premisy większej i przechodząc drogą równie logiczną, jak ściśle prawną do mniejszej, sąd wniósł, że przyczyną śmierci wołów w każdym razie był nie Środa, ale pan Floss; zatem pan Floss powinien Środzie za woły zapłacić, tytułem zaś przestrogi na przyszłość wnieść do kasy gminnej na kancelarię rs. 5. Suma powyższa na wypadek, gdyby obwiniony wypłaty jej odmówił, miała być ściągnięta z jego pachciarza Icka Zwejnos.

Następnie sądzono jeszcze wiele spraw natury cywilnej, wszystkie zaś one, o ile dotyczyły bliżej lub dalej genialnego Zołzikiewicza, były sądzone zupełnie samodzielnie, a przy tym na wagach czystej sprawiedliwości zawieszonych na gwicchie zdrowego baraniogłowskiego rozumu. Dzięki przy tym angielskiej zasadzie nieinterwencji, jakiej trzymała się wspomniana już wyżej "inteligencja", powszechna zgoda i jednomyślność rzadko tylko bywały zakłócone 48

obocznymi wzmiankami o paraliżu i przegniciu wątroby, i morowej zarazie, wypowiedzanymi sobie mimochodem w kształcie życzeń, tak przez strony sporne, jak i przez samych sędziów.

Sądzę, że również dzięki tej nieocenionej zasadzie nieinterwencji wszystkie sprawy mogły być rozstrzygane w ten sposób, że tak strona wygrywająca, jak i przegrywająca wносиły zawsze pewne kwoty, stosunkowo dość znaczne, "na kancelarię". Zapewniało to ubocznie tak pożądaną w instytucjach gminnych niezależność wójta i pisarza, a wprost mogło oduczyć ludzi pieniąctwa i podnieść moralność gminy Barania Głowa do stanu, o jakim na próżno marzyli filozofowie XVIII stulecia. Godnym było uwagi także i to, o czym zresztą wstrzymujemy się od wypowiedzenia pochwalnego lub nagannego zdania, że pan Zołzikiewicz zapisywał do ksiąg zawsze tylko połowę kwot przeznaczonych na kancelarię, druga zaś połowa przeznaczona była na "nieprzewidziane wypadki", w jakich znaleźć się mogli pisarz, wójt i ławnik Gomuła.

Na koniec przystąpiono do sądzenia spraw kryminalnych, skutkiem czego wydano rozkaz stójce przyprowadzenia więźniów i stawienia ich przed oblicze sądu. Nie potrzebuję dodawać, że w gminie Barania Głowa przyjęty był najnowszy i najbardziej zgodny z wymaganiami cywilizacji system więzienia cellowego, czyli komórkowego. Nie może to być podawanym przez złe języki w żadną wątpliwość. Jeszcze dziś każdy może się przekonać, że w wójtowskim chlewku w Baraniej Głowie znajduje się aż cztery przegrody. Więźniowie siedzieli w nich samotnie, w towarzystwie tych zwierząt, o których pewna zoologia dla użytku młodzieży mówi: "Świnia, zwierzę słusznie tak nazwane dla swojej niechlujności etc.", a którym natura bezwarunkowo odmówiła rogów, co może także służyć za dowód jej celowości. Otóż więźniowie siedzieli w komórkach tylko w takim towarzystwie, co, jak wiadomo, nie mogło im przeszkadzać w oddawaniu się refleksji, rozmyślaniom nad złem popełnionym i przedsięwzięciu poprawy życia.

Stójka tedy udał się bezzwłocznie do owego cellowego więzienia i z celek jego przyprowadził

przed oblicze sądu nie dwóch, ale wyraźnie d w o j e przestępców, z czego czytelnik może wnieść łatwo, jak delikatnej natury i jak głęboko psychologicznie zawikłane sprawy przychodziło czasem baraniogłowskiemu sądowi rozstrzygać. Jakoż istotnie sprawa była arcydelikatna. Pewien Romeo,

inaczej zwany Wach Rechnio, i pewna Julia, inaczej zwana Baśka Żabianka, służyli razem u pewnego gospodarza: on za parobka, ona za dziewczkę. I co tu ukrywać, kochali się nie mogąc żyć bez siebie, tak jak Newazendech bez Bezendecha, słowem: kochali się, nie wiem, czy platonicznie, ale słowo na to daję, że energicznie. Wkrótce jednak zazdrość wkradła się między Romea i Julię, ponieważ ta ostatnia ujrzała raz Romea zabawiającego się przydługo z Jagną ze dworu. Odtąd nieszczęśliwa Julia czekała tylko okazji. Jakoż pewnego dnia, gdy Romeo, wedle zapatrywania się Julii, za wcześnie przyszedł

z pola i natarczywie domagał się jeść, przyszło do wybuchu i zobopólnych wyjaśnień, przy czym zamieniono wzajemnie kilka tuzinów uderzeń pięścią i warząchwią. Oczywiście ślady tych uderzeń widne były w sińcach na idealnej twarzy Julii, również jak i na rozciętym czole pełnego męskiej dumy oblicza Romea. Sądowi pozostawało teraz zawyrokować, po czyjej stronie była słuszność i kto komu miał wręczyć tytułem wynagrodzenia, tak za zawód miłosny, jak i za skutki wybuchu, złotych pięć, czyli, wyrażając się poprawniej, kop. sr.

siedemdziesiąt pięć.

Zdrowej duchowej treści sądu nie zdołał jeszcze owionąć przegniły powiew Zachodu; dlatego brzydząc się do głębi duszy emancypacją kobiet, jako rzeczą wprost przeciwną więcej sielankowym usposobieniom słowiańskim, sąd dał pierwszy głos Romeowi, który trzymając się za rozcięty łeb tak mówić począł:

- Jelemożny sądzie! A to ta psia jucha już dawno spokoju mi nie daje. Przyszedłem, jak kto dobry, na podwieczerek, a ona do mnie: "Ty psie, kasztanie, powiada, to gospodarz jeszcze w polu; a ty, pada, przychodzisz już do domu? Za piecem, pada, się układasz i będziesz na mnie mrygał?" A ja nigdy na nią nie mrygałem, ino co mnie widziała z Jagną ze dwora, com 49

jej pomógł wiader ze studni wyciągać, to od tego czasu na mnie zła. Huknęła mi misą o stół, mało mi strawa nie wyleciała, a potem i pożreć nie dała, tylko tak mi wymyślała: "Ty pogański synu, pada, ty odmieńcze, ty omętro, ty sufraganie!" Dopiero jak mi powiedziała:

"sufraganie", tak ja ją w pysk, ale ino tak, przez złości, a ona mnie warząchwią w łeb...

Tu idealna Julia nie mogła już wytrzymać, ale złożywszy pięść i podsunąwszy ją pod nos Romea, krzyknęła przeraźliwym głosem

- A nieprawda! nieprawda! nieprawda! Szczekasz jak pies!

Potem rozplakała się całym wezbranym sercem i zwróciwszy się do sądu zaczęła wołać:

- Jelemożny sądzie! Oj! ja nieszczęśliwa sierota, o dla Boga, rety! Nie przy studni ja jego z Jagną widziałam, żeby ich olśnęło! - ino widziałam, jak poszli w żyto i tam z pięć pacierzy siedzieli. Rozpuśniku! powiadam, małoś ty razy "gadoł" do mnie, co mnie tak kochasz, żebyś ino zaraz chciał mnie pięścią pod ziobro! A żeby on skapiał, żeby jemu język kołem stanął!

Nie warząchwią by jego po łbie, oj! doloż moja! ino kłonicą. Słońce jeszcze wysoko, a on już z pola

schodzi i żreć woła! Mówię mu, jak komu dobremu, grzecznie: "Ty złodziejski potrecie, to gospodarz jeszcze w polu, a ty już do dom?" Ale "sufraganie" mu nie mówiłam, tak mi Panie Boże dopomóż... A żeby jego...

W tym miejscu wójt przywołał do porządku obwinioną uczyniwszy jej uwagę w kształcie zapytania:

- Nie stuliszże ty mordy, utrapiona?

Nastąpiła chwilowa cisza, sąd począł się namyślać nad wyrokiem i - co za delikatne poczucie sytuacji! - pięciu złotych nie przysądził żadnej stronie, ale tylko, tak dla zachowania swej powagi, jak i dla przestrogi wszystkim zakochanym parom w całej Baraniej Głowie, skazał

skarżących się na odsiedzenie jeszcze dwudziestu czterech godzin w cellowym więzieniu i na zapłacenie na kancelarię po rubli srebrem jeden.

"Od Wacha Rechnia i Baški Żabianki na kancelarię po kopiejek srebrem pięćdziesiąt" -

zapisał pan Zołzikiewicz.

Po czym posiedzenie było skończone. Pan Zołzikiewicz wstał i pociągnął swoje kortowe koloru piaskowego w górę, a fioletową kamizelkę na dół. Ławnicy w zamiarze rozejścia się już brali za czapki i bicze, gdy nagle drzwi zamknięte po napadzie prosiąt rozwarły się na roścież i ukazał się w nich Rzepa, chmurny jak noc, a za nim Rzepowa i Kruczek.

Rzepowa była bledziusia jak płótno; jej śliczne, delikatne rysy wyrażały smutek i pokorę, a w wielkich czarnych oczach ukazywały się łzy, ściekające następnie po policzkach.

Rzepa wszedł było hardy, z głową zadartą, ale jak zobaczył cały sąd, a "mętał" na wójcie, a krucyfiks, a kozią bródkę i zadarty nos na wysokich nogach, tak zaraz stracił minę i dość cichym głosem ozwał się:

- Niech będzie pochwalony!

- Na wieki wieków! - odpowiedzieli chórem ławnicy.

- A wy tu czego chceta? - spytał groźnie wójt, który zrazu zmieszał się, ale już przyszedł do siebie. - Sprawę jaką mata?

Pobiliśta się czy co?

Nadspodziewanie pan pisarz wtrącił:

- Dajcie im mówić.

Rzepa zaczął..

- Jelemożny sądzie... A niech to najjaśniejsze...

- Cichaj! Cichaj! - przerwała kobieta - dajże mnie mówić, a ty cicho siedź.

To rzekłszy obtarta fartuchem łzy i nos i głosem drgającym poczęła opowiadać całą sprawę.

Ach! ale gdzież to ona przyszła?

Oto przyszła na skargę na wójta i na pisarza: przed... wójta i pisarza. "Wzięli go - mówiła -

obiecowali mu las, byle podpisał, to i podpisał. Dali mu pięćdziesiąt rubli, a on był pijany i nie wiedział, że zaprzedał dolę swoją i moją, i dzieciaka. Pijany był, wielmożny sędzie, 50

pijany jak nieboskie stworzenie - mówiła dalej już z płaczem. - Toć pijany nie wie, co robi, toć i w sędzie, jak kto po pijanemu przeszkrobie, to mu folgują, bo powiadają: nie wiedział, co robił. Na miłosierdzie boże! a toć trzeźwy człowiek nie sprzedałby za pięćdziesiąt rubli doli swojej! Oj! ulitujta wy się nade mną i nad nim, i nad dzieckiem niewinnym! W co ja się obróczę, nieszczęśliwa, sama samiuteńka na świecie

bez niego, bez "nieboracyska" mojego! Oj, Bóg wam za to da szczęście i zapłaci wam za biedaków!"

Tu łkanie przerwało jej dalsze słowa. Rzepa także płakał i wycierał co chwila nos w palce.

Ławnicy posowieli i spoglądali jeden na drugiego, to znów na pisarza i wójta, nie wiedząc, co czynić.

Aż Rzepowa znowu zebrała się z głosem i tak mówić poczęła:

- Chłoposko chodzi jak struty. "Ciebie, powiada, zabiję, dzieciaka zgładzę, chałupę spalę, a powiada, nie pójdę i nie pójdę." A cóżem ja winna, nieboga? albo i dzieciak? On już ani do gospodarstwa, ani do kosy, ani do siekiery, ino siedzi w izbie i wzdycha, i wzdycha, ale ja sądu czekałam; toć wy, ludzie, macie Boga w sercu i na naszą krzywdę nie pozwolicie.

Jezusie Nazareński, o Matko Boska Częstochowska! przyczyniżę Ty się, przyczyniżę za nami!...

Przez chwilę słyhać znów było tylko szlochanie Rzepowej, na koniec stary jeden ławnik mruknął:

- A, dyć to nieładno człeka upoić i zaprzedać

- Bo i nieładno! - odpowiedzieli inni.

- Niech was Bóg i Przenajświętsza Jego Rodzicielka błogosławi - zawołała klękając w progu Rzepowa.

Wójt zasromał się, nie mniej markotny był i ławnik Gomuła; obaj zaś spoglądali na pisarza, który dłuwał w nosie, ale gdy Rzepowa skończyła, przestał dłuwać w nosie i rzeki do mruczących ławników:

- Jesteście durnie!

Nastąpiła cisza, jak makiem siał, pisarz mówił dalej:

- Wyraźnie stoi napisane, że kto się będzie wtrącał do dobrowolnego kontraktu, będzie sądzony morskim sądem, a czy wiecie, durnie, co to jest morski sąd? Wy tego, durnie, nie wiecie, morski sąd to jest...

Tu wydobył chustkę i utarł nos, w którym przez ten czas nagromadziło się sporo materiału, potem głosem zimnym i urzędowym tak dalej swoją rzecz prowadził:

- Który, kpie jeden z drugim, nie wiesz, co jest morski sąd, to wsadź tylko nos w taką sprawę, a poznasz, co to jest morski sąd, aż cię siódma skóra zabolí. Jak się ochotnik znajdzie za popisowego, to tobie jednemu z drugim wtrącać się do nich wara.

Uгода podpisana, świadkowie są, i szabas! To się rozumie w konstytucji, w jurysprudencji " i w prawie pierwszego zwodu " komisji najwyższej do spraw włościańskich, a nie wierzysz, to patrz w procedurze i w zsyłkach. A jeśli i piją przy tym, to i cóż? Albo to wy nie pijecie, durnie, zawsze i wszędzie?

Gdyby sama sprawiedliwość z wagą w jednym, a gołym mieczem w drugim ręku wylazła z za wójtowskiego pieca i stanęła nagle między ławnikami, nie byłaby ich więcej przestraszyła jak ten morski sąd, konstytucje, jurysprudencje, procedury i zsyłki. Przez chwilę panowało głuche milczenie i dopiero po jakimś czasie ozwał się Gomuła cichym głosem na który obejrżeli się wszyscy, jakby zdziwieni jego śmiałością:

- Dyć prawda! konie sprzedasz, napijesz się; wołu sprzedasz, też; świnie, też. To już taki obyczaj.

Toćwa napiliśmy się i wtedy ino wedle obyczaju - wtrącił wójt.

A potem ławnicy śmielej zwrócili się do Rzepy:

- Cóż, kiejś sobie piwa nawarzył, to go pij.

- Albo to tobie sześć lat? Albo ty nie wiesz, co robisz?

51

- Łba ci przecięć nie urwą.

- A jak pójdziesz do wojska, to se do dom możesz parobka nająć: on cię ta zastąpi i przy chałupie, i przy kobiecie.

Wesołość zaczęła ogarniać z wolna zgromadzenie.

Nagle pisarz znowu otworzył usta: uciszyło się wszystko.

- Ale wy nie wiecie - mówił - w co wam się wtrącać, a czego nie tykać. W to, że Rzepa groził

żonie i dzieciakowi, w to, że obiecywał spalić własną chałupę, w to wy się wtrącać możecie i takiej rzeczy płazem nie puścić. Kiedy Rzepowa przyszła na skargę, niechże od sądu bez sprawiedliwości nie odchodzi.

- Nieprawda! nieprawda! - zawołała z rozpaczą Rzepowa - ja się nie skarżyłam, ja ta nigdy żadny krzywdy od niego nie doznałam. O! Jezusie, o rany słodkie Boga żywego, chyba się świat już skończył!

Ale sąd się zagaił i bezpośrednim jego rezultatem było, że Rzepowie nie tylko nic nie wskórali, ale jeszcze sąd, w słusznej troskliwości tak o porządek publiczny, jako i o całość Rzepowej, postanowił ją ubezpieczyć przez zamknięcie Rzepy w chlewku na dwa dni. Żeby zaś na przyszłość podobne myśli nie przychodziły mu do głowy, postanowionym było przy tym, żeby na kancelarię zapłacił rubli srebrem dwa kopiejek pięćdziesiąt.

Ale Rzepa rzucił się jak wściekły i krzyknął, że do chlewka nie pójdzie; co zaś do kancelaryjnego, to nie dwa, ale pięćdziesiąt rubli wziętych od wójta rzucił na ziemię wołając:

"Niech je se ta bierze, kto chce!" Zaczął się rozgardiasz straszny. Stójka wpadł i dalej Rzepę ciągnąc; Rzepa go pięścią, on Rzepę za łeb; Rzepowa w krzyk, aż jeden z ławników wziął ją za kark i wyrzucił za drzwi dawszy pięścią w krzyż na drogę, inni zaś pomogli stójce zaciągnąć Rzepę za kołtuny do chlewka.

Pisarz tymczasem zapisał: "Od Wawrzona Rzepy rs. 1 kop. 25 na kancelarię."

Rzepowa szła do pustej chałupy prawie bez przytomności. Nie widziała nic przed sobą i co kamień, to się o niego potknęła, a ręce łamała nad głową, a zawodziła:

- Oo! oo! oo!

Wójt, że to miał serce dobre, wiec idąc z wolna z Gomułą ku karczmie rzekł:

- Mnie ta cosik tej baby żal. Albo im dołożę jeszcze ćwiartczynę grochu, albo co?

Tymczasem stary ławnik, ten sam, który ujmował się za Rzepową, mówił do drugich:

- A ja wam pojedam, żeby ino panowie na sądy chodziwali, to by takich rzeczy się nie działo.

To rzekłszy siadł na wóz, machnął biczem i pojechał - bo on nie był z Baraniej Głowy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Imogena

Tu spodziewam się, że czytelnik dostatecznie zrozumiał już i ocenił genialny plan mego sympatycznego bohatera. Dał pan Zołzikiewicz, co się nazywa, szach mat Rzepowej i Rzepie.

Zapisać Rzepę na listę to do niczego nie wiodło. Ale upoić go, sprawić, żeby sam ugodę podpisał,

pieniądze wziął, to trochę wikłało sprawę i było zręcznością dowodzącą, że przy zbiegu okoliczności pan Zołzikiewicz mógłby odegrać znakomitą rolę, np. w świecie dyplomatycznym. Wójt, który był gotów syna za ośmset rubli, to jest zapewne całą swoją

"koprowinę", wykupić, zgodził się na ten plan z radością, tym bardziej że Zołzikiewicz, równie umiarkowany jak genialny, wziął dla siebie tylko dwadzieścia pięć rubli za sprawę.

Ale on i te pieniądze wziął nie z chciwości, tak jak również nie z chciwości dzielił się kancelaryjnym z Burakiem. Mamże wyznać, że pan Zołzikiewicz był w ciągłych długach u Srula, krawca z Osłowic, który całą okolicę zaopatrywał w "cisto paryską" garderobę?

Ale teraz, gdym już raz wszedł na drogę wyznań, nie będę ukrywał, dlaczego pan Zołzikiewicz ubierał się tak starannie. Płynęło to zapewne z estetycznego poczucia, ale był i inny powód. Oto pan Zołzikiewicz się kochał. Nie myślcie jednak, żeby w Rzepowej. Na 52

Rzepową miał, jak się kiedyś wyraził sam, "apetycik", i basta. Ale oprócz tego pan Zołzikiewicz zdolny był i do uczuć wyżej sięgających i bardziej złożonych. Czytelniczki, jeżeli nie czytelnicy, domyślają się już zapewne, że przedmiotem tych ostatnich uczuć nie mógł być przecie kto inny, jak panna Jadwiga Skorabiewska. Nieraz, kiedy na niebo wschodził srebrny księżyc, pan Zołzikiewicz brał harmonijkę, na którym to instrumencie grywał biegle, siadał na ławce przed czworakami i spoglądając w stronę dworu, przy melancholicznych, a czasem i sapiących dźwiękach nucił: A od samego prawie świtania

Do późnej nocy łąy leję;

W nocy oddycham przez ciężkie wzdychania,

Straciłem wszelką nadzieję.

Głos biegł w stronę dworu wśród poetycznej ciszy nocy letnich, a pan Zołzikiewicz dodawał

jeszcze po chwili:

O ludzie, ludzie, ludzie nieczuli,

Coście młodzieńca życie zatruli.

Kto by jednak chciał posądzać pana Zołzikiewicza o sentymentalizm, temu wręcz powiem, że się myli. Nadto trzeźwy był umysł tego wielkiego człowieka, aby być sentymentalnym; w marzeniach też jego zwykle panna Jadwiga podstawiała się za Izabelę, on za Serrana lub Marforego, a tam już wykładnik tego stosunku bywał taki sam jak w Hiszpanii, to jest całowanie w pończochy i tam dalej. Że jednak rzeczywistość nie odpowiadała marzeniom, więc ten żelazny człowiek raz jeden zdradził się ze swoim uczuciem, a mianowicie wtedy, kiedy pewnego wieczora spostrzegł na sznurze koło drwalni suszące się spódnice i po znakach J. S. wraz z koroną przy rozporoku poznał, że należą do panny Jadwigi. Wówczas, powiedz pan dobrodziej, któż by wytrzymał? Więc i on nie wytrzymał: zbliżył się i począł

gorąco całować jedną z tych spódnic, co zobaczywszy dworska dziewczka Małgośka poleciała zaraz do dworu z językiem i doniesieniem, że "pan pisarz nos se w panienki spódnicę wyciero". Na szczęście jednak nie uwierzono temu, tym bardziej że na spódnicy nie było żadnego corpus delicti - i tak uczucie pana pisarza pozostało nie znanym nikomu.

Czy jednak miał jaką nadzieję? Nie bierzcie mu, państwo dobrodziejstwo, tego za złe: miał!

Ile razy szedł do dworu, jakiś głos wewnętrzny, słaby wprawdzie, ale nieustający, szeptał mu do ucha: "A nuż dziś panna Jadwiga w czasie obiadu przydepcie ci nogę pod stołem?..."

- Hm! mniejsza by i o lakierki - dodawał z ową wielkością duszy właściwą prawdziwie zakochanym.

Czytanie wydawnictw pana Breslauera dawało mu wiarę w możliwość rozmaitych przydeptywań. Ale panna Jadwiga nie tylko mu nic nie przydeptywała, ale - któż zrozumie kobietę?! - patrzyła na niego tak, jak by patrzyła na płot, na kota, na talerz lub coś podobnego.

Co on się biedak nie namęczył, żeby zwrócić jej uwagę na siebie. Nieraz zawiązując niesłychanego koloru krawat lub kładąc jakieś nowe korty z bajecznymi lampasami myślał

sobie: "No, teraz przecież zauważy!" Sam Srul odnosząc mu nowe ubranie mawiał: "Ny! w takich spodniach to choćby z psieprosieniem do hrabianki można iść." Gdzie tam! Przyszedł

było na obiad; wchodzi panna Jadwiga, dumna, niepokalana i czysta, jakby jaka królowa: zaszeleści suknią, fałdami i fałdeczkami otaczającymi marmurowe tajemnice jej ciała; potem siada, bierze w cienkie paluszki łyżkę i ani spojrzy.

Czy ona nie rozumie, że to i kosztuje!" - myślał z rozpaczą Zołzikiewicz.

Jednak nadziei nie tracił. "Gdyby tak zostać podrewizorem! - myślał - człowiek by ani nogą ze dworu. Z podrewizora do rewizora niedaleko! człowiek by miał najtyczankę, parę koni, a to choćby już wtedy przynajmniej rękę uściśnieła pod stołem..." Pan Zołzikiewicz zapuszczał

się jeszcze w niezmiernie dalekie konsekwencje tego uściśnienia ręki, ale myśli tych, jako zbyt tajemnie - serdecznych, zdradzać już nie będziemy.

53

Jaka to jednak była natura bogata ten pan Zołzikiewicz, dowodzi tego łatwość, z jaką obok idealnego uczucia dla panny Jadwigi, które zresztą odpowiadało arystokratycznym usposobieniom tego młodzieńca, mieściło się w nim równoznaczne z "apetycikiem" uczucie do Rzepowej. Prawda, że Rzepowa była śliczna kobieta, co się nazywa; nie byłby jednak zapewne ów baraniogłowski Don Juan tyle jej zachodów poświęcał, gdyby nie dziwna i zasługująca na ukaranie oporność tej kobiety. Oporność w prostej kobiecie - i komu? jemu -

wydawała się panu Zołzikiewiczowi czymś tak zuchwałym, a zarazem niesłychanym, że nie tylko Rzepowa nabrała zaraz w jego oczach uroku zakazanego owocu, ale postanowił przy tym dać jej naukę, na jaką zasługiwała. Zajście z Kruczkiem ustaliło go jeszcze w przedsięwzięciu. Wiedział

jednak, że ofiara będzie się bronić, dlatego wymyślił ową dobrowolną ugodę Rzepy z wójtem, która oddawała pozornie przynajmniej na jego łaskę i niełaskę tak samego Rzepę, jak i całą jego rodzinę.

Ale Rzepowa po owym zajściu w sądzie nie dawała jeszcze za wygraną. Nazajutrz była niedziela, postanowiła więc pójść, jak zwykle, na sumę do Wrzeciędzy, a zarazem poradzić się księdza. Księży było dwóch: jeden proboszcz, kanonik Ulanowski, ale tak już stary, że aż mu oczy ze starości na wierzch wylaziły jak rybie, a głowa trzęsa się na obie strony; nie do niego postanowiła więc udać się Rzepowa, ale do wikarego, księdza Czyżyka, który był

człowiek bardzo świątobliwy i rozumny, mógł więc dobrą radę dać i pocieszyć. Chciała było Rzepowa pójść wcześniej i jeszcze przed sumą się z księdzem Czyżykiem rozmówić, ale że to musiała i za siebie, i za męża robić, bo mąż siedział w chlewku, nim więc poprzątnęła chałupę, nim dała jeść koniowi, świniom i krowie, nim ugotowała śniadanie i zaniosiła je w dwojakach Rzepie do chlewa, słońce było już wysoko i wymiarkowała, że przed sumą nie zdąży.

Jakoż gdy przyszła, nabożeństwo już się zaczęło. Kobiety poubierane w zielone przyjaciółki siedziały na cmentarzu i duchem kładły trzewiki, które ze sobą w rękach przyniosły. Uczyniła tak i Rzepowa i zaraz do kościoła. Ksiądz Czyżyk właśnie miał kazanie, a kanonik siedział w birecie na krześle wedle ołtarza i wytrzeszczał oczy trzęsąc głową swoim zwyczajem. Było już po ewangelii, teraz zaś, nie wiem już zresztą z jakiego powodu, ksiądz Czyżyk mówił o średniowiecznej herezji katharów i tłumaczył swoim parafianom, w jaki jedynie zgodny z zasadami Kościoła sposób mają zapatrywać się tak na owa herezję, jak i na bullę Ex stercore przeciw niej wymierzoną. Potem bardzo wymownie i z wielkim przejęciem się ostrzegał

swoje owieczki, aby jako prostaczkowie, ubodzy niby owi ptakowie niebiescy, a zatem mili Bogu, nie słuchali rozmaitych fałszywych mędrców i w ogóle ludzi zaślepionych pychą szatańską, którzy kąkol sieją zamiast pszenicy, a łzy i grzech zbierać będą. Tu mimochodem wspomniał o Condillacu, Voltairze, Rousseau i Ochorowiczu, nie czyniąc zresztą między tymi mężami różnicy, a w końcu przeszedł do szczegółowego opisywania rozmaitych nieprzyjemności, na jakie potępieńcy będą na tamym świecie narażeni. A w Rzepową od razu jakby inny duch wstąpił, bo choć i nie rozumiała tego, co ksiądz Czyżyk mówił, ale pomyślała sobie, że "juści musi pięknie mówić, kiej tak krzyczy, że aż cały w potach stanął, a ludziska to tak wzdychają, jakby już ostatnią parę mieli puścić". Potem kazanie się skończyło, a zaczęła się suma. Oj! modliła się też Rzepowa, nieboga, modliła, jak nigdy w życiu, ale też czuła, że jej coraz lżej i lżej na sercu.

Aż wreszcie nadeszła uroczysta chwila. Bielusieńki jak gołąb dziekan wydobył

Przenajświętszy Sakrament z cyborium, a potem odwrócił się do ludzi i trzymając w drżących rękach monstrancję jak słońce tuż koło twarzy, stał tak przez czas jakiś z przymkniętymi oczyma i schyloną głową, jakby sam czując wielką świętość chwili i jakby zbierając się z duchem, aż wreszcie zaintonował: "Przed tak wielkim Sakramentem!"

A ludzie we sto głosów huknęli mu zaraz w odpowiedź:

Upadajmy na twarzy,

Nowym prawom już starzy;

Wiara będzie suplementem.

Co się zmysłom nie zdarzy...

Pieśń brzmiała, aż się szyby zatrzęśły; zahuczał organ, zabrzęczały dzwonki i dzwony; przed kościołem grzmiał bęben, z trybularzy wzniosły się dymy błękitne, a słońce weszło przez okno i oświeciło jakoby tęczą owe zwoje. Wśród tego gwaru, dymów, promieni, głosów błyskał tylko czasem wysoko Przenajświętszy Sakrament, który ksiądz to zniżał, to podnosił, i wydawał się wówczas ów biały staruszek z monstrancją jak jakieś zjawisko niebieskie, na wpół mgłą dymów przesłonięte a promienne, od którego biła błogość i otucha, zlewając się na wszystkie serca i na wszystkie dusze pobożne. Ono ta błogość i uspokojenie wielkie wzięły pod skrzydła boże i strapioną duszę Rzepowej: "Jezusie w Przenajświętszym Sakramencie utajony! Jezusie! - wołała nieszczęśliwa kobieta - nie opuszczajże mnie, niebogę!" I z oczu płynęły jej łzy, ale już nic te łzy, którymi płakała u wójta, ale dobre jakieś, choć duże jak kałakuckie perły, ano słodkie przy tym i spokojne. Padła Rzepowa przed majestatem bożym twarzą na podłogę, a potem to już i sama nie wiedziała, co się z nią stało. Zdawało się jej, że anieli niebiescy podjęli ją z ziemi i jako liść marny zanieśli aż do nieba, w wiekiustą szczęśliwość, gdzie nie było ani pana Zołzikiewicza, ani wójta, ani spisów wojskowych, tylko jakby jedna zorza, a w owej zorzy tron boski, koło tronu zasię światłość taka, że trzeba było oczy mrużyć, i całe chmary aniołków niby ptaszków z białymi skrzydełkami.

Rzepowa leżała tak długo. Gdy się podniosła, już było po mszy; kościół opustoszał; dymy poszły pod sufit; ostatni ludzie wychodzili przeze drzwi, a na ołtarzu dziad gasił świece, więc Rzepowa się podniosła i poszła na parafię rozmówić się z księdzem wikarym.

Ksiądz Czyżyk jadł właśnie obiad, ale wyszedł zaraz, jak mu tylko dali znać, że jakaś zapłakana kobieta chce się z nim widzieć. Był to młody jeszcze ksiądz, z twarzą bladą, ale pogodną; czoło miał białe, wysokie i łagodny uśmiech na twarzy.

- A czego to chcecie, moja kobieto? - spytał cichym, ale dźwięcznym głosem.

Rzepowa podjęła go pod nogi i nuż mu opowiadać całą sprawę i popłakiwać przy tym, i całować go po rękę, aż wreszcie podnosząc nań pokornie swoje czarne oczy rzecze:

- Oj! porady, dobrodzieju, porady przysłałam od was szukać.

- I nie omyliliście się, moja kobieto - odpowiedział łagodnie ksiądz Czyżyk. - Ale ja mam tylko jedną poradę. Oto ofiarujcie Bogu wszystkie swoje strapienia. Bóg doświadcza swoich wiernych: doświadcza ich nawet i srodze jako Hioba, któremu psy własne lizały rany bolące, lub jako Azariasza, na którego zesłał ślepotę. Ale Bóg wie, co robi, i wiernych swoich potrafi za to wynagrodzić. Nieszczęście, jakie przytrafiło się waszemu mężowi, uważajcie jako karę bożą za

ciężki jego grzech pijaństwa i dziękujcie Bogu, że karząc go za życia, może odpuścić mu po śmierci.

Rzepowa popatrzyła na księdza swymi czarnymi oczyma, potem podjęła go pod nogi i odeszła cicho, nie rzekłszy ani słowa.

Ale przez drogę czuła, jakby ją coś dusiło za gardło.

Chciała płakać i nie mogła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Imogena

Po południu, koło godziny piątej, na głównej drodze między chałupami błysnęła w dali błękitna parasolka, żółty ryżowy kapelusik z błękitnymi wstążkami i migdałowa sukienka garniowana także błękitno: to panna Jadwiga szła na spacer po obiedzie, obok niej zaś kuzyn pan Wiktor.

Panna Jadwiga była to ładna panna, co się nazywa: włosy miała czarne, oczy niebieskie, płeć jak mleko, a przy tym ubranie dziwnie starowne, schludne i wykwintne, że aż promienie były

od niego, dodawało jej jeszcze uroku. Jej śliczna dziewczęca kibić rysowała się wdzięcznie, jakoby płynąc w powietrzu. Jedną ręką podtrzymywała panna Jadwiga parasolkę, a drugą zaś suknię, spod której widać było brzeżek karbowany białej spódniczki i śliczne małe nóżki obute w buciki węgierskie.

Pan Wiktor, który koło niej szedł, choć miał ogromną, kręconą, jasnej barwy czuprynę i broda tylko co mu się puszczała, wyglądał także jak malowanie.

Biło od tej pary zdrowiem, młodością, wesołością, szczęściem; a przy tym znać było po oboju owo życie wyższe, świąteczne; życie skrzydlatych polotów nie tylko w świat zewnętrzny, ale w świat myśli, szerszych pragnień, równie szerokich idei, a czasem w złote i promienne szlaki marzeń.

Wśród tych chałup, obok dzieci wiejskich, chłopów i całego prostackiego otoczenia wyglądali oboje jakby jakieś istoty z innej planety. Aż miło było pomyśleć, że nie istniał żaden związek między tą pyszną, rozwiniętą i poetyczną parą a prozaicznym, pełnym szarej rzeczywistości i na wpół zwierzęcym bytem wioski. Nie istniał żaden związek, przynajmniej duchowy. Szli oto oboje obok siebie i rozmawiali o poezji, literaturze, jako zwyczajnie dworny kawaler i dworna panna. Ci ludzie w parcianej odzieży, ci chłopcy i te baby nie rozumieliby nawet ich słów i języka. Aż miło pomyśleć! Przyszajcież mi to, acaństwo dobrodzieństwo!

W rozmowie tej pysznej pary nie było nic, czego by się nie słyszało ze sto razy. Z książki na książkę przeskakiwali jak motyl z kwiatu na kwiat. Ale nie wtedy taka rozmowa wydaje się czczą i pospolitą, kiedy się rozmawia z lubą duszą duszyczką, kiedy rozmowa jest tylko osnową, na której ona duszka złote kwiaty własnych uczuć i myśli dzierzga i kiedy od czasu do czasu rozchyła swe wnętrze jakoby spłonione wnętrze białej róży. A przy tym taka rozmowa wlatuje, bądź co bądź, jak ptak do góry, w sfery błękitne, czepia się świata duchowego i pnie się w górę jakoby wijąca roślina po tyczce. Tam w karczmie ludziska pili i w prostackich słowach o prostackich prawili rzeczach, a owa para płynęła

w inną krainę i na okręcie, który miał, jak mówi piosnka Gounoda:

Maszty z kości słoniowej,

flagą jedwab różowy

I szczerzłoty ster.

Obok tego jeszcze należy dodać, że panna Jadwiga zawracała dla wprawy głowę kuzynkowi.

W tych warunkach najczęściej mówi się o poezji.

- Czytała pani ostatnie wydanie Elego "? - pytał kawaler.

- Wie pan, panie Wiktorze - odrzekła panna Jadwiga - że ja przepadam za Elim. Gdy go czytam, zdaje mi się, że słyszę jakąś muzykę i mimo woli stosuję do siebie ów wiersz Ujejskiego:

Leżę na obłoku,

Roztopiony w ciszę;

łzę mam senną w oku,

Oddechu nie słyszę.

Fiołkowej woni

Otacza mnie morze;

Dłoń złożywszy w dłoni,

lecę... płynę...

- Ach! - przerwała nagle - gdybym go znała, jestem pewna, że byłabym w nim zakochana.

Zrozumielibyśmy się z pewnością.

- Na szczęście jest żonaty! - odparł sucho pan Wiktor.

Panna Jadwiga schyliła trochę główkę, ścisnęła półuśmiechem usta, aż jej się dołki ukazały na policzkach, i spoglądając z ukosa na pana Wiktora spytała:

- Dlaczego pan mówi: na szczęście?

- Na szczęście dla tych wszystkich, dla których by życie nie miało wówczas żadnego powabu.

To mówiąc pan Wiktor był bardzo tragiczny.

- O! pan za dużo mi przypisuje.

Pan Wiktor przeszedł na lirykę.

- Pani jesteś aniołem...

- No... to dobrze... to mówmy o czym innym. Więc pan nie lubi Elego?

- Zacząłem go nienawidzić przed chwilą.

- Brzydki grymaśnik z pana. Doprawdy warto panu dać klapsa. Proszę się rozchmurzyć i wymienić mi swego ulubionego poetę.

- Sowiński... - mruknął ponuro pan Wiktor.

- A ja się go po prostu boję. Ironia, krew, pożar... dzikie wybuchy, br!

- Takie rzeczy nie przestraszają mnie wcale.

To rzekłszy pan Wiktor spojrzał tak walecznie przed siebie, że aż pies, który wybiegł z jednej chałupy, schowawszy ogon pod brzuch cofnął się, przerażony.

Tymczasem doszli do czworaków, w oknie których mignęły im: kozia bródka, zadarty nos i jasnozielony krawat, a potem zatrzymali się przed ładnym domkiem pokrytym dzikim winem i patrzącym tylnymi oknami na staw.

- Widzi pan, jaki to ładny domek: to jest jedyne poetyczne miejsce w Baraniej Głowie.

- Cóż to za dom?

- To była dawniej ochrona. Tu dzieci wiejskie uczyły się czytać, gdy rodzice byli w polu.

Papa naumyślnie kazał wybudować ten dom.

- A teraz cóż w nim jest?

- Teraz tam stoją beczki z okowitą. Rozumie pan? Czasy się zmieniły. Teraz sąsiadujemy tylko z naszymi chłopami, starając się nie mieć żadnych z nimi stosunków.

- Hm! - mruknął pan Wiktor - a jednak...

Ale nie dokończył myśli, bo doszli do wielkiej kałuży, w której leżało kilka świń, "słusznie tak nazwanych dla swego niechlujstwa". Żeby tę kałużę obejść, potrzeba było przejść koło chaty Rzepowej; poszli więc tamtędy.

Przed wrotami siedziała na pieńku Rzepowa z łokciami opartymi na kolanach i z twarzą podpartą na

ręku. Twarz ta była blada i jakoby skamieniała, oczy czerwone, wejrzenie mętne i utkwione w dal bez myśli.

Rzepowa nie słyszała nawet przechodzących, ale panienka spostrzegła ją zaraz i rzekła:

- Dobry wieczór, Rzepowa!

Rzepowa wstała i zbliżywszy się, podjęła pod nogi pannę Jadwigę i pana Wiktora, przy czym rozplakała się cicho.

- Co to wam, Rzepowa? - spytała panna.

- Oj, jagódko moja złota, o, zorzo moja rumiana! może mi Bóg ciebie zesłał! Przyczyńże ty się za mną, pociecho nasza!

Tu Rzepowa zaczęła opowiadać rzecz cała przeplatając opowiadanie całowaniem panienki po rękę, a raczej po rękawiczkach, które przy tym łzami plamiła; panienka zmieszała się bardzo: widać było wyraźnie kłopot na jej ładnej, poważnej twarzyczce i sama nie wiedziała, co począć, na koniec jednak rzekła z wahaniem:

- Cóż ja wam poradzę, moja Rzepowo! Enfin! Doprawdy, mnie was żal bardzo, ale my teraz nie mamy żadnej władzy... i nie mieszamy się do niczego... Doprawdy... cóż ja mogę wam poradzić. Idźcie zresztą do papy... może papa... No, bądźcie zdrowi, moja dobra Rzepowo...

To rzekłszy panna Jadwiga podniosła jeszcze wyżej migdałową sukienkę, aż nad trzewiczkiem błyszcząca biała w błękitne paski pończoszka, potem zaś panna Jadwiga poszła dalej z panem Wiktorem.

- Niech cię Bóg błogosławi, kwiateczku najpiękniejszy! - zawołała za nią Rzepowa.

Panna Jadwiga posmutniała jednak, a panu Wiktorowi zdawało się nawet, że widzi łezkę w jej oku: więc żeby odgonić smutek, zagadał o Kraszewskim i o innych, mniejszych już rybach 57

literackiego morza; jakoż w rozmowie, która ożywiła się, stopniowo, zapomnieli wkrótce oboje o tej "niemiłej sprawie".

- Do dworu? - mówiła sobie tymczasem Rzepowa. - A toć mnie tam najpierw trzeba było iść, jeszcze przedtem niż do wójta. A gdzież się udać, skąd ratunku wyglądać, jeśli nie ze dworu?

Oj! głupia też ze mnie kobieta!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Imogena

We dworze był ganek obrośnięty winem, z widokiem na dziedziniec i na topolową drogę. W

tym ganku państwo pijali latem kawę po obiedzie. Siedzieli też tam i teraz, a z nimi razem ksiądz dziekan Ulanowski, ksiądz Czyżyk i rewizor gorzelany Stołbicki. Pan Skorabiewski, człowiek dość otyły i dość czerwony, z wielkimi wąsami, siedział na krześle paląc fajkę; pani Skorabiewska nalewała herbatę, rewizor zaś, który był nihilista, podrwiwał ze starego dziekana.

- Ot! niech no nam ksiądz dobrodziej opowie o tej sławnej bitwie - mówił rewizor.

A dziekan przyłożył rękę do ucha i pyta:

- He?

- O bitwie! - powtórzył rewizor głośnie.

- A? O bitwie? - rzekł dziekan i jakby zamyśliwszy się, począł coś szeptać do siebie i patrzeć w górę, niby sobie coś przypominając; rewizor nastawił już minę do śmiechu, wszyscy czekali na opowiadanie, choć je już ze sto razy słyszeli, bo zawsze na nie wyciągali staruszka.

- Co? - zaczął ksiądz dziekan - ja jeszcze wtedy byłem wikarym, a proboszczem był ksiądz Gładysz... dobrze mówię: ksiądz Gładysz. To on, co zakrysię przebudował... A światłość wiekuista!... Więc zaraz po sumie powiadam: Księżę proboszczu? A on pyta: Co? Mnie się zdaje, że to coś z tego będzie, powiadam. A on mówi: I mnie się zdaje, że to coś z tego będzie. Patrzymy: aż tu zza wiatraka wyjeżdżają to na koniach, to piechotę, a tam chorągwie, a armaty. Tak ja zaraz pomyślałem sobie: O! Aż tu i z drugiej strony, owce? myślę, a to nie owce, tylko kawaleria. Jak tylko zobaczyli, tak: stój! a tamci także: stój! A tu z lasu jak nie wypadnie kawaleria, dopiero ci w prawo, tamci w lewo, ci w lewo, tamci za nimi. Dopiero widzą: trudno! Więc także na nich. Jak nie zaczną strzelać, a za górą znowu coś błysnęło. Czy proboszcz widzi? powiadam, a proboszcz mówi: widzę, a tam już walą z armat, z karabinów; tamci do rzeki, ci nie puszczają, ten tego, ten owego!... to ci przez jakiś czas górą, to znowu tamci. Huku! dymu! a potem na bagnety! Ale zaraz mi się zdało, że ci już słabną. Księżę proboszczu, mówię, tamci górą! a on mówi:

I mnie się zdaje, że górą. Ledwie domówił, ci w nogi! tamci za nimi; dopiero ich topić, zabijać, brać w niewolę, i myślę, skończy się... ale gdzie tam! tego... powiadam, właśnie, no!

Tu staruszek machnął ręką i osadziwszy się głęboko w fotelu, wpadł jakby w zadumę, tylko głowa trzęsła mu się mocniej jak zwykle, a oczy bardziej jeszcze na wierzch wyłaziły.

Rewizor aż się zapłakał od śmiechu.

- Księżę dobrodzieju! - zapytał - któż się z kim bił, gdzie i kiedy?

A kanonik rękę do ucha i mówi:

- He?

- Ot! prosto nie mogę od śmiechu - rzekł do pana Skorabiewskiego rewizor.

- A może cygarko?

- A może kawy?

- Nie - nie mogę od śmiechu.

Śmieli się i państwo Skorabiewscy przez grzeczność dla rewizora, choć tego opowiadania musieli słuchać, jak zapisał, co niedziela; wesołość była ogólna, gdy nagle przerwał ją cichy, lękliwy głos z zewnątrz ganku, który rzekł:

58

- Niech będzie pochwalony!

Pan Skorabiewski zaraz podniósł się, wyszedł przed ganek i spytał:

- A kto tam?

- To ja, Rzepowa.

- Czego?

Rzepowa schyliła się, o ile jej na to dzieciak pozwalał, i podjęła go pod nogi.

- Po ratunek, jaśnie dziedzicu, i po zmiłowanie.

- Moja Rzepowa, dajcie mi też choć w niedzielę pokój! - przerwał pan Skorabiewski z taką dobrą wiarą, jakoby Rzepowa nachodziła go w każdy dzień powszedni. - Widzicie przecie, że teraz mam gości. Toć ich dla was nie zostawię.

- Ja zaczekam...

- No to czekajcie. Ja się przecie na dwoje nie rozerwę.

To rzekłszy pan Skorabiewski wsunął na powrót swe obszary w ganek, a Rzepowa cofnęła się aż do kratek ogrodowych i stanęła przy nich pokornie. Ale przyszło jej czekać dość długo.

Państwo się tam zabawiali rozmową, a uszu jej dolatywały wesołe śmiechy, które dziwnie brały ją za serce, bo nie do śmiechu jej było, niebodze. Potem wrócili pan Wiktor z panną Jadwigą, a następnie poszli wszyscy na pokoje. Powoli słońce się miało ku zachodowi. Na ganek wyszedł lokajczuk Jasiek, którego pan Skorabiewski nazywał zawsze: "jeden z drugim", i zaczął nakrywać

do herbaty. Zmienił obrus, postawił filiżanki i począł wpuszczać w nie z brzękiem łyżeczki.

Rzepowa czekała i czekała. Przychodziło jej do głowy, czyby nie wrócić do chałupy a przyjść później, ale bała się, że potem będzie za późno, przysiadła więc tylko na trawie pod płotem i dała dziecku piersi. Dziecko nassało się i usnęło, ale niezdrowym snem, bo już od rana było jakieś słabe. Rzepowa także czuła, że to gorąco, to zimno przebiega ją od stóp do głowy.

Czasem także brały ją cięgoty, ale nie zważała na to, tylko czekała cierpliwie. Powoli zmroczyło się i księżyc wszedł na sklepienie niebieskie. Do herbaty już nastawione; w ganku paliły się lampy, ale państwo nie przychodzili, bo panna grała na fortepianie. Rzepowa zaczęła sobie mówić pod sztachetami "Anioł Pański", a potem rozmyślała, jak też to ją poratuje pan Skorabiewski. Dobrze ona nie wiedziała jak, ale rozumiała, że pan, jako pan, to i z komisarzem ma znajomość, i z naczelnikiem; byle tylko słowo rzekł, jak wszystko się stało, a to i da Bóg, że się złe odmieni. A przy tym myślała, że niechby się Zołzikiewicz albo wójt przeciwił, to pan wiedziałby, gdzie pójść po sprawiedliwość. "Panosko zawdyk dobry był i dla ludzi miłosierny - myślała sobie - toć mnie tak nie ostawi." I nie myliła się, bo pan Skorabiewski istotnie był człowiek ludzki. Dalej przypomniawszy sobie, że i na Rzepę zawsze był łaskaw; dalej, że jej nieboszczka matka wykarmiła pannę Jadwigę, więc i otucha wstąpiła w jej serce. "Niech se ta ludzkie mówią, co chcą - mówiła sama do siebie - a jak człeka bieda przyciśnie, to nikiem, ino do dworu." To, że czekała już parę godzin, wydało jej się tak naturalne, że nawet nie zastanawiała się nad tym. Tymczasem państwo wrócili na ganek.

Rzepowa widziała przez liście winne, jak panienka nalewała ze srebrnego imbryka arbatę, czyli, jak mawiała nieboszczka matka Rzepowej "taką wodę pachnącą, co ci od niej w calusieńkiej gębie puszy". Potem pili ją wszyscy, rozmawiali i śmieli się wesoło. Dopiero wtedy przyszło Rzepowej do głowy, że w pańskim stanie to zawsze jest więcej szczęścia niż w prostym, i sama nie wiedziała, czemu łzy znowu popłynęły jej po twarzy. Ale te łzy ustąpiły wkrótce innemu wrażeniu, bo oto na ganek "jeden z drugim" wniósł dymiące półmiski; wtedy przypomniawszy sobie Rzepowa, że jest głodna, bo obiadu nie mogła wziąć w usta, a rano tylko się trochę mleka napiła.

"Oj, żeby mi też choć kosteczki dali ogryźć!" - pomyślała sobie - i wiedziała, że daliby z pewnością nie tylko kosteczki, ale nie śmiała prosić, by się nie naprzykrzać i w oczy nie leżać przy gościach, za co by się może pan i rozgniewał.

59

Nareszcie skończyła się i kolacja; rewizor odjechał zaraz, a w pół godziny potem i obaj księża siadali już na dworską brykę. Rzepowa widziała, jak pan podsadzał dziekana, więc osądziła, że chwila nadeszła i zbliżyła się ku gankowi.

Bryka ruszyła: pan krzyknął na drogę furmanowi: "A przewróć tam na grobli, to ja ci przewrócę!", potem spojrzawszy na niebo chcąc widać wymiarkować, jaka będzie jutro pogoda, nareszcie dojrzał w ciemności bielejącą koszulę Rzepowej.

- A kto tam?

- Rzepowa.

- A, to wy! Gadajcie prędzej, czego chcecie, bo późno.

Rzepowa powtórzyła mu znowu wszystko; pan słuchał i tylko pykał z fajki przez cały czas, a potem rzekł:

- Moi kochani! Ja pomógłbym wam chętnie, gdybym mógł, ale dałem sobie słowo, że się w sprawy

gminne nie będę wtrącał. Dawniej było co innego...panie dobrodzieju!... a dziś ani wam do mnie, ani mnie do was nic. Dziś wy moi sąsiedzi, i basta!

- Dyc' ja wiem, jasnie dziedzicu - rzekła drżącym głosem Rzepowa - ale pomyślałam sobie, że może jasnie dziedzic ulituje się nade mną...

Głos jej urwał się nagle.

Wszystko to bardzo dobrze - rzekł pan Skorabiewski - ale co ja mogę zrobić? Ja swojego słowa dla was łamać nie mogę, a do naczelnika za wami nie będę jeździł, bo on już i tak powiada, że nachodzę go ciągle własnymi sprawami... Cóżem chciał mówić? Powtarzam, że ja teraz do was, a wy do mnie nie macie nic. Wy macie swoją gminę, a jak gmina wam nie poradzi, to do naczelnika znacie drogę tak jak i ja. Cóżem chciał mówić? Dziś wy tam więcej możecie ode mnie. To nie dawne czasy, moja Rzepowa. No! Idźcie z Bogiem.

- Panie Boże zapłać - ozwało się głucho kobieta podjawszy dziedzica pod nogi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Imogena

Rzepa po wyjściu z chlewka poszedł prosto nie do chałupy, ale do karczmy. Wiadomo, że chłop w utrapieniu pije. Z karczmy, powodowany tąż samą myślą, co i Rzepowa, że w nieszczęściu najlepiej iść do dworu, poszedł do pana Skorabiewskiego, i głupstwo zrobił.

Człowiek nietrzeźwy nie wie, co gada. Otóż Rzepa był natarczywy, a gdy usłyszał toż samo co Rzepowa o zasadzie nieinterwencji, nie tylko że wskutek przyrodzonej prostakom tępości umysłowej tej wysoce dyplomatycznej zasady nie pojął, ale z gburowatością, właściwą również prostakom, ozwał się, że "wszystko panowie tera ino o sobie myślą", i został

wyrzucony za drzwi.

Gdy przyszedł nazad do chałupy, sam powiedział żonie:

- Byłem we dworze.

- I nie wskórałeś nic.

A on pięścią o stół.

- Podpalić by ich, psio- wiary.

- Cichajże, zbereźniku. Co ci ta pan powiedział?

- Odesłał mnie do naczelnika. Żeby jego...

- Ono to chyba trzeba iść do Osłowic.

- A to i pójde! Albo to nad panem nie ma już nikogo na świecie?

Dziwna rzecz! Rzepa od owej bytności we dworze nawet o pisarzu i wójcie nie odzywał się z taką namiętnością jak o panu.

Wójt i pisarz srodze mu zapiekli, ale on sobie rozumował, że oni od tego i są - dwór co innego

- dwór mógł go poratować, a nie chciał.

- Pojadę do Osłowic - mówił zaraz wtedy - i pokażę mu, że się bez niego obędzie.

60

- Nie pojedziesz ty, nieboraku mój serdeczny, tylko ja sama.

Ty, ino się napijesz, to zara hardo się stawisz, i tylko nieszczęścia przymnożysz.

Rzepa z początku było nie chciał, ale zaraz po południu poszedł do karczmy zalać robaka, nazajutrz dzień też samo; kobieta więc, nie pytając już o nic, zdała wszystko na wolę bożą i we środę, wzięwszy dziecko, wyszła do Osłowic.

Koń był przy gospodarstwie potrzebny, więc poszła piechotą i świtanem, bo do Osłowic było trzy opętane mile. Myślała, że może i spotka dobrych ludzi jadących, którzy pozwolą się jej przysiąść bodaj na brzeżku fury, ale nie spotkała nikogo. O dziewiątej rano, siadłszy, zmęczona, na skraju lasu, zjadła kromkę chleba i parę jaj, które miała ze sobą w kobiałce, potem poszła dalej. Słońce zaczynało przypiekać, więc spotkawszy pachciarza Herszka z Wrzeczędzy, który wioził w drabkach gęsi do miasta, zaczęła prosić, żeby ją zabrał na furę.

- Z Bogiem, moja Rzepowa - odpowiedział Herszek - ale tu taki piach, że koń ledwie mnie samego ciągnie. Dacie złoty, to was wezmę.

Dopiero przypomniała sobie, że miała tylko jeden czeski zawiązany w chuście. Chciała Żydowi dać go zaraz, ale on odpowiedział:

- Czeski? I czeskiego na ziemi nie znajdzie, i to pieniądz! cy! cy!

To rzekłszy zaciął konia i pojechał dalej. Na świecie stawało się coraz goręcej i pot lał się strumieniem z Rzepowej, ale zbierała nogi, jak mogła, i w godzinę później wchodziła już do Osłowic.

Kto zna jak należy geografję, ten wie, że wjeżdżając od strony Baraniej Głowy do Osłowic trzeba przejeżdżać koło kościoła poreformackiego, w którym dawniej była Matka Boska cudowna, a około którego jeszcze dziś co niedziela siedzi cała ulica dziadów wrzeszczących wniebogłosy. Teraz, że to był dzień powszedni, siedział więc pod parkanem tylko jeden dziad, ale za to wyciągał spod łachmanów gołą nogę bez palców i trzymając w ręku wierzch pudełka od szuwaksu śpiewał:

Święta, niebieska

Pani anielska...

Ujrzawszy kogo przechodzącego przestawał śpiewać, ale wysuwając jeszcze dalej nogę poczynął krzyczeć, jakby go kto ze skóry obdzierał:

- Miłosierne osoby! Biedna kaleka litości błaga! Niech wam Bóg miłosierny da wszystko dobre na ziemi!

Ujrzawszy go Rzepowa odwiązała z chusty swego czeskiego i zbliżywszy się rzekła:

- Mata pięć groszy?

Chciała mu dać tylko grosz, ale dziad, poczuwszy szóstaka w palcach, nuż jej wymyślać:

- Żałujeta czeskiego Panu Bogu, pożałuje i wam Pan Bóg wspomżenia. Idźta do paralusa, pókim dobry!

Więc Rzepowa sobie rzekła: "Niech to będzie na chwałę bożą", i poszła dalej.

Dopiero jak przyszła na rynek, tak się złąkla. Łatwo było przyjść do Osłowic, ale zabłądzić w Osłowicach jeszcze łatwiej. A toć to miasto nie żarty! Przyjdiesz do jakiej nieznamomej wsi, a już musisz wypytywać się, gdzie kto mieszka, a cóż dopiero w takich Osłowicach. "Ja się tu zgubię jak w morzu" - pomyślała Rzepowa. Nie było innej rady, jak wypytywać się ludzi. O

komisarza wypytała się łatwo, ale poszedłszy do jego domu, dowiedziała się, że wyjechał do guberni. O naczelniku powiedzieli jej, że go trzeba szukać w powiecie. Ba! a powiat gdzie?

Oj! głupia, głupia kobieta. Przecie w Osłowicach, nie gdzie indziej.

Szukała tedy w Osłowicach powiatu, szukała; nareszcie patrzy: stoi jakiś pomalowany zielono pałac z orłem nad bramą, wielki aż strach, a przed nim co niemiara bryk i wozów, i bid żydowskich! Rzepowej zdawało się, że to jaki odpust. "A kaj tu je powiat?" - pyta Rzepowa jakiegoś we fraku, podjąwszy go pod nogi. "Toć stoisz, kobieto, przed nim." Zebrała się z duchem i weszła do pałacu. Patrzy znowu: a tam pełno korytarzy, na lewo drzwi, na prawo drzwi, dalej jeszcze i drzwi, i drzwi, a na każdym jakieś litery. Przeżegnała się Rzepowa i 61

otworzywszy z nieśmiałością i po cichutku pierwsze, znalazła się w jakiejś wielkiej izbie przedzielonej stallami jak kościół.

Za stallami siedział jakiś we fraku ze złocistymi guzikami i z piórem za uchem, a przed stallami różnych panów co niemiara. Panowie płacili i płacili, a ten we fraku palił papierosa i pisał kwitki, które panom oddawał. Kto wziął kwitek, ten wychodził. Dopiero Rzepowa pomyślała, że tu trzeba płacić, i pożałowała swojego czeskiego. Toteż z nieśmiałością wielką przystąpiła do kratki.

Ale tam nikt nawet na nią nie spojrział. Stoi Rzepowa, stoi; upływa z godzina; jedni wchodzą, drudzy wychodzą, zegar za kratką tyka, a ona stoi. Na koniec przerzedziło się jakoś, a wreszcie i nikogo nie stało. Urzędnik siadł za stołem i zaczął pisać. Wtedy Rzepowa ośmieliła się odezwać:

- Pochwalony Jezus Chrystus!...

- Czego tam?

- Jaśnie naczelniku!...

- Tu, jest kasa.

- Jaśnie naczelniku!...

- Tu jest kasa, mówię wam.

- A kaj naczelnik?

Urzędnik pokazał drugim końcem pióra na drzwi:

- Tam.

Rzepowa wyszła znowu na korytarz. Tam? ba! ale gdzie? Drzwi wszędzie co niemiara, w które tu pójść? Nareszcie widzi, że między rozmaitymi ludźmi, którzy chodzą to w tę, to w tamtą stronę, stoi chłop z biczem w ręku, więc zaraz do niego.

- Ojczy?

- A czego chceta?

- Skądęście?

- Z Wieprzkowisk, albo co?

- Kaj tu naczelnik?

Czy ja wiem.

Potem spytała jeszcze jakiegoś ze złotymi guzikami, ale nie we fraku i z dziurami na łokciach.

Ten nie chciał nawet jej słuchać, odpowiedział tylko:

- Nie mam czasu.

Rzepowa znów weszła w pierwsze. lepsze drzwi, nie wiedziała biedaczka, że na tych drzwiach stał napis: "Osobom nie należącym do składu urzędu wchodzić nie wolno." Ona do składu urzędu nie należała; napisu, jak się rzekło, nie widziała, a choćby i widziała, to nie potrafiłaby go zrozumieć.

Tylko co otworzyła drzwi, patrzy: izba pusta, pod oknem ławka, na ławce siedzi jakiś i drzemie. Dalej drzwi do innego pokoju, w których widać chodzących panów we frakach i w mundurach.

Rzepowa zbliżyła się do tego, który drzemał na ławie: miała do niego trochę śmiałości, bo człowiek

wyglądał prosty i buty miał na wyciągniętych przed siebie nogach dziurawe.

Trąciła go w ramię.

On się zerwał, spojrział na nią i jak krzyknie:

- Nie wolno! nie lizia! poszli won!

Kobiecina w nogi, a on jej jeszcze kuksa dał i drzwiami za nią trzasnął.

Znalazła się trzeci raz na tym samym korytarzu.

Siadła koło jakichś drzwi i z Cierpliwością prawdziwie chłopską postanowiła siedzieć przy nich choćby do skończenia świata. "A przecie kto może i zapyta!" - myślała sobie. Nie płakała; tylko tarła oczy, bo ją swędziły, i czuła, że cały korytarz ze wszystkimi drzwiami zaczyna się z nią kręcić.

62

A tu ludzie koło niej, to w prawo, to w lewo; drzwiami trzask! trzask! a rozmawiają ze sobą, słysząc haru! haru! jak na jarmarku.

Wreszcie jednak Bóg zmiłował się nad nią. Z tych drzwi, przy których siedziała, wyszedł

stateczny szlachcic, którego czasem w: kościele we Wrzeczędzy widywała; potknął się o nią i pyta:

- Wy tu czego, kobieto, siedzicie? Co?

- Do naczelnika...

- Tu jest komornik, nie naczelnik.

Szlachcic ukazał drzwi w głębi korytarza.

- Tam, gdzie ta zielona tabliczka, co? Ale nie chodźcie do niego teraz, bo zajęty, co?

Zaczekajcie tu, on musi tędy przechodzić.

I szlachcic poszedł dalej, a Rzepowa spojrziała za nim takim spojrzeniem, jakby za swoim aniołem stróżem. Pomyślała: "A zawdyk pan się najprędzej nad człowiekiem zlituje!"

Przyszło jej jednak jeszcze dość długo czekać, aż nareszcie drzwi z zieloną tabliczką otworzyły się z trzaskiem; wyszedł z nich niemłody już wojskowy i szedł przez korytarz z wielkim hałasem, śpiesząc się bardzo. Oj, zaraz można było poznać, że to naczelnik, bo za nim w dyrdy leciało kilku panów zabiegając mu to z prawej, to z lewej strony, a do uszu Rzepowej doszły wykrzyki: "Panie naczelniku dobrodzieju!", "Słoweczko, panie naczelniku!", "Łaskawy naczelniku!" Ale on nie słuchał i szedł naprzód. Rzepowej aż zaraz pociemniało w oczach na jego widok.

"Dziej się wola boża!", przemknęło jej w głowie, więc wypadła na środek korytarza i klękawszy z podniesionymi rękoma, zagroziła mu drogę.

Spojrzał, stanął; cała procesja zatrzymała się przed nią.

- Toż co jest? - spytał.

- Przenoświętsy nacelni...

I nie mogła dalej: załękła się tak, że głos urwał się jej w gardle; język kołem stanął.

- Czego?

- O! o! ady! ady! wedle... poboru.

- Cóż to? was do wojska chcą?. a? - spytał naczelnik.

Szlachta zaraz chórem w śmiech, by podtrzymać dobry humor naczelnika, ale on zaraz do tych swoich dworzan:

- Proszę! proszę cicho!

A potem niecierpliwie do Rzepowej:

- Prędzej! czego? bo nie mam czasu.

Ale Rzepowa do reszty straciła głowę od śmiechu panów, więc poczęła tylko bełkotać bez związku: "Burak! Rzepa! Rzepa! Burak, o!"

- Musi być pijana! - rzekł jeden z panów.

- Zostawiła język w chałupie - dodał drugi.

- Czegóż chcecie? - powtórzył jeszcze niecierpliwiej naczelnik. - Pianiście czy co?

- O, Jezusie! Maryja! - wykrzyknęła Rzepowa czując, że ostatnia deska zbawienia wysuwa się jej z rąk.- Przenoświętsy nacel...

Ale on był istotnie bardzo zajęty, bo to i spisy się już zaczęły, i interesów było mnóstwo, a przy tym jeszcze miał być i bal w Osłowicach, który on z obowiązku urządził - zresztą z kobietą dogadać się nie mógł, więc tylko kiwnął ręką i zawołał:

- Ot! wódka! wódka! A kobieta młoda i ładna.

Potem do Rzepowej takim głosem, że miło się pod ziemię nie schowała:

- Jak wytrzeźwiejesz, to sprawę przedstawić gminie, a gmina niech przedstawi mnie.

Trzasnąwszy jakby z bata ostatnim wyrazem, poszedł śpiesznie dalej, a panowie za nim powtarzając: "Panie naczelniku dobrodzieju", "Słoweczko, panie naczelniku", "Łaskawy naczelniku!"

63

Korytarze opustoszały; zrobiło się na nich cicho, tylko dzieciak Rzepowej począł wrzeszczeć.

Więc rozbudziła się jakoby ze snu, wstała, podniosła dziecko i zaczęła mu pośpiewywać jakimś nie swoim głosem:

- Aa! aa! aa!

Potem wyszła z gmachu. Na dworze niebo zawlokło się chmurami: na krańcach widnokregu grzmiało.

W powietrzu było parno.

Co się działo w duszy Rzepowej, gdy przechodziła znowu koło poreformackiego kościoła z powrotem do Baraniej Głowy, nie podejmuję się opisywać. Ach! gdyby to tak panna Jadwiga znalazła się w podobnym położeniu, dopieroż bym napisał sensacyjny romans, którym podjąłbym się przekonać najzaciętszych pozytywistów, że są jeszcze idealne istoty na świecie. Ale w pannie Jadwidze każde wrażenie doszłoby do świadomości siebie; rozpaczne rzuty duszy wyraziłyby się w nie mniej rozpacznych, a zatem bardzo dramatycznych myślach i słowach. Owo koło błędne, głębokie a przebolesne poczucie bezradności, niemocy i przemocy, ta rola liścia wśród burzy, głuche poznanie, że znikąd ratunku, ani z ziemi, ani z nieba, natchnęłoby zapewne pannę Jadwigę jakimś nie mniej natchnionym monologiem, który potrzebowałbym tylko opisać, aby sobie zrobić reputację. A Rzepowa? Ten prosty naród, gdy cierpi, to tylko cierpi i nic więcej! Rzepowa w twardym ręku niedoli spoglądała tylko tak, jak spogląda ptak męczony przez złośliwe dziecko. Szła oto przed siebie, wiatr gnał ją, pot ciekł z jej czoła - i cała rzecz. Czasem jednak, gdy dzieciak, który był chory, otwierał usta i poczynał

oddychać tak, jakby zaraz miał skonać, wołała na niego: "Jaśku, Jasieńku mój serdeczny!", i przyciskała macierzyńskie usta do rozpalonego czoła dzieciny. Minęła wreszcie poreformacki kościół i wyszła daleko w pole, aż nagle zatrzymała się, bo naprzeciw niej szedł pijany chłop.

Chmury waliły się na niebie coraz gęstsze, a w nich gotowało się coś jakby burza; od czasu do czasu błyskało, ale chłop nie pytał, rozpuścił na wiatr poły sukmany, przekrzywił czapkę na ucho i taczając się to w prawo, to w lewo, śpiewał: Poszła Doda

Do ogroda

Pasternaku kopać,

A ja Dodeę

Kijem w nogę!

Doda uciekać!

Uu! du!

Ujrzawszy Rzepową, stanął, rozłożył ręce i wykrzyknął: Oj! pójdziewa w żyto!

Boś dobra, kobieto!

I chciał ją, złapać wpół, ale Rzepowa zląkwszy się o dziecko i o siebie uskoczyła w bok; chłop za nią, ale że był pijany, więc się przewrócił. Zerwał się wprawdzie zaraz, nie gonił jej jednak, tylko porwawszy kamień rzucił za nią, że aż zawarczało powietrze.

Rzepowa poczuła ból w głowie i zamroczyło ją zaraz, toteż przyklęła. Lecz pomyślała sobie tylko jedno słowo: "dziecko", i poczęła uciekać dalej. Zatrzymała się dopiero pod krzyżem, a obejrzawszy się spostrzegła, że chłop był już z jakie pół wiorsty i tacząc się szedł do miasta.

W tej chwili jednak uczuła jakieś dziwne ciepło na szyi; pomacała ręką, a potem spojrzawszy na palce spostrzegła krew.

Pociemniało jej w oczach i odeszła od przytomności.

Zbudziła się oparta plecami o krzyż. Z daleka nadjeżdżał kabriolet z Ościeszyna, a w nim młody pan Ościeszyński z guwernantką ze dworu.

64

Pan Ościeszyński Rzepowej nie znał, ale ona go znała z kościoła; myślała więc lecieć do kabrioletu i prosić na miłosierdzie boskie, żeby choć dziecko przed burzą zabrali: podniosła się nawet na nogi, ale nie mogła iść.

Tymczasem młody pan nadjechał i ujrzawszy nieznaną kobietę stojącą pod krzyżem, zawołał:

- Kobieto! kobieto! siadajcie.

- Niech Pan, Bóg...

- Ale na ziemi, na ziemi.

O! był to figlarz znany w całej okolicy ten młody pan Ościeszyński, więc on tak zaczął

wszystkich po drodze, a tak samo też zażartował i z Rzepowej, a potem zaraz ruszył dalej. Do uszu Rzepowej doszły śmiechy jego i guwernantki; potem zobaczyła, jak się zaczęli całować i znikli wraz z kabrioletem w ciemnej dali.

Rzepowa została sama. Ale nie darmo to mówią: "Baby i ropuchy nawet siekierą nie zabijesz!" Po godzinie jakiej zwlokła się znowu, choć nogi gięły się pod nią: poszła dalej.

- Cóż ci ta dziecina winna, ona rybeńka złota, Panie Boże! - powtarzała tułąc do piersi chorego Jaśka.

A potem widać zaraz porwała ją gorączka, bo zaczęła mruczeć jakby pijana:

- W chałupinie pusta kołysieczka, a mój to ta poszedł na wojenkę z karabinem.

Wiatr zsunął jej czepiec z głowy: śliczne jej włosy rozsypały się po plecach i poczęły furkać w powietrzu. Nagle błysnęło: piorun runął tak blisko, że owionął ją zapach siarki i aż przysiadła. Ale przyprowadziło ją to do przytomności; krzyknęła: "A słowo stało się ciałem!"

Spojrzała na niebo, które było wzburzone, niemiłosierne, wściekłe, i zaczęła drżącym głosem śpiewać: „Kto się w opiekę.” Jakiś złowrogi miedziany odblask padał z chmur na ziemię.

Rzepowa weszła do lasu, ale w lesie było jeszcze ciemniej i straszniej. Od chwili do chwili zrywał się nagle szum, jakby przerażone chojary szeptały do siebie ogromnym szeptem: "Co to będzie! O! dla Boga!" Potem znów nastawała cisza. Czasem znów z głębin leśnej rozlegał

się jakiś głos. Rzepową aż ciarki przechodziły, że to może "złe" śmieje się na bajorach albo może gomon przesunie strasznym korowodem lada chwila. "Byłe bez las, byłe bez las -

myślała sobie - a tam za lasem zara młyn i chałupa Jagodzińskiego młynarza!" Biegła więc ostatkiem sił, chwytając w spieczone usta powietrze, a tymczasem upusty niebieskie otworzyły się nad jej głową: deszcz pomieszany z gradem lunął jak z cebra; uderzył wiatr z taką siłą, że aż chojary przygięły się do ziemi; las zasnuło mgłą, parą, falami deszczu; drogi ani dojrzeć, a tu drzewa wiją się po ziemi, a skrzypią i szumią: słyhać trzask gałęzi -

ciemność.

Rzepowa uczuła, że słabnie.

- Ratunku! ludzie! - zawołała słabym głosem, ale tego nikt nie słyszał. Wicher wbił jej nazad głos w gardło i zatamował oddech. Wtedy to zrozumiała, że już dalej nie ujdzie.

Zdjęła z siebie chustkę, zdjęła przyjaciółkę, fartuch, rozebrała się prawie do koszuli i okutała dziecko; potem ujrawszy w pobliżu brzozę płaczącą, przyczołgała się do niej prawie na czworakach i złożywszy pod gęstwiną dziecko, sama upadła obok niego.

- Boże! przyjm duszę moją! - wyszeptała z cicha.

I zamknęła oczy.

Burza szalała jeszcze przez czas jakiś, na koniec opadła. Ale zrobiło się już ciemno; przez przerwy chmur poczęły połyskiwać gwiazdy. Pod brzozą bielila się nieruchoma ciągle postać Rzepowej.

- Nau! - rozległ się jakiś głos w ciemnościach.

Po chwili z daleka dał się słyszeć turkot wozu i chlapanie nóg końskich po kałużach.

To Herszek, pachciarz z Wrzeciędzy, sprzedawszy w Osłowicach gęsi, wracał na noc do domu.

Ujrzawszy Rzepową zląkł z woza.

65

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zwycięstwo geniuszu

Herszek z Wrzeciędzy zabrał było Rzepową spod brzozy i wiózł ją do Baraniej Głowy, a po drodze spotkał się z Rzepą, który widząc, że idzie burza, wyjechał z wozem na spotkanie kobiety.

Kobieta przeleżała noc i następny dzień, ale drugiego dnia już wstała, bo dzieciak był chory.

Przyszły kумы i okadzały go święconymi wiankami, a następnie stara Cisowa, kowalka, zażegnwała chorobę z sitem w rękę i czarną kurą. Jakoż dzieciakowi zraz pomogło, ale bieda była coraz większa z samym Rzepą, który zalewał się teraz wódką bez miary i już nie można było dojść z nim do ładu. Dziwna rzecz, kiedy Rzepowa przyszła do przytomności i zaraz spytała o dziecko, on zamiast okazać jej troskliwość, ozwał się chmurno: "Będziesz ty po miastach latać, a dzieciaka lichy weźmie. Dałbym ja ci, żebyś ty go była zatraciła!" Więc dopiero kobieta na taką niewdzięczność uczuła gorycz wielką i głosem prosto spod serca, w którym był ból niepojęty, chciała mu to wymówić, ale nie mogła więcej powiedzieć, jak tylko krzyknąć: "Wawrzon!" I spojrzała na niego przez łyżę. A chłopaka jakby podrzuciło ze skrzynki, na której siedział. Przez chwilę cicho było, a potem powiada innym już głosem: "Maryśko moja, odpuść ty mi moje słowa, bo widzę, że cię ukrzywdziłem." To rzekłszy ryknął wielkim głosem i nuż ją po nogach całować, a ona mu w płaczu wtórowała. Więc czuł, że takiej kobiety nie wart. Ale ta zgoda niedługo trwała. Smutek jątżący się jako rana zaczął ich zaraz jątżzyć jedno przeciw drugiemu. Gdy Rzepa przychodził do chałupy, czy to pijany, czy trzeźwy, nie mówił do żony ani słowa, ale siadał na skrzynce i patrzył wilkiem w ziemię. Tak siadywał po całych godzinach jak skamieniały. Kobieta kręciła się po izbie, pracowała jak i dawniej, ale także milczała. Później, gdy jedno i chciało odezwać się do drugiego, już im było jakoś i niesporo. Żyli więc niby w wielkiej urazie, a w chałupie grobowe panowało milczenie.

O czymże i mieli mówić, kiedy wiedzieli oboje, że już nie ma żadnej rady i że dola ich już się skończyła. Po kilku dniach poczęły chłopu złe jakieś myśli przychodzić do głowy. Poszedł

było do spowiedzi do księdza Czyżyka, ksiądz nie dał mu rozgrzeszenia i kazał przyjść nazajutrz, ale nazajutrz Rzepa zamiast do kościoła poszedł do karczmy. Ludzie słyszeli, jak po pijanemu mówił, że kiedy mu Pan Bóg nie chce pomóc, to on duszę diabłu zaprzedał, i poczęli się go wystrzegać. Nad chałupą zawisła jakoby kłątwa. Ludzie rozpuścili języki jak dziadowskie bicze i mówili, że wójt z pisarzem dobrze robią, bo taki zboreźnik ściągnie tylko pomstę bożą na całą Baranią Głowę. A i na Rzepową poczęły kumoszki niestworzone rzeczy wygadywać.

Zdarzyło się, że u Rzepów wyschła studnia. Rzepowa więc poszła po wodę przed karczmę, a po

drodze słyszała, jak chłopaki mówili między sobą: "Idzie żołnierka!" A inny chłopak powiada: "Nie żołnierka to, ale diabłowa!" Kobieta nie rzekłszy słowa poszła dalej, ale widziała, jak się przeżegnali. Nabrała wody w konewkę - i do domu. Aż tu przed karczmą stoi Szmul. Gdy ujrzał Rzepową, wydobył zaraz z gęby porcelanową fajkę, co mu na brodzie wisiała, i zawołał:

- Rzepowa!

Rzepowa zatrzymała się i pyta:

- Czego chcecie?

A on:

- Byliście u sądu w gminie?

- Byłam.

- Byliście u księdza?

- Byłam.

- Byliście we dworze?

- Byłam.

66

- Byliście w powiecie?

- Byłam.

- I nie wskóraliście nic?

Rzepowa tylko westchnęła, a Szmul znowu:

- Ny, jacy wyście głupi, to już w całej Baraniej Głowie nikogo głupszego nie ma! A wam po co tam było iść?

- A gdzie miałam iść? - rzecze kobieta.

- Gdzie? - odparł Żyd - a na czym ugoda stoi? na papierze: nie ma papieru, nie ma i ugody; podrzeć papier, i basta!

- O moiściewy! - rzecze Rzepowa - żeby ja miała ten papier, dawno bym ja go podarła.

- Ba, a to nie wiecie, że papier u pisarza? No... ja wiem, co wy, Rzepowa, dużo u niego możecie wskórać; on sam mi mówił: niech Rzepowa, powiada, przyjdzie i mnie poprosi, a ja, powiada, papier podrę, i basta!

Rzepowa nie odrzekła nic, tylko schwyciła konewkę za ucha i poszła do domu, a tymczasem ściemniło się na dworze.

* * * * *

Wieczorem pan pisarz, już rozebrany, tylko w bieliźnie, leżał sobie na łóżku kozią bródką do góry i czytał "Tajemnice dworu taiteryjskiego", także wydawnictwa pana Breslauera. Czytał

właśnie scenę, jak poseł hiszpański Olozaga całował w pończochy Eugenię. Scena tak ślicznie napisana, że pana pisarza aż coś podrzuca na łóżku Świeca się pali, mucha w łaju pryska: Nagle pan pisarz słyszy, że ktoś puk! puk! we drzwi, ale tak cichutko, że ledwie mógł pan pisarz uchem uderzenia uławić.

- Kto tam? - pyta głośno, bo zły był, że mu przeszkadzają.

- Ja! - odpowiada szepczący głos.

- Co za ja?

Głos zaszemrał:

- Rzepowa!...

Pan pisarz zerwał się i otworzył. Weszła Rzepowa tak załękła, że chciała mówić i nie mogła.

Ale on był dobry człowiek - Zołzikiewicz, więc ją ośmielił, bo jak był nieubrany, tak ją zaraz objął wpół i mówi:

- Aha! przyszła koza do woza! Po kontrakt, Marysiu - co?

- Tak!

Wtedy on ją przyciągnął i przycisnął do siebie, położywszy usta na jej drżące wargi.

- A co teraz będzie? - pyta wesoło.

- Kobieta pobladła jak płótno.

- Dziej się wola boża! - wyszeptwała.

Pan pisarz.. zdmuchnął świecę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Skończona niedola

Na niebie zaszedł już Wóz, a weszły Kurki, gdy drzwi skrzypnęły w chacie Rzepów i Rzepowa weszła cicho do izby. Wszedłszy stanęła jak wryta,. bo spodziewała się, że Rzepa, jak zwykle,

będzie spał - w karczmie; tymczasem Rzepa siedział na skrzynce pod ścianą, z pięściami wspartymi o kolana, i patrzył w ziemię.

Na kominie dogasały węgle.

- Gdzieś była? - spytał ponuro Rzepa.

67

Zamiast odpowiedzieć, ona padła na ziemię i leżąc przy jego nogach, ze szlochaniem i płaczem wielkim zaczęła wołać:

- Wawrzon! Wawrzon! dla ciebie to ja, dla ciebie! na sromotę się podałam. Oszukał mnie, a potem zwymyślał i wypędził. Wawrzon! ulitujże się choć ty nade mną: mój serdeczny!

Wawrzon! Wawrzon!

Rzepa wydobył zza skrzyni siekierę.

- Nie - mówił spokojnym głosem - już tobie przyszło na koniec, niebogo! Już ty się pożegnaj z tym światem, bo go nie będziesz widzieć. Już ty nie będziesz, niebogo, w chałupie siedziała, ino będziesz na cmentarzu leżała... już ty...

Dopiero ona spojrzała na niego z przerażeniem.

- Cóż ty, chcesz mnie zamordować?

A on:

- No, Maryśko, nie trać po próżnicy czasu; przeżegnaj się, a potem będzie koniec: nawet nie poczujesz, niebogo.

- Wawrzon, i ty naprawdę?...

- Połóż głowę na skrzyni...

- Wawrzon! miłosierdzia!

- Połóż głowę na skrzyni! - wołał już z pianą na ustach.

- O! dla Boga! ratunku! ludzie, ratun...

Rozległo się głucho uderzenie, potem jęk i stuk głowy o podłogę; potem drugie uderzenie, słabszy jęk; potem trzecie uderzenie, czwarte, piąte, szóste: Na podłogę lunął strumień krwi, węgle na kominie przygasły. Drganie przeszło Rzepową od stóp do głowy, potem trup jej wyprężył się i pozostał nieruchomy.

Wkrótce potem szeroka krwawa łuna rozdarła ciemności: paliły się zabudowania dworskie.

EPILOG

A teraz powiem wam coś na ucho, czytelnicy: Rzepy nie byliby wzięli do wojska. Taka ugoda, jaką spisano w karczmie, nie była wystarczająca. Ale widzicie, chłopci się na takich rzeczach nie znają, inteligencja dzięki neutralności takie niewiele, więc... pan Zołzikiewicz, który trochę wiedział o tym, liczył, że w każdym razie sprawa się przewlecze, a strach rzuci kobietę w jego ramiona.

I nie przeliczył się ten wielki człowiek.

Spytacie, co się z nim stało? Cóż się miało stać? Rzepa podpaliwszy zabudowania dworskie poszedł było szukać z kolei zemsty i na nim; ale że na okrzyk: "gore!", zbudziła się już cała wieś, więc Zołzikiewicz ocalał.

I oto piastuje dalej urząd pisarza w Baraniej Głowie, ale teraz ma nadzieję, że zostanie wybrany sędzią. Skończył właśnie czytać "Barbarę Ubryk" i spodziewa się także, że panna Jadwiga uściśnie mu lada dzień rękę pod stołem.

Czy te nadzieje sędziostwa i uścisku się sprawdzą, przyszłość okaże.

68

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela

Światło lampy, chociaż przyćmione, budziło mnie, i nieraz o drugiej lub trzeciej po północy widziałem Michasia pracującego jeszcze. Mała i wątła jego postać, przybrana tylko w bieliznę, schylona była nad książką, a w ciszy nocnej senny i zmęczony głos powtarzał

mechanicznie koniugacje łacińskie lub greckie z tą jednostajnością, z jaką w kościele powtarzają słowa litanii. Gdym zawołał na niego, by szedł spać, chłopiec odpowiadał mi:

—Nie umiem jeszcze lekcji, panie Wawrzyńkiewicz! Odrabiałem z nim przecie zadania od czwartej do ósmej, a potem od dziewiątej do dwunastej, i sam nie szedłem do łóżka, nimem się przekonał, że umie wszystko; ale doprawdy tego wszystkiego było za dużo. Skończywszy ostatnią lekcję chłopiec zapominał pierwszej, a koniugacje greckie, łacińskie, niemieckie i nazwy rozmaitych powiatów wprowadzały biedną jego głowę w taki zamęt, że spać nie mógł.

Wyłąził tedy spod kołdry, zapalał lampę i zasiadał na nowo do stolika. Gdym go łajał - prosił

się i płakał. Potem tak już przyzwyczailem się do tych nocnych siedzeń, do blasku lampki i do mrużenia koniugacyj, że kiedy mi ich brakło, sam spać nie mogłem. Może powinienem był

nie pozwolić, by dziecko męczyło się nad siły, ale cóżem miał robić? Musiał przecie wyuczyć się co dzień choć jako tako lekcji, bo inaczej usunięto by go ze szkół, a Bóg jeden wie, co by to był za cios dla pani Marii, która po śmierci męża zostawszy z dwojgiem sierot wszystkie nadzieje złożyła w Michasiu. Położenie było prawie bez wyjścia, bom z drugiej strony widział, że nadmierne wysilenia

umysłowe podkopują zdrowie chłopca i mogą życiu jego zagrozić. Trzeba było przynajmniej wzmacniać go fizycznie, gimnastykować, kazać mu dużo chodzić lub jeździć konno, ale nie było czasu na to. Dziecko tyle miało do roboty, tyle do wyuczenia się na pamięć, tyle do napisania co dzień, że z ręką na sumieniu powiadam: nie było czasu. Każdą chwilę potrzebną dla wesołości, zdrowia i życia chłopca zabierała łacina, grecki i... niemiecki. Rankiem, gdym mu pakował książki do tornistra i gdym widział, jak chude jego ramiona gięły się pod ciężarem tych bizantyjskich tomów serce mi się po prostu ścisnęło. Czasem prosiłem dla niego o wyrozumienie i względność, ale niemieccy profesorowie odpowiadali mi tylko że dziecko psuję i rozpieszczam, że Michaś widocznie nie dość pracuje, że ma polski akcent i że beczy z lada powodu. Chory sam jestem na piersi, samotny i zgryźliwy, więc te wymówki niejedną mi chwilę zatrwały. Ja najlepiej wiedziałem, czy Michaś nie dość pracuje! Było to dziecko średnich zdolności, ale tak wytrwałe i przy całej słodyczy taką obdarzone siłą charakteru, jakiej nie zdarzyło mi się spotkać w żadnym innym chłopcu. Biedny Michaś namiętnie i ślepo był przywiązany do matki, że zaś mu powiedziano, iż matka bardzo jest nieszczęśliwa, chora, i że gdy on będzie jeszcze się źle uczył, to może ją dobić - więc chłopak drżał przed tą myślą i całymi nocami siadywał nad książką, byle tylko matki nie zmartwić. Wybuch płaczem, gdy dostał zły stopień, ale nikomu nie przychodziło do głowy dlaczego płakał, do jakiej strasznej poczuwał się w takich chwilach odpowiedzialności. Ba! co komu było do tego? Miał polski akcent i kwita! Ja go nie psułem ani rozpieszczałem, tylko go rozumiał lepiej od innych: zemdlałem zaś zamiast łajać go za niepowodzenia, starałem się pocieszać, to już moja rzecz. Sam napracowałem się w życiu niemało, nacierpiałem się głodu i biedy, nie byłem szczęśliwy, nie będę szczęśliwy i - niech tam diabli wezmą! nawet już i zębów nie ścisnę, gdy o tym myślę: nie wierzę, żeby było warto żyć, ale może dlatego właśnie mam prawdziwe współczucie dla każdej biedy.

Ja przynajmniej w wieku Michasia, gdym latał za gołębiami po ulicach lub grywał w pliszki pod ratuszem, miałem swoje czasy zdrowia i wesołości. Kaszel mnie nie męczył: gdym w skórę brał, tom płakał, póki bili; zresztą byłem swobodny jak ptak i nie dbałem o nic. Michaś i tego nawet nie miał. Życie byłoby i jego położyło na kowadło i biło młotem; tyle by więc 69

wygrał, ile by jako malec naśmiał się serdecznie z tego, co dzieci bawi, napłatał figłów i wylatał się na otwartym powietrzu w promieniach słońca. Ale takiej zgody pracy z dzieciństwem nie miałem przed oczyma. Przeciwnie: widziałem dziecko idące do szkoły i wracające z niej chmurne, zgarbione pod ciężarem książek, wysilone, ze zmarszczkami w kątach oczu, tłumiące ustawicznie jakoby wybuch płaczu - więcem mu współczuł i chciałem być dla niego ucieczką.

Jestem sam nauczycielem, jakkolwiek prywatnym, i nie wiem, co bym robił na świecie, gdybym jeszcze stracił wiarę w wartość nauki i pożytek jaki z niej płynie. Myślę tylko po prostu, że nauka nie powinna być tragedią dla dzieci, że łacina nie może zastąpić powietrza i zdrowia, a dobry lub zły akcent nie powinien stanowić o losie i życiu maleńkich istot.

Myślę także, że pedagogika lepiej spełnia swe zadanie, gdy dziecko czuje rękę prowadzącą je łagodnie, nie zaś przygniatającą mu piersi i deptającą wszystko, co go nauczono czcić i kochać w domu... Taki ze mnie obskurant, że pewno już zdania w tym względzie nie zmienię, bo utwierdzam się w nim coraz bardziej, gdy sobie wspominam mojego Michasia, któremu kochał tak szczerze. Od sześciu lat byłem jego nauczycielem pierwszej jako guwerner, potem, gdy wszedł do drugiej klasy, jako korepetytor, miałem więc czas przywiązać się do niego.

Zresztą czemu bym miał ukrywać przed samym sobą: był mi drogim, bo był synem droższej dla mnie nad wszystko istoty... Nigdy ona nie wiedziała o tym i nigdy wiedzieć nie będzie.

Pamiętam, że ja jestem... ot sobie - pan Wawrzyńkiewicz, prywatny nauczyciel, a do tego człowiek chory, ona zaś córka zamożnego domu szlacheckiego, po prostu pani, na którą bym nie śmiał oczu podnieść. Ale że samotne serce, miotane życiem, musi w końcu przyczepić się do czegoś, jak przyczepia się muszla miotana falą - więc moje przywarło do niej. Co ja na to poradzę? a wreszcie co jej to szkodzi? Nie chcę od niej więcej światła niż od słońca, które wiosną ogrzewa moje chore piersi. Od sześciu lat byłem w jej domu, byłem przy śmierci jej męża, widziałem ją nieszczęśliwą, samą, a zawsze dobrą jak anioł, kochającą dzieci, świętą prawie w swym wdowieństwie, więc... musiało do tego przyjść. Ale to nie miłość we mnie, to prędeż moja religia.

Michaś bardzo przypominał matkę. Nieraz, gdy podnosił na mnie oczy, zdawało mi się, że patrzę na nią. Były to też same delikatne rysy, toż samo czoło z cieniem padającym od bujnych włosów, ten sam łagodny zarys brwi, a szczególnie głos prawie jednakowy. W

usposobieniu matki i dziecka była także wspólność objawiająca się w pewnej skłonności do egzaltacji i uczuć, i poglądów. Należeli oboje do tego rodzaju istot nerwowych, wrażliwych, szlachetnych i kochających, które zdolne są do największych poświęceń, ale które w życiu i zetknięciu się z jego rzeczywistością mało znajdują szczęścia, dając naprzód więcej, niż mogą otrzymać. Ten rodzaj ludzi ginie też zaraz i myślę, że jakiś dzisiejszy naturalista mógłby powiedzieć o nich, że z góry są na śmierć skazani, bo przychodzą na świat z wadą serca - za dużo kochają.

Rodzina Michasia była kiedyś bardzo zamożna, ale - za dużo kochali... więc rozmaite burze rozwiały fortunę, a to, co zostało, nie jest wprawdzie nędzą, nie jest nawet ubóstwem, jednakże w porównaniu do dawnych czasów - miernością. Michaś był ostatnim z rodziny; toteż pani Maria kochała go nie tylko jak własne dziecko, ale zarazem jak wszystkie swoje nadzieje na przyszłość. Na nieszczęście, z zaślepieniem zwykłym matkom, widziała w nim niepospolite zdolności. Chłopiec wprawdzie istotnie nie był tępy, ale należał do tego rodzaju dzieci, których zdolności, z początku średnie, rozwijają się dopiero później razem z siłami fizycznymi i zdrowiem. W innych warunkach mógłby być skończyć szkoły i uniwersytet, i stać się pożytecznym pracownikiem na każdym polu. W tych, jakie istniały, męczył się tylko i wiedząc o wysokim wyobrażeniu, jakie matka miała o jego zdolnościach, wysiłał na próżno.

Wiele na świecie widziały oczy moje, i postanowiłem się nie dziwić niczemu, ale wyznaję, że z trudnością uwierzyłem, by mógł istnieć taki zamęt, w którym by dziecku na złe wyszła wytrwałość, siła charakteru i praca. Jest coś w tym niezdrowego, i gdyby mi słowa mogły 70

zapłacić za żal i gorycz, to doprawdy powiedziałbym razem z Hamletem, że dzieją się na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom...

Pracowałem z Michasiem, jakby od tych stopni, które on za postępy dostawał, moja własna przyszłość zależała. Bo też obaj z moim drogim chłopcem mieliśmy jeden cel, a to: nie zmartwić jej, pokazać dobrą cenzurę, wywołać uśmiech na jej usta.

Gdy mu się udało dostać dobry stopień, malec przychodził z klasy rozpromieniony i szczęśliwy.

Zdawało mi się, że w takich razach urósł nagle, że się rozkurczał; jego chmurne zwykle oczy śmiały się wówczas tą szczerą, dziecinną wesołością i świeciły jak dwa węgielki.

Zrzucał natychmiast ze swoich wąskich pleców tornister przeładowany książkami i mrugając na mnie mówił jeszcze w progu:

- Panie Wawrzyńkiewicz, mama będzie kontenta! Dostałem dziś z geografii... niech pan zgadnie ile?

A gdym udawał, że nie zgaduję, przybiegał do mnie z pyszną minką i zarzuciwszy mi ręce na szyję mówił niby do ucha, ale bardzo głośno:

- Piątkę! naprawdę piątkę!

Były to dla nas obojdwóch szczęśliwe chwile. Wieczorami w takie dni Michaś rozmarzał się i wyobrażając sobie, co to będzie, jeśli dostanie wszystkie stopnie celujące, gwarzył na wpół do mnie, na wpół do siebie samego:

- Na Boże Narodzenie pojedziemy do Zalesina: śnieg będzie padał - zwyczajnie jak w zimie -

więc pojedziemy sankami. Przyjedziemy w nocy, ale o! mama będzie na mnie czekała, uściska mnie, ucałuje, a potem spyta o cenzurę. Ja zrobię smutną minę naumyślnie, a tu mama czyta: Z religii: celujący; z niemieckiego: celujący; z łaciny: celujący... same celujące! O, panie Wawrzyńkiewicz!

I biednemu chłopcu łzy stawały w oczach, a ja zamiast go powstrzymywać, sam biegłem za nim zmęczoną wyobraźnią i przypomiąłem sobie dom w Zalesinie, jego powagę, spokój, tę wyższą, szlachetną istotę, która tam była panią, i szczęście, jakie jej sprawi powrót chłopca z celującymi w cenzurze.

Korzystałem z takich chwil i dawałem Michasiowi nauki, tłumacząc mu, że mamie chodzi bardzo o jego naukę, ale także o zdrowie, że więc nie powinien płakać, gdy go wyprowadzam na przechadzkę, sypiać tyle, ile mu każę, i nie upierać się przy nocnym siedzeniu.

Rozrzewniony malec ścisnął mnie za szyję i powtarzał:

- Dobrze, mój złoty panie, będę zdrow, że aż strach, i stanę się taki duży, że ani mama, ani mała Lola mnie nie poznają.

Odbierałem też często listy od pani Marii, polecające mi, bym czuwał nad zdrowiem dziecka, ale z rozpaczą przekonywałem się co dzień, że pogodzić naukę ze zdrowiem było prawie niepodobieństwem. Gdyby przedmioty wykładane były za trudne, byłbym sobie poradził

cofnąwszy Michasia z klasy drugiej do pierwszej; ale on te przedmioty, jakkolwiek jałowe, doskonale pojmował; nie o naukę więc chodziło, tylko o czas i ten nieszczęsny niemiecki język, którym dziecko nie władało dostatecznie. Na to już nic nie mogłem poradzić i liczyłem jedynie, że gdy święta nadejdą, odpoczynek wypełni te szczyby w zdrowiu chłopca, które czyniła nadmierna praca. Gdyby Michaś był dzieckiem obojętniejszym, mniej bym się troszczył o niego; ale on prawie żywiej jeszcze odczuwał każde niepowodzenie niż pomyślność. Chwile radości i owych piątek, o

których wspomniałem, rzadkie były na nieszczęście.

Tak nauczyłem się czytać w jego twarzy, że skoro tylko wszedł, od pierwszego rzutu oka poznawałem, gdy mu się nie powiodło.

- Dostałeś zły stopień? - pytałem

- Tak jest!

- Nie umiałeś?

Czasem odpowiedział:

71

- Nie umiałem - częściej jednak: - Umiałem, ale nie mogłem powiedzieć.

Jakoż mały Owicki, prymus z klasy drugiej, którego naumyślnie sprowadziłem, aby się Michaś uczył, mówił, że Michaś głównie dlatego dostaje złe stopnie, że się nie umie...

wyjęzyczyć.

W miarę jak dziecko czuło się coraz więcej zmęczone umysłowo i fizycznie, takie niepowodzenia powtarzały się częściej. Zauważyłem, że gdy wyplakawszy się siadał

następnie do lekcji, cichy bywał i niby spokojny, ale w tej zdwojonej energii, z jaką zabierał

się do zadań, było coś rozpaczliwego i gorączkowego zarazem. Czasem też szedł w kąt, ścisnął głowę obu rękoma i milczał: egzaltowany chłopiec wyobraził sobie, że kopie grób pod nogami ukochanej matki, a nie wiedział jak zaradzić temu, i czuł się po prostu w kole błędnym, z którego nie było wyjścia.

Jego nocne siedzenia stawały się coraz częstsze. Bojąc się, że gdy się obudzę, każę mu iść spać, wstawał cicho, po ciemku, wynosił lampę do przedpokoju, tam ją zapalał i zasiadał do roboty. Zanim go na tym złapałem, kilka nocy przepędził w ten sposób między nie opalonymi ścianami. Nie miałem innej rady, jak wstać, zawołać go do pokoju i przerobić z nim raz jeszcze wszystkie lekcje, by go przekonać, że je umiał i że niepotrzebnie narażał się na przeziębienie. Ale on już sam w końcu nie wiedział, co umiał, czego nie umiał. Dziecko traciło siły, chudło, żółkło i zasepiało się coraz bardziej. Czasem trafiło się coś takiego, co przekonywało mnie, że nie sama jednak praca wyczerpywała jego siły. Raz, gdym wykladał

mu historię, którą —Stryj synowcom opowiedział, co na żądanie pani Marii robiłem codziennie, Michaś zerwał się z zaiskrzonymi oczyma, ja zaś przestraszyłem się prawie, ujrawszy badawczy i surowy wyraz jego twarzy, z jakim zawołał:

- Panie, więc to naprawdę nie bajka? bo...

- Bo, co Michasiu? - pytałem ze zdziwieniem.

Zamiast odpowiedzi zacisnął zęby, a w końcu wybuchnął płaczem tak namiętnym, że długo nie mogłem go uspokoić.

Badałem Owickiego o przyczynę tego wybuchu: nie umiał lub nie chciał powiedzieć; domyśliłem się jednak sam. Nie było żadnej wątpliwości, że polskiemu dziecku trafiało się słyszeć w niemieckiej szkole wiele rzeczy, które raniły jego najgłębsze uczucia i które były wprost zaprzeczeniem albo pogardą i wydrwiwaniem z kraju, języka, ojczystych tradycji, słowem - wszystkiego, co w domu nauczano je czcić i kochać. Zdania takie ześlizgiwały się po innych chłopcach nie zostawiając nic prócz głębokiej nienawiści do nauczycieli i całej ich rasy; ale chłopczyna tak uczciwy jak Michaś odczuwał je boleśniej; nie śmiał zaprzeczyć, choć może nieraz miał ochotę krzyknąć z bólu, ale burzył się, zacinał zęby, gryzł i martwił. I tak do zmartwień, którymi karmiły go niepowodzenia i złe stopnie, przyrzuciała nieopisanej goryczy rozterka moralna, w jakiej żył ciągle. Dwie siły, dwa głosy, których słuchać jest obowiązkiem dziecka, ale które też właśnie dlatego winny być zgodne, szarpały Michasia w dwie przeciwne strony. Co jedna powaga nazywała białym, cnym, ukochanym, druga naznaczała piętnem strupieszona i śmieszności; co jedna zwała cnotą, druga występkiem. Więc w tym rozdzieleniu chłopiec szedł za tą powagą, do której rwało mu się serce, ale musiał udawać, że słucha i bierze do serca słowa przeciwne; musiał udawać od rana do wieczora i żyć w tym męczącym przymusie dni, tygodnie, miesiące... Co za położenie... dziecka!

Dziwny był los Michasia. Dramaty życiowe zaczynają się zwykle później, gdy pierwsze liście spadają z drzewa młodości; dla niego wszystko to, co składa się na nieszczęście: przymus moralny, tajona zgryzota, niepokój, daremne wysiłki, szamotanie się z trudnościami, stopniowa utrata nadziei, wszystko to poczęło się w jedenastym roku życia. Ani jego wątła postać, ani wątłe siły nie były w stanie sprostać temu ciężarowi. Upływały dni, tygodnie; biedak podwajał wysilenia, a skutek coraz był mniejszy, coraz bardziej opłakany. Listy pani Marii jakkolwiek słodkie, przyrzucały jeszcze wagi do brzmienia.

72

—Bóg Cię obdarzył, Michasiu, niezwykłymi zdolnościami - pisała matka - ufam więc, że nie zawiedziesz nadziei, jakie w tobie złożyłam, i że staniesz się krajowi i mnie pociechą.

Gdy chłopiec odebrał pierwszy raz taki list, chwycił mnie za rękę spazmatycznie i zanosząc się od płaczu zaczął powtarzać:

- Co ja poradzę, panie Wawrzyńkiewicz, co ja mogę poradzić?

Istotnie, cóż mógł zrobić? Cóż mógł poradzić na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną łatwością do języków i że nie umiał się po niemiecku wyjęzyczyć?

Nadeszły czasy rekreacji na Wszystkich Świętych; cenzura kwartalna wcale była nieszczególna: z trzech najważniejszych przedmiotów miał mierne. Na jego najsilniejsze prośby i zaklęcia nie posłałem jej pani Marii.

- Drogi panie! - wołał złożony ręce - mama nie wie, że na Wszystkich Świętych dają stopnie, a do Bożego Narodzenia może Pan Bóg zmiłuje się nade mną.

Biedne dziecko łudziło się nadzieją, że jeszcze te złe stopnie poprawi, a co prawda łudziłem się i ja. Sądziłem, że wdroży się w rutynę szkolną, że przywyknie do wszystkiego, że wprawi się w język i nabierze akcentu, a przede wszystkim, że coraz mniej czasu będzie potrzebował

do nauki. Gdyby nie to, dawno bym był pisał do pani Marii i przedstawił jej stan rzeczy.

Jakoż nadzieje zdawały się nie być próżne. Zaraz po Wszystkich Świętych Michaś dostał trzy stopnie celujące, z których jeden z łaciny. Ze wszystkich uczniów w klasie sam tylko wiedział, że od —gaudeo|| czas przeszły jest —gavisus sum||, a wiedział dlatego, że dostawszy poprzednio dwa celujące pytał się mnie, jak po łacinie: —cieszę się||. Myślałem, że chłopak zwariuje ze szczęścia. Napisał do matki list zaczynający się od słów:

—Mamusiu najdroższa! Czy ukochana moja wie, jak jest perfectum od gaudeo? pewno nie wie ani mama, ani mała Lola, bo w całej klasie ja tylko jeden wiedziałem||.

Michaś po prostu ubóstwiał matkę. Od tego czasu co chwila wypytywał mnie o różne perfecta i participia. Utrzymać te celujące stało się teraz zadaniem jego życia. Ale to był krótki blask szczęścia. Wkrótce fatalny akcent polski zburzył to, co wybudowała usilność, a nadmierna ilość przedmiotów nie pozwalała dziecku poświęcić każdemu z nich tyle czasu, ile wymagała jego wysiłona pamięć. Wypadek przyczynił się jeszcze do powiększenia niepowodzeń. I Michaś, i Owicki zapomnieli mi powiedzieć o jednym zadaniu piśmiennym i nie odrobili go.

Owickiemu to uszło, bo jako prymusa nawet nie spytano o nie, ale Michaś dostał publiczną naganę w szkole wraz z zagrożeniem, że zostanie usunięty.

Przypuszczano oczywiście, że utaił umyślnie przede mną zadanie, by go nie odrobić, a chłopiec, który był niezdolny do najmniejszego kłamstwa, nie miał sposobu przekonania o swej niewinności. Mógł wprawdzie powiedzieć w swojej obronie, że i Owicki zapomniał na równi z nim, ale na to nie pozwalał honor szkolny. Na moje zaręczenia Niemcy odpowiedzieli uwagą, że zachęcam chłopca do lenistwa. Kosztowało mnie to niemało zmartwienia, ale więcej jeszcze niepokoju przyczynił mi widok Michasia. Wieczorem dnia tego widziałem go, jak ścisnąwszy głowę obu rękoma szeptał myśląc, że go nie słyszę: —Boli! boli! boli!!|. List od matki, który nadszedł nazajutrz rano i w którym pani Maria obsypywała Michasia pieścotami za owe celujące, był nowym dla niego ciosem.

- O, sprawię mamie ładną pociechę! - wołał zakrywając twarz dłońmi. Następnego dnia, gdym mu zarzucił na plecy tornister z książkami, zatoczył się i mało nie upadł. Chciałem mu nie pozwolić iść do szkoły, ale mówił, że mu nic nie jest; prosił tylko, by go odprowadzić, bo się boi zawrotu głowy. Wrócił w południe z nowym miernym. Dostał go za lekcję, którą umiał

doskonale, ale wedle tego, co mówił Owicki, załękł się i nie mógł słowa przemówić.

Utwierdziła się o nim stanowcza opinia, że był to chłopiec przesiąknięty —wstecznymi zasadami i instynktami||, tępy i leniwy.

Z dwoma ostatnimi zarzutami, o których wiedział, walczył jak tonący z falą - rozpaczliwie, ale na próżno.

73

W końcu stracił wszelką wiarę w siebie, wszelką ufność we własne siły; doszedł do przekonania, że wysiłki i praca nadaremna, że on nigdy nie nabierze akcentu i musi się źle uczyć, a jednocześnie przedstawiał sobie, co na to powie matka, jaki to będzie dla niej ból, jak to może podkopać jej wątłe zdrowie.

Ksiądz z Zalesina, który czasem pisywał do niego, człowiek bardzo przychylny, ale nieoględny, każdy list kończył słowami —Michaś tego nie pamięta, że nie tylko radość, ale i zdrowie matki zależy od jego postępów w nauce i moralności. Pamiętał, pamiętał, aż zanadto, bo nawet we śnie powtarzał żalonym głosem: —Mamo! mamom! jakby jej błagał o przebaczenie.

Ale na jawie dostawał coraz gorsze stopnie. Tymczasem Boże Narodzenie zbliżało się szybko i co do cenzury nie można się było już łudzić. Napisałem do pani Marii, chcąc ją o tym uprzedzić. Powiedziałem otwarcie i stanowczo, że dziecko jest słabowite a przeciążone, że mimo największej pracy nie może sobie dać rady i że prawdopodobnie od świąt trzeba je będzie odebrać ze szkół, trzymać na wsi i przede wszystkim wzmacniać jego zdrowie. Lubo z odpowiedzi uczułem, że jej miłość własna macierzyńska została cokolwiek zraniona, jednakże odpisała jak rozumna kobieta i kochająca matka. Nie mówiłem Michasiowi nic o tym liście i zamiarach odebrania go ze szkół, bom lękał się dla każdego silniejszego wzruszenia; wspomniałem tylko, że cokolwiek wypadnie, matka wie, że pracuje i potrafi jego niepowodzenia wyrozumieć. Sprawilo mu to widoczną ulgę, bo się wyplakał długo i serdecznie, co mu się od pewnego czasu już nie zdarzało. Płacząc powtarzał: —Ile ja mamie sprawiam zmartwienia! Jednakże na myśl, że wkrótce pojedzie na wieś, że zobaczy matkę i małą Lolę, i Zalesin, i księdza Maszyńskiego, uśmiechał się przez łzy. Mnie także było pilno do Zalesina, bom już prawie nie mógł patrzeć na stan dziecka. Tam czekało na niego serce matki i życzliwość ludzka, i cisza, i uspokojenie. Tam nauka miała dla niego twarz swojską, życzliwą, nie obcą i odpychającą; tam cała atmosfera była swojska i czysta, którą dziecinne piersi mogły oddychać.

Wyglądałem więc dla niego świąt jak zbawienia i liczyłem na palcach chwile, które nas od nich przedzielały, a które Michasiowi coraz nowe przynosiły zgryzoty. Zdawało się, iż wszystko przeciw niemu się sprzysięga. Dla —tym większej wprawdy w język wykładowy dzieci miały polecenie nie używać nigdy innego między sobą. Michaś raz zapomniał się i dostał, jako demoralizujący innych, znów publiczną naganę. Było to już przed samymi świętami, więc tym więcej miało znaczenia. Jak wypadek ten odczuł dzieciak ambitny i wrażliwy nie podejmuję się opisać: co za chaos musiał wytworzyć się w jego umyśle! Rwało się wszystko w tej dziecinnej piersi i przed oczyma widział zamiast światła - ciemność. Giął

się też jak kłos pod wiatrem. W końcu twarz tego jedenastoletniego dziecka przybrała wyraz po prostu tragiczny; wyglądał tak, jakby go za gardło dusił ustawicznie płacz i jakby gwałtem wstrzymywał szlochanie; chwilami oczy jego patrzyły jak oczy cierpiącego ptaka; potem opanowało go dziwne zamyślenie i senność; ruchy jego zrobiły się jakby bezwiedne, a głos dziwnie powolny. Stał się niezwykle cichy, spokojny i mechanicznie posłuszny. Gdym mu mówił, że czas na przechadzkę, nie opierał się jak dawniej, ale brał czapkę i szedł za mną w milczeniu. Byłbym nawet

kontent, gdyby to było zobojętnienie, ale widział, że pod jego pozorem kryła się wyegzaltowana, bolesna rezygnacja. Siadywał przy lekcjach, odrabiał

zadania jak i dawniej, ale więcej już z przyzwyczajenia. Znać było, że powtarzając mechanicznie koniugacje myślał o czym innym, albo raczej nie myślał o niczym. Raz gdym się go spytał, czy już skończył wszystko, odpowiedział mi swoim powolnym głosem i jakby sennie:... —Ja myślę, panie, że to się na nic nie zdało. Bałem się wspomnieć nawet przy nim o matce, by nie przepełniać tego kielicha goryczy, z którego piły jego dziecinne wargi.

Coraz więcej także niepokoiłem się o jego zdrowie, bo mizerniał ciągle i w końcu stał się prawie przezroczysty. Siatka delikatnych żyłek, która dawniej ukazywała mu się na skroniach, gdy się ożywił bardzo, uwidoczniła się teraz stale. Wypiękniał tak, że zrobił się 74

prawie podobny do jakiegoś obrazu. Żał było patrzeć na tę główkę dziecinną, na wpół

anielską, która sprawiała wrażenie wędnącego kwiatu. Na pozór niby nic mu nie było, ale nikał i tracił siły. Nie mógł już udźwignąć wszystkich książek w tornistrze, więc wkładałem mu tylko niektóre, resztę zaś nosiłem, bom teraz codziennie prowadził go i odprowadzał ze szkoły.

Święta wreszcie nadeszły. Konie z Zalesina czekały od dwóch dni, a list pani Marii, który przyszedł wraz z nimi, zapowiadał, iż nas tam wszyscy wyglądają z niecierpliwością.

—Słyszałam, że ci, Michasiu, ciężko idzie - kończyła pani Maria - nie spodziewałam się już celujących, chciałam tylko, by nauczyciele twoi myśleli tak jak ja, że uczyniłeś wszystko, co było w twojej mocy, i że dobrym sprawowaniem starałeś się wynagrodzić niedostateczne postępy.

Ale nauczyciele myśleli inaczej pod każdym względem, więc cenzura zawiodła i to oczekiwanie. Ostatnia publiczna nagana tyczyła się wprost sprawowania chłopca, o którym pani Maria miała także odmienne pojęcie. W opinii niemieckich profesorów to tylko dziecko dobrze się sprawiało, które płaciło śmiechem za ich drwiny z —polskiego zacofania, języka i tradycji. Skutkiem takich pojęć etycznych Michaś, jako nie dający widoków, by mógł na przyszłość słuchać z korzyścią wykładów, a zabierający na próżno miejsce innym, został

usunięty ze szkoły. Przyniósł ten wyrok wieczorem. W mieszkaniu było już prawie ciemno, bo śnieg obfity padał na dworze, więc nie mógł dojrzeć twarzy dziecka. Widziałem tylko, że poszedł do okna, stanął w nim i bezmyślnie, w milczeniu patrzył na płatki śnieżne, kręcące się w powietrzu. Nie zazdrościłem biedactwu myśli, które na kształt tych płatków musiały mu tam kręcić się po głowie, ale wolałem z nim nie mówić o cenzurze i wyroku. W ten sposób upłynął nam kwadrans w przykrym milczeniu, a tymczasem ściemniło się prawie zupełnie.

Zabrałem się do układania rzeczy w kuferek, widząc zaś, że Michaś stoi ciągle przy oknie, rzekłem wreszcie:

- Co tam robisz, Michasiu?

- Prawda - odparł głosem, który dygotał i zatrzymywał się na każdej sylabie - że mama siedzi teraz z

Lolą w zielonym gabinecie przed ogniem i myśli o mnie?

- Być może. Czemu ci tak głos drży? Czyś nie chory?

- Nic mi nie jest, panie, tylko mi bardzo zimno.

Rozebrałem go i położyłem natychmiast do łóżka, a rozbierając patrzyłem z litością na jego wychudzone kolana i ręce tak cienkie, jak źdźbła trzciny. Kazałem mu napić się herbaty i okryłem, czym było można.

- Ciepłej ci teraz?

- O, tak! Głowa mnie trochę boli.

Biedna głowa miała od czego rozboleć. Zmęczone dziecko usnęło wkrótce i oddychało pracowicie przez sen swymi wąskimi pierściami, ja zaś skończyłem pakować jego i swoje rzeczy; potem że także czułem się niezdrów, położyłem się zaraz. Zdmuchnąwszy świecę usnąłem prawie w tej samej chwili.

Koło trzeciej po północy obudziło mnie światło i jednostajne, dobrze mi znane mruczenie.

Otworzyłem oczy i serce mi zabiło niespokojnie. Na stole paliła się lampa, przed stolikiem zaś nad książką siedział Michaś w jednej koszuli; policzki jego pałały, oczy były przymknięte, jakby dla lepszego natężenia pamięci, głowa trochę w tył pochylona, senny zaś głos powtarzał:

- Coniunctivus: Amem, ames, amet, amemus, ametis...

- Michasiu!

- Coniunctivus: Amem, ames...

Szarpnąłem go za ramię:

- Michasiu!

75

Rozbudził się i począł mrugać oczyma ze zdziwieniem, patrząc na mnie, jakby mnie nie poznał.

- Co ty robisz? co tobie, dziecko?

- Panie - odrzekł, uśmiechając się - powtarzam wszystko od początku; muszę jutro dostać celujący...

Porwałem go na ręce i zaniósłem do łóżka; ciało jego parzyło mnie jak ogniem. Na szczęście doktor mieszkał w tym samym domu, sprowadziłem go więc natychmiast. Nie potrzebował

się długo namyślać. Chwilę potrzymał puls dziecka, potem rękę położył mu na czole: Michaś miał

zapalenie mózgu.

Ach! wiele rzeczy nie mogło mu się widocznie w głowie pomieścić. Choroba przybrała szybko zatrważające rozmiary. Posłałem depeszę do pani Marii i na drugi dzień dzwonek targnięty gwałtownie w przedpokoju zwiastował mi jej przybycie. Jakoż otworzywszy drzwi ujrzałem ją bladą pod czarnym kwefem jak płótno: palce jej z niezwykłą siłą wsparły się na moim ramieniu i cała dusza wybiegła do oczu utkwionych we mnie, gdy spytała krótko:

- Żyje?

- Tak. Doktor mówił, że jest lepiej.

Odrzuciła woal, na którym osiadł szron oddechu, i wbiegła do pokoju dziecka. Kłamałem.

Michaś żył wprawdzie, ale nie było mu lepiej. Nie poznał nawet matki, gdy siadła przy nim i wzięła go za rękę. Dopiero, gdym mu na głowie położył świeży lód, począł mrużyć powieki i usilnie wpatrywać się w schyloną nad nim twarz. Myśl jego natężyła się widocznie walcząc z gorączką i obłędem, usta drgały, uśmiechnął się raz i drugi a w końcu wargi jego wyszeptaly:

- Mama!...

Ona chwyciła go za rękę i przesiedziała tak przy nim kilka godzin nie zrzuciwszy nawet podróżnego ubrania. Dopiero, gdym zwrócił na to jej uwagę, rzekła:

- Prawda. Zapomniałam zdjąć kapelusz.

Gdy go zdjęła, serce scisnęło mi się dziwnym uczuciem: oto między blond włosami zdobiącymi tę młodą piękną głowę, świeciły gęsto srebrne nitki. Trzy dni temu może ich tam nie było jeszcze.

Zmieniała teraz sama okłady chłopcu i podawała lekarstwo. Michaś wodził za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, ale znowu jej nie poznawał. Wieczorem gorączka zwiększyła się.

Deklamował w malignie dumę o Żółkiewskim ze Śpiewów Niemcewicza, chwilami przemawiał w języku wykładowym, to znów odmieniał rozmaite słowa łacińskie.

Wychodziłem co chwila z pokoju, bom nie mógł tego słuchać. Gdy był jeszcze zdrów, uczył

się w sekrecie ministrantury, chcąc matce za przyjazdem na wieś sprawić niespodziankę - i teraz dreszcz mnie przejmował, gdym w ciszy wieczornej słyszał to dziecko jedenastoletnie powtarzające przed śmiercią jednostajnym gasnącym głosem: Deus meus, Deus meus, quare me repulisti et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus!

Nie umiem powiedzieć, jakie tragiczne wrażenie robiły te słowa. Była to Wigilia Bożego Narodzenia. Z ulicy dochodził gwar ludzki i brzęczenie dzwonek przy sankach. Miasto przybierało powierzchowność świąteczną i radosną. Gdy się ściemniło zupełnie, przez okna na drugiej stronie ulicy widać było choinkę jarzącą się od świeczek, pozawieszaną złotymi i srebrnymi błyszczącymi orzechami, a naokoło niej główki dziecinne jasne i ciemne, z lokami rozwianymi w powietrzu,

skaczące jak na sprężynach. Okna pały od światła, a całe wnętrze rozlegało się od krzyków radości i zdziwienia. Między głosami dochodzącymi z ulicy nie było innych jak wesołe i radość stawała się ogólną; tylko jeden nasz malec powtarzał jakby z żalnością wielką: Deus meus, Deus meus, quare me repulisti? Pod bramą zatrzymali się chłopcy z szopką i wkrótce doszedł nas ich śpiew: —W żłobie leży, któż pobieżył. Noc Narodzenia zbliżała się, a myśmy drżeli, by to nie była noc śmierci.

Przez chwilę zdawało nam się jednak, że chłopiec oprzytomniał, bo zaczął wołać Loli i matki, ale to krótko trwało. Szybki jego oddech czasem ustawał zupełnie. Nie było się co łudzić! Ta 76

mała dusza była już na wpół tylko między nami. Umysł jego już odleciał, a teraz on sam już odchodził w jakąś ciemną dalekość i nieskończoność i nie widział już nikogo, i nie czuł nic, nawet głowy matki, która leżała jak martwa na jego nogach. Zbojętniał i nie oglądał się już na nas. Każdy oddech jego piersi oddalał go i jakby zasuwiał w mrok. Choroba gasiła po kolei iskierkę po iskierce życia. Ręce dziecka leżące na kołdrze rysowały się już na niej z taką ciężką bezwładnością rzeczy martwych; nos jego zaostrzał się, a twarz nabierała jakiejś chłodnej powagi. Oddech tylko coraz był szybszy, a w końcu stał się podobny do szeptu zegarka. Chwila jeszcze, jedno westchnienie i ostatnie ziarnko piasku miało się zsypać z klepsydry: miał być koniec.

Koło północy zdawało się nam stanowczo, że już kona, bo zaczął chrapać i jęczeć jak człowiek, któremu usta zalewa woda, a potem zamilkł nagle. Ale lusterko, które przyłożył mu doktor do ust, przesłaniało się jeszcze mgłą oddechu. W godzinę później gorączka zmniejszyła się nagle: myśleliśmy wszyscy, że już uratowany. Sam doktor miał niejaką nadzieję. Biednej pani Marii zrobiło się słabo.

W ciągu dwóch godzin coraz mu było lepiej. Nad ranem, że to już czwartą noc spędzałem przy malcu bezsennie i że kaszel dusił mnie coraz mocniej, wyszedłem do przedpokoju i położywszy się na sienniku usnąłem. Obudził mnie głos pani Marii. Myślałem, że mnie woła, ale w ciszy nocnej usłyszałem wyraźnie: —Michasiu! Michasiu!! Włosy mi na głowie powstały, gdym zrozumiał ten straszny akcent, z jakim wołała na dziecko; zanim jednak się zerwałem, wbiegła sama do przedpokoju, ogarniając ręką świecę i dygocącymi wargami wyszeptała:

- Michaś... umarł!

Pobiegłem co tchu do łóżka chłopca. Tak jest. Osadzenie głowy w poduszce, otwarte usta, oczy wbite nieruchomie w jeden punkt i stężałość wszystkich rysów nie zostawiały najmniejszej wątpliwości. Michaś umarł.

Nakryłem go kołdrą, którą matka zrywając się z łóżka zsunęła z jego wychudłych zwłok i zamknąłem mu oczy, a potem musiałem długo cucić panią Marię. Pierwszy dzień świąt zszedł

mi na przygotowaniach do pogrzebu, które były dla mnie straszne, bo ona nie chciała odstąpić zwłok, a ciągle jej sił brakło. Zemdląła, gdy ludzie przyszli brać miarę na trumnę, potem, gdy zaczęto ubierać ciało, na koniec, gdy ustawiano katafalk. Rozpacz jej stykała się co chwila z obojętnością służby pogrzebowej przywykłej do takich widoków i przechodziła prawie w obłęd. Sama układała heblowiny w trumnie pod atłasem bredząc jak w gorączce, że dziecko będzie miało głowę za nisko. A Michaś leżał tymczasem na łóżku ubrany już w nowy mundurek i białe rękawiczki, sztywny,

obojętny i pogodny. Włożyliśmy w końcu ciało do trumny i ustawili na katafalku, a naokoło dwa rzędy świec. Pokój, w którym biedne dziecko tyle się naodmieniało słów łacińskich i naodrabiało zadań, zmienił się jakby w kaplicę, bo zamknięta okiennica nie puszczała światła dziennego, a żółty migotliwy blask świec nadawał

ścianom pozór jakiś kościelny i uroczysty. Nigdy też od czasu, jak dostał ostatnie celujące, nie widziałem u Michasia twarzy tak rozpogodzonej. Delikatny jego profil zwrócony do sufitu uśmiechał się łagodnie, jakby chłopiec w tej wieczystej rekreacji śmierci upodobał sobie i czuł się szczęśliwym. Migotania świec nadawały twarzy jego i temu uśmiechowi pozory życia i snu. Powoli chłopcy, koledzy jego, którzy nie powyjeżdżali na święta, poczęli się schodzić.

Oczy dzieci rozszerzały się ze zdziwieniem na widok świec, katafalku i trumny. Może te małe mundurki dziwiła powaga i rola kolegi. Oto niedawno był jeszcze między nimi, zginał się jak i oni pod ciężarem tornistra przeładowanego niemieckimi książkami, dostawał złe stopnie, odbierał połajania i nagany publiczne, miał zły akcent: każdy z nich mógł go pociągnąć za włosy lub za ucho; a teraz leżał taki wyższy od nich, uroczysty, spokojny, otoczony światłem; wszyscy zbliżali się do niego z szacunkiem i pewną trwogą - i nawet Owicki, choć prymus, niewiele wobec niego znaczył. Chłopcy trącąc się łokciami szeptali sobie, że teraz on już o nic nie dba, że gdyby nawet —Herr Inspektor! przyszedł, to on by się już nie zerwał, nie 77

przestraszył, ale uśmiechałby się tak samo spokojnie; że on tam zupełnie, zupełnie może robić, co mu się podoba, hałasować, jak zechce, i mówić choćby po polsku do małych aniołków ze skrzydełkami pod szyją.

Tak szepcząc zbliżali się do szeregu świateł i odmawiali wieczny odpoczynek. Michasiowi...

Następnego dnia przykryto trumnę wiekiem, umocowano ją gwoździami i powieszono na cmentarz, gdzie grudki piasku, pomieszane ze śniegiem, wkrótce ją skryły przed moimi oczyma... na zawsze...

Dziś, gdy to piszę, upłynęło już od tego czasu blisko rok, ale pamiętam cię i żal mi ciebie, mój mały Michasiu, mój kwiatku za wcześniej uwiędły! Miałeś zły akcent, ale serce poczciwe.

Nie wiem, gdzie jesteś, czy mnie słyszysz, wiem tylko, że twój dawny nauczyciel kaszle coraz ciężiej, że mu coraz ciężiej, samotniej i wkrótce może odejdzie, jak ty odszedłeś...

78

[Orso](#)

Ostatnie dni jesieni są dla Anaheim, miasteczka położonego w południowej Kalifornii, dniami zabaw i uroczystości. Kończy się naówczas winobranie, całe więc miasto roi się tłumami ludności robotniczej. Nic bardziej malowniczego nad widok, jaki przedstawia ta ładność złożona w mniejszej części z Meksykanów, głównie zaś z Indian Cahuilla, którzy dla zarobku przybywają aż z dzikich gór San Bernardino, leżących w głębi kraju. Jak jedni, tak i drudzy roztasowują się na ulicach i placach do sprzedania, czyli tak zwanych lotach, na których sypiają pod namiotami albo wprost pod gołym niebem, wiecznie w tej porze roku pogodnym.

Sliczne to miasto, otoczone kępami eukaliptów, rycynusów i drzew pieprzowych, wre jakby jarmarkiem gwarnym i hałaśliwym, a stanowiącym dziwne przeciwieństwo z głęboką i poważną ciszą pustyni, porosłej kaktusami, która zaczyna się zaraz za polami winogrodu.

Wieczorem, gdy słońce kryje promienny swój krąg w toniach oceanu, a na różowym niebie widać również różowo oświecone klucze dzikich gęsi, kaczek, pelikanów, mew i żurawi, ciągnących tysiącami z gór ku oceanowi, w mieście zapalają się ogniska i rozpoczyna się zabawa. Minstrelowie murzyńscy klekocą w kastaniety, przy każdym ognisku słysząc odgłosy bębnow i mrukliwe tony "bandza"; Meksykanie tańczą na rozciągniętych ponczach ulubione swe bolero, Indianie wtórują im, trzymając w rękach długie białe laski "kiotte" lub rzucając okrzyki "Eviva"; ogniska, sycone czerwonym drzewem huczą i strzelają iskrami, a przy krwawych ich blaskach widać skaczące postacie, dokoła zaś - miejscowych osadników pod rękę z pięknymi żonami i córkami, przyglądających się zabawie.

Dzień jednak, w którym ostatnie ono zostaje wytłoczone indyjskimi nogami, jest jeszcze uroczystszy, zjeżdża bowiem wówczas z Los Angeles wędrowny cyrk pana Hirscha, Niemca, a zarazem właściciela menażerii, złożonej z map, kuguarów, lwów afrykańskich, jednego słonia i kilkunastu dziecienniałych ze starości papug: the Greatest Attraction of the World! Jakoż Cahuillowie oddają ostatnie pezos, których nie zdołali przepić, aby tylko widzieć nie tyle dzikie zwierzęta, bo tych w San Bernardino nie brak, ile artystki, atletów, kłownów i wszystkie cuda cyrkowe, które wydają im się co najmniej "wielką medycyną", to jest czarodziejstwem, możebnym do spełnienia tylko z pomocą sił nadprzyrodzonych.

Ściągnąłby jednak na siebie słuszny, a Bóg widzi, niebezpieczny gniew pana Hirscha, kto by myślał, że cyrk jego jest przynętą tylko dla Indian, Chińczyków lub Murzynów. Przeciwnie przybycie cyrku pociąga za sobą zjazd nie tylko okolicznych osadników, ale nawet mieszkańców sąsiednich mniejszych miast Westminster, Orange i Los Nietos. Ulica pomarańcz bywa wówczas tak zapchana wozami i powozikami najrozmaitszych kształtów, że niepodobna się precisnąć. Cały wielki świat "setlerski" staje jak jeden mąż. Młode zgrabniutki miss, z jasnymi grzywkami na oczach, powożąc z kozłów, rozjeżdżają z wdziękiem ludzi po ulicach, szczebioczą i szczerzą ząbki; hiszpańskie senioritas z Los Nietos rzucają długie powłóczyście spojrzenia spod tiulowych zasłon; zameżne damy z okolicy, ubrane według ostatniej mody, z dumą wspierają się na ramionach ogorzałych farmerów, którym za cały strój służą obdarte kapelusze, rypsowe pantalony i flanelowe koszule, zaścięgnięte w braku krawatów na hetkę i pętelkę.

Wszystko to wita się, nawołuje, ogląda baczynym okiem stroje, o ile są very fashionable, i obgaduje po trochu.

Wśród powozików, zasypanych kwiatami i wyglądających jak wielkie bukiety, harczą na mustangach młodzi ludzie i przechylając się z wysokich kulbak meksykańskich, zaglądną ukradkiem pod kapelusze dziewicze. Półdzikie konie, przerażone hukiem i gwarem, toczą 79

krwawymi oczyma, wspinają się i kwiczą, ale dzielni jeźdźcy nie zdają się nawet zwracać na to uwagi.

Wszyscy rozmawiają o the greatest attraction, czyli o szczegółach przedstawienia wieczornego, które

światłością ma przejść wszystko, co dotąd widziano. Istotnie, olbrzymie afisze donoszą o cudach prawdziwych. Sam dyrektor Hirsch, artysta na bacie, ma dać koncert z najsroźszym ze znanych dotąd lwem afrykańskim. Lew rzuca się wedle programu na dyrektora, któremu za całą obronę służy tylko bat. Ale zwykłe to narzędzie zmieni się w cudownych rękach (zawsze według programu) na ognisty miecz i tarczę. Koniec owego bata ma kasać jak grzechotnik, migotać jak błyskawica, strzelać jak piorun i trzymać w ciągłym oddaleniu potwora, który na próżno miota się i chce rzucić na artystę. Nie na tym jednak koniec: szesnastoletni Orso, "Herkules amerykański", zrodzony z ojca białego a matki Indianki, ma dźwigać na sobie sześciu ludzi, po trzech na każdym ramieniu; prócz tego, dyrekcja ofiaruje sto dolarów każdemu człowiekowi, "bez względu na kolor skóry", który by małoletniego atletę zmógł w ręcznej walce. Głuche wieści chodzą po Anaheim, że z gór San Bernardino przybył umyślnie dla próbowania się z Orsem Grizzly-Killer (zabijacz niedźwiedzi), sławny z nieustraszonej i siły wnicznik, który jak Kalifornia Kalifornią, pierwszy z ludzi ośmielił się uderzać na szarego niedźwiedzia z toporem i nożem.

Prawdopodobne zwycięstwo "zabijacza niedźwiedzi" nad szesnastoletnim atletą cyrkowym podnieca do najwyższego stopnia umysły wszystkich męskich mieszkańców Anaheimu; jeśli bowiem Orso, który dotychczas wszędzie między Atlantykiem a Pacyfikiem rzucał na ziemię najsilniejszych Yankee zostanie teraz zwyciężony, nieśmiertelna chwała okryje całą Kalifornię. Umysły kobiece nie mniej podnieca znów następny numer programu: oto tenże sam potężny Orso będzie nosił na trzydziestostopowym maszcie małą Jenny, "cud świata", o której afisz mówi, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaka żyła na ziemi "za ery chrześcijańskiej". Dyrektor mimo iż Jenny liczy dopiero lat trzynaście, ofiaruje również sto dolarów każdej dziewczycy, "bez względu na kolor skóry", która by ośmieliła się stanąć w zawód pod względem piękności z "Aniołem powietrznym". Miss, misski i misseczki z Anaheimu i okolic krzywią się w pogardliwy sposób, czytając ten punkt programu, i utrzymują, że nie byłoby to lady like stawać do takiego współzawodnictwa. Swoją drogą, każda z nich wolałaby oddać nawet swoje krzesło na biegunach niż nie być na wieczornym przedstawieniu i nie zobaczyć tej dziecinnej rywalki, w której piękność zresztą w porównaniu na przykład z siostrami Bimpa żadna nie wierzy. Dwie siostry Bimpa, starsza Refugio i młodsza Mercedes, siedząc niedbale w ślicznym buggy, czytają właśnie afisz. Na cudnych twarzach ich nie znać najmniejszego wzruszenia, choć czują, że oczy Anaheimu zwracają się na nie w tej chwili jakby z prośbą, by ratowały honor całego hrabstwa i zarazem z patriotyczną dumą, ugruntowaną na przekonaniu, że nad te dwa kwiaty kalifornijskie nie masz piękniejszych we wszystkich górach i kanionach świata tego. Och! bo też śliczne są siostry Refugio i Mercedes! W żyłach ich nie na próżno płynie czysta krew kastylska, o czym matka ich mówi co chwila, wyrażając za jedną drogą wysoką swą pogardą tak dla wszelkiego rodzaju kolorowych, jak i dla ludzi posiadających jasne włosy, to jest dla Yankee.

Ciała dwóch sióstr są wysmukłe, lekkie, a pełne w ruchach jakichś tajemnic, niby ociążałe, a takie rozkoszne, że gdy kto z młodzieży zbliża się do nich, serce mu miota się w piersi od nie wyznanej i nieświadomej siebie żądy. Od donny Refugio i Mercedes bije czar, jak woń bije od magnolij i kielichowców. Twarze ich delikatne, płeć przezroczysta, choć zarumieniona lekką różowością, jakby odbłaskiem jutrzeńki; oczy powłóczyście i czarne, słodkie a w spojrzeniu niewinne i tklive. Obwinięte w skręty muślinowych rebozos w buggy zarzuconym kwiatami, siedzą oto przezyste, spokojne i tak piękne, że same nawet zdają się nie wiedzieć o swej piękności. Anaheim patrzy na nie, pożera je oczyma, szczydzi się nimi i kocha się w nich. Jakaż więc musi być ta Jenny, jeśli i tu chce odnieść zwycięstwo? "Saturday Weekly Review" pisał wprawdzie, że gdy mała Jenny wdrze się

potężnym ramieniu Orsa, gdy na szczycie drąga zawieszona nad ziemią, narażona na śmierć, pocznie rozkładać rączki i migotać jak motyl, w cyrku robi się cicho, i nie tylko oczy, ale i serca śledzą ze drżeniem każdy ruch cudnego dziecka. "Kto ją raz widział na maszcie lub na koniu -kończy "Saturday Review" -ten jej nie zapomni nigdy, bo największy malarz na ziemi, nawet mister Harvey z San Francisco, który malował Palace Hotel, nie umiałby wymalować nic podobnego.

Sceptyczna lub zakochana w pannach Bimpa młodzież anaheimska utrzymuje, że jest w tym humbug, niemniej jednak rozstrzygnie się to ostatecznie dopiero wieczorem. Tymczasem ruch koło cyrku powiększa się z każdą chwilą. Z pośrodku długich szop drewnianych, otaczających właściwy płócienny cyrk, dochodzi ryk lwów i słonia; papugi, poprzczipiane do kół, zawieszonych przy szopach, wrzeszczą wniebogłosy, małpy huśtają się na własnych ogonach lub przedrzeźniają się publiczności trzymanej w oddaleniu sznurami, rozciągniętymi wkoło budynków. Nareszcie z głównej szopy wyjeżdża procesja, której celem zaciekawic do tego już stopnia publiczność, żeby aż skamieniała. Czoło procesji stanowi ogromny wóz, zaprzęgnięty w sześć koni z piórami na głowach. Woźnice w kostiumach pocztalionów francuskich powożą z siodła. Na wozach stoją klatki ze lwami, w każdej zaś klatce siedzi lady, z różdżką oliwną. Za wozem postępuje słoń, pokryty kobiercem, z wieżą na grzbiecie i łucznikami w wieży. Trąby grają, bębny biją lwy ryczą, bicze klaskają, słowem, cała karawana, jak gomon posuwa się naprzód z hałasem i wrzawą. Nie dosyć na tym: ze słoniem toczy się maszyna z kominem jak u lokomotywy, podobna do organów, na której para gra, a raczej kwiczy i wyświstuje najpiekniej narodowe Yankee Doodle. Chwilami para dłużej zatrzymuje się w dudzie, a wtedy z dudy wychodzi zwyczajny świst, co jednak nie zmniejsza entuzjazmu tłumów, które słuchając tej pieśni kwicząco-parowej nie posiadają się z radości.

Amerykanie krzyczą: "Hura!", Niemcy: "Hoch!", Meksykanie: "Eviva", Cahuillowie zaś wyją z zadowolenia jak dzikie zwierzęta, które pokasał giez.

Tłumy ciągną za wozami, miejsce naokół cyrku wyludnia się, papugi przestają wrzeszczeć, małpy przewracają koziołki. The greatest attraction nie bierze jednak udziału w procesji. Na wozach nie ma ani "niezrównanego na bacie" dyrektora, ani "niezwyciężonego Orsa", ani

"anioła powietrznego, Jenny". To wszystko chowa się dopiero na wieczór, aby tym większe wywołać wrażenie. Dyrektor siedzi gdzieś w szopie lub zagląda do kas, w których jego Murzyni wyszczerzają białe zęby do publiczności -zagląda i złości się quand meme, Orso zaś i Jenny mają właśnie próbę w cyrku. Pod płóciennym jego dachem panuje jednak cisza i mrok. Głęb, w której piętrzą się coraz wyżej ławki, prawie zupełnie jest ciemna, największa natomiast ilość światła wpada przez płócienny dach na wysypaną piaskiem i otrębami arenę.

Przy owych szarych, precedzonych przez płótno blaskach, widać stojącego przy parapecie konia, wedle którego nie ma nikogo. Grubopłaski koń nudzi się widocznie, opędza się ogonem od much i kiwa, o ile może, łbem przywiązany na białym lejcu i podgiętym ku piersiom. Powoli oko odkrywa i inne przedmioty, jak oto: leżący na piasku drąg, na którym Orso nosi zwykle Jenny i kilka obręczy, zaklejonych bibułą, przez które Jenny ma skakać-ale wszystko to leży niedbale porzucone, cała zaś półoświecona arena i mroczny zupełnie cyrk robią wrażenie pustkowie z pozabijanymi od dawna oknami. Szeregi spiętrzonych ławek, w niektórych tylko miejscach obrzucone blaskiem, wyglądają

jak rumowiska; stojący ze spuszczonym łbem koń nie ożywia obrazu.

Gdzież są Orso i Jenny? Jedno z pasm wkradającego się przez szpary światła, w którym kręci się i wiruje kurz, pada jak złota plama na zagłębienie dalszych ławek. Plama ta posuwa się zgodnie z ruchem słońca na dworze, a w końcu oświetla grupę złożoną z Orsa i Jenny.

Orso siedzi na wierzchu ławki, przy nim zaś Jenny. Jej śliczna dziecinna twarzyczka przytulona jest do ramienia atlety, a ręka otacza jego kark i zwiesza się na drugim ramieniu.

Oczy dziewczynki wzniesione są do góry, jakby słuchała uważnie słów towarzysza, który pochylony nad nią, porusza od czasu do czasu głową, niby tłumacząc coś i przekładając. Tak 81

przytulonych do siebie można by wziąć za parę zakochaną, gdyby nie to, że odziane w blad różowe trykoty nóżki Jenny, nie dostając do ziemi, kiwają się w tył i naprzód ruchem zupełnie dziecinnym, który nazywa się także robieniem garnków, a jej wzniesione oczy wyrażają raczej zaśłuchanie się i mocne natężenie myśli niż inne jakie romantyczne uczucie.

Przy tym kształty jej przybierają dopiero pierwsze zarysy kształtów kobiecych. W ogóle Jenny jest jeszcze dzieckiem, ale tak uroczym, że nie ubliżając panu Harvey z San Francisco, który malował Palace Hotel, trudna by mu było wymarzyć roś podobnego. Jej drobna twarzyczka jest po prostu anielska; ogromne, smutne, niebieskie oczy mają wyraz głęboki, słodki, ufny; ciemne brwi rysują się z nieporównaną czystością na czole białym i jakby zamyślonym, na które płowa, jedwabista, trochę beładna czupryna rzuca cień, jakiego by się nie tylko mister Harvey, ale i pewien inny malarz, nazwiskiem Rembrandt nie powstydział.

Dziewczynka przypomina zarazem Kopciuszka i Gretchen, a przytuloną postawą, jaką przybrała, zdradza usposobienie bojaźliwe i potrzebujące opieki.

Od tej postaci w rodzaju Greuza dziwnie odbija strój cyrkowy, złożony z krótkiej gazowej spódniczki, naszywanej srebrnymi blaszkami, tak krótkiej, że nie okrywa jej kolan, i z różowych trykotów. Siedząc w paśmie złotego światła, na tle głębokim i ciemnym, wygląda jak jakie zjawisko słoneczne i przezroczyście, a przy tym kształty jej wysmukłe tworzą proste przeciwieństwo z kwadratową postacią chłopaka.

Orso, ubrany w cielisty trykot, wydaje się z daleka nagim, a tenże sam promień oświeca jego rozrosłe nieproporcjonalnie bary, zbyt wypukłą pierś, zapadły brzuch i za krótkie w stosunku do długiego tułowia nogi. Potężne jego formy zdają się być tylko z gruba wyciosane toporem.

Ma on wszystkie cechy cyrkowego atlety, ale podniesione do takiej potęgi, że czynią z niego prawie karykaturę. Przy tym jest brzydki. Chwilami, gdy podnosi głowę, widać twarz jego, której rysy są wprawdzie regularne, może nawet bardzo regularne, ale jakieś zastygłe i także jakby wyrąbane siekierą. Niskie czoło i spadające aż na nos czarne włosy, podobne do włosienia końskiego, a odziedziczone zapewne po matce "skwawie", nadają jego licom wyraz ponury i groźny. Jest on zarazem podobny do byka i niedźwiedzia, a w ogóle uosabia straszliwą siłę, ale złą. Jakoż wcale nie jest dobry.

Gdy Jenny przechodzi koło klatek końskich, pocziwie te stworzenia zwracają głowy i patrząc na nią rozumnymi oczyma rżą z cicha, jakby chciały powiedzieć: "How do you do, darling?", na widok zaś Orsa aż przysiadają ze strachu. Jest to chłopak zamknięty w sobie, mrukliwy i posępny. Murzyni pana Hirscha, pełniący obowiązki maszalerzy, kłownów, minstrelów i linoskoków, nie cierpią go i dokuczają mu, jak tylko mogą, ponieważ zaś jest Metysem, nic sobie z niego nie robią i głośno wypowiadają mu swą pogardę. Dyrektor, który prawdę rzekłszy, niewiele ryzykuje stawiając sto dolarów za nim naprzeciw każdemu, kto by się chciał z nim próbować, nienawidzi go i boi się zarazem, ale w taki sposób, w jaki pogromca zwierząt boi się na przykład lwa, to jest - ćwiczy go z lada powodu.

Dzieje się to jeszcze i dlatego, iż pan Hirsch sądzi, że gdyby on nie bił chłopaka, byłby przez niego bity, a w ogóle trzyma się zasady owej Kreolki, która bicie uważała za karę, a niebicie za nagrodę.

Taki to jest Orso. Od niejakiego czasu stał się on jednak lepszym, albowiem zaczął bardzo kochać małą Jenny. Zdarzyło się przed rokiem, że gdy raz Orso, który był zarazem dozorcą zwierząt, czyścił klatkę kuguara, zwierz, wysunawszy łapę przez pręty, skaleczył go dość mocno w głowę. Wówczas atleta wszedł do klatki i ze strasznej walki, jaka wywiązała się między nim i zwierzęciem, wyszedł sam tylko żywy. Był jednak tak silnie pokaleczony, że zemdlął, a potem chorował długo, tym bardziej że dyrektor oćwiczył go jeszcze za połamaną kuguarowi kość pacierzową. W czasie choroby mała Jenny okazywała mu wiele litości, opatrywała w braku kogo innego jego rany, a w chwilach wolnych, przesiadując przy nim, czytała mu Biblię, to jest "dobrą książkę", która mówiła o kochaniu się, o przebaczeniu, o miłosierdziu, słowem, o rzeczach, o których nigdy nie było mowy w cyrku pana Hirscha.

82

Orso, słuchając tej książki, pracował długo swoją indyjską głową, a w końcu doszedł do przekonania, że gdyby tak było w cyrku, jak w tej książce, to i on nie byłby taki zły. Myślał

także, że wówczas nie bywałby bity, a może nawet znalazłby się ktoś taki, kto by go kochał.

Ale kto? Nie Murzyni i nie pan Hirsch, więc chyba mała Jenny, której głos tak mu słodko brzmiał w uszach jak głos maukawisa.

Wskutek tej myśli pewnego wieczoru rozplakał się ogromnie, zaczął całować małe ręce Jenny i od tej pory pokochał ją bardzo. Odtąd, gdy w czasie wieczornych przedstawień dziewczynka jeździła na koniu, on był zawsze na arenie i wodził za nią troskliwymi oczyma. Podstawiając jej obręcze, pozaklejane bibułą, uśmiechał się do niej, a gdy przy towarzyszeniu nuty: "Ach, śmierć bliska!", nosił ją ku wielkiemu przerażeniu widzów na szczycie drąga, to i sam był

przerażony. Wiedział dobrze wówczas, że gdyby ona spadła, to już by nie było nikogo w cyrku z "dobrej książki", nie spuszczał też z niej oczu, a ta jego ostrożność i jakby trwożliwość ruchów dodawała grozy widowisku. Potem, gdy wywołani burzą oklasków, wbiegali razem na arenę, wysuwał ją zawsze naprzód, aby na nią największe brawa spadły, i mruczał z radości. Z nią też jedną umiał rozmawiać ten mruk i przed nią tylko otwierał się.

Nienawidził on cyrku i pana Hirscha, który był zupełnie inny jak ludzie z "dobrej książki".

Coś ciągnęło go zawsze na kraniec widnokregu, na bory i stepy. Gdy wędrowniej trupie w ciągłych włóczęgach zdarzyło się przebywać okolice nie zaludnione, odzywały się w nim takie jstynkta, jakie odzywają się w chowanym wilku, który pierwszy raz bór zobaczy.

Skłonność tę może nie tylko po matce odziedziczył, bo i ojciec jego biały był zapewne jakim wnicznikiem, błędzącym po stepach. Z tych swoich pragnień zwierzał się małej Jenny, a zarazem opowiadał jej, jak to się żyje na pustyni. Po większej części to odgadywał, a trochę wiedział o tym od stepowych strzelców, którzy od czasu do czasu przychodzili do cyrku, już to dostarczając dzikich zwierząt panu Hirschowi, już aby się pokusić o owe sto dolarów, które dyrektor za zwalczenie Orsa wyznaczył.

Mała Jenny słuchała zwykle tych odgadywań i indyjskich widzeń, otwierając szeroko swe niebieskie oczu lub zamyślając się. O, bo Orso sam nigdy nie wybierał się na pustynię. Ona była zawsze z nim i tak im było dobrze, że aż strach. Co dzień widzieli coś nowego, mieli całe swoje gospodarstwo, wypadło więc nad wszystkim się zastanowić.

Siedzą więc oto teraz oboje w paśmie światła i rozmawiają; zamiast robić próbę nowych skoków. Koń stoi na arenie i nudzi się. Mała Jenny, przytulona do ramienia Orsa, utkwiała zamyślane oczy w przestrzeń i nóżkami kiwa zawzięcie, i rozważa w swojej małej główce, jak to będzie na pustyni, a czasem rzuta pytania, żeby się jeszcze lepiej dowiedzieć, jak to będzie.

- A gdzie tam mieszkać? - pyta podnosząc oczy na towarzysza.

- Tam jest pełno dębów. Bierze się siekierę i buduje się dom.

- Well -mówi Jenny- a nim dom stanie?

- Tam zawsze ciepło. Grizzly-Killer mówił, że tam bardzo ciepło.

Jenny poczyną kiwać jeszcze mocniej nóżkami na znak, że jeśli tam ciepło, to jej o nic więcej nie chodzi; ale po chwili zastanawia się znowu. Ma ona w cyrku ulubionego psa, który nazywa się pan pies, i kota, zwanego pan kot, chciałaby więc i względem nich coś postanowić.

- A pan pies i pan kot pójdą z nami?

- Pójdą - odpowiada Orso i mruczy z radości.

- Weźmiemy z sobą i "dobrą książkę"?

- Weźmiemy-mówi Orso i mruczy jeszcze głośniej.

- Well - szczebioce dziewczynka. - Pan kot będzie nam łapał ptaszki, a pan pies będzie szczekał, jeśli zechce do nas przyjść kto brzydki; a ty będziesz mężem, ja twoją żoną, a one będą nasze dzieci.

Orso taki już jest uszczęśliwiony, że nie może nawet mrużyć, więc Jenny prawi dalej: 83

- I pana Hirscha nie będzie, i cyrku nie będzie, i nie będziemy nic nigdy robić, o tyle!... Ale nie! - dodaje po chwili- "dobra książka" mówi, że trzeba pracować, więc czasem przeskoczę sobie przez jaką obręcz, przez dwie obręcze, przez trzy obręcze, przez cztery obręcze!

Jenny nie wyobraża sobie widocznie pracy pod inną postacią jak skakanie przez obręcz!

Po chwili pyta znowu:

- Orso, i ja naprawdę będę zawsze z tobą?

- Tak jest, Dży: ja ciebie bardzo kocham.

Twarcz jego rozjaśnia się, gdy to mówi, i staje się prawie ładna.

A jednak on sam nie wie, jak kocha tą małą jasnowłosą główkę.

Oto jak brytan swoją panią. Zresztą na całym świecie ją tylko jedną. Swoją drogą, wygląda przy niej jak smok, ale co mu to szkodzi? Nic a nic

- Dży- mówi po chwili -posłuchaj, co ci powiem.

Jenny, która przed chwilą podniosła się, chcąc spojrzeć na konia, przyklękła teraz przed Orsem i aby nic nie stracić z jego słów, opiera łokcie na jego kolanach, następnie położywszy brodę na obie dłonie, poczyną słuchać z zadartą główką.

W tej chwili jednak, na nieszczęście dzieci, wchodzi do cyrku artysta na bacie, a wchodzi w jak najgorszym humorze, albowiem próba ze lwem zupełnie się nie udała.

Wyłysiały ze starości zwierz, który rad by, żeby mu już raz dali święty spokój, żadną miarą nie chciał rzucać się na artystę-pod razami bata chował się tylko w głąb klatki. Dyrektor myślał z rozpaczą, że jeśli to lojalne usposobienie nie opuści lwa do wieczora, to "koncert na bacie" może się nie udać, bo bić lwa, który się odwraca, nie jest większą sztuką niż zacząć jeść raka od ogona.

Humor dyrektora jeszcze się pogorszył, gdy Murzyn sprzedający bilety na paradyz, doniósł

mu, że Cahuillowie widocznie już przepili pieniądze, wzięte za winobranie, albowiem zgłasza się ich wprawdzie do kasy wielu, ale zamiast pieniędzy ofiarowują za bilety swoje derki, znaczone US, albo też żony, zwłaszcza stare. Brak pieniędzy u Cahuillów był niemałą stratą dla artysty na bacie. Liczył on bowiem na crowded house, a bez paradyzu nie może być crowded house, dlatego dyrektor życzył sobie w tej chwili, aby wszyscy Indianie mieli tylko jeden grzbiet i aby on mógł dać koncert na tym grzbiecie wobec całego Anaheimu. W tym usposobieniu wchodzi do cyrku, a widząc konia, nie robiącego nic i stojącego ze znużoną miną pod parapetem, ma ochotę przewrócić kozła z gniewu. Gdzież mogą być Orso i Jenny?

Zakrywszy ręką czoło, aby mu oczu nie zaślepiało światło wdzierające się przez płótno, dyrektor wpatruje się w głąb i wkrótce dostrzega w świetlanym pasemku Orsa i Jenny, klęczącą przed nim, z łokciami wspartymi na jego kolanach. Ujrzawszy takie widowisko, puszcza koniec bata na ziemię.

- Orso!

Piorun, który by uderzył w grupę dwojga dzieci, nie mógłby wywołać większego w nich przerażenia. Orso zrywa się na równe nogi i poczyną zstępować wycięciem między ławkami na dół, tym pośpiesznym ruchem zwierzęcia idącego do nogi na głos pana; za nim postępuje mała Jenny z oczyma szeroko otwartymi z przerażenia, chwytając się po drodze ławek.

Orso, wylazszy na arenę, zatrzymuje się przy parapecie, chmurny i milczący. Szare światło, padające z góry oświeca teraz wyraźnie jego herkulesowy tułów, osadzony na krótkich nogach

- Bliżej! - woła ochrypłym głosem dyrektor, gdy tymczasem koniec jego rozpuszczonego bata porusza się po piasku złowrogim ruchem, jakim porusza się ogon tygrysa, czyhającego z zasadzki.

Orso postępuje kilka kroków i przez jakiś czas obaj patrzą sobie w oczy. Dyrektor ma zupełnie minę pogromcy, który wszedłszy do klatki ma zamiar ćwiczyć niebezpieczne zwierzę, ale zarazem śledzi je.

84

Wściekłość bierze w nim jednak górę nad ostrożnością. Jego cienkie nogi, ubrane w łośiowe spodnie i wysokie maszталerskie buty, podskakują pod nim z gniewu. Może zresztą nie samo tylko próżnowanie dzieci wzbudza w nim gniew. W górze między ławkami Jenny patrzy na obydwóch, jakby patrzyła sarna na dwa rysie.

- Hoodlumie... łapaczu psów, psie nieznany! - szepce dyrektor.

Bat z szybkością błyskawicy opisał krąg, zaświstał, zasyczał i uderzył. Orso zaskowyczał z cicha i rzucił się krok naprzód, ale drogie uderzenie wstrzymało go od razu, po czym trzecie, czwarte, dziesiąte. Koncert rozpoczął się, choć widzów jeszcze nie było. Wzniesiona ręka wielkiego artysty nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko kręciła się, jakby część jakiej maszyny osadzona na śrubie, a każdy jej skręt odzywał się kłaśnięciem na skórze Orsa.

Zdawało się, że bat, a raczej jadowity jego koniec, wypełnił całą przestrzeń między atletą a dyrektorem, który, podbudzając się sam stopniowo, wpadł w prawdziwe uniesienie artystyczne. Mistrz improwizował po prostu. Trzaskawka, migocąc w powietrzu, dwa razy już wypisała krwawe ślady na szyi atlety, które wieczorem miał pokryć puder.

Orso zamilkł w końcu. Za każdym jednak uderzeniem posuwał się krok naprzód - dyrektor krok w tył. W ten sposób obeszli całą arenę. I znowu dyrektor wycofywał się z areny, zupełnie jak pogromca z klatki, a wreszcie znika u wejścia do stajen... zupełnie jak pogromca.

Na odchodnym jednak wzrok jego padł na Jenny.

- Na koń! - wykrzyknął. - Rachunek na później.

Głos jeszcze nie przebrzmiał, gdy biała spódniczka mignęła w powietrzu i Jenny w mgnieniu oka skoczyła jak małpka na grzbiet koński. Dyrektor zniknął za zasłoną, koń zaś począł

galopować wkoło, dudniąc od czasu do czasu kopytami w parapet.

- Hep! hep! - pokrzykiwała cienkim głosikiem Jenny: - hep! hep!- ale owo hep! hep! było zarazem łkaniem. Koń biegł coraz prędzej i dudnił kopytami, pochylając się coraz gwałtowniej. Dziewczynka, stojąc na siodle nóżkami przyciśniętymi jedna do drugiej zdawała się go ledwie końcami palców dotykać; różowe, nagie jej rączki chwyciły nagłymi ruchami równowagę; rzucone w tył pędem powietrza włosy i cyrkowa z gazy spódniczka goniły za jej lekką postacią podobną do ptaka krążącego w powietrzu.

- Hep! hep! - pokrzykiwała jeszcze. Tymczasem łzy zalewały jej oczy tak, że musiała głowę zadzierać, żeby coś widzieć; bieg konia odurzył ją; spiętrzone szeregi ławek i ściany, i arena poczęły wirować naokół niej. Zachwiała się raz, drugi i wreszcie spadła w ramiona Orsa.

- Orso, o, Orso! -wołało szlochając dziecko.

- Co ci jest, Dży? - szeptał chłopiec. - Czego pieczesz? Nie płacz, Dży! Mnie nie bardzo boli, wcale nie bardzo.

Jenny rzuciła mu obie ręce na szyję i poczęła całować jego policzki. Całe jej ciało trzęsło się od uniesienia, a płacz przechodził prawie w spazmy.

- Orso, o, Orso! - powtarzała, nie mogąc więcej przemówić, i ręce jej zaciskały się gwałtownie koło jego szyi. Gdyby sama została wybita, nie mogłaby płakać więcej; jakoż w końcu on zaczął ją utulać i pocieszać...Zapomniawszy o bólu chwycił ją na ręce i przyciskał z kolei do serca, a rozkołysane biciem jego nerwy sprawiły, że pierwszy raz uczuł, iż kocha ją nie tylko tak jak brytan swą panią. Oddychał szybko, a wargi jego poczęły szeptać przerywanym tchnieniem:

- Nic mnie już nie boli... Gdy ty jesteś psy mnie, bardzo mi jest dobrze...Jenny! Jenny!

Tymczasem dyrektor chodził po stajniach i pienił się ze złości. W sercu jego nurtowała zazdrość. Widział on dziewczynę na kolanach przed Orsem, a od pewnego już czasu cudne dziecko poczęło w nim wzbudzać jakby brzask niskich uczuć, nie dość jeszcze rozwiniętych.

Ale posądził już ją i Orsa o romans, więc pragnął się zemścić. Znalazłby dziką rozkosz, gdyby ją wybił, bardzo mocno wybił, i tej chęci nie mógł się oprzeć. Po chwili zawołał na nią.

85

Wyrwała się natychmiast. z rąk atlety i w mgnieniu oka znikła w ciemnym wejściu do stajen.

Orso był jakby odurzony, ho zamiast iść za nią, poszedł chwiejnym krokiem do ławki i siadłszy na niej, począł ciężko robić pierściami.

Tymczasem dziewczynka, wbiegłszy do stajni, nie spostrzegła zrazu nikogo, albowiem ciemniej tam było jeszcze niż na arenie. Bojąc się jednak, aby nie posądzono jej, iż nie spełniła natychmiast rozkazu, wołała cichym i przestraszonym głosem:

- Już jestem tu, panie, już jestem!

W tej samej chwili ręka dyrektora chwyciła za małą jej rączkę, a chrapliwy głos wyrzekł:

- Come!

Gdyby był gniewał się na nią lub krzyczał, mniej by ją to przerażało niż owo milczenie, w jakim prowadził ją w stronę garderoby cyrkowej. Przechyliła się więc w tył i opierając się co siły, powtarzała, jak mogła najszybciej:

- Mister Hirsch; mój drogi, mój słodki! nigdy nie będę..

Ale on prowadził ją przemocą do długiej zamkniętej komory, w której był skład kostiumów, i zamknął drzwi na klucz.

Jenny rzuciła się na kolana. Ze wzniesionymi oczyma ku górze; ze złożonymi rękoma, drżąca jak liść, zalana łzami, próbowała go przebłagać; on zaś zdjawszy szpicrutę ze ściany, rzekł w odpowiedzi:

- Połóż się!

Uczepiła się wówczas rozpaczliwie jego nóg, bo prawie umierała ze strachu. Każdy nerw dygotał w niej jak naciągnięta struna, ale na próżno swoje zbladłe usteczka przyciskała błagalnie do jego wyglansowanych cholew. Przeciwnie: strach jej i prośby zdawały się go jeszcze podniecać. Chwyciwszy ją za opaskę spódniczki, rzucił na stos sukien, leżących na stole, potem przez chwilę jeszcze tłumił gwałtowne poruszenia jej nóg i wreszcie uderzył.

- Orso! Orso! -zawołała dziewczynka.

W tej samej chwili drzwi zatrzęsły się w nawiasach, zatrzeszczały od góry do dołu i cała ich połowa, wybita olbrzymią siłą, zwała się z łoskotem na ziemię.

W wyłomie stanął Orso.

Szpicruta wypadła z ręki dyrektora, a twarz pokryła się mu trupią bladością, bo też Orso wyglądał strasznie. Zamiast oczu widać mu było tylko białka, szerokie wargi jego pokryte były pianą, głowa pochylona jak u byka, a całe ciało zebrane w sobie niby do skoku.

Precz! -krzyknął dyrektor, starając się krzykiem pokryć strach.

Ale tama była już zerwana. Orso, tak zwykle posłuszny na każde skinienie jak pies, nie cofnął

się tym razem, tylko schyliwszy niżej jeszcze głowę, posuwał się złowrogo ku artyście na bacie, rozciągając jakby przemocą swe żelazne mięśnie.

- Help! Help! - zawrzszeczał artysta.

Dosłyszano go.

Czterech ogromnych Murzynów wbiegło co sił ze stajen przez wyłamane drzwi i rzuciło się na Orsa. Zaczęła się straszna walka, której dyrektor przypatrywał się szczękając zębami.

Precz długi czas widać było tylko kupę poplątanych ciemnych ciał, pasujących się w konwulsyjnych skrętach, ruchliwą, kłębiącą się, zwichrzoną; w ciszy, jaka zapadła, rozległ się czasem jęk, czasem chrapnięcie lub świst nozdrzy. Ale po chwili jeden z Murzynów, wyrzucony jakby nadludzką siłą z owej bezkształtnej masy, zakołysał się w powietrzu i padł

obok dyrektora, uderzywszy z głuchym łoskotem czaszką o podłogę; wkrótce wyleciał drugi, a wreszcie ponad kłębem walczących podniósł się tylko Orso, straszniejszy niż przedtem, pokrwawiony i z włosom zjeżonym na głowie. Kolana jego gniotły jeszcze dwóch omdlałych Negrów. Potem podniósł się i szedł znowu ku dyrektorowi.

Artysta zamknął oczy.

86

W tejże samej sekundzie uczuł, że nogi jego nie dosięgają już ziemi, potem uczuł, że leci w powietrzu, a jeszcze potem nic nie czuł, bo uderzywszy całym ciałem w pozostałą połowę drzwi, padł bez czucia na ziemię.

Orso obtarł się i zbliżył do Jenny.

- Chodź! - rzekł krótko.

Wziął ją za rękę i wyszli. Całe miasto goniło właśnie za procesją wozów i za maszyną, grającą Yankee Doodle - więc koło cyrku było zupełnie pusto. Papugi tylko, kołyszące się w obręczach, napełniały krzykiem powietrze. Dzieci szły ręką w rękę prosto przed siebie tam, gdzie na końcu ulicy widać było z daleka niezmiernie pole kaktusowe. Milcząc mijali domy, ukryte w cieniu eukaliptów, następnie minęli miejscową bydłobójnię, koło której kręciły się tysiące szpaków czarnych z czerwonymi skrzydłami, przeskoczyli wielki rów irygacyjny weszli w laszek drzew pomarańczowych i wydostawszy się z niego, znaleźli się między kaktusami.

To już była pustynia.

Jak okiem sięgnąć piętrzyły się coraz wyżej kolczaste kępy; powikłane liście, wyrastające z innych liści, zagradzały drogę, chwytając haczykami za sukienkę Jenny. Czasem kaktusy wznosiły się tak wysoko, że dzieci były jakby w lesie jakim, ale też w tym lesie nikt już nie mógł ich znaleźć. Szli więc, skręcając to na prawo, to na lewo, byle dalej. W miejscach, gdzie piramidy kaktusów były mniejsze, widać było na samym krańcu widnokrzęgu błękitne góry Santa Ana. Szli ku górcom. Upał był wielki. Popielate szarańcze ksykały w kępach; promienie słoneczne zlewały się na ziemię potokami; wysuszona ziemia pstrzyła się siatką zapadlin, sztywne liście kaktusów zdawały się mięknać od gorąca, a kwiaty byty omdlałe i na wpół

zwiędnięte. Dzieci szły milcząc i rozmyślając. Ale wszystko, co ich otaczało, było tak nowe, że wkrótce oboje oddali się zupełnie wrażeniom i zapomnieli nawet o zmęczeniu. Jenny biegła oczyma

z jednej kępy na drugą, to znów zapuszczała badawczy wzrok w środek kaktusów, pytając od czasu do czasu cicho towarzysza:

- To to jest pustynia, Orso?

Jednak pustynia nie zdawała się być pustą, z dalszych kęp dochodziły nawoływania kogutów kuropatwich, a naokoło rozlegały się rozmaite dziwne klaskania, cmokania, mrużenia, słowem: najróżnorodniejsze głosy małych zwierzątek zamieszkujących kaktusy. Czasem zrywało się całe stado kuropatw; czubate biegacze uciekały piechotą na długich swych nogach, czarne wiewiórki dawały za zbliżeniem się dzieci nurka pod ziemię, na wszystkie strony pierzchały zające i króliki; susły, siedzące na tylnych łapkach przed jamami, podobne byty do tłustych niemieckich farmerów, stojących we drzwiach domów.

Wypocząwszy małą godzinkę dzieci poszły dalej. Jenny wkrótce zachciało się pić, na co Orso, w którym widocznie budziła się przemyślność indyjska, poradził nazrywawszy owoców kaktusowych. Było ich mnóstwo i wyrastały z jednych liści wraz z kwiatami. Wprawdzie obierając je pokłuli się oboje o delikatne jak włosy kolce, ale za to owoce smakowały im wyśmienicie. Słodkawy i kwaśny smak ich ugasił pragnienie i głód zarazem. Pustynia nakarmiła dzieci jak matka; posiliwszy się mogli iść dalej. Kaktusy piętrzyły się coraz wyżej, można rzec, że wyrastały jeden drugiemu na głowie. Grunt, po którym szli, podnosił się z wolna, ale ciągle. Raz jeszcze ze wzgórza obejrawszy się, ujrzeli Anaheim na poły rozplynięte w oddali, podobne do wielkiej kępy drzew, rosnących na niskim stepie. Cyrku już nie było widać ani siadu. Szli jednak bardzo wytrwale całymi godzinami ku górom, które rysowały się coraz wyraźniej. Okolica zaczęła przybierać inną postać. Między kaktusami pojawiały się już różne krzaki, a nawet i drzewa. Zaczynała się lesista część podgórzy przy Santa Ana. Orso złamał jedno z mniejszych drzew i poobrywawszy gałęzie, uczynił z niego maczugę, która w jego ręku mogła być straszliwą bronią. Instykt Indianina szeptał mu, że w górach lepiej jest mieć choć pałę niż gołe ręce, tym bardziej że powoli i słońce zaczęło już zniżać się ku zachodowi. Jego wielka ognista tarcza stoczyła się już nawet daleko za Anaheim 87

i zapadała w ocean. Po chwili znikła, ale na zachodzie świeciły zorze czerwone, złote i pomarańczowe, podobne do długich pasem i taśm, porozciąganych na całym niebie. Góry jarzyły się w tych blaskach, kaktusy przybierały różne fantastyczne kształty, podobne do ludzkich i zwierzęcych. Jenny czuła się zmęczona i śpiąca, ale zdążali oboje co siłą do gór, choć sami nie wiedzieli dlaczego. Jakoż wkrótce ujrzeli skały, a doszedłszy do nich odkryli strumień. Napiwszy się wody szli dalej wzdłuż Łożyska. Tymczasem skały, z początku rozproszone i przerywane, zmieniły się na jednolite mury, potem na ściany coraz wyższe, i tak weszli w kanion, czyli wąwóz.

Zorze gasły; mrok ogarniał ziemię coraz większy. Miejscami, gdzie lianosy przerzucały się z jednej strony na drugą, tworząc jakoby sklepienia nad strumieniem, było zupełnie ciemno i wcale straszno. Na górze słychać było jakoby szum drzew, których z dołu nie mogli dojrzeć.

Orso dorozumiewał się, że to już puszcza, w której pełno było zapewne dzikich zwierząt. Od czasu do czasu dochodziły już nawet stamtąd rozmaite podejrzanego głosy, a gdy noc zapadła, słychać było wyraźnie chrapliwe beczenie rysiów, ryki kuguarów i płaczliwe głosy kujotów.

- Boisz się, Dży? -pytał Orso.

- Nie! -odpowiedziała dziewczynka.

Ale była już bardzo zmęczona i nie mogła iść dalej, więc Orso wziął ją na ręce i niósł. Sam jednak szedł ciągle naprzód, w nadziei, że trafi na jakiego skwatera lub na namioty meksykańskie. Raz lub dwa razy zdawało mu się, że widzi w oddali świecące oczy dzikiego zwiewa. Przytulał wtedy jedną ręką do piersi Jenny, która już spała, drugą ścisnął swoją pałkę. Sam był także strudzony bardzo. Mimo olbrzymiej jego siły, Jenny poczynała mu już ciężyć, tym bardziej że niósł ją na lewym ręku; prawą chciał mieć wolną do obrony.

Chwilami stawał dla nabrania tchu, potem szedł dalej. Nagle zatrzymał się i nadstawił pilnie uszu. Zdawało mu się, że z dala dochodziły go odgłosy dzwonek, jakie skwaterowie przywiązują na noc krowom i kozom. Ruszywszy śpiesznie naprzód wkrótce doszedł do skrzyżowania strumienia. Głos dzwonek stawał się coraz wyraźniejszy, a na koniec dołączyło się do nich szczekanie psa. Orso był już pewny, że zbliża się do jakiejś siedziby ludzkiej. Dla niego czas też był wielki; wyczerpał się przez dzień cały i poczynało mu sił brakować.

Minął leszcze jeden skręt i ujrzał światło; w miarę jak posuwał się naprzód, jego bystre oczy poczęły odróżniać ognisko, psa, który widocznie przywiązany do pnia, szarpał się i szczekał, a wreszcie siedzącego koło płomienia człowieka.

"Boże, daj, aby to był człowiek z "dobrej książki"" - pomyślał

Następnie postanowił obudzić Jenny.

- Dży! - zawołał - obudź się, będziemy jedli.

-Co to? -pytała dziewczynka - Gdzie my jesteśmy?

- W pustyni.

Rozbudziła się zupełnie.

- A tam co za światło?

- Tam mieszka jakiś człowiek. Będziemy jedli.

Biedny Orso był bardzo głodny.

Tymczasem byli już blisko ogniska. Pies szczekał coraz gwałtowniej, a stary człowiek, siedzący przy ogniu, przysłonił oczy i patrzył w ciemność. Po chwili spytał:

- Kto tam?

- To my...-odpowiedziała cienkim głosem Jenny - i bardzo nam się jeść chce.

- Zbliżcie się! -rzekł stary człowiek.

Wyszędłszy zza wielkiego głazu; za którym byli ukryci, stanęli oboje nad ogniem, trzymając się za ręce starzec spojrzął na nich zdumionymi oczyma; z ust jego wyrwał się mimo woli okrzyk:

- What is that?

88

Ujrzał bowiem zjawisko, które w bezludnych górach Santa Ana mogło każdego zdziwić. Oto i Orso, i Jenny mieli na sobie cyrkowe kostiumy. Śliczna dziewczeczka, ubrana w różowe trykoty i krótką spódniczkę, pojawiwszy się nagle, wyglądała w blasku ognia jak jaki sylf fantastyczny. Za nią stał chłopak o niezwykłych kwadratowych kształtach, ubrany także w cielisty trykot, spod którego przebijały jego mięśnie na kształt sęków na dębie.

Stary skwater patrzył na nich szeroko otwartymi oczyma.

- Co wyście za jedni? - spytał.

Mała kobietka, licząc widocznie więcej na swoją niż na towarzysza wymowę, poczęła szczebiotać:

- My z cyrku, kochany panie! Pan Hirsch wybił bardzo Orsa, a potem chciał bić mnie, więc Orso mnie nie dał i wybił pana Hirscha i czterech Murzynów, i potem uciekliśmy na pustynię, i szliśmy długo przez kaktusy, i Orso mnie niósł, potem przyszliśmy tu, i bardzo się nam jeść chce.

Twarz starego samotnika rozjaśniała się powoli, a oczy jego spoczęły z dobrotliwym ojcowskim wyrazem na uroczym dziecku, które śpieszyło się, jakby pragnąc wypowiedzieć wszystko jednym tchem.

- Jak ci na imię, mała? - spytał.

-Jenny.

- Więc welcome, Jenny, i ty, Orso! Ja rzadko widuję ludzi... Pójdź do mnie, Jenny.

Mała kobietka bez namysłu zarzuciła swoje nagie rączki na szyję starca i ucałowała go serdecznie. Wydawał jej się z "dobrej książki".

- A czy nas pan Hirsch tu nie znajdzie? -pytała oderwawszy swą różaną buzię od zwiędłej twarzy osadnika.

- Kulę znajdzie! -odparł starzec, a po chwili dodał: -Mówicie, że wam się jeść chce?

- O, bardzo!

Skwater pogrzebał chwilę w popiele i wydobył z niego wspaniałe udziec jeleni, którego zapach rozszedł się naokoło. Po czym siedli do jedzenia.

Noc była pyszna; na niebo wysoko nad wąwóz wytoczył się księżyc, w gęstwinie poczęły śpiewać

słodkim głosem maukawisy, ogień huczał wesoło, a Orso począł mruzczyć z radości.

Oboje z dziewczynką jedli jak najęci; stary tylko samotnik jeść nie mógł-i nie wiadomo dlaczego spoglądając na małą Jenny miał łzy w oczach.

Może dawniej był ojcem, a może w pustych górach ludzi rzadko widywał...

* * * * *

I odtąd troje tych ludzi pędziło życie razem.

89

Sachem

W mieście Antylopie, położonym nad rzeką tegoż nazwiska, w stanie Teksas, spieszył kto żywy na przedstawienie cyrkowe. Zajęcie mieszkańców było tym większe, że od czasu założenia miasta pierwszy raz zjechał do niego cyrk tancerek, minstrelów i linochodów. Miasto było niedawne. Piętnaście lat temu nie tylko nie stał tu ani jeden dom, ale w całej bliższej okolicy nie było białych. Natomiast w widłach rzeki, na tym samym miejscu, na którym stoi Antylopa, wznosiła się osada indyjska zwana Chiavatta. Była to stolica Czarnych Wężów, którzy w swoim czasie dali się tak we znaki granicznym osadom niemieckim: Berlinowi, Grundenau i Harmonii, że osadnicy dużej nie mogli wytrzymać. Indianie bronili wprawdzie tylko swego "terytorium", które rząd stanowy Teksasu przyznał im na wieczne czasy najuroczystszymi traktatami; ale cóż to mogło obchodzić kolonistów z Berlina, Grundenau i Harmonii? Pewnym jest, że odbierali oni Czarnym Wężom ziemię, wodę i powietrze, ale natomiast wnosili cywilizację; czerwonoskórzy zaś okazywali im wdzięczność na swój sposób, to jest zdzierając im skalpy z głów. Taki stan rzeczy nie mógł trwać. Osadnicy więc z Berlina, Grundenau i Harmonii zebrali się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset i wezwawszy na pomoc Meksykanów z La Ora, napadli na uśpioną Chiavattę. Tryumf dobrej sprawy był zupełny. Chiavatta została spalona, a mieszkańcy bez różnicy wieku i płci w pień wycięci. Ocalały tylko małe oddziały wojowników, które w tym czasie wyszły na łowy. Z

samego miasta nie ocalał się nikt, głównie dlatego, że miasto leżało w widłach rzeki, która jak zwykle na wiosnę rozlawszy otoczyła osadę nieprzebytą tonią wód. Ale toż samo widlaste położenie, które zgubiło Indian, podobało się Niemcom. Z wideł źle uciekać, ale dobrze się w nich bronić. Dzięki tej myśli zaraz z Berlina, Grundenau i Harmonii rozpoczęła się emigracja do wideł, w których też w mgnieniu oka, na miejscu dzikiej Chiavatty, powstała ucywilizowana Antylopa. W pięć lat liczyła ona dwa tysiące mieszkańców.

Szóstego roku znaleziono z drugiej strony wideł kopalnię żywego srebra, którego eksploatacja podwoiła liczbę mieszkańców. W siódmym roku, z mocy prawa lynch powieszono na placu miejskim dwiętnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych Wężów, schwytanych w pobliskim Lesie Umarłych - i odtąd nic nie stało na zawadzie rozwojowi Antylopy. W mieście wychodziły dwa "Tagblattny" i jedna "Montagsrevue". Kolej żelazna łączyła je z Rio del Norte i San Antonio; na Opuncia-Gasse wznosiły się trzy szkoły; z tych jedna wyższa. Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Wężów, zbudowano zakład filantropijny: pastorowie w kościołach uczyli co

niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót, potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przyjezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu odczyt "O prawach narodów".

Bogatsi mieszkańcy przebąkaliwali o potrzebie założenia uniwersytetu, do czego i rząd stanowy musiałby się przyczynić. Mieszkańcom dobrze się działo. Handel żywym srebrem, pomarańczami, jęczmieniem i winem przynosił im znakomite zyski. Byli uczciwi, rządni, pracowici, systematyczni, otyli. Kto by w późniejszych czasach odwiedził już kilkunastotysięczną Antylopę ten by w bogatych kupcach miejscowych nie poznał tych niemiłosiernych wojowników, którzy piętnaście lat temu spalili Chiavattę. Dzień schodził im po sklepach, warsztatach, biurach; wieczory spędzali w piwiarni "Pod Złotym Słońcem" przy ulicy Grzechotników. Słuchając tych głosów trochę powolnych i gardłowych, tych:

"Mahlzeit! Mahlzeit!", tych flegmatycznych: "Nun ja wissen Sie, Herr Müller, ist das aber möglich?", tych dźwięków kufli, szumu piwa, tych plusków przelanej piany na podłogę, widząc ten spokój, powolność, patrząc na te filisterskie, zalane tłuszczem twarze, na te rybnie oczy, można by mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie lub Monachium, nie zaś na 90

zgliszczach Chiavatty. Ale w mieście wszystko już było ganz gemütlich i o zgliszczach nikt nie myślał. Tego wieczoru ludność spieszyła oto do cyrku, raz dlatego, że po twardej pracy rozrywka jest rzeczą równie godziwą, jak przyjemną po wtóra, że mieszkańcy dumni byli z jego przyjazdu. Wiadomo, że cyrki nie zjeżdżają do lada miejsciny, przybycie więc trupy Hon.

M. Deana stwierdzało poniekąd wielkość i znaczenie Antylopy. Była jednak i trzecia, a może najważniejsza, przyczyna ogólnej ciekawości.

Oto Nr 2 programu mówił, co następuje: "Spacer na drucie zawieszonym na piętnaście stóp nad ziemią (z towarzyszeniem muzyki) wykona słynny gimnastyk Czerwony Sęp, sachem (wódz) Czarnych Węzów, ostatni potomek królów pokolenia i ostatni z pokolenia: 1) Spacer.

2) Skoki Antylopy. 3) Taniec i pieśń śmierci." Jeżeli gdzie, to w Antylopie ten sachem mógł

obudzić najwyższe zajęcie. Hon. M. Dean opowiadał "Pod Złotym Słońcem", iż przed piętnastu laty, w przejeździe do Santa Fe znalazł umierającego starego Indianina z dziesięcioletnim chłopakiem. Stary umarł istotnie z ran i wycieńczenia, przed śmiercią jednak opowiedział; iż młody chłopiec był synem zabitego sachema Czarnych Węzów i następcą jego godności.

Trupa przygarnęła sierotę, który z czasem stał się pierwszym jej akrobatą. Zresztą Hon. M.

Dean dopiero "Pod Złotym Słońcem" dowiedział się, że Antylopa była niegdyś Chiavattą - i że słynny linochód będzie się popisywał na grobach ojców. Wiadomość ta wprowadziła dyrektora w doskonały humor, mógł bowiem teraz na pewno liczyć na great attraction, byle umiał tylko dobrze efekt wyzyskać. Rozumie się, że filistry z Antylopy cisnęli się do cyrku, aby importowanym z Niemiec żonom i synom, którzy ani razu w życiu nie widzieli Indianina, pokazać ostatniego z Czarnych Węzów i powiedzieć: "Patrzcie, oto takich w pień wyrzneliśmy przed laty piętnastu." Ach, Herr Jeh! -Miło jest usłyszeć taki wykrzyk podziwu zarówno z ust Amalchen, jak i małego Fryca. W

całym też mieście powtarzano bez ustanku:

"Sachem, sachem! "

Dzieci od rana zaglądały przez szpary w deskach, z twarzami rozciekawionymi i przerażonymi zarazem, starsi zaś chłopcy, ożywieni już bardziej wojowniczym duchem, wracając ze szkoły maszerowali groźnie, sami nie wiedząc, dlaczego to robią. Godzina ósma wieczór. Noc cudna, pogodna, gwiazdzista. Powiew zza miasta przynosi zapach gajów pomarańczowych, które w mieście mieszają się z zapachem słodu. W cyrku bije łuna światła.

Ogromne smolne pochodnie, zatknięte przed główną bramą, palą się i kopcą. Powiew chwieje pióropuszcami dymu i jaskrawego płomienia, który oświeca ciemne kontury budowli. Jest to świeżo wzniesiona szopa drewniana, okrągła, ze śpiczastym dachem i z gwiazdzistą amerykańską chorągwią na szczycie. Przed bramą tłumy, które nie mogły się dostać lub nie miały za co kupić biletów, przypatrują się wozom tropy, a głównie płóciennej zasłonie wielkich drzwi wchodowych, na których wymalowana jest bitwa białych z czerwonoskórymi.

W chwilach, w których zasłona się uchyla, widać oświecane wnętrza bufetu z setkami kuflí szklanych na stole. Ale oto ściągają zasłonę na dobre, i tłum wchodzi. Puste przejścia między ławkami poczynają tętnić krokami ludzkimi, i wkrótce ciemna, ruchliwa masa pokrywa wszystkie przejścia od góry do dołu. W cyrku widno jak w dzień, bo chociaż nie zdołano przeprowadzić do niego rur gazowych, to natomiast olbrzymi żyrandol, złożony z pięćdziesięciu lamp naftowych, oblewa arenę i widzów potokami światła. W tych blaskach widać opasłe, przechylone w tył dla folgi podbródkom głowy piwoszków, młode twarze kobiece i śliczne, zdziwione buzie dziecinne, których oczy niemal nie wychodzą na wierzch z ciekawości. Zresztą wszyscy widzowie mają miny ciekawe, zadowolone i głupie, jak zwykle publiczność cyrkowa. Wśród szmeru rozmów, przerywanych okrzykami "Frisch Wasser!

frisch Bier!"- wszyscy z cierpliwością oczekują zaczęcia. Na koniec dzwonek się odzywa, ukazuje się sześciu masztalerzy w palonych butach i staje w dwóch szeregach przy wejściu z areny do stajen. Przez te szeregi wpada rozhukany koń bez uzdy i siodła, a na nim jakby obłok muślinu, wstążek i tiulu. Jest to tancerka Lina. Rozpoczynają się harce przy odgłosie 91

muzyki. Lina jest tak piękna, że młoda Mathilde, córka piwowara z Opuncia - Gasse, zaniepokojona jej widokiem, pochyla się do ucha młodego grocernika Flossa z tejże ulicy i pyta z cicha: czy ją kocha jeszcze? Tymczasem koń galopuje i oddycha jak lokomotywa, bicze klaskają, błazny, których kilku wpadło za tancerką, wrzeszczą i biją się po twarzach, tancerka miga jak błyskawica; brawa się sypią. Co za przepyszne przedstawienie! Ale Nr 1mija prędko. Nadchodzi Nr 2. Wyraz: sachem! sachem! przebiega z ust do ust między widzami. Na błaznów, bijących się ciągle po twarzach, nikt już nie zważa. Wśród ich małych ruchów masztalerze wnoszą wysokie na kilkanaście stóp drewniane kozły i stawiają po dwóch stronach areny. Muzyka przestaje grać Yankee Doodle, a gra posępną arię Komandora z Don Juana, zaciągają drut między kozłami. Nagle snop czerwonego bengalskiego światła pada od strony wejścia i oblewa krwawym blaskiem całą arenę. W tym to blasku ukaże się straszliwy sachem, ostatni z Czarnych Wężów. Ale cóż to?... Wchodzi na sachem, jeno sam dyrektor trupy, Hon. M. Dean. Kłania się publiczności i zabiera głos. Ma on zaszczyt prosić

"łaskawych i szanownych gentlemanów, oraz piękne i nie mniej szanowne ladies o nadzwyczaj spokojne zachowywanie się, niedawanie brawa i zupełną ciszę, albowiem wódz jest nadzwyczaj rozdrażniony i dzikszy niż zwykle". Słowa te sprawiają niemałe wrażenie i dziwna rzecz, ci sami honoratiores· Antylopy, którzy przed piętnastu laty wycięli Chiavattę, doznają teraz jakiegoś nader niemiłego uczucia. Przed chwila, gdy piękna Lina wykonywała swe skoki na koniu, cieszyli się, że siedzą tak blisko, tuż koło parapetu, skąd tak dobrze można wszystko widzieć, a teraz spoglądają z pewnym utęsknieniem na górne sfery cyrkowe i wbrew prawom fizyki znajdują, że im niżej, tym duszniej.

Ale ten sachem czyżby jeszcze pamiętał? Przecież wychował się od młodych lat w trupie Hon. M. Deana, złożonej przeważnie z Niemców. Czyżby jeszcze nie zapomniał? Wydawało się to nieprawdopodobnym. Otoczenie i piętnaście lat zawodu cyrkowego, pokazywania sztuk, zbierania oklasków musiały wyrzucić swój wpływ.

Chiavatta, Chiavatta! A toż oni, Niemcy, także są nie na swojej ziemi, daleko od ojczyzny, i nie myślą o niej więcej, niż na to business pozwala. Przede wszystkim trzeba jeść i pić. O tej prawdzie musi pamiętać tak dobrze każdy filister, jak i ostatni z Czarnych Węzów.

Rozmyślania te przerywa nagle jakiś dziki świst w stajniach - i na arenie ukazuje się oczekiwany niespokojnie sachem. Słysząc krótki pomruk ciżby: to on! to on!" - i potem cisza.

Syczy tylko bengalski ogień, który przy wejściu palą ciągle. Wszystkie spojrzenia kierują się na postać wodza, który oto ma wystąpić w cyrku na grobach ojców. Indianin zasługuje rzeczywiście, by nań patrzono. Wydaje się dumny jak król. Płaszcz z białych gronostajów-oznaka wodza - pokrywa jego wyniosłą postać i tak dziką, że przypomina źle oswojonego jaguara. Twarz ma jakby wykutą z miedzi, podobną do głowy orła, a w tej twarzy świecą zimnym blaskiem oczy prawdziwie indyjskie, spokojne, niby obojętne - a złowrogie. Wodzi on nimi po zgromadzeniu, jakby chciał sobie upatrzeć ofiarę. Bo zresztą uzbrojony jest od stóp do głów. Na głowie jego chwieją się pióra, za pasem ma topór i nóż do skalpowania, w ręku tylko zamiast łuku trzyma długi drąg, który służy do chwytania równowagi podczas chodzenia po drucie. Zatrzymawszy się na środku sceny, nagle wydaje okrzyk wojenny. Herr Gott! to okrzyk Czarnych Węzów. Ci, którzy wycinali Chiavattę, pamiętają dobrze to straszne wycie - i co dziwniejsza, ci, którzy przed piętnastu laty nie ulękli się tysiąca tak wyjących wojowników, pocą się teraz przed jednym. Ale oto dyrektor zbliża się do wodza i mówi do niego, jakby chciał go ułagodzić i uspokoić. Dziki zwierz uczuł munsztuk - namowa skutkuje, bo po chwili sachem kołysze się już na drucie. Zapatrzony w żyrandol naftowy, postępuje naprzód. Drut ugina się silnie; chwilami nie widać go wcale, a wtedy Indianin zdaje się wisieć w powietrzu. Idzie jakby pod górę; jeszcze postępuje naprzód, cofa się i znów idzie, chwytając równowagę. Wyciągnięte jego ręce, pokryte płaszczem, wyglądają jak olbrzymie skrzydła. Chwieje się!... pada! - nie! Krótkie, urwane brawo zrywa się jak wicher i milknie.

Twarz wodza staje się coraz groźniejsza. W jego wzroku utkwionym w lampy naftowe 92

błyszczą jakieś straszne światło. W cyrku niepokój, ale ciszy nikt nie przerywa. Tymczasem sachem zbliża się do drugiego końca drutu - staje - i niespodzianie z ust jego wyrywa się pieśń wojenna.

Szczególna rzecz! Wódz śpiewa po niemiecku. Ale łatwo to zrozumieć. Pewno zapomniał

języka Czarnych Wężów. Zresztą nikt na to nie zważa. Wszyscy słuchają pieśni, która wzmacnia się i potężnieje. Jest to półśpiew, pół jakieś wołanie niezmiernie żałobne, dzikie i chrapliwe, pełne drapieżnych akcentów.

Słysząc słowa następujące:

"Po wielkich deszczach, co rok pięciuset wojowników wychodziło z Chiavatty na ścieżki wojny lub na wielkie łowy wiosenne. Gdy wracali z wojny, zdobyli ich skalpy; gdy wracali z łowów, przywozili mięso i skóry bawole, a żony witały ich z radością i tańczyły na cześć Wielkiego Ducha.

Chiavatta była szczęśliwa! Niewiasty pracowały w wigwamach, dzieci wyrastały na piękne dziewczęta i dzielnych wojowników. Wojownicy umierali na polu sławy i szli polować z duchami ojców do Srebrnych Gór. Topory ich nie broczyły się nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiavatty byli szlachetnymi mężami. Chiavatta była potężna. Aż przyszły blade twarze zza mórz dalekich i wrzuciły ogień do Chiavatty. Bładzi wojownicy nie pokonali Czarnych Wężów w boju, ale zakradli się nocą jak szakale i noże ich zboczyły się w piersiach uśpionych mężów, niewiast i dzieci.

I oto nie ma Chiavatty, bo na jej miejsce biali wzniesli swoje kamienne wigwamy.

Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołają o zemstę."

Głos wodza stał się chrapliwy. Teraz, kołysząc się na tym drucie, wydawał się jak jakiś czerwony archanioł zemsty, unoszący się nad głowami ciżby ludzkiej. Sam dyrektor widocznie był zaniepokojony. W cyrku zrobiła się śmiertelna cisza. Wódz wył dalej:

"Z całego pokolenia zostało jedno dziecko. Było ono małe i słabe, ale przysięgło Duchowi Ziemi, że się zemści. Że ujrzy trupy białych mężów, niewiast, dzieci - pożogę, krew!..."

Ostatnie słowa zmieniły się w ryk wściekłości. Po cyrku poczęły się zrywać szmery podobne do nagłych powiewów wichru. Tysiące pytań bez odpowiedzi cisnęło się do głów. Co zrobi ten wściekły tygrys? co zapowiada? jak dokona zemsty? - on? - sam jeden? - zostać czy uciekać? czy się bronić- i jak?

- Was ist das? was ist das? - rozległy się wystraszone głosy kobiece.

Nagle nieludzkie wycie wyrwało się z piersi wodza, zakołysał się silniej, wskoczył na drewniany kozielek, stojący pod żyrandolem, i wznosił drąg. Straszna myśl przeleciała jak błyskawica przez głowy: rozbije świecznik i zaleje cyrk potokami płonącej nafty. Z piersi widzów wyrwał się jeden okrzyk. Ale cóż to? Z areny wołają: "Stój! stój!..." Wódz nie ma!

zeskoczył, znikł w wyjściu. Nie spali cyrku? Gdzież się podział? Oto wychodzi, wychodzi znowu, zziębnięty, zmęczony, straszny. W ręku niesie blaszaną miskę i wyciągając ją ku widzom, mówi błagalnym głosem:

- Was gefälltig für den letzten der Schwarzen Schlangen!..."

Kamień spada z piersi widzów. Więc to wszystko było w programie, więc to była sztuka dyrektora? efekt? Sypią się półdolary i dolary. Jakże odmówić ostatniemu z Czarnych Wężów

- w Antylopie, na zgliszczach Chiavatty! Ludzie mają serca.

Po przedstawieniu sachem pił piwo i jadł knedle "Pod Złotym Słońcem". Otoczenie wpływ widocznie wywarło. Zyskał wielką popularność w Antylopie, zwłaszcza u kobiet. Robiono nawet plotki...

93

[Latarnik](#)

Opowiadanie to osnute jest na wypadku rzeczywistym, o którym w swoim czasie pisał J.

Horain w jednej ze swoich korespondencyj z Ameryki.

I

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści.

Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został splukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tym prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów idących z New Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zasy, między którymi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł

podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowym słońcem wodach prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni.

Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; po wtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; na koniec w ogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżnionym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, po czym przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morgę rozległości, nie ma nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. W ogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr Izaak Falconbridge był

w niemałym kłopotcie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianie następcą zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, pleć spaloną, jak u Kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Falconbridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

- Skąd jesteście?

- Jestem Polak.

- Coście robili dotąd?

- Tułałem się.

- Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

- Potrzebuję odpoczynku.

- Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

94

Stary człowiek wyciągnął z zanadrza spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi. Rozwinął go i rzekł:

- Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; trzeci to legia francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów - więc oto papier.

Falconbridge wziął papier i zaczął czytać.

- Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm!... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

- Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

- Trzeba tam co dzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

- Przeszedłem piechotą —plenył.

- All right! Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

- Trzy lata służyłem na wielorybniku.

- Próbowaliście różnych zawodów?

- Nie zaznałem tylko spokojności.

- Dlaczego?

Stary człowiek ruszył ramionami.

- Taki los...

- Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy.

- Sir - ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. - Jestem bardzo znużony i skołatany.

Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnę otrzymać.

Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, Sir! to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzyć. Co za szczęście, że

byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość mam już tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak gorącą prośbę, że Falconbridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

- Well! rzekł. - Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

- Dziękuję.

- Czy możecie dziś jechać na wieżę?

- Tak jest.

- Zatem good bye!... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.

- All right!

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmięzchu, nowy latarnik widocznie był już na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżycy wielki, zabarwiony tęczowo krąg o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przyływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do małego, czarnego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniło jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale po prostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwają się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka 95

miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Falconbridge'owi, nie wspominał jednak o tysiącnych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił

gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata - i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem diamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indiach Wschodnich. Gdy w

swoim czasie założył w Kalifornii farmę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami zamieszkującymi wewnątrz Brazylii: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkansas, i - spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał się w ręce Indian i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku kursującym między Bahią i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawanie został okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na —vomitol. Wreszcie przybył do Aspinwall - i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał

dobrych niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladują go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tym objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę maniakiem.

Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach.

Nie lubił jednak o tym mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na Gwiazdę Polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indianina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięc bagnetem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które mu ukazywano jako środek ratunku, i krzyżeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i nieszczęściu. Laź pod górę tak pracowicie, jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy.

Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawivszy sobie ani grana.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił

nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy mijały jedne za drugimi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się -

począł tracić energię. Cierpliwość jego poczynąła być coraz podobniejsza do rezygnacji.

Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się i ten hartowny żołnierz jął

przeradzać się w bekę gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś... Na

koniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl spoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którym by mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie 96

nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największym ludzkim szczęściem jest - tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tym, jak w ogóle ludzie marzą o czymś niedoścignionym. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem niespodzianie w ciągu dwunastu godzin dostał posadę jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił

swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał

odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartymi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasyczał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze, bo północ wybiła już na aspinwalskich zegarach, a on jeszcze nie opuszczał swojej powietrznej wyżyny - i patrzył. W dole pod jego stopami grało morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dał owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i rycząc szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przyptyw wzmagął się coraz bardziej i zalewał

piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmaconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkania - i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiął mgłę, ale napędził czarnych, poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. Bałwany skakały w wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, powieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł

do swej izby. Burza zaczęła wyć. Tam, na dworze, ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II

Zaczęły płynąć godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozchukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tym miłsze są mu te nawoływania. Ale, by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim półgrobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człkiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czym styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zwartych, określonych kształtów. Niebo - to jeden ogół, woda - to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciągłym zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny jak dwa paciorki w różańcu i chyba zmiany pogody stanowią jedyną różnicę. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską i oczy jego nie mogły się nigdy nasycić obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymim 97

turkusowym tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się pod nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedno za drugim, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki wskazujące drogę kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New Yorku wioził podróżnych i towary do Aspinwall, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński, jak na dłoni, Aspinwall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym, kamiennym bulwarku. Z

rana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował

świszczący parowców. W południe nadchodziła godzina sjesty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczyby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmaconej niczym ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły na kształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękitnie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska.

Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc, pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwał, to mu już niczego nie brakło.

Skawiński rozmarzał się własnym szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegóżby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy? Czas upływał i utrwalał go w tym

przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptactwem jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na niskie piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadzała na piasku. W nocy przy świetle księżyca i latarni chodził na ryby, którymi roiły się załamy skalne. W końcu pokochał

swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnymi, tłustymi roślinkami, sączącymi lepka żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W

południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz układały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwallu. Dalej, między Aspinwall a Panamą, widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwony opar wyziewów - las prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany linami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem jak tęcza chmura nad lasem. Skawiński znał z bliska podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce błąkał się całe tygodnie wśród podobnych zielonych sklepień i gąszczów.

Wiedział, ile pod cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci.

Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał z bliska grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże kołyszące się na kształt lianów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepelnione dręt看ami i rojące się od krokodyłów. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszcach, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których mrowią się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam 98

przecierpiał; toteż tym większą mu teraz sprawiało rozkosz patrzeć z wysokości na owe matos, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zdrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkim złem. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę z rana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak Kreole mówili między sobą: —Porządnego mamy latarnik! - —I nie heretyk, chociaż Yankee!!

Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub newyorską —Herald! , pożyczaną u Falconbridge'a i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! Na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź przywożąca mu co dzień żywność i wodę przybiła do wysepki,

schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem.

Potem jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział

ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności pozostawianej na brzegu i światło latarni zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zubożył dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnację. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. Żył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci, i po prostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przy tym stał się mistykiem. Łagodne niebieskie jego oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć jakoby osoba, a zlewał się coraz więcej z tym, co go otaczało. Nie rozumował nad tym, czuł

tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku, i wydęte żagle, i mewy, odpływy i przypływy, to jakaś wielka jedność i jedna, ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał - i w tym ograniczeniu własnego, odrębnego bytu, w tym półczuwaniu, półśnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do półśmierci.

III

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zeszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres

—Skawiński Esq., wypisany na grubym żaglowym płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzął i położył na powrót, przy czym ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc; zdawało mu się, że śni -

książka była polska. Co to miało znaczyć?! Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarnicznej kariery przeczytał

pewnego razu w pożyczonym od konsula —Heraldzieł o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensji, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo wywdzięczając się przysyłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwycić tych myśli. Polskie książki w Aspinwall, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów, cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie pewny, że gdy 99

je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświetlona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzął: były to wiersze. Na wierzchu stał

wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, wojując w Algerze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszczka, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturnicznym życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tym większą też skwapliwością i z tym żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dzieć coś uroczystego.

Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwalskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały z cicha, rozplływając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinwallu i cudne grupy palm.

Naprawdę było jakoś uroczyście, a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć: Litwo, ojczyzno moja, ty

jesteś jak zdrowie!

Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie

Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło na kształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze, opanował się i czytał dalej:

Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy

I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy

Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!

Jak mnie, dziecko, do zdrowia, powróciłaś cudem,

(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę

Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę

I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu

Iść, za zwrócone życie podziękować Bogu),

Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczone włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego

- przepłynęła ocean i znalazła go, samotnika, na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczym... On po prostu tym wielkim płaczem przeproszał tę ukochaną, oddaloną za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczyniała zacierać. A teraz —wracał cudem! - więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wyplakawszy się, miał teraz w twarzy jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się z wolna za 100

międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku, w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną

Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych...

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie, zmierzch krótki jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas —Ta, co jasnej broni Częstochowy! zabrała jego duszę i przeniosła —do tych pól malowanych zbożem rozmaitym! Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym.

Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabelkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było.

Wszystko go pyta: —Pamiętasz?! On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie -

ale teraz on jest we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy przesuwiają się przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś w tej swojej wiosce stał nocą na widecie, teraz przeszłość ta podstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: z dala karczma pogląda płonącymi oczyma i brzmi, i śpiewa, i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. —U-ha! U-ha!! To ułany kreszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz, jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żurawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rześko, zdrowo.

Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta!

Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj, jedyna, jedyna!

Cicho! Czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

- Hej, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns,

strażnik portowy.

- Co to? - pyta Johns - chorzyście?

- Nie.

- Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie, szczęściem, nikt nie utonął; inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku idącego z Aspinwall do New York. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał

znowu ten liść, by nim rzucić po lądach i morzach, by się nad nim znęcać do woli. Toteż stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła...

101

Wspomnienie z Maripozy

Byłem tylko jakby przelotem w Maripozie i równie pobieżnie zwiedziłem jej okolice. Byłbym się jednak dłużej zatrzymał i w mieście, i w hrabstwie, gdybym był wiedział, że o kilkanaście mil od miasta żyje w lesie prototyp mego Latarnika. Przed niedawnym czasem pan M., który jednocześnie ze mną był w Kalifornii, przeczytawszy Latarnika, opowiedział mi spotkanie z podobnym do niego zupełnie polskim skwaterem. Opowiadanie to powtarzam wiernie co do treści.

...Po drodze do Big Trees, czyli olbrzymich drzew kalifornijskich, zajechałem do Maripozy.

Miasto to liczyło przed niedawnymi jeszcze laty do piętnastu tysięcy mieszkańców, obecnie jest ich dziesięć razy mniej. Wiadomo, że w Nowym Świecie miasta rodzą się jak grzyby, ale też często mają żywot motyli. Tak było i z Maripozą. Póki rzeczka Maripoza przeświecała złocistym dnem, a na brzegach osadzała zielonawe grudki drogiego metalu, roili się tu górnicy amerykańscy, —gambusinosł z Meksyku i kupcy z całego świata. Potem wszystko to wywędrowało. —Złoteł miasta są nietrwałe, bo złoto prędzej czy później musi się wyczerpać.

Dziś miasto Maripoza ma z tysiąc mieszkańców, a brzegi rzeki Maripozy pokryły się już na nowo gęstwiną wierzb płaczących, drzewa bawełnianego i innych pomniejszych krzewów.

Tam, gdzie dawniej górnicy śpiewywali wieczorami: —I crossed Mississippi —, obecnie śpiewają kojoty. Miasto składa się z jednej ulicy, na której najpiękniejszym budynkiem jest szkoła; drugie po niej miejsce trzyma —Capitolł, trzecie hotel pana Billinga, obejmujący zarazem grocnię, —saloonł, to jest szynk, i —bakerył, czyli piekarnię. Kilka innych sklepów świeci wystawami wzdłuż ulicy. Ruch jednak handlowy jest tu bardzo niewielki. Sklepy zaopatrują potrzeby samego

tylko miasta, bo w okolicy mało jest fermerów. Całe hrabstwo ma jeszcze nader nieliczną ludność, po większej zaś części szumi olbrzymimi lasami, w których z rzadka siedzą skwaterowie.

Gdy dylizans nasz wjeżdżał do miasta, było w nim niezwykle ludno, przybyliśmy bowiem w piątek, a to jest dzień targowy. Skwaterowie przywożą w ten dzień miód do groceni, w której w zamian zaopatrują się w rozmaite artykuły żywności. Inni przypędzają trzodę, fermerowie dostawiają zboże. Lubo emigracja napływa do Maripozy bardzo pomалу, znajdowało się wszelako i kilka wozów emigranckich, które łatwo poznać po białych, wysokich dachach i po tym, że między kołami zwykle upięty jest na łańcuchu pies, szop albo niedźwiadek. Ruch przed hotelem panował niemały, gospodarz zaś hotelu, pan Billing, kręcił się na wszystkie strony, roznosząc dzin, whisky i brandy. Na pierwsze wejście poznał on we mnie cudzoziemca jadącego do Big Trees, ponieważ zaś tacy turyści stanowią najpożądańszą dla niego klientelę, dlatego zajął się mną ze szczególną troskliwością.

Był to niemłody już człowiek, ale ruchliwy i żywy jak iskra. Tak po jego ruchach, jak i po twarzy łatwo było poznać, że nie był to Prusak. Z wielkim ugrzecznieniem wskazał mi mój pokój. Objął, że już jest po brekfeście, ale jeżeli sobie życzę, podadzą mi natychmiast jeść w —dining roomll.

- Gentleman zapewne z San Francisco?

- O, nie. Z dalszych stron.

- All right! Zapewne do Big Trees?

- Tak jest.

- Jeżeli pan życzy sobie obejrzeć fotografie drzew, wiszą one na dole.

- Dobrze, zaraz zejść.

- Czy długo pan zabawi w Maripozie?

- Kilka dni. Potrzebuję odpocząć, a przy tym chcę widzieć okoliczne lasy.

102

- Polowanie tu doskonałe. Niedawno zabito pumę.

- Dobrze, dobrze. Tymczasem pójdę spać.

- Good bye! Na dole jest książka hotelowa, w której pan raczysz zapisać swoje nazwisko.

- Dobrze...

Położyłem się spać i spałem aż do obiadu, o którym oznajmiono uderzeniami pałki w blaszaną górniczą miednicę. Zeszedłem na dół i przede wszystkim zapisałem się do książki, nie omieszkawszy do swego nazwiska dodać: —from Polandll. Następnie udałem się do

—dining roomu. Targ widocznie już się skończył, handlujący rozjechali się do domów, bo do obiadu zasiadło kilka tylko osób. Dwie rodziny fermerskie, jakiś jegomość bez oka i bez krawata, miejscowa nauczycielka, która widocznie stale mieszkała w hotelu, i jakiś starzec, o ile z ubioru i broni mogłem wnosić - skwater. Jedliśmy w milczeniu przerywanym tylko krótkimi frazesami: —Chciałbym panu podziękować za chleb lub —za masło, lub —za sól. W

ten sposób siedzący dalej od chleba, masła lub soli proszą o posunięcie tych przedmiotów bliżej nich siedzących sąsiadów. Byłem zmęczony i nie chciałem rozpoczynać rozmowy.

Rozglądałem się natomiast po pokoju, którego ściany, jak rzekł pan Billing, były zawieszane fotografiami drzew olbrzymich. Więc —Father of the Forest, czyli ojciec lasu, zwalony już.

Nie mógł jednak udźwignąć swoich 4000 lat na grzbiecie!

Długość: 450 stóp, obwód 112. Ładny tatuś! Wierzyć się nie chce oczom i podpisom.

—Grizzled Giant: 15 łokci średnicy. No! nawet Żydzi nasi namyślaliby się, gdyby im kazano odstawić taką roślinkę do Gdańska. Dusza skakała mi z radości na myśl, że wkrótce zobaczę w naturze i własnymi oczyma tę grupę drzew, a raczej wież kolosalnych, stojących samotnie w lesie... od potopu. Ja, warszawiak, ujrzę własnymi oczyma —ojca, dotknę jego kory, a może kawał jej przywiozę do Warszawy na dowód sceptykom, że naprawdę byłem w Kalifornii. Człowiek, gdy się tak zabłąka, samemu sobie wydaje się dziwnym i mimo woli cieszy się myślą, jak to będzie opowiadał za powrotem i jak miejscowi sceptycy nie będą mu wierzyli, by były na świecie drzewa mające pięćdziesiąt sześć łokci obwodu. Rozmyślania te przerwał mi głos Murzyna:

- Czarnej kawy? białej?

- Czarnej, jak sam jesteś - chciałem odpowiedzieć, ale odpowiedź byłaby nietrafną, stare bowiem Murzynisko miało białą jak mleko czuprynę i ledwo nogi włączyło ze starości.

Tymczasem obiad się skończył. Wstali wszyscy. Ojciec fermer zapchał sobie zuchwy tytuniem, mama fermerka, siadłszy na biegunowym krześle, poczęła się bujać zawzięcie, a córka jasnowłosa, grzywiasta Polly czy Katty, poszła do pianina i po chwili usłyszałem:

- —Yankee Doodle is going down town...||

- Nie mnie brać na Yankee Doodle! - pomyślałem sobie. - Od New Yorku do Maripozy grają mi to panny na fortepianach, żołnierze na trąbkach, Murzyni na bandzach, dzieci na kawałkach wołowych żeber. Zapomniałem! Jeszcze na okręcie prześladowała mnie Yankee Doodle. Z czasem w Ameryce zjawi się zapewne choroba: Yankee-Doodle-fobia!

Zapaliłem cygaro i wyszedłem na ulicę. Lekki mrok ogarniał przestworze. Wozy się porojeżdżały, emigranci również. Było cicho i uroczo. Zachód rumienił się zorzą, wschód ciemniał. Było mi jakoś wesoło i dobrze. Życie wydało mi się nader przyjemnym, lekkim, swobodnym. Z ogródków przy domach dochodziły mnie śpiewy, gdzieniegdzie wśród krzewów mignęła biała sukienka, gdzieniegdzie para jasnych oczu. Co za śliczny był wieczór!

Szkoda tylko, że w Ameryce obywatele mają zwyczaj wieczorami palić śmiecie na ulicy.

Zapach dymu bardzo niepotrzebnie miesza się oto z zapachem róż i świeżą wonią pobliskich lasów. Od czasu do czasu z przyległych do miasteczka pól i gęstw dolatywały odgłosy pukaniny ze strzelb, bo niemal wszyscy mieszkańcy Maripozy są myśliwymi; zresztą ruch już ustał, śmiecie dogorywały. Na ulicy spotkałem kilka osób i nie wiem, czy mimo woli własne swoje usposobienie przeniosłem na twarze innych, ale wśród łagodnych blasków zachodu wszystkie te twarze wydały mi się dziwnie zadowolone, spokojne i szczęśliwe.

103

- Może też - myślałem sobie - żyje się tu cicho, spokojnie i szczęśliwie, w tym nieznanym, zapadłym w lasach kącie świata. Może też w tej amerykańskiej swobodzie dusza tak rozpromienia się i świeci łagodnym światłem jakby robaczek świętojański. Tu przy tym i niegłódno, i niechłodno, i przestrzeni dużo, jest się gdzie rozkurczyć, jest ręce gdzie wyciągnąć... A przy tym te lasy tak spokojne, ach! jak spokojne!... Kilku Murzynów idących naprzeciw mnie śpiewało dość dźwięcznymi głosami, szczęściem nie Yankee Doodle, ale Srebrne nitki.

- Dobry wieczór panu - rzekli uprzejmie przechodząc koło mnie.

I ludzie tu jacyś życzliwi, grzeczni. Doprawdy, gdy przyjdzie starość, pomyślę nieraz o tej cichej Maripozie. Z wysoka doleciał mnie głos żurawi ciągnących gdzieś ku Oceanowi.

Rozkołysałem się i rozmarzyłem. Dziwne zebranie wrażeń, ale wróciłem do hotelu prawie rozrzewniony i jakiś tęskny. Począłem myśleć o domu, o moich i także zacząłem śpiewać, ale nie Yankee Doodle. O nie! Śpiewałem: —U nas inaczej! inaczej! inaczej!!...

- Puk, puk, puk!

- Ciekawym, kto to być może? - pomyślałem.

- Puk! puk!

- Come in.

Wszedł gospodarz. Co u licha! co za kraj! I ten ma minę zupełnie wzruszoną. Zbliży się do mnie, ścisną mnie silnie za rękę i nie puszczaając mej dłoni, oddala się na długość ramienia, patrząc na mnie tak, jakby mnie chciał błogosławić.

Otwieram usta i moje zdziwienie równa się jego rozrzewnieniu.

- Zobaczyłem w księdze hotelowej - mówi - pan jesteś z Polski?

- Tak jest. Czy i pan Polak?

- O nie! Jestem Badeńczyk.

- To pan był w Polsce?

- O nie! nigdy...

- A więc?...

Moje oczy otwierają się równie szeroko, jak usta...

- Panie - rzecze gospodarz - służyłem pod Mierosławskim.

- Tam do licha!

- To był bohater! to największy wódz w świecie! Jakżem szczęśliwy, że pana widzę... Czy on żyje jeszcze?

- Nie, umarł.

- Umarł! - mówi Niemiec i siadłszy ciężko opuszcza ręce na kolana, a głowę na piersi.

Nie wiedziałem sam, co mam robić. Nie podzielałem entuzjazmu pana Billinga dla M., ale w tej chwili entuzjazm ten był mi miłym i pochlebiał mi. Tymczasem pan Billing zwycięża swój smutek i uwielbienie jego dla M. płynie kaskadą, wobec której niczym Niagara albo Yosemite Falls. O uszy moje objają się imiona kilku bohaterów starożytności, kilku ze średnich wieków, następnie Waszyngtona, Lafayetta, Kościuszki i Mierosławskiego; potem słyszę wyrazy takie, jak swoboda, postęp, cywilizacja - słyszę setkami, tysiącami. Wymowny generał

miał widocznie wymownych szeregowców.

- To był człowiek idealny! - wykrzykuje na koniec mój gospodarz.

- Był czy nie był, mniejsza o to! - myślę sobie - ale faktem jest, że ty, pozytywny Niemcze, jeśli masz w sobie coś idealnego, to dziwnym zbiegiem okoliczności zawdzięczasz to Polakowi. Gdyby nie on, ergo, gdyby nie my, myśl twoja nie uleciałaby może nigdy ponad dolary, business i zyski ze swego hotelu. Łapałbyś tylko chciwie turystów jadących do Big Trees i skakał koło nich, jak koło mnie skakałeś, a teraz oto duch wyższy dmie przez ciebie jak przez dudy organów - i wyrzucasz słowa, które już skwaśniały jak stare piwo w Europie, ale które nie przestały być najszlachetniejszymi słowami, na jakie się zdobył język ludzki. W

starej Europie jest tylko może jedyny kąt, gdzie je biorą jeszcze na serio i czasem wymawiają 104

ze łzą w oku, a czasem z bólem, że inni poniewierają tymi skarbami lub na nich gwizdzą, jak na dziurawych orzechach. Ale trudno... I o owym kącie czasem także... trudno - o jak trudno!

Co za pocziwy jakiś Niemiec; nie imponuje mu nic a nic Sadowa ani Sedan, on tylko wspomina M. i swoje Badeńskie. Co za pocziwy Niemiec! Adres jego: Billing's Hotel, Kalifornia, Mariposa County. Warto zanotować adres takiego Niemca. Trzebaż aż do Maripozy po niego jechać!

All right!

On tymczasem powtarza: —Ach ten M...!||, i obciera oczy, wyraźnie obciera oczy. Dusza złota!

- Tak mi miło, że pana widzę, jakbym się napił whisky z imbirem! - mówi do mnie.

Ściska moją dłoń, ściska ją po raz drugi, trzeci i zabiera się ku drzwiom. Przy drzwiach wali się ręką w czoło, aż plasło.

- Ale! - mówi. - Otom zapomniał! Przecie tu jest pański rodak.

- W Maripozie?

- Nie, on mieszka w lesie. Ale w piątek przyjeżdża na targ z miodem i zostaje na noc. Stary człowiek. Bardzo dobry, bardzo dobry! On tu już jest ze dwadzieścia lat. Jeszcze tu nikogo nie było, jak on przyszedł. Jutro go panu przyprowadzę.

- Jakże się nazywa?

Niemiec staje i poczyną się w głowę drapać, jak pierwszy lepszy polski Bartek.

- O! I don't know! Nie wiem! - mówi. - Coś bardzo trudnego.

Nazajutrz, ledwie wstał, już mój Niemiec jeszcze przed brekfestem przyprowadził mi rodaka.

Natychmiast poznałem w nim starca, który wczoraj jadł ze mną obiad.

Był to człowiek wysoki, bardzo nawet wysoki, ale pochylony mocno. Miał białą głowę, białą brodę i niebieskie oczy, które utkwili we mnie od razu z jakąś dziwną uporczywością.

- Zostawiam panów samych - rzekł Niemiec.

Zostaliśmy tedy sami i patrzyli na siebie przez długi czas w milczeniu. Po prawdzie, byłem jakiś zmieszany widokiem tego starca, podobniejszego do Wernyhory niż do przeciętnego rodaka.

- Zwę się Putrament - ozwał się starzec. - Aza nazwisko moje obce jest uszom twoim?

- Nazwisko moje M. - odparłem. - Pańskie obiło mi się o uszy. Zdaje się z Litwy?

Coś istotnie przypominało mi się z Pana Tadeusza, coś —Putrament z Pikturną|| w opowiadaniu Protazego o procesach.

Starzec przyłożył rękę do ucha.

- Hę? - rzekł.

- Zdaje mi się z Litwy?

- Podnieś głos twój, albowiem wiek zepsował uszy moje i głuchą jest starość moja - odrzekł

pan Putrament.

- Czy on kpi sobie ze mnie, czy ja głupi jestem? - pomyślałem - ale coś ten staruszek mówi językiem proroków. Cóż za oryginały spotykam w tej Maripozie?

- Pan dawno z kraju? - spytałem.

- Dwadzieścia dwa lata tu mieszkam i zaprawdę, pierwszym jesteś, którego oglądam ze stron ojczystych, gwoli czemu wzruszone jest serce moje i uradowana dusza we mnie.

Rzeczywiście, starzec mówił głosem drżącym i wydawał się bardzo wzruszony. Co do mnie, byłem tylko zdziwiony. Nie siedziałem dwadzieścia lat w lesie, Polaków widziałem niedawno w San Francisco i nie miałem powodu się rozczulać. Miałem natomiast trochę ochoty wykrzyknąć: co za styl! Żeby tak kto do mnie mówił przez dobę, to bym chyba zaczął wyć...

Brr!... Tymczasem starzec wpatrywał się we mnie uporczywie i myśl jego zdała się pilnie pracować. Kilka razy jakby pragnął mówić i uciał. Widocznym było, iż sam czuł, że nie wyraża się jak każdy inny człowiek. Mówił zresztą bardzo poprawnie, ale z trudnością.

- W ziemi dalekiej stęzał język mój i związały się wargi moje...

105

- Co prawda, to nie grzech! - pomyślałem.

Ale wesołość opuszczała mnie. Robiło mi się jakoś przykro i uczułem pewien wyrzut sumienia. Jak sobie tam mówi, tak mówi ten starzec - myślałem - ale mówi ze wzruszeniem, z głębokim smutkiem i szczerze, a ja oto jakbym podrwiwał sobie z niego.

I mimowolnie wyciągnąłem ku niemu obie ręce. Wziął je i przycisnął silnie do swych piersi, powtarzając:

- Rodak! rodak!

Takie uczucie drgało w jego głosie, że chwyciło mnie wprost za serce.

W każdym razie miałem przed sobą dziwną zagadkę, a może bardzo smutną. Począłem tedy patrzeć na niego, jakbym patrzył na starego ojca. Posadziłem go z uszanowaniem na krześle i sam usiadłem koło niego. On wciąż patrzył na mnie.

- Co słyszeć w ziemi naszej? - spytał.

Rozpuściłem język jak kołowrot, starając się tylko mówić głośno i jasno. W ten sposób gadałem z pół godziny, a w miarę słów moich szanowna jego głowa kiwała się smutno - lub uśmiech występował mu na usta. Powtórzył raz zdanie Galileusza i częstokroć zadawał mi pytania, zawsze

tym samym poważnym, dziwnym i niewytłumaczonym dla mnie stylem.

Wszystko, com mu opowiadał, zajmowało go nad wszelki wyraz. Cała jego dusza zbiegała się do oczu i ust. Żyjąc samotnie wśród lasu może on dni całe myślał tylko o tym, co płynęło teraz z ust moich.

Dziwny starcze, dziwna raso ludzka, która na najodleglejsze krańce świata niesiesz jedną myśl i jedno uczucie! Tym żyjesz w lasach, w pustyniach i nad morzem - unosisz ciało swoje, a duszy oderwać nie umiesz - i chodzisz jak błędna między innymi ludźmi! Ale rasa ta wymiera z wolna. Ja wam opowiadam o jednym z ostatnich.

Opowiadanie zda się wymysłem, a jest rzeczywistością. Putrament może żyje jeszcze w swoim lesie, w bliskości Maripozy. Z opowiadań jego dowiedziałem się, co następuje: Był

pasiecznikiem, jak większość skwaterów. Nie jest zbyt ubogi. Pszczoły zarabiały na jego życie. Zestarzawszy się, wziął pomocnika, małego Indianina, który dogląda pasieki. Mówił, że sam dotychczas jeszcze co dzień poluje. Zwierzyny w pobliżu Maripozy jest mnóstwo: jeleni, antylop i ptastwa wszelakiego moc nieprzebrana.

Niedźwiedzie przeredziły się znacznie. Jego —canyonll jest jednym z najpiękniejszych w okolicy. Przy domu jest cudny strumień, tworzący mnóstwo kaskad - zresztą skały i góry, a na nich las i las nieprzebyty... Cisza, spokój... Zapraszał mnie mocno, bym go odwiedził, ale musiałbym z powrotem czekać aż do następnego piątku, więc z żalem nie mogłem przyjąć zaproszenia. Mówił ciągle, jak jaki Abraham lub Jakub... Słowa: aza, azali, zaprawdę, lepak, przecz i wždy - powtarzały się w jego ustach co chwila. Czasami zdawało mi się, że mam przed sobą jakiegoś człowieka z czasów Górnickiego lub Skargi, który pod ziemią przewędrował do Maripozy i zmartwychwstał tu lub żył od owych czasów, jak owe Big Trees pobliskie. Ale prócz tego starego języka była w mowie jego jeszcze i jakaś dziwna uroczystość, polegająca na toku zdań, na mnóstwie pleonazmów, na szczególnych określeniach. Postanowiłem wreszcie rozwiązać zagadkę.

- Powiedz mi, szanowny panie, skąd ci się wziął ten język? Język to nie dzisiejszy, ale stary, którym już nie mówią w Polsce.

Uśmiechnął się. - Jedną książkę mam w domu: Biblię Wujka, którą czytuję co dzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemym w języku ojców moich...

Teraz zrozumiałem. Przez kilkadziesiąt lat w zapadłej Maripozie nie widział ani jednego Polaka, nie mówił z nikim. Czytywał więc Wujka, i nic dziwnego, że nie tylko jego słowa, ale i myśli ułożyły się do miary Biblii. Inaczej już po polsku nie umiał i nie mógł umieć; oddawał

to, co czerpał. Nie chciał tylko za nic w świecie zapomnieć. Miał zwyczaj czytywać głośno swoją Biblię każdego ranka. Zresztą nic więcej nie dochodziło go ze stron ojczystych, nic, znikąd - chyba tylko szum lasu kalifornijskiego przypominał mu szumy litewskie.

Gdyśmy się żegnali, rzekłem:

- Za miesiąc wracam do kraju. Czy nie masz pan jakich krewnych? brata, swata, kogokolwiek, komu byś mógł dać znać o sobie?

Zamyślił się, jakby szukał w pamięci jakich najdalszych krewnych potem począł potrząsać głową:

- Nikogo... nikogo... nikogo...

A jednak ten starzec czytywał Wujka i nie chciał... zapomnieć.

Pożegnaliśmy się.

- Niech cię prowadzi Pan! - rzekł mi na drogę.

On zaraz wyjechał do lasu - ja, w dwa dni potem, do Big Trees. Gdym wsiadał do dylizansu, mister Billing wstrząsał moją ręką, jakby ją sobie chciał urwać na pamiątkę, i powtarzał:

- To był wielki człowiek, panie, ten M... Good bye! Good bye! Sehr grosser Mann!

W kwadrans potem otoczyły mnie lasy Maripozy. Nazajutrz rankiem myślałem sobie: w tej chwili stary Putrament czyta głośno w kanionie swoją Biblię...

107

Za chlebem

I. NA OCEANIE - ROZMYŚLANIE

BURZA - PRZYBYCIE

Na szerokich falach oceanu kołysał się niemiecki statek —Blücher||, płynący z Hamburga do New Yorku.

Od czterech dni był już w drodze, a od dwóch minął zielone brzegi Irlandii i wydostał się na pełnię. Z pokładu, jak okiem dojrzeć, widać było tylko zieloną i szarą równinę, pooraną w bruzdy i zagony, rozkołysaną ciężko, miejscami zapienioną, w dali coraz ciemniejszą i zlewającą się z widnokretem pokrytym białymi chmurami.

Blask tych chmur padał miejscami i na wodę, a na tym tle perłowym odrzynał się wyraźnie czarny kadłub statku. Kadłub ten, zwrócony dziobem ku zachodowi, to wspinał się pracowicie na fale, to zapadał w głąb, jakby tonął; czasem niknął z oczu, czasem wzniesiony na grzbiecie bałwanu wynurzył się tak, że aż dno było mu widać, a szedł naprzód. Fala płynęła ku niemu, a on ku fali - i rozcinał ją piersiami. Za nim, jakby olbrzymi waż, gonił biały gościniec spienionej wody; kilka mew leciało za sterem, przewracając kozły w powietrzu i kwiląc jakby polskie czajki.

Wiatr był dobry: statek szedł połową pary, a natomiast rozpiął żagle. Pogoda znaczyła się coraz

lepsza. Miejscami pomiędzy poszarpanymi chmurami widać było kawały błękitu nieba, zmieniające kształt ustawicznie. Od chwili, jak —Blücher|| opuścił port hamburski, czas był

wietrzny, ale bez burzy. Wiatr dął ku zachodowi, chwilami jednak ustawał: wówczas żagle opadały z łopotem, aby następnie znowu wydać się na kształt piersi łabędziej. Majtkowie, poubierani we włóczkowe obcisłe kaftany, ciągnęli linę dolnej rei wielkiego masztu i krzycząc żałośnie: —Ho-ho-o!!, pochylali się i prostowali w takt do śpiewu, a wołania ich mieszały się ze świstem piszczałek miczmeńskich i z gorączkowym oddechem komina, wyrzucającego przerywane kłęby lub pierścienie czarnego dymu.

Korzystając z pogody pasażerowie powysypywali się na pokład. Na tyle okrętu widać było czarne paltoty i kapelusze podróżnych z pierwszej klasy; na przodzie pstrzyła się różnobarwna gawiedź emigrantów jadących pod pokładem. Niektórzy z nich siedzieli na ławkach paląc krótkie fajki, inni pokładli się, inni poopierani o burty spoglądali na dół w wodę.

Było i kilka kobiet z dziećmi na ręku i blaszanymi naczyniami, pouwiązywanyymi do pasa; kilku młodych ludzi przechadzało się wzdłuż od dzioba aż do pomostu, chwytając z trudnością równowagę i zataczając się co chwila. Ci śpiewali: “*Wo ist das deutsche Vaterland!?*” i może myśleli, że tego “*Vaterlandu*” nigdy już nie zobaczą, ale mimo to wesołość nie schodziła im z czoła. Pomiędzy wszystkimi ludźmi dwoje było najsmutniejszych i jakby od reszty odłączonych: stary mężczyzna i młoda dziewczyna. Oboje, nie rozumiejąc po niemiecku, byli prawdziwie samotni i wśród obcych. Kto oni byli - każdy z nas na pierwszy rzut oka by to odgadł: chłop polscy.

Chłop nazywał się Wawrzon Toporek, a dziewczyna, Marysia, była jego córką. Jechali do Ameryki i przed chwilą po raz pierwszy ośmielili się wyjść na pokład. Na zbiedzonych chorobą ich twarzach malował się przestach i zdziwienie zarazem. Wylękłymi oczyma spoglądali na towarzyszków podróży, na majtków, na statek, na komin oddychający gwałtownie i na groźne wały wodne, ciskające grzywę piany aż do burt statku. Nie mówili do siebie nic, bo nie śmieli. Wawrzon trzymał się jedną ręką za poręcz, drugą za czapkę rogatą, 108

żeby mu jej wiatr nie zerwał, a Marysia trzymała się tatula i ile razy statek pochylił się mocniej, tyle razy przytulała się do niego silniej, wykrzykując po cichu ze strachu. Po niejakiem czasie stary przerwał milczenie:

- Maryś!

- A co?

- Widzisz?

- Widzę.

- A dziwujesz się?

- Dziwuję się.

Ale więcej się jeszcze bała, niż dziwiła; stary Toporek to samo. Szczęściem dla nich fala zmniejszała

się, wiatr ustawał, a przez chmury przedarło się słońce. Gdy ujrzeli —słonko kochane!, lżej im się zrobiło na sercu, bo sobie pomyśleli, że —ono takuteńkie jak w Lipińcach!. Jakoż wszystko było dla nich nowym i nieznanym, tylko ten krąg słoneczny, jarzący a promienny, wydał im się jakby dawnym przyjacielem i opiekunem.

Tymczasem morze wygładzało się coraz więcej; po jakimś czasie żagle opadły, z wysokiego pomostu rozległa się świstawka kapitana i majtkowie rzucili się je upinać. Widok tych ludzi zawieszonych jakby w powietrzu nad otchłanią przejął znów zdumieniem Toporka i Marysię.

- Nasze chłopaki nie potrafiliby tak - rzekł stary.

- Kiej Niemcy wleźli, to i Jaśko by wleź - odparła Marysia.

- Który Jaśko?... Sobków?

- Gdzieta Sobków. Powiadam Smolak, koniucha.

- On je chwacki, ale ty go sobie z głowy wybij. Ni jemu do ciebie, ni tobie do niego. Ty jedziesz panią być, a on, jak był koniuchą, tak się i zostanie.

- On też kolonię ma...

- Ma, to w Lipińcach.

Marysia nie odrzekła nic, pomyślała sobie tylko, że co komu przeznaczone, to go nie minie, i westchnęła tęsknie, a tymczasem żagle były już upięte, natomiast śruba zaczęła tak silnie burzyć wodę, że aż cały statek drżał od jej ruchów. Ale kołysanie ustało prawie zupełnie. W

oddali woda wydawała się już nawet gładką i błękitną. Coraz nowe postacie wydobywały się spod pokładu: robotnicy, chłopci niemieccy, próżniacy uliczni z różnych miast nadmorskich, którzy jechali do Ameryki szukać szczęścia, nie pracy; tłok zapanował na pomoście, więc Wawrzon z Marysią, by nie leżeć nikomu w oczy, usiedli na zwoju lin w samym kątku wedle dzioba.

- Tatulu, długo jeszcze pojedzie bez wodę? - pytała Marysia.

- Czy ja wiem. Kogo się spytasz, nikt ci nie odpowie po katolicku.

- A jakże my będziemy w Ameryce się rozmawiać?

- Albo to nie mówili, że tam naszego narodu chmara jest?

- Tatulu !

- Czego?

- Dziwować się, to się i dziwować, ale zawdyk w Lipińcach było lepiej.

- Nie bluźniłabyś po próżnicy.

Po chwili jednak Wawrzon dodał, jakby mówiąc sam do siebie:

- Wola Boża!...

Dziewczynie oczy nabrały łzami, a potem oboje zaczęli rozmyślać o Lipińcach. Wawrzon Toporek rozmyślał, dlaczego jechał do Ameryki, i jak się to stało, że jechał. Jak się stało? Oto przed pół rokiem w lato zajęli mu krowę z koniczyny. Gospodarz, który ją zajął, chciał trzy marki za szkodę. Wawrzon nie chciał dać. Poszli do sądu. Sprawa przewlokła się do wyroku.

Poszkodowany gospodarz żądał już nie tylko za krowę, ale i za kosztą jej utrzymania, a kosztą rosły z każdym dniem. Wawrzon się upierał, bo żal mu było pieniędzy. Na sam proces wydał

109

już niemało, wlokło się i wlokło. Koszta ciągle rosły. Na koniec przegrał Wawrzon sprawę.

Za krowę już się Bóg wie co należało; że zaś nie miał czym zapłacić, zajęli mu konia, a jego za opór skazali do aresztu. Toporek wił się już wąż, bo żniwa właśnie nadeszły, więc i ręce, i sprzężaj potrzebne były do roboty. Opóźnił się ze zwózką, potem też zaczęły padać deszcze; zboże porosło mu w snopach, więc pomyślał, że przez jedną szkodę w koniczynie cała jego chudoba pójdzie na marne, że stracił tyle pieniędzy, część inwentarza, całoroczny plon i że na przednówku chyba ziemię będą gryźli oboje z dziewczyną albo pójdą po proszonym chlebie.

Że zaś przedtem chłop był dostatni i dobrze mu się wiodło, zdjęła go tedy rozpacz straszna i począł pić. W karczmie poznał się z Niemcem, co się po wsiach niby o len zamawiał, a w rzeczy samej ludzi za morze wywodził. Niemiec powiadał mu cuda i dziwy o Ameryce. Ziemi obiecywał darmo tyle, ile w całych Lipińcach nie było - i z borem, i z łąkami, a chłopu aż się oczy śmiały. Wierzył i nie wierzył, ale Niemcowi Żyd pachciarz wtórował i mówił, że tam rząd daje ziemi każdemu, —ile by kto strzymał. Żyd to wiedział od swojego synowca. Sam Niemiec pokazywał pieniądze, jakich nie tylko chłopskie, ale i dziedzicowe oczy jako żywo nie widziały. Chłopa kusili, aż go skusili. A jemu tu po co zostawać? Toż za jedną szkodę stracił tyle, że parobka mógłby za to utrzymać. Mali się na zatracenie podawać? Mali wziąć w rękę kij z jeżem i śpiewać pod kościołem —Święta niebieska, Panno anielska! - Nic z tego nie będzie, pomyślał. Niemca dłonią w dłoń uderzył, do świętego Michała się wyprzedał, córkę wziął i oto płynął teraz do Ameryki.

Ale podróż nie znaczyła mu się tak dobrze, jak się spodziewał. W Hamburgu obdarli ich bardzo z pieniędzy; na statku jechali we wspólnej sali pod pokładem. Kołysanie się statku i nieskończoność morska przerażały ich. Nikt go nie mógł zrozumieć ani on nikogo. Rzucano nimi obojgiem jak rzeczą jaką; popychano go jak kamień przy drodze; Niemcy towarzysze drwili z niego i z Marysi. W porze obiadowej, gdy wszyscy cisnęli się z naczyńiami do kucharza rozdającego strawę, ich odpychano na sam koniec, tak że i głodem przyszło nieraz przymrzeć. Było mu na tym statku źle, samotno, obco. Oprócz opieki Bożej nie czuł nad sobą innej. Miną przy dziewczynie nadrabiał, czapkę na bakier przekrzywił, kazał się dziwić Marysi i sam się dziwił wszystkiemu, ale nie ufał niczemu. Chwilami ogarniała go obawa, że może te —poganyll, jak nazywał towarzyszków, w wodę ich oboje wrzuca,

może mu każą wiarę zmienić albo papier jaki podpisać, ba, choćby i cyrograf!

Sam ten statek, który szedł naprzód dzień i noc po bezmiarach morskich, który trząsał się, huczał, pienił wodę, oddychał jak smok, a nocą ciągnął za sobą warkocz iskier ognistych, wydawał mu się jakąś siłą podejrzaną i wielce nieczystą. Dziecinne obawy, choć się do nich nie przyznawał, ścisnęły mu serce; bo też ten polski chłop, oderwany od ojczyznanego gniazda, był naprawdę dzieckiem bezradnym i naprawdę był na woli Bożej. Przy tym wszystko to, co widział, co go otaczało, nie mogło mu się w głowie pomieścić; więc nic dziwnego, że gdy siedział teraz oto na zwoju lin, głowa ta chyliła się pod brzemieniem ciężkiej niepewności i frasunku. Powiew morski grał mu w uszach i powtarzał jakby słowo —Lipińce! Lipińce!!, czasem też poświstywał jakby lipinieckie fujarki; słońce mówiło: —Jak się masz, Wawrzonie?

Byłom w Lipińcach!!, ale śruba burzyła wodę coraz gwałtowniej i komin oddychał coraz szybciej, głośniejszy, niby dwa złe duchy, które ciągnęły go dalej i dalej od Lipiniec.

Tymczasem za Marysią płynęły inne myśli i wspomnienia, a płynęły jako on spieniony gościniec lub jak mewy za okrętem. Wspominała oto, jako jesienią, późnym wieczorem, niedługo przed wyjazdem, poszła do studni, do żurawianej, w Lipińcach wodę brać. Pierwsze gwiazdy zamigotały już na niebie, a ona ciągnęła żurawia śpiewając: —Jasio konie poił - Kasia wodę brała!! - i czegoś jej było tak tęskno, jakby jaskółce jakiej, co przed odlotem świergocze żałośnie... Potem spod boru, spod ciemnego ozwała się przeciągle ligawka... A to Jaśko Smolak, koniucha, dawał znać, że widzi, jako się żuraw chyli i że zaraz nadejdzie z

—potrawów!! . Jakoż zadudniało, nadszedł, zeskoczył ze żrebca, potrząsnął konopną czupryną, 110

a co jej mówił, to wspominała jakby granie jakie. Przymknęła oczy i zdawało się jej, że Smolak znowu szepce do niej drgającym głosem:

- Kiej się twój tatulo uparli, to i ja zadatek dworski oddam, chałupinę sprzedam, kolonię sprzedam i pojedę. Maryś moja - mówił - gdzie ty będziesz, tam i ja żurawiem w powietrzu polecę, kaczorem wodą popłynę, złotym pierścieniem się po gościńcu potoczę, a znajdę cię, jedyna! Albo dola jakowa bez ciebie? Gdzie ty się obrócisz, tam i ja się obrócę; co się z tobą stanie, to stanie się i ze mną; jedno nam życie i jedna śmierć, a jakom ci tu nad tą wodą studzienną ślubował, tak mnie niech Bóg opuści, jeśli cię opuszczę. Maryś moja jedyna!

Wspominając te słowa Marysia widziała i oną studnię, i miesiąc wielki, czerwony nad borem, i Jaśka jakby żywego. Miała też w tym rozmyślaniu ulgę i pociechę wielką. Jasio chłop był

zawzięty, więc wierzyła, że co rzekł, to i spełni. Ot, chciałyby tylko, żeby teraz był przy niej i słuchał z nią razem morskiego szumu. Z nim by było weselej i raźniej, bo on się nikogo nie bał i radę sobie umiał wszędzie dać. Co on tam robił teraz w Lipińcach, kiedy już pierwsze śniegi spaść musiały? Czy do boru z siekierą pojechał, czy konie obrządzał, czy może go ze dworu z saniami gdzie posłali, czy przeręble na stawie rąbał? Gdzie on jest teraz, serdeczny?

Tu dziewczynie ujrzały się Lipińce całkiem takie, jak były: śnieg skrzypiący na drodze, zorza rumiana między czarnymi gałęziami bezlistych drzew, stada wron ciągnące z krakaniem od boru ku

wsi, dymy idące z kominów ku górze, zamarzły żuraw przy studni, a w dali bór, od zorzy czerwony i śniegiem przytrząśnięty.

Hej! gdzie to ona teraz była, gdzie ją tatusiowa wola zawiodła! W dali, jak okiem sięgnąć, jeno woda i woda, zielonawe bruzdy i zapienione zagony, a na onych wodnych polach niezmiernych ten jeden okręt, ptak zabłąkany; niebo na górze, pustynia na dole, szum wielki i niby płkanie fal, i poświst wiatru, a tam, przed dziobem statku chyba dziewiąta ziemia, chyba kraj świata. Jaśku nieboże! czy ty tam trafisz za nią, czy sokołem przez powietrze poleciesz, czy rybą przez wodę popłyniesz, czy ty o niej myślisz w Lipińcach?

Powoli słońce chyliło się ku zachodowi i zapadało w ocean. Na pomarszczonej fali usłał się szeroki słoneczny gościec, udzierzgał w łuską złotą, mienił się, połyskiwał, świecił, płonął i ginął gdzieś na dalekościach. Okręt wpłynawszy na tę wstęgę ognistą zdawał się gonić uciekające słońce. Dym buchający z komina stał się czerwony, żagle i wilgotne liny różowe, majtkowie zaczęli śpiewać, tymczasem promienny krąg stawał się coraz większy i coraz niżej zapadał w toń. Wkrótce połowę już tylko tarczy widać było nad falą, potem tylko promienie, a potem na całym zachodzie rozlała się jedna wielka zorza i już nie wiadomo było w tych blaskach, gdzie się kończy światłość fal, a zaczyna niebo, powietrze i woda, zarówno nasiąkłe światłem, które gasło stopniowo; ocean szumiał jednym wielkim, ale łagodnym szumem; jakby mrucał pacierz wieczorny.

W takich chwilach dusza dostaje skrzydeł w człowieku i co ma pamiętać - pamięta, co ukochał - kocha goręcej, za czym tęskni do tego leci. Wawrzon i Marysia uczuli też oboje, że choć ich tam wiatr niesie jako liście marne, przecie drzewo ich rodzime to nie ta strona, w którą jechali, ale tamta, z której odjechali: polska ziemia, ona zbożna, jednym łanem się kołyszająca, borem zarośnięta, słomianymi strzechami upstrzona, pełna łąk od kaczęca złotych i wodą świecących, pełna bocianów, jaskółek, krzyżów przydrożnych, białych dworów wśród lip; ona, co czapką rogatą pod nogi ima, słowami: —Pochwalony! wita, a —na wieki wieków!

odpowiada; ona wielmożna, ona matka najśłodsza, taka pocziwa, ukochana nad wszystkie inne na świecie. Więc czego ich chłopskie serca przedtem nie czuły, to teraz uczyły.

Wawrzon zdjął czapkę, światło zachodnie padło na siwiejące włosy; myśl jego pracowała, bo biedak nie wiedział, jak ma Marysi to, co mu się zdawało, powiedzieć; nareszcie rzekł:

- Maryś, tak mi się widzi, jakby tam coś zostało za morzem.

- Dola ostała i kochanie ostało - odrzekła cicho dziewczyna wznosząc oczy jakby do pacierza...

Tymczasem ściemniło się. Podróźni zaczęli schodzić z pokładu. Na okręcie panował jednak ruch niezwykły. Po pięknym zachodzie nie zawsze noc bywa spokojna, dlatego świstawki oficerskie rozlegały się ustawicznie, a majtkowie ciągnęli liny. Ostatnie purpurowe blaski zgasły na morzu, a jednocześnie z wody podniosła się mgła; gwiazdy zamigotały na niebie i zniknęły. Mgła gęstniała w oczach, przesłaniając niebo, widnokrąg i sam okręt. Widać było tylko jeszcze komin i wielki maszt środkowy; postacie marynarzy wydawały się z daleka jakby cienie. W godzinę później wszystko

ukryło się w białawym тумanie, nawet latarnia, którą zawieszono na szczycie masztu, nawet iskry, które wydychał komin.

Okręt nie kołysał się wcale. Rzekłby kto, że fala osłabła i rozlała się pod ciężarem mgły.

Noc zapadała prawdziwie ślepa i cicha. Nagle wśród tej ciszy z najdalszych krańców widnokągu ozwały się dziwne szmery. Był to niby ciężki oddech jakiejś olbrzymiej piersi, który się zbliżał. Chwilami zdawało się, że ktoś wołał z ciemności, potem ozwały się całe chorowody głosów, dalekie, a niezmiernie żałosne i jakby skarżące się płaczliwie.

Nawoływania te biegły z ciemni i nieskończoności ku okrętowi.

Majtkowie słysząc takie gwary mówią, że to burza zwołuje z piekieł wiatry.

Jakoż zapowiedzi coraz były wyraźniejsze. Kapitan, odziany w gumowy płaszcz z kapturem, stanął na wyższym pomoście; oficer zajął swe zwykłe miejsce przed oświetlonym kompasem.

Na pokładzie nie było już nikogo z podróżnych. Wawrzon z Marysią zeszedli także do wspólnej sali pod pokładem. Panowała w niej cisza. Światła lamp umocowanych w bardzo niskim sklepieniu oświetlały ponurym światłem wnętrze i gromadki emigrantów, siedzące wedle łóżek przy ścianach. Sala była duża, ale pępna, jak zwykle sala czwartej klasy. Pułap jej schodził się prawie z bokami statku, dlatego owe łóżka na krańcach, poprzedzielane przepierzeniami, podobniejsze były do nor ciemnych niż do łóżek, a i cała sala robiła wrażenie jednej ogromnej piwnicy. Powietrze w niej było przesycone zapachem smolnego płótna, lin okrętowych, ropy morskiej i wilgoci. Gdzie tu szukać porównania z pięknymi salonami pierwszej klasy! Przejazd choćby dwutygodniowy w takich salach zatruwa płuca niezdrowym powietrzem, powleka wodnistą bladością skórę na twarzy i często prowadzi za sobą skorbut. Wawrzon z dziewczyną jechali dopiero dni cztery, a jednak gdyby ktoś porównał dawną Marysię lipiniecką, zdrową, rumianą, z dzisiejszą wynędzniałą przez chorobę, ten by jej nie poznał. Stary Wawrzon też zżółkł jak wosk, ile że przez pierwsze dni nie wychodzili wcale oboje na pokład: myśleli, że nie wolno. Albo zresztą wiedzieli, co wolno, a co nie? Nie śmieli się prawie ruszyć, zresztą bali się odejść od rzeczy. Siedzieli i teraz nie tylko oni, ale i wszyscy przy swoich. Takimi węzełkami emigranckimi zarzucona była cała sala, co powiększało jej nieład i smutny widok. Pościel, ubranie, zapasy żywności, rozmaite narzędzia i naczynia blaszane, pomieszane z sobą, rozrzucone były w mniejszych i większych kupkach po całej podłodze. Na nich siedzieli emigranci, prawie sami Niemcy.

Jedni żuli tytuń, inni palili fajki. Kłęby dymu odbijały się o niski pułap i układając się w długie pasma przesłaniały światło lamp. Kilkoro dzieci płakało po kątach, ale zwyczajny gwar ustał, bo mgła przejęła wszystkich jakimś smutkiem, obawą i niepokojem. Doświadczęsi z emigrantów wiedzieli, że wróży burzę. Nikomu zresztą nie było już tajno, że niebezpieczeństwo, a może śmierć się zbliża. Wawrzon i Marysia nie mogli się w niczym zmiarkować, chociaż gdy kto drzwi na chwilę odemknął, słyhać było wyraźnie owe dalekie, złowrózbnne głosy, idące z nieskończoności.

Siedzieli oboje w głębi sali, w najwęższym jej miejscu. Zatem niedaleko dzioba. Kołysanie było tam bardzo dokuczliwe, więc tam wepchnęli ich towarzysze podróży. Stary posilał się chlebem jeszcze lipinieckim, a dziewczyna, której przykrzyło się nic nie robić, zaplatała sobie na noc włosy.

Powoli jednak milczenie ogólne, przerywane tylko płaczem dzieci zaczęło ją dziwić.

- Czemu to Niemcy tak dziś cicho siedzą? - spytała.

- Czy ja wiem! - odpowiedział jak zwykle Wawrzon - musi to u nich święto jakie albo co...

112

Nagle statek wstrząsnął się silnie, zupełnie jakby się wzdrygnął przed czymś strasznym.

Naczynia blaszane leżące koło siebie zadźwięczały posępnie, płomienie w lampach podskoczyły i błysnęły mocniej, kilka wystraszonych głosów poczęło pytać:

- Co to jest? Co to jest?

Ale nie było odpowiedzi. Drugie wstrząśnienie, silniejsze od pierwszego, szarpnęło statkiem; dziób jego podniósł się nagle i równie nagle zniżył, a jednocześnie fala głucho uderzyła w okrągłe okienka jednego boku.

- Burza idzie! - szepnęła przestraszonym głosem Marysia.

Tymczasem zaszumiało coś koło statku, jak bór, którym wichur nagle pożenie, zawyło, jakby stado wilków ryknęło. Wiatr uderzył raz i drugi, położył statek bokiem, a później okręcił nim naokoło, porwał go w górę i cisnął nim w otchłanie. Wiązania poczęły skrzypieć, blaszane naczynia, węzłki z rzeczami, tłumoki i narzędzia latały po podłodze, przewalane z kąta w kąt. Kilku ludzi padło na ziemię; pierze z poduszek jęło latać po powietrzu, a szkła w lampach zadźwięczały smutnie.

Rozległ się szum, łoskot, chlupotanie wody przelewającej się przez pokład, targanina statku, krzyk kobiet i płacz dzieci, gonitwa za rzeczami, a wśród tego zamieszania i chaosu słychać było tylko przeraźliwy świst piszczałek i od czasu do czasu głucho tupotanie majtków biegających po górnym pokładzie.

- Panienko Częstochowska! - szeptała Marysia.

Dziób okrętu, w którym oboje byli umieszczeni, wzlatywał w górę, a potem spadał jak szalony. Mimo iż trzymali się krawędzi tapczanów, rzucało nimi tak, że chwilami uderzali o ściany. Ryk fal powiększał się, a skrzypienie pułapu stało się tak przeraźliwe, iż zdawało się, że lada chwila belki i deski pękną z trzaskiem.

- Trzymaj się, Maryś! - krzyczał Wawrzon, aby przekrzyczeć huk burzy, ale wkrótce trwoga ścisnęła za gardło i jego, i innych. Dzieci przestały płakać, kobiety krzyczeć; wszystkie piersi oddychały tylko pośpiesznie, a ręce z wysileniem trzymały się różnych nieruchomych przedmiotów.

Wściekłość burzy rosła ciągle. Rozpętały się żywioły, mgła pomieszała się z ciemnością, chmury z wodą, wichur z pianą; fale biły o statek jak z armat i rzucały nim na prawo, w lewo i od chmur aż do dna morskiego. Chwilami spienione grzywy bałwanów przechodziły całą jego długość; olbrzymie masy wody wrzały jednym straszliwym zamętem.

Olejne lampy zaczęły w sali gasnąć. Robiło się coraz ciemniej, więc Wawrzynowi i Marysi zdawało się, że to już przychodzi ciemność śmierci.

- Maryś! - począł chłop przerywanym głosem, bo mu oddechu brakło - Maryś, odpuść mi, zem cię na zgubę podał. Już nasza ostatnia godzina nadeszła. Nie będziwa my grzesznymi oczyma świata oglądali. Ni nam spowiedź, ni nam pomazanie, ni nam w ziemi leżeć, ino z wody na straszny sąd iść, niebogo.

A gdy tak mówił, Marysia zrozumiała, że nie ma już ratunku. Myśli różne przelatywały jej przez głowę, a w duszy krzyczało coś:

- Jaśku, Jaśku serdeczny, czy ty mnie słyszysz w Lipińcach?!

I żal okrutny ścisnął jej serce tak, że zaczęła szlochać głośno. Szlochania rozlegały się w tej sali, gdzie wszyscy ludzie milczeli jakby na pogrzebie jakim. Jeden głos krzyknął z kąta:

—Still!!, ale umilkł, jakby przestraszony własnym dźwiękiem. Tymczasem szkło lampy znowu upadło na ziemię, a płomień zgasł. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Ludzie zbijali się w jeden kąt, by być bliżej siebie. Trwoga milczenia panowała wszędzie, gdy nagle wśród ciszy rozległ się głos Wawrzona:

- Kirie elejzon.

- Chryste elejzon - odpowiedziała łkając Marysia.

- Chryste, wysłuchaj nas!

113

- Ojcze z nieba, Boże, zmiłuj się nad nami! - Mówili oboje litanie. W ciemnej sali głos starego i przerywane łkaniem odpowiedzi dziewczyny brzmiały z dziwną uroczystością.

Niektórzy z emigrantów podkrywali głowy. Powoli płacz dziewczyny ustał, głosy stały się spokojniejsze, czystsze. Z zewnątrz do wtóru im wyła burza.

Nagle krzyk się rozległ między stojącymi bliżej wejścia. Bałwan wybił drzwi i runął na salę: woda z szelestem rozpląnęła się po wszystkich kątach; kobiety poczęły wrzeszczeć i chronić się na łóżka. Zdawało się wszystkim, że to już koniec.

Po chwili wszedł oficer służbowy z latarką w rękę, cały mokry i zaczerwieniony. W kilku słowach uspokoił kobiety, że woda dostała się tylko wypadkiem, potem dodał, że ponieważ statek na pełnym morzu, niebezpieczeństwo nie jest wielkie. Jakoż upłynęła godzina, dwie.

Burza srożyła się coraz wścieklej. Statek skrzypiał, zapadał nosem, osadzał pałubą, kładł się na boki, ale nie tonął. Ludzie uspokoiли się po trochu; niektórzy poszli spać. Upłynęło znów kilka godzin; do ciemnej sali przez górne okratowane okno poczęło się wdzierać szare światło. Dzień robił się na oceanie blady, jakby przestraszony, smutny, ciemny; ale przynosił

jakąś otuchę i nadzieję. Odmówiwszy wszystkie modlitwy, jakie umieli na pamięć, Wawrzon i Marysia wczłonęli się na swoje tapczany i usnęli głęboko.

Przebudził ich dopiero głos dzwonka wzywający na śniadanie. Ale nie mogli jeść. Głowy ciążyły im jakby ołowiem; stary jednak czuł się jeszcze gorzej od dziewczyny. W jego skostniałej głowie nie mogło się teraz nic pomieścić. Niemiec, który do Ameryki namawiał, mówił mu wprawdzie, że trzeba jechać przez wodę, ale on nigdy nie myślał, żeby przez tak wielką, że przez tyle dni i nocy. Myślał, że promem przejedzie, jako już nieraz w życiu przejeżdżał. Gdyby był wiedział, że morze tak ogromne, byłby został w Lipińcach. Prócz tego jeszcze jedna myśl kołatała się w nim niespokojnie: oto czy duszy swojej i dziewczyninej na zatracenie nie podawał, czy to nie grzech dla katolika z Lipiniec kusić Pana Boga i puszczać się na takie odmęty, przez które trzeba było już piąty dzień jechać do drugiego brzegu, jeśli w ogóle istniał jaki brzeg z drugiej strony? Wątpliwości jego i strach miały jeszcze rosnąć przez dni siedem; sama burza szalała jeszcze przez czterdzieści osiem godzin, potem jakoś się przetarło. Ośmielili się znów wyjść z Marysią na pokład, ale gdy ujrzeli zwały wody rozkołysanej jeszcze, czarnej i jakby rozzłoszczonej, owe góry mokre ciągnące na statek i bezdenne ruchome doliny, znowu pomyśleli, że ich chyba ręka Boża albo inna jaka siła, a nie moc ludzka, z tych przepaści wyratuje.

Wypogodziło się wreszcie zupełnie. Ale upływał dzień za dniem, a przed statkiem ciągle widać było tylko toń i toń bez końca, czasem zieloną, czasem błękitną, zlewającą się z niebem. Po onym niebie przelatowały chwilami wysoko małe jasne chmury, które poczerwieniawszy wieczorem kładły się spać na dalekim zachodzie. Okręt gonił za nimi wodą. Wawrzon naprawdę pomyślał, że chyba morze nie kończy się wcale, ale zebrał odwagę i postanowił się pytać.

Razu jednego zdjął rogatą czapkę i podjąwszy nią pokornie pod nogi przechodzącego majtka rzekł:

- Wielmożny panie, a prędko dobijewa do przewozu?

O dziwo! Majtek nie parsknął śmiechem, ale stanął i słuchał. Na posiekanej wiatrem i czerwonej twarzy jego znać było pracę pamięci jakichś wspomnień, które nie mogły od razu w świadomą myśl się ułożyć... Po chwili spytał:

- Was?

- Prędko dobijewa do lądu, wielmożny panie?

- Dwa dni! dwa dni! - powtarzał z trudnością marynarz, pokazując jednocześnie dwa palce.

- Dziękuję pokornie.

- Skąd wy?

- Z Lipiniec.

- *Was ist das Lipiniec?*

Maryś, która nadeszła w czasie rozmowy, zarumieniła się okrutnie, ale podniósłszy nieśmiało na majtka oczy, rzekła ciekawym głosem, jako mówią dziewczki wiejskie:

- My spod Poznania, proszę pana...

Majtek począł spoglądać w zamyśleniu na mosiężny gwóźdź łączący burty; potem spojrzął na dziewczynę, na jej jasną jak len głowę i coś, niby rozrzewnienie, wybiło się na jego popękana twarz.

Po chwili rzekł poważnie:

- Ja byłem w Gdańsku... rozumiem po polsku... Ja Kaszuba... wasz *Bruder*, ale to dawno!...

Jetzt ich bin Deutsch...

To rzekłszy, podniósł koniec linki, którą poprzednio trzymał w ręku, odwrócił się i wykrzyknawszy po marynarsku —ho! ho! o!!, począł ją ciągnąć...

Odtąd, ilekroć Wawrzon z Marysią byli na pokładzie, ujrząwszy ich uśmiechał się do Marysi przyjaźnie. Oni też radowali się bardzo, bo przecież mieli jakąś żywą duszę przychylną na tym niemieckim okręcie. Zresztą droga nie miała już trwać długo. Drugiego dnia rankiem, gdy wyszli na pokład, dziwny widok uderzył ich oczy. Oto ujrzeli z dala coś kołyszącego się na morzu, a gdy statek zbliżył się do tego przedmiotu, rozpoznali, że to była wielka czerwona beczka, którą fale poruszały łagodnie: w dali czerniała druga taka, trzecia i czwarta. Powietrze i woda były trochę zamglone, ale niezbyt, przy tym srebrne i łagodne, toń gładka, nie szumiąca, ale jak okiem sięgnął, coraz więcej beczek kołysało się na wodzie. Ptactwa też białego z czarnymi skrzydłami chmary całe leciały za statkiem z piskiem i krzykiem. Na pokładzie panował ruch niezwykły. Majtkowie przywdziali nowe kaftany; jedni myli pokład, inni czyścili mosiężne spojenia burt i okien, na maszcie wywieszono jedną chorągiew, a na tyle statku drugą, większą.

Ożywienie i radość ogarnęły wszystkich podróżnych. Co tylko żyło, wybiegło na pokład; niektórzy przynosili na wierzch tłumoki i poczęli na nich pasy przyciągać.

Widząc to wszystko Marysia rzekła:

- Pewnikiem dobiejewa do lądu.

Duch lepszy wstąpił w nią i w Wawrzona. Aż tu na zachodzie pokazała się naprzód wyspa Sandy-Hok i druga z wielkim gmachem, stojącym w pośrodku, a w dali niby zgęstniała mgła, niby chmura, niby dymy jakieś pasmami po morzu rozwleczone, niewyraźne, dalekie, zmacone, bezkształtne... Na ich widok powstał gwar wielki; wszyscy wskazywali je rękoma, statek też zaświstał przeraźliwie, jakby z radości.

- Co to jest? - spytał Wawrzon.

- Nowy Jork - odrzekł stojący obok Kaszuba.

Wtem owe dymy poczęły jakby rozstępować się i ginać, a na ich tle, w miarę jak okręt pruł

srebrną wodę, występowały zarysy domów, dachów, kominów; śpiczaste wieże rysowały się coraz wyraźniej na błękitnie, obok wież wysokie kominy fabryczne, nad kominami słupy dymów, rozwiane w puszyste kiście na górze. Na dole przed miastem las masztów, a na ich szczytach tysiące pstrych chorągiewek, którymi powiew morski migotał jakby kwiatami na łące. Okręt zbliżał się i zbliżał, śliczne miasto wynurzyło się jakby spod wody. Wielka radość i zdumienie ogarnęły wówczas Wawrzona; czapkę zdjął, usta otworzył i patrzył, patrzył, a potem do dziewczyny:

- Maryś!

- O dlaboga!

- Widzisz?

- Widzę.

- A dziwujesz się?

- Dziwuję się.

Wawrzon jednak nie tylko już podziwiał, ale łaknął. Widząc zielone brzegi po obydwóch stronach miasta i ciemne smugi parków, mówił dalej:

115

- A no! Chwalić Boga! Żeby jeno dali ziemię zara kiele miasta z tą ono łączką, bliżej by było na targ. Przyjdzie jarmark: krowę pognasz, świnie pognasz, to i sprzedasz. Narodu tu widać jak maku. Ja że w Polsce chłop, a tu będę pan...

W tej chwili przepyszny —National-Parkll rozwinął się przed jego oczyma w całej swej długości. Wawrzon, ujrzawszy owe grupy i bukiety drzew, rzekł znowu:

- Pokłonię się wielmożnemu komisarzowi od rządu nisko, przymówię się z ręcznie, żeby mi choć ze dwie włóki tego boru podarował, a na reszcie zbiórkę. Kiej dziedzictwo to dziedzictwo. Parobka się z drzewem rano do miasta pośle. Chwała Najwyższemu, bo widzę, że mnie Niemiec nie zdurzył...

Marysi też jakoś się państwo uśmiechało i sama nie wiedziała, czemu do głowy przyszła jej piosenka, jaką w Lipińcach panny młode na weselach panom młodym śpiewały: Cóżeś to za pan?

Cóżeś to za pan?

Cała twoja sukienca

Czapka i żupan.

Czy może już miała zamiar zaśpiewać coś podobnego biednemu Jaśkowi, gdy za nią przyjedzie, a ona będzie już dziedziczką? Tymczasem od kwarantanny przyleciał do okrętu mały statek. Czterech czy pięciu ludzi weszło na pokład. Zaczęły się rozmowy i nawoływania. Wkrótce drugi statek nadpłynął z

samego już miasta przywożąc agentów z hotelów i boarding-housów, przewodników, ludzi wymieniających pieniądze, agentów kolejowych: wszystko to krzyczało wniebogłosy, popychało, kręciło się po całym pokładzie.

Wawrzon i Marysia wpadli jakby we młyn jaki i nie wiedzieli, co począć.

Kaszuba poradził staremu, by zmienić pieniądze, i obiecał, że nie da go oszukać, więc też Wawrzon to uczynił. Za to, co miał, dostał czterdzieści siedem dolarów srebrem. Nim wszystko to się odbyło, okręt zbliżył się tak do miasta, że już widać było nie tylko domy, ale i ludzi stojących na bulwarku, potem mijał co chwila różne statki większe i mniejsze, na koniec dotarł do warfów i zsunął się w wąski dok portowy.

Podróż była skończona.

Ludzie zaczęli wysypywać się ze statku jak pszczoły z ula. Przez wąski mostek położony od burt do brzegu płynęła ich ciżba różnobarwna: pierwsza klasa, potem druga, a podpokładowi, obładowani rzeczami, na ostatku. Gdy Wawrzon i Marysia, popychani przez tłum, zbliżyli się do otwartej burty, znaleźli przy niej i Kaszubę. Uścisnął silnie rękę Wawrzona i rzekł:

- *Bruder, zyczę glücker!* tobie dziewczko! Bóg wam dopomóż.

- Panie Boże zapłać! - odrzekli oboje, ale nie było czasu na dłuższe pożegnanie. Ciżba popchnęła ich po pochyłym mostku i za chwilę znaleźli się w obszernym celniczym budynku.

Celnik, ubrany w szary surdut ze srebrną gwiazdą, poszczypał ich pakunki, potem krzyknął:

— *All right!*, i ukazał na wyjście. Wyszli i znaleźli się na ulicy.

- Tatulu! a co będzie robić? - spytała Marysia.

- Musiwa czekać. Niemiec powiedział, że zara tu nadejdzie od rządu komisarz i będzie się o nas pytał.

Stanęli więc pod ścianą czekając na komisarza, a tymczasem otoczył ich gwar nieznanego, ogromnego miasta. Nie widzieli nigdy nic podobnego. Ulice biegły proste, szerokie, a po ulicach tłumy ludu jakby w czasie jarmarku; środkiem karety, omnibusy, wozy ładowne.

Naokół brzmiała dziwna, nieznaną mowa, rozlegały się krzyki robotników i przekupniów. Co chwila przesuwali się ludzie zupełnie czarni o wielkich kędzierzawych głowach. Na ich widok Wawrzon z Marysią zegnali się pobożnie. Dziwne jakieś wydawało się im to miasto, takie gwarne, hałaśliwe, pełne świstu lokomotyw, hurkotu wozów i nawoływań ludzkich.

Wszyscy tam biegli tak prędko, jakby gonili kogoś lub przed kimś uciekali, a jakie przy tym mrowie narodu, jakie dziwne twarze; to czarne, to oliwkowe, to czerwone. Właśnie tam, gdzie stali, koło portu panował ruch największy; z jednych okrętów zdejmowano paki i na 116

drugie je wkładano, wozy zajeżdżały co chwila, taczki dudniły po mostkach, rwetes i rozgardiasz

panował jak w tartaku.

Upłynęła w ten sposób jedna godzina i druga; oni stojąc pod ścianą czekali na komisarza.

Dziwny widok przedstawiał na amerykańskim brzegu w Nowym Jorku ten chłop polski o długich, siwiejących włosach, w rogatej czapce z barankiem i ta dziewczyna z Lipiniec, ubrana w granatową przyjaciółkę, z paciorkami na szyi.

Ludzie jednak przechodzili koło nich nawet nie spojrzawszy. Tam nie dziwią się żadnym twarzom ani żadnym ubiorom.

Upłynęła znowu godzina. Niebo powlokło się chmurami, zaczął padać deszcz pomieszany ze śniegiem, od wody zaciągnął zimny, wilgotny wiatr...

Oni stali czekając na komisarza.

Chłopska natura była cierpliwa, ale coś im zaczęło się robić ciężko na duszy.

Samotnie im było na okręcie, wśród obcych ludzi i pustoszy wodnej źle i straszno. Modlili się do Boga, by ich przeprowadził jako zbłąkane dzieci przez morskie odmęty. Myśleli, że tylko nogą na ziemi stanąć, a skończy się ich niedola. Teraz oto przyjechali, byli wśród wielkiego miasta, ale w tym mieście wśród gwaru ludzkiego poczuli nagle, że im jeszcze samotniej i straszniej, niż było na okręcie.

Komisarz nie nadchodził. Co poczną, jeśli wcale nie nadejdzie, jeśli Niemiec ich zwiódł?

Zadygotały trwogą na tę myśl biedne chłopskie serca. Co poczną? Po prostu - zginą.

Tymczasem wiatr przejmował im odzież, deszcz ich moczył.

- Maryś, czy ci nie zimno? - spytał Wawrzon.

- Zimno, tatulu - odpowiedziała dziewczyna.

Jeszcze jedną godzinę wybiły zegary miejskie. Mroczyło się na świecie. Ruch w porcie ustawał, na ulicach zapalono latarnie: jedno morze rzęsistych świateł zapłonęło w całym mieście. Robotnicy z portu, śpiewając ochrypłymi głosy: *Yankee Doodle*, ciągnęli w mniejszych i większych gromadach do miasta. Powoli bulwark opustoszał zupełnie. Budynek celniczy zamknięto.

Oni stali czekając na komisarza.

Wreszcie zapadła noc i w porcie zrobiła się cisza. Od czasu do czasu tylko ciemne kominy statków rzucały z sykiem snopy iskier, które gasły w ciemnościach, lub zabełkotała fala uderzając o bulwark kamienny. Czasem rozległa się piosnka pijanego majtka, wracającego na okręt, światła lamp błądły we mgle. Oni czekali.

Choćby i nie chcieli czekać, dokąd mieli pójść, co począc, gdzie się obrócić, gdzie przytulić

umęczone głowy? Zimno przejmowało ich coraz dotkliwiej, począł dokuczać im głód. Gdyby choć dach im nad głowę, bo przemokli do koszuli. Ach! komisarz nie przyszedł i nie przyjdzie, bo takich komisarzy wcale nie ma. Niemiec był agentem kompanii przewozowej, brał procent od sztuki i o niczym więcej nie wiedział.

Wawrzon uczył, że nogi chwieją się pod nim, że jakiś olbrzymi ciężar wtlacza go w ziemię, że chyba gniew Boży zawisnął nad nim.

Cierpiał i czekał, jak tylko chłop potrafi. Głos dziewczyny dygocącej od zimna obudził go jakby z odurzenia...

- Tatulu!

- Cichoj! Nie ma miłosierdzia nad nami!

- Wróćwa do Lipiniec...

- Idź się utop...

- Boże, Boże! - szeptała cicho Marysia.

Wawrzona zdjął żal.

- Sieroto, niebogo!... niechby Bóg zlitował się choć nad tobą...

117

Ale już go nie słyszała. Oparłszy głowę o ścianę przymknęła powieki. Przychodził sen, przerywany, ciężki, gorączkowy, a we śnie jakby obrazek w ramach: Lipiniec i coś niby piosenka Jaśka koniuchy:

Cóżeś za pani?

Cóżeś za pani?

Cała twoja sukienicyja

Wianek ruciany.

Pierwsze blaski dzienne w porcie nowojorskim padły na wodę, na maszty i na budynek celniczy.

W szarym tym świetle odróżnić było można dwie postacie śpiące pod ścianą, o wybladłych, zsiniałych twarzach, przytrząśnięte śniegiem, nieruchome, jakoby martwe. Ale w księdze ich niedoli pierwsze dopiero kartki zostały odwrócone, dalsze opowiemy następnie.

II. W NOWYM JORKU

Schodząc w Nowym Jorku z szerokiej ulicy Broadway ku portowi w kierunku Chattam-square i

przeszedłszy kilkanaście ulic przyległych, podróżnik trafia na część miasta coraz biedniejszą, bardziej opuszczoną i posępną. Uliczki stają się coraz węższe. Domy, budowane może jeszcze przez osadników holenderskich, porysowały się i pokrzywiły z biegiem czasu: dachy na nich zakłęśły, tynk poodpadał z murów, same zaś mury zapadły w ziemię tak, że okna suterren zaledwie górnym brzegiem wystają ponad bruk uliczny. Dziwne krzywizny zastępują tu miejsce ulubionych w Ameryce linii prostych; dachy i ściany, nie wyciągnięte pod sznur, kupią się i piętrzą jedne nad drugie rozczochraną dachówką.

Z powodu nadbrzeżnego położenia tej części miasta kałuże w wybojach ulicznych nie wysychają tu prawie nigdy, a małe, szczelnie obudowane place podobne są do sadzawek napełnionych gęstą, czarną i stojącą wodą. Okna odrapanych domów ponuro przeglądają się w tej wodzie, której plugawa powierzchnia pstrzy się strzępami papieru, tektury, kawałkami szkła, drzewa i blachy od pak okrętowych; podobnymi strzępami zarzucone są całe ulice, a raczej cała pokrywająca je warstwa błota. Wszędzie widać tu brudy, nieład i nędzę ludzką.

W tej to dzielnicy znajdują się — *boardinghouses* czyli zajazdy, w których za dwa dolary tygodniowo można dostać nocleg i całkowite utrzymanie; tu także szynkowanie, czyli — *bar-rooms*, w których wielorybnicy werbują wszelkiego rodzaju drapichrustów na swe statki; pokątne agencje wenezuelskie, ekwadorskie i brazylijskie, celem namawiania do kolonizacji równika i dostarczania febrze przyzwoitej liczby ofiar; garkuchnie żywiące swych gości mięsem solonym, zgniłymi ostrygami i rybami, które zapewne sama woda wyrzuca na piasek; tajne domy gry w kości, pralnie chińskie, rozmaite przytułki dla marynarzy; tu na koniec jaskinie zbrodni, nędzy, głodu, łez.

A jednak część ta miasta ruchliwa, cała bowiem emigracja, która nie znajduje chwilowego nawet pomieszczenia w koszarach Castle-Garden, a nie chce lub nie może pójść do tak zwanych, — *workinghouses*, czyli domów wyrobniczych, skupia się tu, mieszka, żyje i umiera. Z drugiej strony powiedzieć można, że jeśli emigracja jest szumowinami społeczeństw europejskich, to mieszkańcy owych zaułków są szumowinami emigracji. Ludzie ci próżnują po części dla braku roboty, a po części z zamyślenia. Tu też nocami dość często rozlegają się rewolwerowe strzały, wołania o pomoc, ochryple krzyki wściekłości, pijackie śpiewy irlandzkie lub wycia bijących się z sobą na głowy Murzynów. Dniem co chwila całe kółka włóczęgów w obdartych kapeluszach, z fajkami w zębach przypatrują się pięściowym walkom, zakładając się przy tym od centa aż do pięciu za każde wybite oko. Dzieci białe i małe Murzynki o kręconych czuprynach zamiast spędzać czas w szkole włóczą się po ulicach, klekocąc kawałkami żeber wołowych lub szukając w błocie resztek warzywa, pomarańcz i 118

bananów; wychudłe kobiety irlandzkie wyciągają ręce do lepiej ubranego przechodnia, jeśli się tam zabłąka.

W takiej gehennie ludzkiej odnajdujemy dawnych znajomych naszych: Wawrzona Toporka i córkę jego, Marysię. Dziedzictwo, którego się spodziewali, było snem i jak sen pierzchło, a rzeczywistość przedstawia się nam oto w kształcie ciasnej izby, zakłęśniętej w ziemi, o jednym oknie z powybijanymi szybami. Na ścianach izby czernieje plugawa pleśń i smugi wilgoci; przy ścianie stoi zardzewiała i dziurawy piecyk żelazny i stołek o trzech nogach; w kącie trochę słomy jęczmiennej zastępuje łóżko.

To wszystko. Stary Wawrzon klęcząc przed piecykiem szuka, czy w wygasłym popiele nie schował się gdzie jaki kartofel i do tego szukania wraca co chwila nadaremnie już... drugi dzień; Marysia zaś siedzi na słomie i otoczywszy rękoma kolana patrzy nieruchomie w podłogę. Dziewczyna chora jest i wynędzniała. Ta sama to niby Marysia, ale jej rumiane niegdyś policzki zapadły głęboko, cera stała się blada i chorobliwa, cała twarz jakby drobniejsza niż dawniej, a oczy wielkie i zapatrzone. Znać na jej twarzy wpływ zgniłego powietrza, zgryzot i nędznego pożywienia. Żywili się tylko kartoflami, ale od dwóch dni już i kartofli zabrakło. Wcale teraz nie wiedzą, co robić będą i czym żyć dalej. Trzeci miesiąc upływa, jak mieszkają na bruku i siedzą w tej jamie, więc pieniędzy zabrakło. Stary Wawrzon próbował o robotę pytać, ale nie zrozumiano nawet, czego chce; chodził do portu dźwigać pakunki i ładować węgiel na okręty, ale nie miał taczek, a zresztą Irlandczycy podbili mu zaraz oczy; chciał się z siekierą do budowy doków przyczepić, podbito mu znowu oczy. Przy tym co to za robotnik, który nie pojmuje, co do niego mówią! Gdzie wetknął ręce, do czego chciał się wziąć, dokąd się udał, wyśmiewano go, odpychano, potrącano, bito; więc nic nie znalazł, znikąd grosza nie mógł zarobić ani wyprosić. Włosy zbieleły mu ze zgryzoty, wyczerpała się nadzieja, skończyły się pieniądze, a zaczął się głód.

W kraju, między swoimi, gdyby i stracił wszystko, gdyby znękała go choroba, gdyby dzieci wyгнаły go z chałupy, to... kosztur by mu tylko wziąć do ręki, stanąć pod krzyżem na rozdrożu albo przy drzwiach jakiego kościoła i śpiewać: —Boże łaskawy, przyjmij płacz krwawy! Pan by przejechał, dałby dziesiątkę; pani z powozu dziecko by wysłała z pieniądzem w różanej rączce i z wielkimi wpatrzonymi w dziada oczyma; chłop by pół

bochenka chleba dał, baba szperkę i można by żyć, choćby jak ptak, który ani sieje, ani orze.

Przy tym jakby tak pod krzyżem stał, miałby nad sobą jego ramiona, w górze niebo, a naokoło pola i w onej ciszy wiejskiej Pan Bóg usłyszałby jego śpiewanie. A tu w tym mieście huczało coś tak strasznie, jakby w jakiejś wielkiej maszynie, tak każdy rwał się naprzód, tak patrzył

tylko przed siebie, że cudzej niedoli nikt nie dojrzał. Tu głowę zawrót po prostu brał, ręce opadały, oczy nie mogły pomieścić wszystkiego, co w nie lazło, a myśl jedna drugiej dogonić.

Tu wszystko było jakieś dziwne, obce, odtrącające i takie rozpędzone, że każdy, co się nie umiał w tym wirze kręcić, musiał wylecieć z koliska i rozbić się siłą pędu jako gliniany garnek.

- Hej! co za różnica! Oto w spokojnych Lipińcach Wawrzon był gospodarzem i ławnikiem, kolonię miał, szacunek ludzki, pewną łyżkę stawy każdego dnia, w niedzielę przed ołtarz ze świecą wychodził; a tu był ostatni między wszystkimi, był jak pies przybłąda na cudzym podwórku, nieśmiały, drżący, skulony i zgłodniały. W początkowych dniach niedoli często wspomnienia mówiły: —Lepiej ci było w Lipińcach! Sumienie krzyczało: —Wawrzon, czemuś opuścił Lipińce? Czemu? Bo go Bóg opuścił. Niósłby chłop swój krzyż, cierpiałby, gdyby przed nim był gdzieś koniec onej drogi krzyżowej; wiedział jednak dobrze, że każdy dzień będzie coraz sroższym dopustem i każdego ranka słońce coraz większą nędzę jego i dziewczyniną oświeci. Więc co? Ma-li ukrećć powróż, zmówić pacierz i powiesić się? Chłop nie mruży oczu przed śmiercią, ale co się stanie z dziewczyną? Gdy o tym wszystkim myślał, to czuł, że go nie tylko Bóg opuścił, ale i rozum opuszcza. Nie było żadnego światła w tej ciemności, którą przed sobą widział, a największego bólu nawet nazwać nie umiał.

Tym największym była tęsknota za Lipińcami. Dręczyła go dniem i nocą, a dręczyła tym straszniej, że nie wiedział, co to jest, czego mu trzeba, do czego się dusza w nim chłopska rwie i wije z męki: a jemu potrzeba było boru sosnowego, pól i chałup słomą krytych, i panów, i chłopów, i księży, i tego wszystkiego, nad czym się szmat rodzinnego nieba zwiesza, a do czego jak serce przywrze, to się nie oderwie, a oderwie się, to się krwawi. Chłop czuł, że go coś jak w ziemię wgniata. Chwilami rad by był się porwać za włosy i głową tłuc o mur albo rzucić się na ziemię, albo wyć jak pies na łańcuchu, albo wołać niby w obłąkaniu - kogo?

- sam nie wiedział. Oto już gnę się pod tym nieznanym brzemieniem, już opada, a tu miasto obce huczy i huczy; on jęczy i wzywa Jezusa, a tu krzyża nigdzie nie ma, nikt nie odpowiada, tylko miasto huczy i huczy, a na tapczanie siedzi dziewczyna z oczyma wpatrzonymi w ziemię, zgłodniała i cierpi cicho. Dziwna rzecz! Siedzieli z dziewczyną ciągle razem i często po całych dniach jedno ani słowem nie ozwało się do drugiego. Żyli jakby w urazie wielkiej.

Źle i ciężko im było tak żyć, ale o czymże mieli mówić? Ran jątrzących się lepiej nie tykać.

Chyba o tym, że nie ma już ani pieniędzy w kieszeni, ani kartofli w piecu, ani rady w głowie.

Pomocy też nie doznali od nikogo. Polaków żyje w Nowym Jorku bardzo wielu, ale zamożniejszy nikt nie mieszka w okolicach Chattam-square. W drugim tygodniu po przybyciu poznali wprawdzie dwie rodziny polskie, jedną ze Śląska, drugą spod samego Poznania, ale i one już od dawna głodem marły. Ślązakom umarło już dwoje dzieci, trzecie było chore, a jednak od dwóch tygodni już sypiało wraz z rodzicami pod arkadą mostu, wszyscy zaś żywili się tylko tym, co na ulicach znaleźli. Później też wzięto ich do szpitali i nie wiadomo, co się z nimi stało. Drugiej rodzinie również źle się działo, a nawet gorzej jeszcze, bo ojciec pił. Marysia ratowała kobietę, póki mogła, ale teraz sama potrzebowała poratowania.

Mogli wprawdzie oboje z ojcem, udać się do kościoła polskiego do Hoboken. Ksiądz by przynajmniej dał innym o nich znać, lecz alboż wiedzieli, czy jest jaki kościół lub jaki polski ksiądz, alboż mogli się z kim rozmówić, kogoś zapytać? W ten sposób każdy wydany cent był

dla nich jakby stopniem po schodach prowadzących w otchłań nędzy.

Siedzieli w tej chwili, on przy piecyku, ona na słomie. Upłynęła jedna godzina i druga. W

izbie robiło się coraz ciemniej, bo choć to było w południe, ale mgła wstawała z wody jako zwyczajnie wiosenną porą, mgła ciężka, przejmująca. Mimo że na dworze było już ciepło, oboje drżeli w izbie od chłodu; wreszcie Wawrzon stracił nadzieję, żeby co znalazło się w popiele.

- Maryś! - rzekł - nie mogę już wytrzymać i ty nie wytrzymasz; pójdę nad wodę drzewa nałapać; napaliwa choć w piecu, a może znajdę co zjeść.

Nie odrzekła nic, więc poszedł. Nauczył się już chodzić do portu i wyławiać kawałki desek od pak i skrzyń okrętowych, które woda na brzeg wyrzuca. Tak robią wszyscy, którzy nie mają za co węgla

kupić. Często go tam poszturchali przy tym połowie, ale często nie; czasem trafiało się znaleźć i co do zjedzenia, jakie resztki zepsutego warzywa, wyrzucanego ze statków, a przy tym, gdy ot, chodził tak we mgle i szukał, czego nie zgubił, to chwilami zapominał o swej niedoli i o tej tęsknocie, która go najbardziej ze wszystkiego trawiła.

Przyszedł wreszcie nad wodę, a że to była pora —lunchull, więc nad brzegiem kręciło się tylko kilku małych chłopaków, którzy zaczęli wprawdzie zaraz krzyczeć na niego, rzucać czarnym błotem i muszlami, ale nie mogli go obić. Deszczulek różnych kołysało się sporo na wodzie: jedna fala je przynosiła, druga odnosiła na głębię. Wkrótce nałapał ich dosyć.

Chwiały się także kupki jakiejś zieloności na fali; może było w nich i co do zjedzenia, ale jako lżejsze, nie przyływały do brzegu, więc ich nie mógł dostać. Chłopaki rzucali na nie sznury i w ten sposób przyciągali je do siebie; on, że sznura nie miał, więc tylko patrzył

chciwie, czekał, aż chłopcy odejdą i przeszukiwał resztki jeszcze raz, zjadając, co mu się zdatne do zjedzenia wydało. O tym, że dziewczyna także nie jadła, nie myślał.

120

Ale los miał mu się uśmiechnąć. Wracając do domu spotkał wielki wóz z kartoflami, który w drodze do portu ugrzązł w wyboju i nie mógł się ruszyć. Wawrzon schwycił zaraz za szprychy i zaczął z woźnicą pchać koła. Ciężko było, aż go w krzyżach zabolalo, ale wreszcie konie szarpnęły, wóz wyskoczył, a że był czubiasto ładowny, wysypało się z niego sporo kartofli i wpadło w błoto. Woźnica ani myślał ich zbierać, podziękował Wawrzonowi za pomoc, krzyknął — *get up!* na konie i pojechał.

Wawrzon rzucił się natychmiast na kartofle, pozbierał je łapczywie drżącymi rękoma, schował w zanadrzu i zaraz lepsza otucha wstąpiła mu w serce. W głodzie znaleziony kawałek chleba znalezionym szczęściem się wydaje; więc chłop wracając do domu mrucał

cicho:

- A no, Bogu najwyższemu niech będą dzięki, że wejrzał na niedolę naszą. Drzewo jest, dziewczyna ogień rozpali; gajdoków je tyła, że na dwa razy wstrzyma. Pan Bóg je miłosierny.

W izbie zaraz zrobi się raźniej. Dziewczyna też półtora dnia nie jadła, to się uraduje. Pan Bóg je miłosierny!

Tak rozprawiając, dźwigał jedną ręką deski, drugą badał co chwila, czy kartofle nie wypadają mu z zanadru. Skarb niósł wielki, więc podnosił oczy z wdzięcznością ku niebu i znowu mrucał:

- Myślałem se: ukradnę - a tu bez kradzenia z wozu spadło. Nie jedliśwa, to będziwa jedli.

Pan Bóg je miłosierny! Maryśka zaraz ze słomy wstanie, jak się dowie, że mam gajdoki.

Tymczasem Marysia od czasu jego wyjścia nie ruszała się ze słomy. Bywało, że jak Wawrzon przynosił rano drzewa, to napaliła w piecyku, przyniosła wody, zjadła, co było, a potem całymi

godzinami wpatrywała się w ogień. Szukała i ona w swoim czasie roboty. Najęto ją nawet do jednego boardinghousu do pomywania garnków i zamiatania, ale że się nie mogli z nią rozmówić, że źle spełniała polecenia nie rozumiejąc ich, więc ją wypędzili we dwa dni.

Potem niczego już nie szukała i nic nie znalazła. Po całych dniach siadywała w domu bojąc się wyjść na ulicę, bo tam ją zaczepiali Irlandczycy i pijani majtkowie. Przez to próżnowanie była jeszcze nieszczęśliwsza. Tęsknota zgryzła ją jak rdza żelazo. Była nawet nieszczęśliwsza od Wawrzona, gdyż do głodu, do tych wszystkich utrapień, jakie znosiła, do tego przekonania, że nie ma dla nich rady ani ratunku, ani jutra, do strasznej tęsknoty za Lipińcami dorzucała jeszcze ciężaru myśl o Jaśku koniusze. Ślubował on jej wprawdzie i mówił: —Gdzie ty się obrócisz i ja się obrócę!, ale ona jechała wtedy dziedziczką i panią być, a teraz jakże zmieniło się wszystko!

On był parobkiem dworskim, miał i swoją kolonię po ojcach, a ona stała się taką biedną, taką głodną jak mysz w lipinieckim kościele. Czy przyjedzie? a choćby i przyjechał, to przygarnieli ją do piersi? powieli: —Chudzátko moje serdeczne?! Czy też: —Idź precz, dziadowa córko!! Jakież to teraz jej wiano, Łachmany. Psy by na nią i w Lipińcach czekały, a jednak tak tam coś ciągnie, że ot! dusza rada by wylecieć z niej i lecieć jaskółką chybką nad wodami i choćby umrzeć, byle tam. Tam on, Jaśko, pamiętny czy niepamiętny, ale umiłowany bardzo; tylko przy nim byłby spokój i radość, i wesele, ze wszystkich ludzi przy nim jednym w świecie.

Gdy ogień w piecyku był i głód nie tak, jak dziś dokuczał, to płomienie sycząc, strzelając iskrami, podskakując, migocąc mówiły dziewczynie o Lipińcach i przypominały, jako dawniej z innymi dziewczynami siadywała w czworakach przy kądzieli. Jaśko wyglądając z alkierza wołał: —Maryś! pójdziewa do księdza, boś mi miła!! Ona mu zaś odpowiadała:

—Cichaj, zbereźniku!! I tak jej było dobrze, tak wesoło w duszy, jak i wówczas, gdy on ją do tańca z kąta na środek izby przemocą ciągnął, a ona zasłoniwszy oczy rękoma szeptała:

—Idźże precz, bo się wstydam!! Gdy jej to czasem przypominały płomienie, to łzy zalewały jej twarz; ale teraz jak ognia w piecyku, tak i łez w oczach nie było, bo ile łez miała, tyle wyplakała. Czasem jej się też zdało, że spływają do piersi i tam ją duszą. Czowała zmęczenie wielkie i wyczerpanie, brakło jej siły nawet do rozmyślań; ale zresztą cierpiała pokornie 121

patrzając tylko przed siebie wielkimi oczyma, jak ptak, którego męczą. W ten sposób spoglądała i teraz siedząc na słomie. Tymczasem ruszył ktoś drzwiami od izby. Marysia w mniemaniu, że to ojciec, nie podniosła głowy, dopiero obcy głos ozwał się:

- *Look here!*

Był to właściciel rudery, w której mieszkali, stary mulat o twarzy posępnej, brudny, obdarty z policzkami wypchanymi tytuniem.

Ujrzawszy go dziewczyna złękła się bardzo. Powinni byli zapłacić dolara na następny tydzień, a nie mieli już ani centa. Mogła tylko pokorą nadrobić, więc zbliżywszy się ku niemu podjęła go cicho pod nogi i pocałowała w rękę.

- Przychodzę po dolara! - rzekł.

Zrozumiała wyraz —dolar! i potrząsając głową, mieszając wyrazy, a zarazem patrząc błagalnie, starała się dać do zrozumienia, że już wydali wszystko, że drugi dzień nic nie jedzą, że są głodni i żeby zmiłował się nad nimi.

- Bóg wielmożnemu panu zapłaci - dodała po polsku, nie wiedząc już, co mówić i robić.

Wielmożny pan nie zrozumiał wprawdzie, że jest wielmożnym, ale domyślił się, że dolara nie dostanie; domyślił się nawet tak dobrze, że pozbierawszy jedną ręką węzełki z ich rzeczami, drugą wziął dziewczynę za ramię, popchnął lekko w górę na schody, wyprowadził na ulicę i rzuciwszy jej pod nogi rzeczy, potem z równą flegmą uchylił drzwi przyległego szynku i zawołał:

- Hej, Paddy, jest izba dla ciebie.

- *All right!* - odpowiedział jakiś głos ze środka - przyjdę na noc.

Mulat zniknął następnie w ciemnej sieni, a dziewczyna została sama na ulicy. Ułożyła węzełki we framudze domu, by się nie walały w błocie i stanąwszy przy nich czekała pokorna jak zawsze i cicha.

Pijani Irlandczycy, którzy przechodzili ulicą, nie zaczepiali jej tym razem. W izbie było ciemno, ale na ulicy widno bardzo i przy tym świetle twarz dziewczyny wydawała się wynędzniała, jakby po wielkiej jakiej chorobie. Tylko jasne lniane włosy pozostały jak dawniej, wargi za to miała zsiniałe, oczy wpadłe i podkute, kości wystawały jej z policzków.

Wyglądała jak kwiat, który więdnie, albo jak dziewczyna, która ma umrzeć.

Przechodzący spoglądali na nią z pewnym rodzajem politowania. Stara Murzynka zapytała ją o coś, ale nie otrzymawszy odpowiedzi poszła dalej urażona.

Tymczasem Wawrzon zdążył do domu z tym dobrym uczuciem, jakie w bardzo biednych ludziach budzi jawny dowód miłosierdzia Bożego. Miał oto kartofle; myślał, jak będą jedli, jak jutro znów będzie chodził koło wozów, a o pojutrze nie myślał w tej chwili, bo był zbyt głodny. Ujrzawszy z daleka dziewczynę stojącą na bruku przed domem, zdziwił się mocno i przyśpieszył jeszcze kroku.

- A ty tu czego stoisz?

- Gospodarz wygnał nas, tatulu!

- Wygnał ! ?

Drzewo chłopu wypadło z rąk. Tego już było nadto. Wygnać ich w tej chwili, gdy było drzewo i kartofle! Co teraz zrobić, gdzie je upiekać, czym się pożywią, dokąd pójda? Za drzewem grzmotnął Wawrzon i czapkę w błoto.

- Jezu! Jezu! - okręcił się naokoło, otworzył usta, spojrział błędnie na dziewczynę i powtórzył

jeszcze raz:

- Wygnał?...

Potem niby chciał gdzieś iść, ale zawrócił zaraz, a głos jego stał się głuchy, chrapliwy i groźny, gdy rzekł znowu:

- Czemuś go nie prosiła, ciemiego?

Ona westchnęła:

- Prosiłam.

122

- Pod nogi go podjęłaś?

- Podjęłam.

Wawrzon znowu okręcił się na miejscu jak robak którego, ktoś przekłuje. Zrobiło mu się w oczach ciemno zupełnie.

- Bogdajesz zmarniała! - krzyknął.

Dziewczyna spojrzała na niego boleśnie.

- Tatulu! cóżem ja winna?

- Stój no tu, ani się rusz. Pójdę ja go prosić, żeby choć gajdoki dał upiec.

Poszedł. Po chwili w sieni dał się słyszeć hałas, tupotanie nóg, podniesione głosy, a potem na ulicę wyleciał Wawrzon, pchnięty widocznie silną ręką.

Chwilkę stał, potem rzekł do dziewczyny krótko:

- Pójdź!

Schyliła się po węzełki, by je zabrać. Były dość ciężkie jak na jej wyczerpane siły, ale on jej nie pomógł jakby, zapominał, jakby nie wiedział, że dziewczyna zaledwie je udźwignąć może.

Poszli... Dwie tak nędzne postacie starca i dziewczyny zwracałyby uwagę przechodniów, gdyby ci przechodnie mniej byli przyzwyczajeni do widoków nędzy. Dokąd mogli iść? W

jaką jeszcze ciemność, w jaką jeszcze niedolę, w jaką jeszcze mękę?

Oddech dziewczyny stawał się coraz trudniejszy, cięższy; zachwiała się na nogach raz i drugi, wreszcie rzekła z prośbą w głosie:

- Tatu! weźta szmaty, bo już nie mogę.

On jakby się zbudził ze snu.

- To je rzuć.

- Dyc się przydadzą.

- Nie przydadzą się.

Nagle ujrzawszy, że dziewczyna się waha, krzyknął z wściekłością:

- Rzuć, bo cię zabiję!

Tym razem usłuchała przestraszona i poszli dalej. Chłop kilka razy powtórzył jeszcze: —Kiej tak, to niech tak będzie! — potem umilkł, ale coś niedobrego patrzyło mu z oczu. Przez coraz błotnistsze uliczki zbliżali się ku krańcowi portu, wydostali się na wielkie pomosty oparte na palach; przeszli około budynku z napisem: —Sailor's asilum! — i zeszli nad samą wodę.

Budowano w tym miejscu nowy dok. Wysokie rusztowania do zapuszczania palów wysuwały się daleko nad wodę, a między deskami i belkami kręcili się ludzie zajęci przy budowie.

Marysia doszedłszy do kupy belek siadła na niej, bo nie mogła iść dalej, Wawrzon w milczeniu koło niej.

Godzina już była czwarta po południu. Cały port wrzał życiem i ruchem. Mgła też opadła, a pogodne promienie słońca obrzucały światłem i miłosiernym ciepłem dwoje nędzarzy. Z

wody szło tchnienie wiosny na ląd, rzeźwe pełne życia, wesołe. Naokoło tyle było błękitu i światła, że aż oczy mrużyły się pod ich nadmiarem. Toń morska w dali zlewała się wdzięcznie z niebem. W tych błękitach bliżej środka portu widać było sterczące spokojnie maszty, kominy i chorągiewki falujące lekko od powiewu. Na widnokregu okręty płynące do portu zdawały się iść jakby w górę lub jakby spod wody wysuwać. Porozpinane i wydęte ich żagle w kształcie chmurek, całe w promieniach, lśniły oślepiającą białością na лазурze wodnym. Inne statki odchodziły na ocean, pieniać za sobą wodę. Szły w stronę, gdzie leżały Lipińce, więc dla nich dwojga utracone szczęście, więc dola lepsza, więc uspokojenie.

Myślała też sobie dziewczyna, czym mogli tak bardzo zgrzeszyć, co przeciw Panu Bogu uczynić, że On, taki miłościw, od nich samych tylko odwrócił oblicze swoje i zapomniał o nich wśród obcych ludzi, i rzucił ich na ten brzeg daleki. Toć w Jego rękę było im wrócić szczęście. Tyle przecie statków odpływa w tamtą stronę, a odpływa bez nich. Zmęczona, biedna myśl Marysi jeszcze raz poleciała w stronę Lipiniec i Jaśka koniuchy. Czy tam myśli o 123

niej, czy o niej pamięta? Ona pamięta, bo w szczęściu się tylko zapomina, w niedoli zaś, w osamotnieniu myśl tak obwija się koło ukochanych jak chmiel koło topoli. Ale on? Może pogardził dawnym ukochaniem i swaty już posłał do innej chałupy. Przecie by mu nawet wstyd było myśleć o takiej nędzarce, która prócz wianka, prócz rucianego, nic nie ma na świecie i po którą, jeśli kto

przyśle swaty, to chyba śmierć.

Ponieważ była chora, więc głód nie dokuczał jej bardzo, ale z męki i osłabienia sen ją ogarniał, powieki zamykały się na oczach, a wybladła twarz chyliła się na piersi. Chwilami budziła się i otwierała oczy, potem przymykała je znowu. Śniło się jej, że błądząc po jakichś rozpadlinach i przepaściach wpadła, jak owa Kasia z chłopskiej piosenki, w —Dunajec głęboki i zaraz usłyszała wyraźnie jakby dalsze śpiewanie: Zaboczył to Jaśko na wysokiej górze,

Spuścił się do Maryś po jedwabnym sznurze;

Ale sznur był krótki, z łokieć go nie staje:

Marysia nieboga warkocza dodaje.

Tu nagle zbudziła się, bo zdało się jej, że warkocza już nie ma i że leci w przepaść. Sen pierzchnął. Nie Jaśko siedział przy niej, ale Wawrzon, i nie —Dunajec było widać, ale port nowojorski, warfy, rusztowania, maszty i kominy. Znowu jakieś okręty wypływały na pełnię i z nich to właśnie dochodziło śpiewanie. Cichy, ciepły, pogodny wieczór wiosenny zaczynał

czzerwienieć się na wodzie i na niebie. Toń stała się zwierciadlana, każdy okręt, każdy pal tak odbijał, jakby drugi był pod spodem, i ślicznie było naokoło. Jakaś szczęśliwość i ukojenie wielkie rozlane były w powietrzu: zdawało się, że cały świat się raduje, tylko ich dwoje było nieszczęsnych i zapomnianych; robotnicy zaczęli wracać do domów, tylko ich dwoje nie miało domu.

Coraz większy głód żelazną ręką zaczynał szarpać wnętrzności Wawrzona. Chłop siedział

ponury i chmurny, ale coś jakby straszliwe postanowienie zaczęło się malować na jego twarzy. Kto by na nią spojrział, ten by się przestraszył, bo twarz ta miała wyraz zwierzęcy i ptasi z głodu, a zarazem tak rozpaczliwie spokojny, jakby u człowieka umarłego. Przez cały czas nie odezwał się do dziewczyny ani słowem, dopiero gdy nastąpiła noc, gdy port opustoszał

zupełnie, rzekł dziwnym głosem:

- Pójdźwa, Maryś!

- Dokąd pójdziwa? - pytała sennie.

- Na owe pomosty nad wodę. Położywa się na deskach i będziwa spali.

Poszli. W ciemności zupełnej musieli pełzać bardzo ostrożnie, by nie wpaść w wodę.

Amerykańskie wiązania z desek i belek tworzyły liczne zakręty i jakby korytarzyk drewniany, na którego końcu znajdowała się platforma z desek, za nią zaś taran do zabijania pali. Na tej platformie, pokrytej daszkiem dla ochrony od deszczu, stawali ludzie ciągnący sznury od tarana, ale teraz nie było tam nikogo.

Gdy doszli na sam jej kraniec, Wawrzon rzekł:

- Tu będziawa spali.

Marysia padła raczej, niż położyła się, na deski i mimo że zaraz opadły ich roje moskitów, usnęła ciężko.

Nagle wśród nocy głębokiej obudził ją głos Wawrzona:

- Maryś, wstawaj!

Było coś takiego w tym wołaniu, iż rozbudziła się natychmiast.

- Co, tatulu?

Wśród ciszy i ciemności nocnej głos starego chłopca ozwał się głucho, strasznie, ale spokojnie:

- Dziewczyno! Już tobie głodem dłużej nie mrzeć. Nie pójdiesz ty pod ludzkie progi o chleb prosić, nie będziesz ty na dworze sypiać. Ludzie cię opuścili, Bóg cię opuścił, doła skapiała, to niech cię choć śmierć przytuli. Woda głęboka jest, nie będziesz się męczyła.

W ciemności nie mogła go dojrzeć, choć oczy jej szeroko rozwarły się z przerażenia.

124

- Utopię ja cię, niebogo, i sam się utopię - mówił dalej. - Nie ma poratowania dla nas, nie ma miłosierdzia nad nami. Jutro nie będzie ci się chciało jeść, jutro ci będzie lepiej niż dziś...

Nie! Ona nie chciała umierać. Ona miała osiemnaście lat i to przywiązanie do życia, tę bojaźń śmierci, jaką daje młodość. Cała w niej dusza wzdygnęła się do głębin na myśl, że jutro będzie topielcem, że pójdzie w jakąś ciemność, że będzie leżała w wodzie, wśród ryb i gadów, na dnie szlamistym. Za nic w świecie! Nieopisany wstręt i strach ogarnęły ją w tej chwili, a rodzony ojciec mówiący tak w ciemności wydał się jakimś złym duchem.

Przez ten czas obie jego ręce spoczywały na jej wychudłych ramionach, a głos mówił ciągle z tym strasznym spokojem:

- Choćbyś krzyczała, nikt cię nie usłyszy. Pchnę cię tylko i wszystko dwóch pacierzy nie potrwa.

- Nie chcę, tatulu, nie chcę! - wołała Marysia. - Czy wy się Boga nie boicie? Tatulu serdeczny, złoty, zlitujta się nade mną! Co ja wam uczyniła? Dyc ja nie narzekała na moją niedolę, dyc ja z wami cierpiała głód i zimno... Tatulu!

Oddech jego stał się szybki, ręce zacisnęły się jak kleszcze... Ona wypraszała się śmierci coraz rozpaczliwiej.

- Zlitujta się! Miłosierdzia! miłosierdzia! Jać dziecko wasze, jam biedna, chora; mnie i tak niedługo na świecie. Mnie żal! Ja się boję!

Tak jęcząc czepiała się jego sukmany i usta przyciskała błagalnie do tych rąk, które ją spychały w przepaść. Ale jego to wszystko zdawało się tylko podniecać. Spokój jego przeszedł w obłęd: zaczął rzeźić i chrapać. Chwilami nastawała między nimi cisza i kto by stał nad brzegiem, słyszałby tylko głośnie oddechy i szamotanie się, i trzask desek. Noc była głęboka, ciemna, a pomoc nie mogła znikąd nadejść, bo to był sam koniec portu, na którym w dzień nawet prócz robotników nie bywało nikogo.

- Zmiłowania! zmiłowania! - wołała przeraźliwie Marysia.

W tej chwili jedną ręką pociągnął ją gwałtownie na sam brzeg rusztowania, drugą począł bić w głowę, by przytłumić jej krzyki. Ale i tak te krzyki nie budziły żadnego echa: pies tylko jakiś wyl w dali.

Dziewczyna uczuła, że słabnie. Na koniec nogi jej trafiły na próżnię, ręce tylko trzymały się jeszcze ojca, ale mdlały. Krzyk o ratunek stawał się coraz cichszy, ręce wreszcie urwały szmat sukmany i Marysia uczuła, że leci w przepaść.

Jakoż spadła z platformy, po drodze jednak uczepliła się dylów i zawisła nad wodą.

Chłop pochylił się i straszno powiedzieć, począł jej rękę odczepiać.

Tłum myśli, niby tłum zwichrzonego ptactwa, przelatywał jej przez głowę na kształt obrazów i błyskawic: Lipińce, studnia żurawia, wyjazd, okręt, burza, litania, nędza nowojorska; na koniec - co to się z nią dzieje? Widzi jakiś okręt ogromny z podniesionym przodem, na nim tłum ludzi, a z tego tłumy dwie ręce wyciągają się do niej. Na Boga! To Jaśko tam stoi, Jaśko wyciąga ręce, a nad okrętem i nad Jaśkiem Matka Boska uśmiechnięta w jasności wielkiej.

Ona na ten widok ludzi na brzegu rozpycha: —Panienko Najświętsza! Jaśku! Jaśku!! Chwila jeszcze... Ostatni raz wznosi oczy ku ojcu: —Tatulu! tam Matka Boska! tam Matka Boska!!

Chwila jeszcze, też same ręce, które spychają ją w wodę, chwytają teraz jej mdlejące dłonie i z jakąś siłą nadludzką ciągną ją w górę. Już znowu czuje pod nogą deski rusztowania, znowu otaczają ją ramiona, ale ramiona ojca, nie kata, i głowa pada na pierś ojcowską.

Ocknąwszy się z omdlenia spostrzegła, że leży spokojnie przy ojcu, ale choć było ciemno, dojrzała, że leży krzyżem i że szlochanie głuche, żalodne wstrząsa i rozrywa mu pierś.

- Maryś - ozwał się wreszcie przerywanym przez łkanie głosem odpuść mi, dziecko...

Dziewczyna poszukała po ciemku jego rąk i przytuliwszy do nich swoje biedne usta wyszeptwała:

- Tatulu! Niech wam tak Pan Jezus odpuści, jako ja odpuszczam...

Z bladej jasności, która od niejakiego czasu świeciła na horyzoncie, wynurzył się księżyc wielki, pogodny, pełny i znowu stało się coś dziwnego. Oto Marysia ujrzała, jak od księżycy odrywają się całe roje małych aniołków, jakby pszczołek złotych, i spływają po promieniach, aż do niej,

szeleszcząc skrzydełkami, kręcąc się, wijąc i śpiewając dziecinnymi głosami:

- Dziewczyno umęczona, spokój tobie! Ptaszyno licha, spokój tobie! Kwiatku polny, cierpliwy i cichy, spokój tobie!

Tak śpiewając, potrząsały nad nią kielichy lilij białych i małe srebrne dzwoneczki, które dzwoniły:

- Sen tobie, dziewczyno, sen tobie! Sen! sen! sen!

I zrobiło się jej tak dobrze, jasno, spokojnie, że usnęła naprawdę.

Noc mijała i jęła blednąć. Dniało. Świtanie pobielilo wodę. Maszty i kominy zaczęły się wychylać z cienia i jakoby przybliżać; Wawrzon klęczał już schylony nad Marysią.

Myślał, że umarła. Wysmukła jej postać leżała bez ruchu; oczy miała zamknięte, twarz bladą jak płótno z sinawym cieniem, spokojną i zmartwiałą. Na próżno stary wstrząsał ją za ramię; ani drgnęła, ani nie otworzyła oczu. Wawrzonowi zdawało się, że i on chyba umiera, ale przyłożywszy jej rękę do ust poczuł, że oddycha. Serce w niej biło, choć słabo; zrozumiał

jednak, że może umrzeć lada chwila. Jeśli z tumanu porannego wynurzy się dzień pogodny, jeśli słońce ogrzeje ją, to się obudzi; inaczej nie.

Mewy zaczęły krążyć nad nią, jakby o nią stroskane; niektóre siadały na pobliskich słupach.

Mgła ranna rozstępowała się z wolna pod tchnieniem zachodniego wiatru; powiew ten był

wiosenny, ciepły, pełen słodczy.

Potem weszło słońce. Promienie jego padły naprzód na szczyt rusztowania, potem schodząc coraz niżej rzuciły swoje złote światło na martwą twarz Marysi. Zdawały się ją całować, pieścić i jakby utulać. W tych blaskach i w wianku jasnych włosów, porozwiazanych od nocnej walki i wilgoci, była to twarz po prostu anielska: bo też Marysia była już prawie aniołem przez swoją mękę i niedolę.

Śliczny, różany dzień wstawał z wody, słońce grzało coraz silniej, wiatr chuchał litośnie na dziewczynę; mewy kręcąc się wiankiem krzyczały, jakby ją chciały rozbudzić. Wawrzon zdjawszy z siebie sukmanę przykrył nią jej nogi i nadzieja zaczęła mu wstępować w serce.

Jakoż siność ustępowała z wolna z jej twarzy, policzki poróżwiały lekko, uśmiechnęła się raz i drugi, na koniec otworzyła powieki.

Wówczas ten stary chłop klęknął na pomoście, podniósł oczy do nieba i lzy dwoma strumieniami popłynęły mu po pomarszczonych policzkach.

Uczuł raz na zawsze, że to dziecko - to teraz źrenica oczu jego i dusza jego duszy, i jakby świętość nad wszystko ukochana.

Ona nie tylko się rozbudziła, ale rozbudziła zdrowsza i rzeświejsza niż wczoraj. Czyste powietrze

portu zdrowsze dla niej było od zatrutej atmosfery izby. Wracała naprawdę do życia, bo siadłszy na deskach, zawołała zaraz:

- Tatulu! Jeść mi się chce bardzo.

- Pójdź, córuchno, nad wodę, może się tam co znajdzie - rzekł stary.

Wstała bez wielkiego wysilenia i poszli. Ale widocznie jakiś to dzień miał być wyjątkowy w dniach ich niedoli, bo ledwo uszli kilka kroków, ujrzeni tuż koło siebie na rusztowaniu wsuniętą między dwie belki chustkę, a w niej zawinięty chleb, gotowaną kukurydzę i solone mięso. Tłumaczyło się to po prostu tym, że któryś z robotników, pracujący przy warfie, schował sobie wczoraj na dziś część swego śniadania. Robotnicy tamtejsi mają ten zwyczaj; ale Wawrzon z Marysią tłumaczyli to sobie jeszcze prościej. Kto położył tę żywność? W ich mniemaniu Ten, co o każdym kwiatku, ptaku, koniku polnym i mrówce pamięta.

Bóg!

Zmówili pacierz, zjedli, choć niewiele tego było, i poszli nad wodą, aż do głównych doków.

Wstąpiły w nich nowe siły. Doszedłszy do budynku celniczego, skręcili pod górę na Water-126 street ku Broadway. Z odpoczynkami zeszło im na tym parę godzin, bo droga była daleka.

Chwilami siadali na deskach lub na próżnych pakach okrętowych. Szli sami nie wiedząc dlaczego, ale coś się tak Marysi widziało, żeby koniecznie iść do miasta. Po drodze spotykali mnóstwo ładownych wozów ciągnących do portu. Na Water-street ruch już panował niemały.

Z otwierających się bram wychodzili ludzie i szli pośpiesznie do codziennych zatrudnień. W

jednej takiej bramie ukazał się wysoki, siwy i wąsaty jegomość z młodym chłopakiem.

Wyszedłszy spojrzął na nich i na ich ubranie, ruszył wąsami; zdziwienie odbiło się na jego twarzy, po czym zaczął się przypatrywać jeszcze bystrzej i uśmiechać się.

Twarz ludzka uśmiechająca się do nich przyjaźnie w Nowym Jorku to był dziw, czary jakieś, na widok których zdumieli się oboje.

Tymczasem siwy jegomość zbliżył się i spytał najczystszą polszczyzną:

- A wyście skąd, ludzie?

Jakby piorun w nich uderzył. Chłop zamiast odpowiedzieć zbladł jak ściana i zachwiał się na nogach nie wierząc ani swoim uszom, ani swoim oczom. Marysia, ochłonawszy pierwsza, przypadła zaraz do nóg starego pana, objęła je rękoma i poczęła wołać:

- Spod Poznania, jaśnie dziedzicu! Spod Poznania.

- Co wy tu robicie?

- W nędzy, w głodzie i w niedoli srogiej żyjewa, drogi panie!

Tu Marysi głosu zabrakło, a Wawrzon rzucił się plackiem do nóg jegomości, potem począł całować połę jego surduta i trzymając ją myślał, że chyba za kawał nieba złapał.

Toć to pan... i swój pan. On z głodu umrzeć nie da, on poratuje, on zmarnieć nie da.

Młody chłopiec, który był z siwym panem, wytrzeszczał oczy, ludzie poczęli się gromadzić, otwierać usta i patrzeć, jak człowiek przed człowiekiem klęczy i po nogach go całuje.

W Ameryce to niebywała rzecz! Ale stary pan począł się na gapiów gniewać.

- To nie wasz *business* - mówił do nich po angielsku - idźcie do swego businessu!

Po czym do Wawrzona i Marysi:

- Nie będziemy na ulicy stali: chodźcie za mną.

Wprowadził ich do najbliższego bar-roomu; tam wszedłszy do osobnego pokoju zamknął się z nimi i z chłopakiem. Oni znowu zaczęli mu do nóg padać, od czego bronił się i mruczał

gniewliwie:

- Skończcie ten business! My przecie z jednych stron, my dzieci jednej... matki...

Tu widocznie dym z cygara, które palił, zaczął gryźć go w oczy, bo przetarł je kułakami i spytał:

- Głodniście?

- Bez dwa dni niceśmy nie jedli, jeno co dziś znaleźliśwa nad wodą.

- Wiliam! - rzekł do chłopca - każ im dać jeść.

Następnie pytał dalej:

- Gdzie mieszkacie?

- Nigdzie, jaśnie panie.

- Gdzieście spali?

- Nad wodą.

- Wygnali was z mieszkania?

- Wygnali.
- Nie macie rzeczy prócz tych, co na sobie?
- Nie mamy.
- Nie macie pieniędzy?
- Nie mamy.
- Co będziecie robili?
- Nie wiemy.

Stary pan, pytając szybko i jakby gniewliwie, zwrócił się nagle do Marysi: 127

- Ile masz lat, dziewczyno?
- Osiemnaście skończę na Matkę Boską Zielną.
- Nacierpiałaś się, co?

Nie odpowiedziała nic, tylko schyliła mu się pokornie do nóg.

Starego pana dym znowu zaczął widocznie gryźć w oczy.

W tej samej chwili przynieśli piwo i ciepłe mięso. Stary pan kazał im się zaraz wziąć do jedzenia, a gdy odrzekli, że nie śmieją tego przy nim zrobić, powiedział im, że są głupi. Ale mimo tego jego gniewliwości wydawał im się aniołem z nieba.

Gdy jedli, radowało go to widocznie bardzo. Potem kazał sobie opowiadać, jak się tu dostali i przez co przeszli. Więc Wawrzon opowiedział mu wszystko i nie zataił nic, jako księdzu na spowiedzi. On gniewał się, wymyślał mu, a gdy doszło do tego, jak Wawrzon chciał topić Marysię, krzyknął:

- Ja bym cię ze skóry odarł!

Potem do Marysi:

- Pójdź tu, dziewczyno!

Gdy się zbliżyła, wziął w obie ręce jej głowę i pocałował ją w czoło.

Potem myślał przez chwilę i rzekł:

- Biedę przeszliście. Ale to jest dobry kraj, tylko trzeba sobie umieć radzić.

Wawrzon wytrzeszczył na niego oczy: ten zacny i mądry pan nazywał Amerykę dobrym krajem.

- Tak jest, ciemnego - rzekł spostrzegłszy zadziwienie Wawrzona - dobry kraj! Gdym tu przybył, nie miałem nic, a teraz mam kawałek chleba. Ale wam, chłopom, pilnować roli, nie po świecie się włóczyć. Jak wy wyjedziecie, któż tam zostanie? Wyście tu na nic, a przyjechać tu łatwo, wrócić trudno.

Milczał czas jakiś, potem dodał, jakby do siebie:

- Czterdzieści kilka lat tu siedzę, to się i o kraju zapomniało. Ale tęsknota czasem bierze, co?

Wiliam tam musi jechać, niech pozna, gdzie jego ojcowie żyli... To mój syn - rzekł ukazując na chłopca. - Wiliam! przywieziesz mi z domu garść ziemi pod głowę do trumny.

- *Yes, father!* - odpowiedział po angielsku wyrostek.

- I na piersi, Wiliam! I na piersi!

- *Yes, father!*

Starego pana dym tak okropnie zaczął gryźć w oczy, że źrenice zasłyły mu jakby szkłem.

Zaraz też począł się gniewać:

- Rozumie chłystek po polsku, ale woli mówić po angielsku. Tak tu musi być. Co tu padnie, to dla dawnych progów stracone. Wiliam! idź powiedz siostrze, że będziemy mieli gości na obiad i na noc.

Chłopiec poskoczył żywo. Stary pan zamyślił się i milczał długo; potem zaczął mówić, jakby do siebie:

- Choćby ich wysłać z powrotem, koszt wielki, a przy tym do czego wrócą? Sprzedali, co mieli: pójdą na dziady. W służbie z dziewczyną Bóg wie, co by się stało. Kiedy tu jesteście, trzeba jeszcze pracy popróbować. Wysłać ich do jakiej osady, dziewczyna pójdzie za męża na poczekaniu. Dorobią się we dwoje; zechcą wrócić, to i starego zabiorą.

Następnie rzekł wprost już do Wawrzona:

- Słyszałeś ty o tutejszych naszych osadach?

- Nie słyszałem, wielmożny panie.

- Ludzie! jak wy się tu puszczacie? Na miły Bóg! Nie macieź ginąć potem!? W Chicago jest takich jak ty ze dwadzieścia tysięcy, w Milwaukee tyleż, w Detroit sporo, w Buffalo sporo.

Pracują po fabrykach, ale chłopu najlepiej na rolę. Do Radomia wysłać by was, do Illinois, hm! tam już o grunt trudno. Zakładają jakiś nowy Poznań w stepach w Nebrasce, ale to daleko. Kolej drogo kosztuje. Panna Maria w Teksasie także daleko. Do Borowiny byłoby 128

najlepiej, tym bardziej że mogę dać wam bilety darmo, a co dam w rękę, to schowacie na

gospodarstwo.

Zamyślił się jeszcze głębiej

- Słuchaj, stary - rzekł nagle. - Zakładają teraz nową osadę Borowina w Arkansas. Jest to piękny kraj i ciepły, a ziemia prawie pusta. Tam gruntu z lasem weźmiesz 160 morgów od rządu darmo, a od kolei za małą opłatą - rozumiesz? Na gospodarstwo ci dam i bilety na kolej, bo mogę. Pojedziecie do miasta Little-Rock, potem trzeba będzie wozem. Tam znajdziecie i innych, którzy z wami pojedą. Zresztą dam wam listy. Chcę wam pomóc, bom wasz brat; ale twojej dziewczyny sto razy więcej żał mi niż ciebie. Rozumiesz! Bogu dziękujcie, żeście mnie spotkali.

Tu głos jego stał się zupełnie miękki.

- Słuchaj, dziecko! - rzekł do Marysi - oto tu masz moją kartkę: schowaj ją święcie. Jak cię kiedy bieda przyciśnie, jak zostaniesz samotna na świecie i bez opieki, to mnie poszukaj. Tyś biedne dziecko i dobre. Gdybym umarł, Wiliam się tobą zajmie. Kartki nie zgub! Chodźcie teraz do mnie.

Po drodze kupił im bielizny i ubrania, a wreszeie zaprowadził do siebie i ugościł. Był to cały dom dobrych ludzi, bo i Wiliam, i jego siostra Jenny zajęli się obojgiem jakby krewnymi. Pan Wiliam obchodził się nawet z Marysią jakby z — *ladyll* jaką, czego wstydziła się okrutnie.

Wieczorem do panny Jenny przyszło kilka młodych panienek z grzywkami na czołach, ubranych ślicznie i dobrych. Te wzięły między siebie Marysię, dziwiły się, że taka blada, że taka ładna, że ma tak jasne włosy, że im się do nóg ciągle schyla i po rękach je całuje, z czego się śmiały bardzo. Stary pan chodził między młodymi, potrząsał białą głową, mruczał, czasem się gniewał, mówił to po angielsku, to po polsku, rozmawiał z Marysią i Wawrzonem o dalekich stronach rodzinnych: przypominał sobie, rozpamiętywał i od czasu do czasu widocznie dym z cygara gryzł go w oczy, bo je sobie często ukradkiem ocierał.

Gdy się wszyscy rozeszli spać, Marysia nie mogła wstrzymać łez widząc, że panna Jenny własnymi rękoma przygotowuje jej pościel. Ach! jacyż to dobrzy ludzie byli, ale cóż dziwnego! Przecie stary pan był także rodem spod Poznania.

Trzeciego dnia Wawrzon i dziewczyna jechali już do Little-Rock. Chłop czuł sto dolarów w kieszeni i o biedzie zupełnie zapomniał, a Marysia czuła nad sobą widomą rękę Bożą i wierzyła, że ta ręka nie da jej zginąć; że jak ją z niedoli wyprowadziła, tak i Jaśka do Ameryki sprowadzi i nad obojgiem czuwać będzie, i do Lipiniec wrócić im pozwoli.

Tymczasem miasta i farmy wiejskie migały im przez okna wagonu. Było to zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku. Były pola i bór na dalekości, i domki, przy których rosły drzewa; ruń zbóż wszelkich zieleńiła się wielkimi szmatami zupełnie jak w Polsce. Na ten widok Wawrzonowi rozpierało tak coś piersi, że miał ochotę krzyzczeć: —Hej! wy bory i pola zielone!! Na łąkach pasły się trzody krów i owiec; po rubieżach leśnych widać było ludzi z siekierami. Pociąg leciał dalej i dalej. Powoli okolica stawała się coraz mniej ludna. Farmy znikły, a kraj roztworzył się w szeroki pusty step. Wiatr na nim wiał falą traw i migotał

kwiatami. Miejscami wiły się na kształt złocistych wstęg drogi pokryte żółtym kwieciem, po których nigdy nie przeszły wozy. Wysokie burzany, dziewanny i szyszkowate osty kiwały głowami jakby witając wędrowców. Orły kołysały się na szerokich skrzydłach nad stepem, wpatrując się pilnie w trawę. Pociąg rwał naprzód, jakby chciał dolecieć tam, gdzie te stepowe przestrzenie giną oczom i zlewają się z niebem. Z okien wagonów widać było całe stadka zajęcy i piesków ziemnych. Czasem rogata głowa jelenia mignęła nad trawami.

Nigdzie ani wieżyczki kościelnej, ani miasta, ani wsi, ani domu, stacje tylko; ale między stacjami i w bok ani żywego ducha. Wawrzon spoglądał na to wszystko, kręcił głową i nie mógł zrozumieć, że tyle —dobroci!, jak nazywał grunta, pustką stoi.

Upłynął dzień i noc. Rankiem wjechali w bory, w których drzewa były pookręcane pnąciami się roślinami, grubymi jak ramię ludzkie, co robiło bór tak gęsty, że chyba w niego siekierą 129

jak w ścianę bić. Nieznane ptactwo świergotało w tych zielonych gąszczach. Raz zdało się Wawrzynowi i Marysi, że wśród skrętów i bisiorów ujrzeli jakichś jeźdźców z piórami na głowach i o twarzach tak czerwonych jak miedź polerowana. Widząc te lasy, te puste stepy i puste bory, te wszystkie nieznane cuda i ludzi innych, Wawrzon nie mógł wreszcie wytrzymać i rzekł:

- Maryś!

- Co tatulu?

- Widzisz?

- Widzę.

- A dziwujesz się?

- Dziwuję się.

Przejechali na koniec rzekę ze trzy razy szerszą od Warty, o której później dowiedzieli się, że się nazywa Missisipi, i głuchą już nocą przybyli do Little-Rock.

Stąd mieli się wypytać o drogę do Borowiny.

Porzucamy ich w tej chwili. Drugi okres ich tułactwa za chlebem został ukończony. Trzeci miał się odgrywać w lasach, wśród huku siekier i w ciężkim znoju osadniczego życia. Czy mniej w nim było łez, cierpień i niedoli - dowiemy się niedługo.

III. ŻYCIE OSADNICZE

Czym była Borowina? Osadą, która miała powstać. Ale widocznie nazwę obmyślono z góry, wychodząc z zasady, że gdzie istnieje nazwa, tam musi istnieć i rzecz. Poprzednio gazety polskie, a nawet i angielskie, wychodzące w Nowym Jorku, Chicago, Buffalo, Detroit, Milwaukee, Manitovok, Denver, Calumet, słowem wszędzie, gdzie można usłyszeć mowę polską, głosiły urbi et orbi w ogólności, a polskim osadnikom w szczególności, że kto by z nich chciał być zdrowym, bogatym,

szczęśliwym, jeść tłusto, żyć długo, a po śmierci na pewno otrzymać zbawienie, ten niech się zapisuje na działkę w raju ziemskim, czyli w Borowinie. Ogłoszenia mówiły, że Arkansas, w którym ma stanąć Borowina, jest krajem pustym jeszcze, ale najzdrowszym w świecie. Wprawdzie miasteczko Memphis, leżące na samej granicy, z tamtej strony Missisipi, jest siedliskiem żółtej febry, ale według ogłoszeń ani żółta, ani żadna inna febra nie potrafiłaby przepłynąć takiej rzeki jak Missisipi. Na ogólnym brzegu rzeki Arkansas nie ma jej dlatego jeszcze, że sąsiedzi, Indianie Choctaws, oskalpowaliby ją bez żadnej litości. Febra drży na widok czerwonej skóry. Skutkiem takiego składu rzeczy osadnicy w Borowinie mieszkać będą między febrą od wschodu a czerwonoskórnymi od zachodu, w pasie zupełnie neutralnym, zatem mającym przed sobą taką przyszłość, że za lat tysiąc Borowina będzie niezawodnie liczyła ze dwa miliony mieszkańców, a ziemia, którą się dziś płaci po 1 i pół dolara za akr, pójdzie na place do sprzedania w cenie mniej więcej tysiąca dolarów za kwadratowy łokieć. Takim obietnicom i widokom trudno się było oprzeć. Tych, którym by mniej podobało się sąsiedztwo Choctawów, ogłoszenia zapewniały, że ten waleczny szczep ożywiony jest szczególniejszą sympatią właśnie dla Polaków, że więc należy przewidywać stosunki jak najuprzejmiejsze.

Zresztą wiadomo, że gdzie przez lasy i stepy przejdzie kolej żelazna i słupy telegraficzne w kształcie krzyżów, tam owe krzyże stają się wkrótce znamionami stojącymi na mogiłnikach indyjskich; że zaś ziemia pod Borowiną nabyta została od kolei żelaznej, zniknięcie więc Indian było tylko kwestią czasu.

Ziemia została nabyta istotnie od kolei żelaznej, co zapewniało osadzie związek ze światem, zbyt dla produktów i przyszły rozwój. Ogłoszenia zapomniały wprawdzie dodać, że kolej ta była dopiero projektowaną i że właśnie sprzedaż sekcji nadawanych kolejom przez rząd w krajach pustych miała zapewnić, a raczej dopełnić funduszu potrzebnego na budowę; zapomnienie to było jednak łatwe do wybaczenia przy businessie tak złożonym. Zresztą 130

pociągało tę tylko różnicę dla Borowiny, że osada zamiast się znajdować na linii drogi leżała w głuchej pustyni, do której trzeba się było dostawać wśród wielkich trudów wozami.

Z tych zapomnień mogły się zrodzić różne przykrości, przykrości jednak były tylko czasowe i miały ustać wraz z przeprowadzeniem kolei. Zresztą wiadomo jest, że ogłoszeń w tym kraju nie można brać dosłownie, albowiem jak każda roślina przesadzona na amerykański grunt wybuja niezawodnie, ale kosztem owoców, tak i reklama w amerykańskich gazetach tak się rozrasta, że ziarnko prawdy trudno czasem z retorycznych plew wyłuskać. Odłożywszy jednak na bok wszystko, co w ogłoszeniach o Borowinie należało uważać za tak zwany *humbug*, można jeszcze było mniemać, że osada ta nie będzie wcale gorsza od tysiąca innych, których powstawanie z nie mniejszą przesadą głoszone.

Warunki wydawały się nawet z wielu względów pomyślnymi, stąd mnóstwo osób, a nawet rodzin polskich rozproszonych po całych Stanach, od wielkich jezior aż po palmowe lasy Florydy, od Atlantyku aż po kalifornijskie wybrzeża, zapisało się na osiedleńców w mającej powstać osadzie. Mazurzy pruscy, Ślązacy, Poznańczycy, Galicjanie, Litwini z Augustowskiego i Mazurzy spod Warszawy, którzy pracowali po fabrykach w Chicago i Milwaukee i którzy od dawna wzdychali do życia, jakie chłop z chłopów powinien prowadzić, chwycili pierwszą sposobność, by się z dusznych, zakopconych dymem i sadzą miast wydostać, a jąc się pługą i siekiery w przestronnych polach, borach i stepach Arkansasu. Ci, którym było za gorąco w Pannie Marii w Teksas lub za zimno w

Minnesocie, lub za wilgotno w Detroit, lub za głodno w Radomiu w Illinois, połączyli się z pierwszymi i kilkuset ludzi, najwięcej mężczyzn, ale wiele także niewiast i dzieci wyruszyło do Arkansas.

Nazwa —Bloody-Arkansas, to jest —krwawy, nie odstraszała zbyt osadników. Jakkolwiek, prawdę mówiąc, kraj ten obfituje dotychczas w drapieżnych Indian, w tak zwanych *outlawów*, czyli rozbójników zbiegłych spod prawa, w zdziczałych skwaterów, wycinających drzewo wbrew zakazom rządowym nad Red-River, i w różnych innych awanturników lub drapichrustów urwanych spod szubienicy; jakkolwiek dotąd zachodnia część tego Stanu słynną jest z okrutnych zapasów między czerwonoskórymi a białymi myśliwcami na bawoły i ze straszliwego prawa *lynch*, przecie można dać sobie z tym wszystkim radę. Mazur, gdy czuje sękacza w łapie, a zwłaszcza jeszcze gdy ma po Mazurze z każdego boku i Mazura za sobą, nie bardzo komu ustąpi, a temu, co by mu nadto w drogę laź, gotów krzyknąć: Dyćwa nie ciarachy! Nie targajta, bo żgniema, aż będzieta chramać!

Skądinąd wiadomo także, że Mazurzy lubią się trzymać razem i osiadać w ten sposób, by Maciek Maćkowi mógł w każdej chwili z kłonicą na pomoc pośpieszyć.

Punktem zbornym dla większości było miasto Little-Rock, ale z Little-Rock do Claesville, najbliższej osady ludzkiej, z którą miała sąsiadować Borowina, trochę dalej niż z Warszawy do Krakowa, a co gorsza, trzeba było jechać krajem pustym, przedzierać się przez lasy i wezbrane wody.

Jakoż kilku ludzi, którzy nie chcąc czekać na całą gromadę, puścili się w pojedynek, zginęło bez wieści, ale główny tabor doszedł szczęśliwie i obozował oto teraz wśród lasu.

Prawdę powiedziawszy, przybywszy na miejsce osadnicy rozczarowali się bardzo.

Spodziewali się zastać na gruntach przeznaczonych na osadę pola i las, a znaleźli tylko las, który dopiero trzeba było karczować. Czarne dęby, drzewa czerwone, bawełniane (tak zwane cottonwood), jasne płatany i posępne hikory, stały obok siebie jedną masą. Puszcza tu była nie na śmiech, podszyta czaporalem z dołu, powikłana w górze lianami, które przeskakując na kształt lin i sznurów z drzewa na drzewo tworzyły jakby zwieszające się mosty, jakby zasłony, jakby bisiory jakie kwieciami okryte, a tak gęste, tak stłoczone i zbite, że oko nie pobiegło w dal, jako w naszych lasach: kto się zapuścił głębiej, ten nieba nad sobą nie dojrzał

i w mroku błądzić musiał, i zbłądzić mógł, i zaprzepaścić się na zawsze. Jeden i drugi Mazur spoglądał to na własne pięście, to na siekiere, to na owe dęby mające po kilkanaście łokci obwodu i niejednemu markotno się zrobiło. Błogo mieć drzewo na chałupę i na opał, ale 131

wyciąć las jednemu człowiekowi na 160 morgach, pniaki z ziemi wydrapać, wykroty zrównać i dopiero imać się pługa, to praca na całe lata.

Ale nie było nic innego do roboty, więc zaraz drugiego dnia po przybyciu taboru jaki taki przeżegnał się, w ręce splunął, chwycił toporzysko, stęknął, machnął, uderzył, i od tej pory co dzień było słychać huk siekier w tym arkansaskim lesie, a czasem i pieśni rozlegające się echem:

Przyszedł Jasieńko,

Przyszedł ze dworu:

—Miła Kasieńko,

Pójdźwa do boru,

Do boru, do ciemnego.¶

Tabor stał wedle strumienia na dość obszernej polance, brzegiem której miały stanąć w kwadrat chałupy, na środku zaś z czasem kościół i szkoła. Ale do tego było jeszcze daleko; tymczasem zaś stały wozy, na których przybyły rodziny osadnicze. Wozy te ustawiono w trójkąt, by w razie napadu można w nich się bronić jak w fortecy. Za wozami na pozostałej części polanki chodziły muły, konie, woły, krowy i owce, nad którymi czuwała straż złożona z młodych, zbrojnych parobków. Ludzie sypiali na wozach lub też za ich obrębem naokoło ognisk.

W dzień kobiety i dzieci zostawały w taborze, obecność zaś mężczyzn można było poznać tylko po huku siekier, którym rozbrzmiewał cały las. Nocami wyły w gąszczach dzikie zwierzęta, mianowicie jaguary, arkansaskie wilki i kujoty. Straszne szare niedźwiedzie, które blasku ognia mniej się boją, podchodziły czasem dość blisko do wozów, skutkiem czego często wśród ciemności rozlegały się wystrzały z karabinów i wołania: —Bywaj bić bestyję!!

Ludzie, którzy przybyli z dzikich stron teksaskich, byli po największej części wprawnymi myśliwcami i ci dostarczali z łatwością sobie i swym rodzinom zwierzyny, mianowicie antylop, jeleni i bawołów; była to bowiem pora wiosennych wędrówek tych zwierząt na północ. Reszta osadników żywiła się zapasami zakupionymi w Little-Rock lub Clarksville, a składającymi się z kukurydzowej mąki i solonego mięsa.

Prócz tego bito owce, których pewną ilość zakupiła każda rodzina.

Wiezorami, gdy wedle wozów rozpalono wielki ogień, młodzież po wieczerzy zamiast iść spać puszczała się w taniec. Jakiś grajek przywiózł z sobą skrzypce, na których wygrywał

obertasa od ucha, a gdy głos skrzypiec ginał nadto wśród leśnego szumu i pod otwartym niebem, inni pomagali grajkowi na sposób amerykański, brzękając w blaszane miski. Życie uchodziło w pracy ciężkiej gwarnie, a przy tym bezładnie. Najpierwszą rzeczą było postawić chałupy; jakoż wkrótce na zielonym podścielisku polanki stanęły zręby domów, cała zaś jej powierzchnia pokryła się wiórami, heblowinami, kawałkami kory i tym podobnym śmieciem drzewnym. Czerwone drzewo, czyli tak zwane redwood, łatwo dawało się obrabiać, ale często trzeba było po nie chodzić daleko. Niektórzy pourządzali sobie tymczasowe namioty z płócien pozdzieranych z wozów. Inni, zwłaszcza nieżonaci, którym mniej pilno było do dachu nad głową, a więcej przykrzył się karczunek, zaczęli orać w miejscach, gdzie puszcza nie była podszyta i gdzie dęby i hikory, tj. żelazne drzewa, były rzadsze. Wówczas to, jak bór arkansaski borem, pierwszy raz rozległy się w nim nawoływania:

- Heć, kso, byś!

W ogóle jednak taki nawał roboty spadał na osadników, że nie wiadomo było, do czego rąk przyłożyć: czy naprzód stawiać domy, czy karczować, czy chodzić za zwierzyną. Zaraz z początku pokazało się, że pełnomocnik kolonistów kupił ziemię od kolei na wiarę i nigdy w niej poprzednio nie był; inaczej bowiem nie byłby nabywał głuchej puszczy, zwłaszcza iż równie łatwo było kupić kawałki stepu częściowo tylko lasem pokryte. Tak on, jak i pełnomocnik kolei przybyli wprawdzie na miejsce, by działki rozmierzyć i wskazać każdemu, co do niego należy, ale zobaczywszy jak rzeczy stoją, pokręcili się dwa dni, następnie 132

wyklócili się i wyjechawszy niby po narzędzia miernicze do Clarcsville, nie pokazali się już w osadzie.

Wkrótce wyszło na jaw, że jedni osadnicy zapłacili więcej, inni mniej, a co gorzej, nikt nie wiedział, gdzie jego działka leży, jak odmierzyć to, co na niego wypada. Osadnicy zostali bez żadnego przewodnictwa, bez żadnej władzy, która by mogła sprawy ich porządkować i spory godzić. Nie wiadano dobrze, jak pracować. Niemcy wzięliby się zapewne całą gromadą do wycięcia lasu i oczyściwszy całą przestrzeń, postawiwszy wspólnymi siłami domy, dopiero by zaczęli przy każdym domu odmierzać grunta. Ale każdy Mazur chciał od razu swoim się zająć, swój dom stawiać i na swojej działce las ciąć. Każdy przy tym chciał brać miejsca przy środkowej polance, gdzie puszcza była najrzadsza, a woda najbliższa. Stąd powstały spory, które wzrosły zaraz, gdy pewnego dnia zjawił się jakby z nieba spadły wóz niejakiego pana Grünmańskiego. Ten pan Grünmański w Cincinnati, np., gdzie mieszkają Niemcy, może nazywał się krócej: Grünman, ale w Borowinie dodał sobie —skill dlatego, żeby handel lepiej szedł. Wóz jego miał wysoki dach płócienny, na którym z każdego boku czerniał napis wielkimi literami: — *Saloon*, a pod spodem mniejszymi: — *Brandy, whisky, dzin*.

Jakim sposobem wóz ten przejechał w całości niebezpieczną pustynię między Clarcsville a Borowiną, jakim sposobem nie rozbili go stepowi awanturnicy, dlaczego Indianie, którzy wałęsają się małymi oddziałami nieraz bardzo blisko od Clarcsville, nie zdjęli skalpu z głowy pana Grünmańskiego, to była jego tajemnica, dość że przybył i tego samego dnia zaraz zaczął

robić doskonałe interesa. Ale też tego samego dnia osadnicy poczęli się kłócić. Do tysięcznych sporów o działki, o narzędzia, o owce, o miejsca przy ogniskach, przybyły nader błahe powody. Oto w osadnikach obudził się jakiś zaściankowoamerykański patriotyzm. Ci, co pochodzili ze stanów północnych, poczęli wychwalać dawne swe siedziby kosztem osad i osadników ze stron południowych i odwrotnie. Wówczas to można było usłyszeć ową północnoamerykańską polszczyznę, cerowaną angielskimi niemi wszędzie, gdzie ją odłączenie od macierzystego kraju i przebywanie wśród obcych przedziurawiło.

- Bo co wy ta chwalita swoje południowe kontry - mówił parobczak spod Chicago. - U nas, w Illinois, gdzie spojrzysz, to je rajbrod, a co karem milkę ujedziesz, to *city*. Pójdiesz na fermę, dom chcesz stawiać, to nie potrzebujesz lasu gryźć, kupisz lumbe i basta, a u was co?

- U nas jeden kanion więcej wart niż całe twoje bloki.

- A ty mnie *goddam*, czego tykasz? Tam byłem syr, to i tu będę syr, a ty coś za jeden?

- Cicho, bo złapię szynkiels, albo ci łeb umoczę w kryku, kiedy się sierdzisz. Co ci za *business* do mnie.

- Czego mnie faliszujesz? Kupię cię za bita!

.....

.....

W osadzie źle się po prostu działo, bo ta gromada przypominała gromadę owiec bez pastucha.

Spory o działki stawały się coraz gwałtowniejsze. Przychodziło do bitew, w których towarzysze z jednych miast lub osad łączyli się przeciwko pochodzącym z innych.

Doświadczeńsi, starsi i mędrsi zyskiwali wprawdzie z wolną powagą i władzą, ale nie zawsze mogli je utrzymać. W chwilach tylko niebezpieczeństw wspólny instynkt obrony kazał

zapominać o kłótniach. Raz gdy wieczorem gromadka włóczęgów indyjskich ukradła kilkanaście owiec, chłopci rzucili się za nimi w pogoń hurmem i bez chwili namysłu. Owce odebrano, jednego czerwonoskórego zbito tak, że wkrótce umarł i najlepsza zgoda panowała tego dnia, drugiego ranka znowu zaczęli się bić z sobą przy karczunku. Zgoda przychodziła także, gdy wieczorami grajek poczynał wygrywać nie do tańca, ale rozmaite pieśni, które każdy słyszał dawno, jeszcze pod słomianymi strzechami. Rozmowy wtedy cichły. Chłopi otaczali grajka wielkim kołem, szum boru wtórował mu, płomień w ogniskach sykał i strzelał

skrami, oni zaś stojąc spuszczały chmurnie głowy i dusze z nich ulatywały za morze. Nieraz księżyc wytoczył się wysoko nad las, a oni jeszcze słuchali. Ale z wyjątkiem tych krótkich 133

chwil rozprzęgało się wszystko coraz bardziej w osadzie. Bezład powiększał się, nurtowała nienawiść. To małe społeczeństwo, rzucone wśród lasów i prawie oderwane od reszty ludzi i opuszczone przez przewodników, nie mogło i nie umiało sobie dać rady.

Między osadnikami odnajdujemy dwie znane nam postacie: starego chłopca, nazwiskiem Wawrzyn Toporek, i jego córkę Marysię. Dostawszy się do Arkansas mieli w Borowinie dzielić losy innych. Jakoż z początku lepiej się im działo. Co bór, to nie bruk nowojorski, a przy tym tam nie mieli nic, tu posiadali wóz, inwentarza trochę, nabytego tanio w Clarksville, i trochę porządków do roli. Tam gryzła ich straszna tęsknota, tu praca ciężka nie pozwalała myśli od dnia dzisiejszego oderwać. Chłop od rana do wieczora bór ciął, wióry łupał i belki na chałupę obrabiał; dziewczyna musiała chusty w strumieniu prać, ogień rozniecać, jeść gotować; ale mimo znoju ruch i powietrze leśne zacierały stopniami na jej twarzy ślady choroby, jakiej nabyła przez nędzę w Nowym Jorku. Gorący powiew z Teksasu opalił i pokrył złotawym odblaskiem bladą jej twarzyczkę. Młodzi chłopcy z Sant-Antonio i znad wielkich jezior, którzy o lada co przyskakiwali do siebie z pięściami, w tym tylko byli zgodni, że Marysi oczy tak patrzą spod jasnych włosów jak chaber z żyta i że to najładniejsza dziewczyna, jaką oko ludzkie oglądało. Uroda Marysina wyszła na dobre i Wawrzonowi. Sam sobie szmat najrzadszego lasu wybrał i nikt mu się nie sprzeciwiał, bo wszyscy parobcy byli po jego stronie. Niejeden też mu w ścinaniu drzewa i obrabianiu belek albo w

zakładaniu na zręby pomagał, a stary, że chytry był, poznał, co się święci, i od czasu do czasu odzywał się:

- Moja córuchna chodzi po łące kiejby lelija, kiejby pani, kiejby królewna. Komu zechcę, to ją dam, ale byle komu nie dam, bo ona je gospodarska córka. Kto mi się niżej pokłoni i lepiej wygodzi, temu dam, nie żadnemu powsinodze.

Kto więc jemu pomagał, myślał, że sobie pomaga.

Wawrzonowi więc było lepiej nawet niż innym, a w ogóle byłoby wcale dobrze, gdyby osada miała jaką przyszłość przed sobą. Ale tam rzeczy psowały się z dnia na dzień. Ubiegł tydzień i drugi. Naokoło polanki zrąbano drzewo, ziemia pokryła się wiórami, tu i owdzie wzniosła się żółta ściana domostwa; to jednak, co zrobiono, było fraszką w porównaniu z tym, co należało zrobić. Zielona ściana boru z wolna tylko ustępowała przed siekierami. Ci, którzy się zagłębiali w chaszczce, przynosili dziwaczne wieści, że ten bór wcale końca nie ma, że dalej straszne w nim bagna, bajora i jakaś śpiąca woda pod drzewami, że jakieś dziwotwory tam mieszkają, jakieś opary na kształt duchów przesuwają się między gąszczami, jakieś węże syczą, jakieś głosy wołają: —Nie chodź!!, jakieś krzaki niesamowite za ubranie łapią i nie puszczają. Pewien chłopak z Chicago dowodził, że widział diabła we własnej osobie, jak straszny, kudłaty łeb z błota podniósł i tak na niego chrapał, iż ledwo do taboru uciekł.

Osadnicy z Teksas tłumaczyli mu, iż to musiał być bawół, ale on nie chciał wierzyć. Tak groźnemu położeniu grozy przesąd dodawał. W kilka dni po widzeniu diabła zdarzało się, że dwóch zuchów w las poszło i więcej ich nie ujrzano. Kilku ludzi zachorowało na krzyże z wysilenia, a potem rzuciła się na nich febra. Kłótnie o działki wzrastały do tego stopnia, że do ran i krwi w bitwach przychodziło. Kto nie pocechował bydła, temu inni własności zaprzeczali. Tabor rozprzągnął się, rozstawiono wozy po wszystkich kątach polanki, by być od siebie jak najdalej. Nie wiadomo było, kto ma wychodzić na stróżę do bydła; owce poczęły ginąć. Tymczasem jedna rzecz stawała się coraz widoczniejszą, to że nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje; nim zasiewy na rubieżach leśnych się zazielenią i dochówek jaki będzie, zapasów żywności zabraknie i przyjść może głód.

Rozpacz ogarniała ludzi. Huk siekier w lesie się zmniejsza, bo cierpliwości i odwagi poczynało brakować. Każdyć by jeszcze pracował, gdyby mu kto powiedział: —Masz, dotąd twoje.‖ Ale nikt nie wiedział, co jego, co nie jego. Słuszne narzekania na przewodników wzrastały. Ludzie mówili, że na puszcę zostali wywiedzeni, by wyginęli marnie. Powoli, kto miał coś jeszcze grosza przy duszy, na wóz siadał i do Clarcsville odjeżdżał. Ale więcej było 134

takich, którzy włożywszy ostatni grosz w sprawę, nie mieli o czym wracać do dawnych siedzib. Ci załamywali ręce widząc zgubę pewną.

Siekiery przestały wreszcie rąbać, a bór szumiał, jakby się natrzasał z ludzkiej niemocy. —Rąb dwa lata, a potem z głodu zamrzyj‖ mówił chłop do chłopca. A las szumiał, jakby się natrzasał.

Pewnego wieczora przyszedł Wawrzon do Marysi i rzekł:

- Widząc, że wszyscy tu zmarnieją i my zmarniejemy.

- Wola Boga - odrzekła dziewczyna - ale był ci On nam miłosierny, to i teraz nas nie opuści.

Tak mówiąc, podnosiła niebieskie jak chaber oczy do góry ku gwiazdom i w blaskach ogniska wyglądała jak jakiś obrazek kościelny.

A chłopaki z Chicago i strzelcy z Teksasu patrząc na nią mówili:

- I my nie opuściwa cię, Marysiu, zorzo rumiana.

Ona pomyślała sobie, że jeden jest tylko taki, z którym by poszła na kraj świata, jeden Jaśko w Lipińcach. Ale ten, choć przyrzekł kaczorem morze za nią przepłynąć, ptakiem powietrze przelecieć, złotym pierścieniem po gościńcu się potoczyć, nie przepływał, nie przelatywał i ten jeden opuścił ją niebogę.

Marysia nie mogła nie wiedzieć, że w osadzie źle się dzieje, ale w takiej już była toni, z takich przepaści Bóg ją wydobył, taka jej dusza stała się jasna w niedoli, że ufności w pomoc niebieską nic jej nie mogło odebrać.

Zresztą wspomniała, że stary pan w Nowym Jorku, który im pomógł z nędzy wstać i tu się przedostać, dał jej swoją kartę rzekłszy, że gdy ją niedola przycisnie, niech się do niego zgłosi, a on ją poratuje zawsze.

Tymczasem dla osady każdy dzień większą groźbę przynosił. Ludzie uciekali z niej nocami, i co się tam z nimi działo, to już trudno powiedzieć. Wokoło las szumiał i natrzasał się.

Stary Wawrzon zachorował wreszcie z wysilenia. Ból jął mu po pacierzach chodzić. Dwa dni nie zważał na to, trzeciego nie mógł wstać. Dziewczyna poszła do lasu, nazbierała mchu, wysłała nim gotową ścianę domu, leżącą na murawie, położyła ojca na mchach i gotowała mu leki z wódką.

- Maryś! - mrucał chłop - już śmierć idzie do mnie przez bory; zostaniesz ty sama na świecie, sieroto. Bóg mnie karze za ciężkie grzechy moje, bom cię wyprowadził za morze i zgubił. Ciężkie będzie moje konanie...

- Tatulu! - odpowiadała dziewczyna - mnie by Bóg skarał, gdybym za wami nie była poszła.

- Bym cię jeno samej nie zostawił: gdybym cię do ślubu błogosławił, lepiej by było umierać.

Maryś, weź ty Czarnego Orlika za męża: on jest chłop dobry, on cię nie opuści.

Czarny Orlik, niechybny myśliwiec z Teksasu, który to słyszał, zaraz rzucił się na kolana.

- Ojczy! pobłogosławta - rzekł. - Miłuję ja tę dziewczynę jako dolę własną. Jać się z borem znam i zginąć jej nie dam.

Tak mówiąc patrzył sokolimi oczyma na Marysię jako na tęczę, ale ona, pochyliwszy się ku nogom starego, rzekła:

- Nie niewólcie mnie, tatulu! Komu ślubowałam, tego będę albo niczyja.

- Komuś ślubowała, tego nie będziesz, bo ja go zabiję. Moją musisz być albo niczyją -

odpowiadał Orlik. - Zmarnieją tu wszyscy, zmarniejesz i ty, jeśli cię nie poratuję.

Czarny Orlik nie mylił się: osada marniała. Upłynął znowu tydzień i drugi. Zapasy dobiegały końca. Zaczęto bić bydło przeznaczone na robotę. Febra rzucała się na coraz nowe ofiary, ludzie na puszczy zaczęli to przeklinać, to wołać wielkimi głosami do nieba o ratunek.

Pewnej niedzieli starzy, parobki, kobiety i dzieci, wszyscy klękli na murawie i śpiewali suplikacje. Sto głosów powtarzało: —Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!! Bór przestał kołysać się, przestał szumieć i słuchał. Dopiero gdy pieśń ucichła, zaszumiał znowu, jakby mówił groźnie: —Jam tu król, jam tu pan, jam tu najmocniejszy.‖

135

Ale Czarny Orlik, który z borem się znał, utkwiał weń czarne swe oczy, popatrzył nań dziwnie jakoś, potem rzekł głośno:

- Ano, to weźmiewa się za bary.

Ludzie popatrzyli z kolei na Orlika i otucha jakaś wstąpiła im w serce. Ci, co go znali jeszcze z Teksasu, mieli do niego ufność wielką, bo to był myśliwiec nawet w Teksasie sławny.

Chłop to był istotnie w stepach zdiczały i silny jak dąb. Na niedźwiedzia w pojedynkę chodził. W Sant-Antonio, gdzie przedtem mieszkał, wiedziano dobrze, że czasem gdy wzięwszy karabin wyszedł na pustynię, to po parę miesięcy w domu go nie bywało, a zawsze wracał zdrowy, cały. Przezywano go Czarnym, bo tak był opalony od słońca. Mówiono nawet o nim, że na granicy Meksyku rozbijał, ale to nie było prawdą. Przynosił tylko skóry, a czasem i skalpy indyjskie, dopóki mu za nie proboszcz miejscowy klątwą nie zagroził. Teraz w Borowinie on tylko o nic nie dbał i o nic się nie troszczył. Bór mu dawał jeść i pić, bór go odziewał. Gdy więc zaczęli ludzie uciekać i tracić głowy, on zaczął wszystko w ręce brać i rządzić się, jak szara gęś po niebie, mając za sobą wszystkich z Teksasu. Gdy się po suplikacjach na bór zawziął, ludzie pomyśleli sobie: —Przecie on coś wymyśli.‖

Tymczasem zachodziło słońce. Wysoko między czarnymi gałęziami hikor świeciła jeszcze czas jakiś jasność złota, potem sczerwieniła i gasła. Wiatr pociągał ku południowi, gdy się zmroczyło. Orlik wziął karabin i poszedł do lasu.

Noc już zapadła, gdy w czarnej dali leśnej ludzie ujrzeni niby wielką gwiazdę złotą, jakoby wschodzącą zorzę lub słońce, które rosło ze straszną szybkością rozlewając krwawą i czerwoną jasność.

- Bór się pali! Bór się pali! - zaczęto wołać w taborze.

Chmary ptactwa podniosły się z łoskotem ze wszystkich stron lasu, krzyżąc, kracząc, świergocąc. Bydło w obozie zaczęło ryczeć żałośnie, psy wyły, ludzie biegali przerażeni nie wiedząc, czy nie na

nich idzie pożoga, ale silny wiatr południowy mógł gnać płomień tylko od polanki. Tymczasem w dali zabłysła druga czerwona gwiazda, potem trzecia. Obie wkrótce złąły się z pierwszą i pożar huczał na coraz większych przestrzeniach. Płomień rozlewał się jak woda, biegły po suchych wiązaniach lianów i dzikiego wina, trzęsły liśćmi.

Wicher wyrywał te płonące liście, niósł je jakby ptaki ogniste dalej i dalej.

Hikory pękały z hukiem armatnim w płomieniach. Czerwone węże ognia wiły się po smolnym podszyciu puszczy. Syczenie, szum, trzask gałęzie, głuche huczenie ognia, pomieszane z wrzaskiem ptactwa i rykiem zwierząt, napępiały powietrze. Niebotyczne drzewa chwiały się niby płomienne słupy i kolumny. Poprzepalane na skrętach liany odrywały się od drzew i kołysząc się strasznie niby jakieś szatańskie ramiona podawały skry i ogień od drzewa do drzewa. Niebo zaczerwieniło się, jakby w nim drugi był pożar. Zrobiło się widno jak w dzień. Potem wszystkie płomienie złąły się w jedno morze ognia i szły przez las jakby tchnienie śmierci lub gniew Boży.

Dym, upał i woń spalenizny napępiały powietrze. Ludzie w taborze, choć im nie groziło niebezpieczeństwo, zaczęli krzyczeć i nawoływać się wzajemnie, gdy nagle od strony pożaru pokazał się w skrach i blasku Czarny Orlik.

Twarz miał okopconą dymem i groźną. Gdy go otoczono kołem, oparł się o karabin i rzekł:

- Nie będziecie karczowali. Spaliłem bór. Jutro będziecie mieli z tej strony pola, ile kto strzyma.

Potem zbliżywszy się do Marysi rzekł:

- Musisz być moją, jakom jest ten, który spalił bór. Kto tu ode mnie mocniejszy?

Dziewczyna zaczęła drzeć na całym ciele, bo luna świeciła w oczach Orlika i cały wydał jej się strasznym.

Pierwszy raz od chwili przyjazdu dziękowała Bogu, że Jaśko był daleko, w Lipińcach.

136

Požoga tymczasem hucząc odchodziła dalej a dalej; dzień zrobił się chmurny i groził

deszczem. Świtaniem niektórzy ludzie poszli obejrzeć zgliszcza, ale niepodobna było zbliżyć się od gorąca.

Drugiego dnia śreżoga na kształt mgły zawisła w powietrzu, tak że człowiek człowieka o kilkanaście kroków nie mógł odróżnić. W nocy zaczął padać deszcz, który wkrótce przeszedł

w strasliwą ulewę. Być może, że pożar wstrząsnąwszy atmosferą, przyczynił się do spędzenia chmur, ale prócz tego była to pora wiosenna, w czasie której na dalszym biegu Missisipi tudzież w widłach rzeki Arkansas i Czerwonej padają zwykle ogromne deszeze.

Przyczynia się do tego i parowanie wód, które w Arkansas pokrywając w kształcie błot, małych

jezior i strumieni kraj cały zwiększają się na wiosnę z powodu topnienia śniegów w dalekich górach. Cała polanka rozmiękła i zmieniała się stopniowo w wielką sadzawkę.

Ludzie, moknąc po całych dniach, zaczęli chorować. Niektórzy znów opuścili osadę pragnąc się dostać do Clarcsville, ale powrócili wkrótce, przywożąc wieść, że rzeka wezbrała i że przejazd jest niepodobny. Położenie stawało się straszne, bo od przybycia osadników kończył

się już miesiąc, zapasy mogły się wyczerpać, a dostać nowych z Clarcsville było niepodobieństwem.

Wawrzonowi tylko i Marysi mniej groził głód niż innym, czuwała bowiem nad nimi potężna ręka Czarnego Orlika. Co dzień rano przynosił im zwierzynę, którą albo strzelał, albo łapał

we wnyki; na ścianie domu, na której leżał Wawrzon, Orlik ustawił swój namiot, by starego i Marysię od deszczu zabezpieczyć. Trzeba było przyjąć tę jego pomoc, którą prawie narzucił, i zobowiązać się do wdzięczności, bo zapłaty wziąć nie chciał, jeno ręki Marysinej żądał.

- Czy to ja jedna w świecie? - wypraszała się dziewczyna. Idź, inszej sobie poszukaj, jako i ja miłuję innego.

Ale Orlik odpowiadał:

- Choćbym kraj świata schodził, drugiej takiej nie znajdę. Tyś mi jedna na świecie i musisz być moją. Co zrobisz, jak ci stary zemrze? Przyjdiesz do mnie, przyjdiesz sama, a ja cię wezmę jak wilk jagnię, w lasy zaniosę, aleć nie pożrę. Tyś moja! tyś jedyna! Kto mi cię zaprzeczy? Kogo ja się tu boję? Niech przyjeżdża twój Jaśko: chcę tego!

Co do Wawrzona, Orlik zdawał się mieć słusność. Stary chorzał coraz bardziej, chwilami dostawał gorączki, mówił o grzechach swoich, o Lipińcach i o tym, że mu Bóg nie pozwoli ich zobaczyć. Marysia łązy łała i nad nim, i nad sobą. To, że jej Orlik obiecywał, iż byle mu ślubowała, to wróci z nią choćby do Lipiniec, było dla niej goryczą, nie pociechą. Wrócić do Lipiniec, gdzie był Jaśko, i wrócić cudzą za nic! Lepiej tu umrzeć pod pierwszym lepszym drzewem. Myślała, że tak skończy.

Tymczasem nowy dopust miał spaść na osadę.

Deszcz lał coraz większy. Pewnej głuchej nocy, gdy Orlik poszedł jak zwykle do boru, w taborze rozległ się krzyk przeraźliwy:

- Woda! woda!

Gdy ludzie przetarli ze snu oczy, ujrzeni w ciemności, jak okiem sięgnąć, jedną białą płaszczyznę, pluskającą pod deszczem i kołysaną wiatrem. Rozpierzchłe i przyćmione światło nocy połyskiwało stalowo na załamaniach i zmarszczkach fali. Od strony brzegu, gdzie sterczały pniaki, i od spalonego lasu słyhać było szum i chlupotanie nowych fal, płynących jakoby z pędem wielkim.

Krzyk powstał w całym obozie. Kobiety i dzieci zaczęły się chronić na wozy, mężczyźni biegli co sił na zachodnią stronę polanki, gdzie drzewa nie były wycięte. Woda dochodziła im zaledwie do kolan, ale wzbierała szybko. Szum od strony lasu powiększał się i mieszał z okrzykami trwogi, z

nawoływaniem imion i prośbami o ratunek. Wkrótce większe zwierzęta zaczęły się cofać przed parciem fali z miejsca na miejsce. Znać było, że gwałtowność prądu zwiększa się. Owce spłynęły i żalonym beczaniem wzywały na pomoc, póki nie znikły, niesione w stronę drzew. Deszcz lał jak z cebra i każda minuta stawała się coraz straszliwszą.

137

Daleki szum zmienił się w ogromny gwar i huk rozwścieczonych fal. Wozy zaczęły drzeć pod ich uderzeniem. Znać było, że to nie zwykły zalew deszczowy, ale że rzeka Arkansas i wszystkie jej dopływy musiały wylać. Była to topiel, rwanie drzew z korzeniami, łamanie lasów, groza, rozpętanie się żywiołów, ciemność, śmierć.

Jeden z wozów, stojący najbliżej spalonego lasu, przewrócił się. Na rozdzierający krzyk:

—Ratunku!! zamkniętych w nim kobiet, kilka ciemnych postaci męskich rzuciło się z drzew, ale fala porwała ratujących, okręciła i poniosła w las na zgubę. Na innych wozach chroniono się na płócienne dachy. Deszcz szumiał coraz większy, coraz większa ciemność padała na tę mroczną łąkę. Chwilami belka jaka z uczepioną ludzką postacią przemknęła, rzucona w górę i na dół, chwilami ciemny kształt zwierzęcia lub człowieka, czasem ręka wysunęła się z wody i zapadła w nią na zawsze.

Coraz wściekleszy huk wód zgłuszył wszystko, i ryki tonących zwierząt, i wołania: —Jezu!

Jezu! Maria!! Na łące potworzyły się wiry i koliska, wozy nikły...

A Wawrzon i Marysia? Ta ściana domu, na której stary chłop leżał pod Orlikowym namiotem, uratowała ich na razie, bo spłynęła jak tratwa. Fala okręciła ją wokół całej polanki i poniosła w stronę lasu, tam uderzyła ją o jedno drzewo, o drugie i wepchnąwszy wreszcie w łożysko strumienia poniosła w dal i ciemność.

Dziewczyna klęcząca przy starym ojcu podnosiła ręce do nieba, wzywając je na ratunek; ale odpowiadały jej tylko uderzenia fali dżdżystej, gnanej wiatrem...

Namiot zerwało... a i sama tratwa mogła rozbić się co chwila, bo i przed nią, i za nią płynęły pnie powyrywanych drzew, które mogły ją zgnieść lub podważyć.

Na koniec wpadła między gałęzie jakiegoś drzewa, którego czub było tylko widać z wody, ale w tej samej chwili z owego czuba doszedł głos ludzki:

- Weź karabin i przejdźcie na drugą stronę, by się tratwa nie przechyliła, jak zeskoczę...

Zaledwie oboje z Wawrzonem uczynili to, co im kazano, jakaś postać skoczyła z gałęzi na tratwę.

Był to Orlik.

- Maryś! - rzekł - jakom ci powiedział, że cię nie opuszczę. Boga mi! Ja was i z tej toni wyprowadzę.

Toporkiem, który miał przy sobie, uciął prostą gałąź z drzewa, obrobił ją w mgnieniu oka, potem

wypchnął tratwę z gałęzi i począł wiosłować.

Wydostawszy się na właściwe łozysko strumienia płynęli z szybkością błyskawicy. Gdzie?

nie wiedzieli, ale płynęli. Orlik od czasu do czasu odpychał pnie, gałęzie lub wykręcał tratwę, by omijać drzewo stojące. Olbrzymie siły jego zdawały się podwajać. Oko pomimo ciemności odkrywało każde niebezpieczeństwo. Upływała godzina za godziną. Każdy inny byłby padł ze zmęczenia, po nim nawet znać trudu nie było. Nad samym rankiem wydostali się z lasów, bo żadnego wierzchołka drzewa nie było widać na widnokręgu. Za to cała okolica wyglądała jak jedno morze. Potworne skręty żółtej i spienionej wody zataczały się z rykiem po pustej płaszczyźnie. Tymczasem dniało coraz więcej. Orlik widząc, że żadnego pnia w pobliżu nie ma, przestał na chwilę wiosłować i odwrócił się do Marysi:

- Mojaś ty teraz, bom cię śmierci wydarł.

Głowa jego była odkryta, a twarz mokra i zarumieniona znojem, zagrzana walką z powodzią, miała taki wyraz siły, że Marysia po raz pierwszy nie śmiała mu odpowiedzieć, że innemu ślubowała.

- Maryś! - rzekł chłopak miękko - Maryś serdeczna!

- Dokąd płyniemy? - spytała chcąc zmienić rozmowę.

- Co mi tam! Byle z tobą... umiłowana...

- Wiosłuj, dopóki śmierć przed nami.

Orlik począł znowu wiosłować. Tymczasem Wawrzon czuł się gorzej i gorzej. Chwilami miał gorączkę, chwilami opuszczała go, ale słabnął. Za dużo już było cierpień na jego stare, 138 sterane ciało. Zbliżał się kres i uspokojenie wielkie, ulga wieczysta. W samo południe obudził się i rzekł:

- Maryś! Już ja jutra nie doczekam. Oj! dziewczyno, dziewczyno! Bogdajbym nie był z Lipiniec wyjeżdżał i ciebie nie wywoził. Ale Bóg miłosierny! Nacierpiałem się niemało, to mi odpuści grzechy moje. Mnie pochowajta, jeśli będzieta mogli, a ciebie niech Orlik do starego pana do Nowego Jorku odprowadzi. To dobry pan, on zlituje się nad tobą i na drogę ci da i wrócisz do Lipiniec. Ja już nie wrócę. O Boże, Boże miłosierny, pozwólże duszy mojej jakby ptakowi tam polecieć i choćby zobaczyć!

Tu gorączka go ogarnęła i począł mówić: —Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko!! Nagle krzyknął: —Nie wrzucajta mnie w wodę, bom nie pies!; a potem widocznie przypomniało mu się, jak chciał Marysię z nędzy topić, bo znowu wołał: —Dziecko, odpuść! odpuść!

—
Ona biedaczka leżała u wezgłowia ze łkaniem... Orlik wiosłował i łzy dusiły go za gardło...

Wieczorem wypogodziło się. Słońce w chwili zachodu pokazało się nad zalaną okolicą i odbiło się w wodzie długą, złocistą taśmą. Stary zaczął konać. Bóg jednak zmiłował się nad nim i dał mu śmierć pogodną. Z początku powtarzał żalonym głosem: —Odjechałem od Polski, od tamtej ziemi, ale potem w obłędzie gorączki zdało mu się, że do niej wracał. Ot, widzi mu się, że stary pan z Nowego Jorku dał na drogę i na odkupno kolonii, więc oboje z Marysią jadą z powrotem. Są na oceanie, okręt płynie dzień i noc, majtkowie śpiewają. Potem widzi ten port w Hamburgu, z którego wyjechał, miasta różne migają mu w oczach, mowa niemiecka brzmi naokoło, ale pociąg leci naprzód, więc Wawrzon czuje, że coraz bliżej jest domu, jakaś radość rozdyma mu pierś, jakieś powietrze inne, kochane zalatuje go od stron rodzinnych... Co to? Granica. Biedne chłopskie serce bije jak młotem... Jedźcie dalej! Boże, Boże! a to już i pola, i grusze Maćkowe... ich chałupy szare i kościoły. Tam chłop w baranej czapce chodzi za pługiem. On ręce do niego z wagonu wyciąga. Gospodarzu, gospodarzu!...

mówić nie może. Jadą dalej. A tam co? Miasto Przyrębłe, a za Przyrębłami Lipińce. Idą oboje z Marysią drogą i płaczą. Jest wiosna. Zboże kwitnie... chrabąszcze brzęczą w powietrzu... w Przyrębłach dzwonią na Anioł Pański... Jezu! Jezu! za co tyle szczęścia jemu grzesznemu?

Jeszcze przez tę górkę, a tam już krzyż i drogowskaz, i lipinińska granica. Już nie idą, ale...

leczą jakby na skrzydłach, już są na górze, przy krzyżu, przy drogoskazie. Chłop rzuca się na ziemię i ryczy ze szczęścia, i ziemię całuje, i czołgając się do krzyża obejmuje go rękoma: już jest w Lipińcach. Tak jest. On już w Lipińcach, bo tylko martwe jego ciało spoczywa na zabłąkanej wśród powodzi tratwie, a dusza poleciała tam, gdzie jej szczęście i spokój.

Próżno dziewczyna zawodzi nad nim: —Tatulu, tatulu!! Biedna Marysiu, nie wróci on do ciebie! Jemu za dobrze w Lipińcach.

Nadeszła noc. Orlikowi wypadała już tyczka z ręki od wiosłowania i głód dokuczał. Marysia klęcząc nad ciałem ojca odmawiała przerywanym głosem pacierze, naokół aż do ostatnich krańców horyzontu widać było tylko topiel wodną.

Wpłynęli w łozysko jakiejś większej rzeki, bo prąd znowu szybko unosił tratwę. Niepodobna było nią kierować. Może to jednak były i wiry, kręcące się nad wklęsnięciami stepu, bo często niosło ich kołem. Orlik czuł, że go siły opuszczają, gdy nagle zerwał się na równe nogi i krzyknął:

- Na rany Chrystusa! Tam światło!

Marysia spojrzała w kierunku, w którym wyciągał rękę. Istotnie na dalekości błyskał jakoby ogieniek, z którego smuga odbijała się w wodzie.

- To łódź z Clarcsville! - mówił szybko Orlik. - Jankesy wysłali ją na ratunek. Byle nas nie minęli... Maryś, uratuję cię. Hoop! hoop!

Jednocześnie wiosłował z największym wysiłeniem. Jakoż ogień rósł im w oczach, a w czerwonym jego świetle zarysowało się coś jakby wielka łódź. Była jeszcze bardzo daleko, ale zbliżali się. Po jakimś jednak czasie Orlik ujrzał, że łódź nie posuwa się naprzód.

Wpłynęli na wielki i szeroki prąd, idący w stronę przeciwną statku.

Nagle tyczka pękła z natężenia w Orlikowym ręku. Byli bez wiosła. Prąd odnosił ich coraz dalej, światło zmniejszało się. Na szczęście tratwa po kwadransie trafiła na drzewo stojące samotnie na stepie i uwięzła w jego gałęziach.

Zaczęli oboje wzywać krzykami pomocy, ale szum prądu głuszył ich głosy.

- Strzelę - rzekł Orlik - światło zobaczą, huk usłyszą.

Ledwie pomyślał, już podniósł w górę lufę karabinu, ale zamiast strzału dało się słyszeć głuche klapnięcie kurka o panewkę. Proch zamókł.

Orlik rzucił się na tratwę jak długi. Nie było rady. Przez chwilę leżał martwy; na koniec podniósł się i mówił:

- Maryś... Inną dziewczkę dawno bym ja wolą niewolą wziął i w lasy poniósł. Myślałem i z tobą tak zrobić, alem nie śmiał, bom cię umiłował. Chodziłem jak wilk sam po świecie i ludziska się mnie bali, a ja się ciebie zląkłem, i ot, Maryś, tyś mi chyba zadała co... Ale nie maszże ty mnie poślubić: lepsza śmierć! Wyratuję cię albo zginę; ale jeśli zginę, ty mnie, serdeczna, pożałuj i pacierz za mnie zmów. Com ci przewinił?... Krzywdym ci nie zrobił. Ej! Maryś, Maryś! bądź zdrowa, kochanie moje, słońce moje...

I nim się zmiarkowała, co chce czynić, rzucił się na wodę i począł płynąć. Przez chwilę widziała w ciemności jego głowę i ramiona prujące wodę mimo prądu, bo pływak był dzielny.

Ale wkrótce zniknął jej z oczu. Płynął do łodzi po ratunek dla niej. Wartki pęd wody hamował jego ruchy, jakby go coś w tył ciągnęło, wydierał się i zdązał naprzód. Gdyby mógł

wyminąć ten prąd, gdyby trafił na jaki inny, dopłynąłby z pewnością. Tymczasem mimo nadludzkich usiłowań z wolna tylko mógł się posuwać. Gęste, żółtawe wody rzucały mu częstokroć pianę w oczy, więc wznosił głowę, nabierał oddechu i wzrok wyteżał w ciemność, by dojrzeć, gdzie łódź ze światłem. Czasem gwałtowniejsza fala cofnęła go, czasem uniosła w górę, oddychał coraz trudniej, czuł, że kolana mu tężeją. Pomyślał: „Nie dopłynęł”, ale wtem szepnęło mu coś w ucho, jakby kochany głos Marysi: —Ratuj mniel, i znowu jął rozpaczliwie rozcinać wodę rękoma. Policzki jego wydymały się, usta wyrzucały wodę, oczy wychodziły na wierzch... Gdyby wrócił, jeszcze by z prądem dopłynął do tratwy, ale on nawet o tym nie myślał, bo światło łodzi było bliżej i bliżej. Istotnie i łódź popłynęła ku niemu, niesiona tym samym prądem, z którym on walczył. Nagle uczył, że kolana i nogi zeszytywniały mu zupełnie. Jeszcze kilka rozpaczliwych wysileń... łódź coraz bliżej... —Pomocy! ratunku!...||

Ostatni wyraz stłumiła woda, która zalała mu gardło. Zanurzył się. Fala przeszła nad jego głową, ale wypłynął znowu. Łódź tuż, tuż. Słyszcy już plusk i chrobotanie wiosel o boki statku: ostatni raz natęża głos i wzywa pomocy. Dosłyszano go, bo plusk stał się szybszy. Ale Orlik zanurzył się znowu.

Porwał go potworny wir... Przez chwilę jeszcze zaczerniał na fali, potem jedna tylko jego ręka wzniosła się nad wodę, potem druga, a potem zniknął w topieli...

Tymczasem Marysia sama na tratwie, tylko z trupem ojca, patrzyła jak błędna w dalekie światło.

Ale prąd niósł je ku niej. Zarysowała się łódź o kilkunastu wiosłach, które przy blasku ognia poruszały się jak czerwone nogi jakiegoś wielkiego robaka, Marysia poczęła krzyczeć rozpaczliwie.

- Hej, Smith! - ozwał się po angielsku jakiś głos. - Niech mnie powiesz, jeśli nie słyszałem wołania o pomoc i jeśli nie słyszę znowu.

Za chwilę silne ręce przeniosły Marysię do czółna, ale Orlika w tym czólnie nie było.

W dwa miesiące potem Marysia wyszła ze szpitala w Little-Rock i za pieniądze zebrane przez dobrych ludzi pojechała do Nowego Jorku.

A pieniędzy tych nie było dość. Część drogi musiałyby robić piechotą, jednakże mówiąc już trochę po angielsku umiała wyprosić sobie u konduktorów, że ją zabierali darmo. Wielu ludzi miało litość nad tą biedną, schorowaną, szerniałą dziewczyną, o wielkich niebieskich oczach, podobniejszą do cienia niż do człowieka i żebrzącą łzami o miłosierdzie. Nie ludzie też 140

znęcali się nad nią, ale życie i jego warunki. Co w tym amerykańskim wirze, w tym olbrzymim — *businessie* miał robić ten polny kwiatek lipiniecki? Jak sobie radzić? Wóz też tamtejszy musiał przejechać przez nią i zgnieść jej wątłe ciało, jak każdy wóz przejeżdża po kwiatach, co na jego drogę padły...

Wychudła, drżąca z osłabienia ręka targała za dzwonek przy Water-Street w Nowym Jorku.

To Marysia szła szukać pomocy u starego pana, rodem spod Poznania.

Otworzył jej obcy jakiś, nie znany człowiek.

- Mister Złotopolski w domu?

- Kto to jest?

- Wiekowy pan. - Tu pokazała kartę.

- Umarł.

- Umarł? A syn... Pan Wiliam?

- Wyjechał.

- A panna Joanna?

- Wyjechała.

Drzwi zamknęły się przed nią. Siadła na progu i zaczęła sobie twarz ocierać. Była znowu w Nowym Jorku, sama, bez pomocy, bez opieki, bez pieniędzy, na woli Bożej.

Czy tam zostanie? Nigdy! Pójdzie oto do portu, do niemieckich doków podejmować pod nogi kapitanów i prosić, by ją zabrali, a jeśli się zmiłują, to o żebranym chlebie przejdzie Niemcy i wróci do Lipiniec. Tam jej Jaśko. Ona prócz niego nie ma już nikogo na szerokim świecie.

Jeśli on jej nie przygarnie, jeśli zapomniał, jeśli odepchnie, to chociaż umrze blisko niego.

Poszła do portu i czołgała się u nóg niemieckich kapitanów... Oni by ją zabrali; bo gdyby się tylko trochę odżywiła, byłaby z niej ładna dziewczyna. Oni by radzi, ale cóż? Prawa nie pozwalają... zresztą zgorzenie... Niech więc im da pokój.

Dziewczyna chodziła sypiać na ten sam pomost, na którym raz już spali z ojcem, owej pamiętnej nocy, gdy ją chciał topić. Żywiła się tym, co wyrzucała woda, jako się w Nowym Jorku z ojcem żywili. Szczęściem, lato było... ciepło...

Co dzień, ledwie rozedniało, już była przy niemieckich dokach żebrac łaski i co dzień na próżno. Ale miała wytrwałość chłopską. Tymczasem siły ją opuszczały. Czuła, że jeśli zaraz nie pojedzie, to niedługo umrze, jak pomarli wszyscy, z którymi ją doła wiązała.

Pewnego poranku przywlokła się z wysileniem i z tą myślą, że to chyba już ostatni raz, bo jutro sił nie starczy. Postanowiła nie prosić, jeno dostać się na pierwszy lepszy statek odchodzący do Europy i schować się gdzieś na dnie cichutko. Gdy już wypłyną i znajdą, przecież ją w wodę nie wrzucą, a wrzucą, to i cóż? Jedno jej, jak umierać, jeśli umierać trzeba. Ale przy mostku prowadzącym na okręt pilnowano dobrze wchodzących i strażnik odepchnął ją przy pierwszej próbie. Siadła tedy na palu przy wodzie i pomyślała sobie, że ją chyba gorączka chwyta. Jakoż zaczęła się uśmiechać i mrużyć:

- Jać dziedziczka, Jaśku, alem ci wiary dochowała. Cóż, ty mnie nie znasz?

Biedaczka dostała nie gorączki, ale obłąkania. Odtąd przychodziła codziennie do portu wyglądać Jaśka. Ludzie przyzwyczaili się do niej i obdarzali czasem jałmużną. Ona dziękowała pokornie, uśmiechając się jak dziecko. Trwało tak ze dwa miesiące. Pewnego jednak razu nie przyszła do portu i odtąd nie widziano jej więcej. Gazeta tylko policyjna doniosła dnia następnego, że na samym krańcu portu znaleziono ciało zmarłej dziewczyny niewiadomego nazwiska i pochodzenia.

141

[Janko Muzykant](#)

Przyszło to na świat wątłe, słabe. Kумы, co się były zebrały przy tapczanie położnicy, kręciły głowami i nad matką, i nad dzieckiem. Kowalka Szymonowa, która była najmądrzejsza, poczęła chorą pocieszać:

- Dajta - powiada - to zapalę nad wami gromnicę, juże z was nic nie będzie, moja kumo; już wam na tamten świat się wybierać i po dobrodzieja by posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił.

- Ba! - powiada druga - a chłopaka to zara trza ochrzcić; on i dobrodzieja nie doczeka, a -

powiada - błogo będzie, co choć i strzygą się nie ostanie.

Tak mówiąc zapaliła gromnicę, a potem wzięwszy dziecko pokropiła je wodą, aż poczęło oczki mrużyć, i rzekła jeszcze:

- Ja ciebie —krzcęł w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego i daję ci na przyzwisko Jan, a terazże, duszo —krześcijańskall, idź, skądś przyszła. Amen.

Ale dusza chrześcijańska nie miała wcale ochoty iść, skąd przyszła, i opuszczać chuderlawego ciała, owszem, poczęła wierzgać nogami tego ciała, jako mogła, i płakać, chociaż tak słabo i żałośnie, że jak mówiły kumy: —myślałby kto, kocię nie kocię albo co!ł

Posłano po księdza; przyjechał, zrobił swoje, odjechał, chorej zrobiło się lepiej. W tydzień wyszła baba do roboty. Chłopak ledwo zipał, ale zipał; aż w czwartym roku okukała kukułka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakim takim zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłymi policzkami; czuprynę miał

konopną, białą prawie i spadającą na jasne, wytrzeszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie przepasanej krajką i w słomianym —kapalusieł, spod którego obdartej kani spoglądał, zadzierając jak ptak głowę do góry. Matka, biedna komornica, żyjąca z dnia na dzień niby jaskółka pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale biła dość często i zwykle nazywała —odmieńcemł. W ósmym roku chodził już jako potrzódka za bydłem lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i jak wiejskie dzieciaki przy rozmowie z ludźmi palec do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Nie wiadomo, skąd się to takie ulęło, ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrośł, tak już o niczym innym nie myślał. Pójdzie, bywało, do boru za bydłem albo z dwojakami na jagody, to się wróci bez jagód i mówi szepleniąc:

- Matulu! tak ci coś w boru —grrałoł. Oj! Oj!

A matka na to:

- Zagram ci ja, zagram! nie bój się!

Jakoż czasem sprawiała mu warząchwią muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a taki myślał, że tam coś w boru grało... Co? Albo on wiedział?... Sosny, buki, brzezina, wilgi, wszystko grało: cały bór, i basta!

Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupą ćwirkotały wróble, aż się wiśnie trzęsły!

Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów, jakie są na wsi, i pewno myślał sobie, że cała wieś gra. Jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucał, to mu nawet wiatr grał w widłach.

142

Zobaczył go tak raz karbowy, stojącego z rozrzuconą czupryną i słuchającego wiatru w drewnianych widłach... zobaczył i odpasawszy rzemyka dał mu dobrą pamiątkę. Ale na co się to zdało! Nazywali go ludzie —Janko Muzykant!!... Wiosną uciekał z domu kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na łąkach derkotać, bąki po rosie burczyć; gdy koguty piały po zapłociach, to on spać nie mógł, tylko słuchał i Bóg go jeden wie, jakie on i w tym nawet słyszał granie... Do kościoła matka nie mogła go brać, bo jak, bywało, zahuczą organy lub zaśpiewają słodkim głosem, to dziecku oczy tak mgłą zachodzą, jakby już nie z tego świata patrzyły...

Stójka, co chodził nocą po wsi i aby nie zasnąć, liczył gwiazdy na niebie lub rozmawiał po cichu z psami, widział nieraz białą koszulę Janka, przemykającą się w ciemności ku karczmie.

Ale przecież chłopak nie do karczmy chodził, tylko pod karczmę. Tam przyczaiwszy się pod murem, słuchał. Ludzie tańcowali obertasa, czasem jaki parobek pokrzykiwał: —U-ha!!

Słysząc było tupanie butów, to znów głosy dziewczyn: —Czegóż?!! Skrzypki śpiewały cicho:

—Będziem jedli, będziem pili, będziwa się weselili, a basetla grubym głosem wtórowała z powagą: —Jak Bóg dał! jak Bóg dał!! Okna jarzyły się światłem, a każda belka w karczmie zdawała się drgać, śpiewać i grać także, a Janko słuchał!...

Co by on za to dał, gdyby mógł mieć takie skrzypki grające cienko; —Będziem jedli, będziem pili, będziwa się weselili.!! Takie deszczułki śpiewające. Ba! ale skąd ich dostać? gdzie takie robią? Żeby mu przynajmniej pozwolili choć raz w rękę wziąć coś takiego!... Gdzie tam!

Wolno mu tylko było słuchać, toteż i słuchał zwykle dopóty, dopóki głos stójki nie ozwał się za nim z ciemności: - Nie pójdieszże ty do domu, utrapieńcze?

Więc wówczas zmykał na swoich bosych nogach do domu, a za nim biegł w ciemnościach głos skrzypiec: —Będziem jedli, będziem pili, będziwa się weselili, i poważny głos basetli:

—Jak Bóg dał! Jak Bóg dał! Jak Bóg dał!!

Gdy tylko mógł słyszeć skrzypki, czy to na dożynkach, czy na weselu jakim, to już dla niego było wielkie święto. Właził potem za piec i nic nie mówił po całych dniach, spoglądając jak kot błyszczącymi oczyma z ciemności. Potem zrobił sobie sam skrzypki z gonta i włosienia końskiego, ale nie chciały grać tak pięknie jak tamte w karczmie: brzęczały cicho, bardzo cichutko, właśnie jak muszki jakie albo komary. Grał jednak na nich od rana do wieczora, choć tyle za to odbierał szturchańców, że w końcu wyglądał jak obite jabłko niedojrzałe. Ale taka to już była jego natura. Dzieciaczyna chudł coraz bardziej, brzuch tylko zawsze miał

duży, czuprynę coraz gęstsza i oczy coraz szerzej otwarte, choć najczęściej łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiej i głębiej...

Wcale nie był jak inne dzieci, był raczej jak jego skrzypki z gonta, które zaledwie brzęczały.

Na przednówku przy tym przymierał głodem, bo żył najczęściej surową marchwią i także chęcią posiadania skrzypek.

Ale ta chęć nie wyszła mu na dobre.

We dworze miał skrzypce lokaj i grywał czasem na nich szarą godziną, aby się podobać pannie służącej. Janko czasem podczołgiwał się między łopuchami, aż pod otwarte drzwi kredensu, żeby im się przypatrzeć. Wisiały właśnie na ścianie naprzeciw drzwi. Więc tam chłopak duszę swoją całą wysyłał ku nim przez oczy, bo mu się zdawało, że to niedostępna jakaś dla niego świętość, której niegodzien tknąć, że to jakieś jego najdroższe ukochanie. A jednak pożył ich. Chciałby przynajmniej raz mieć je w ręku, przynajmniej przypatrzeć się im bliżej... Biedne małe chłopskie serce drżało na tę myśl ze szczęścia.

Pewnej nocy nikogo nie było w kredensie. Państwo od dawna siedzieli za granicą, dom stał

pustkami, więc lokaj przesiadywał na drugiej stronie u panny pokojowej. Janko, przyczajony w łopuchach, patrzył już od dawna przez otwarte szerokie drzwi na cel wszystkich swych pożądań. Księżyc właśnie na niebie był pełny i wchodził ukośnie przez okno do kredensu, odbijając je w kształcie wielkiego jasnego kwadratu na przeciwległej ścianie. Ale ten kwadrat zbliżał się powoli do skrzypiec i w końcu oświetlił je zupełnie. Wówczas w ciemnej głębi 143

wydawało się, jakby od nich biła światłość srebrna; szczególnie wypukłe zgięcia oświecone były tak mocno, że Janek ledwie mógł patrzeć na nie. W onym blasku widać było wszystko doskonale: wcięte boki, struny i zagiętą rączkę. Kołeczki przy niej świeciły jak robaczki świętojańskie, a wzdłuż zwieszał się smyczek na kształt srebrnego pręta...

Ach! wszystko było śliczne i prawie czarodziejskie; Janek też patrzył coraz chciwiej.

Przykucnięty w łopuchach, z łokciami opartymi o chude kolana, z otwartymi ustami patrzył i patrzył. To strach zatrzymywał go na miejscu, to jakaś nieprzewyciężona chęć pchała go naprzód. Czy czary jakie, czy co?... Ale te skrzypce w jasności czasem zdawały się przybliżać, jakoby płynąc ku dziecku... Chwilami przygasały, aby znowu rozpromienić się jeszcze bardziej. Czary, wyraźne czary! Tymczasem wiatr powiał; zaszumiały cicho drzewa, załopotwały łopuchy, a Janek jakoby wyraźnie usłyszał:

- Idź, Janku! w kredensie nie ma nikogo... idź, Janku!...

Noc była widna, jasna. W ogrodzie dworskim nad stawem słowik zaczął śpiewać i pogwizdywać cicho, to głośniej: —Idź! pójdź! weź!! Lelek pocziwy cichym lotem zakręcił się koło głowy dziecka i zawołał: —Janku, nie! nie!! Ale lelek odleciał, a słowik został i łopuchy coraz wyraźniej mruczały: —Tam nie ma nikogo!! Skrzypce rozpromieniły się znowu...

Biedny, mały, skulony kształt z wolna i ostrożnie posunął się naprzód, a tymczasem słowik cichuteńko

pogwizdywał: —Idź! pójdź! weź!!

Biała koszula migotała coraz bliżej drzwi kredensowych. Już nie okrywają jej czarne łopuchy.

Na progu kredensowym słyhać szybki oddech chorych piersi dziecka. Chwila jeszcze, biała koszulka znikła, już tylko jedna bosa nóżka wystaje za progiem. Na próżno, lelku, przelatujesz jeszcze raz i wołasz: —Nie! nie!! Janek już w kredensie.

Zarzechotały zaraz ogromnie żaby w stawie ogrodowym, jak gdyby przestraszone, ale potem ucichły. Słowik przestał pogwizdywać, łopuchy szemrać. Tymczasem Janek czołgał się cicho i ostrożnie, ale zaraz go strach ogarnął. W łopuchach czuł się jakby u siebie, jak dzikie zwierzątko w zaroślach, a teraz był jak dzikie zwierzątko w pułapce. Ruchy jego stały się nagłe, oddech krótki i świszczący, przy tym ogarnęła go ciemność. Cicha, letnia błyskawica, przeleciawszy między wschodem i zachodem, oświeciła raz jeszcze wewnątrz kredensu i Janka na czworakach przed skrzypcami z głową zadartą do góry. Ale błyskawica zgasła, księżyc przesłoniła chmurka i nic już nie było widać ani słyhać.

Po chwili dopiero z ciemności wyszedł dźwięk cichutki i płaczliwy, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął - i nagle...

Gruby jakiś, zaspany głos, wychodzący z kąta kredensu spytał gniewliwie:

- Kto tam?

Janek zataił dech w piersiach, ale gruby głos spytał powtórnie:

- Kto tam?

Zapałka zaczęła migotać po ścianie, zrobiło się widno, a potem... Eh! Boże! Słyhać klątwy, uderzenia, płacz dziecka, wołanie: O! dlaboga! szczekanie psów, bieganie świateł po szybach, hałas w całym dworze...

Na drugi dzień biedny Janek stał już przed sądem u wójta.

Mieliż go tam sądzić jako złodzieja?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał

przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonymi zalękłymi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, nie wiedzący, gdzie jest i czego od niego chcą? Jakże tu sądzić taką biedę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi? Do więzienia ją posłać czy jak?... Trzebaż przy tym mieć trochę miłosierdzia nad dziećmi. Niech go tam weźmie stójka, niech mu da różgą, żeby na drugi raz nie kradł, i cała rzecz.

- Bo pewno!

Zawołali Stacha, co był stójką:

- Weź go ta i daj mu na pamiątkę.

Stach kiwnął swoją głupowatą, zwierzęcą głową, wziął Janka pod pachę, jakby jakiego kociaka, i wyniósł ku stodółce. Dziecko, czy nie rozumiało, o co chodzi, czy się zalekło, dość że nie ozwało się ni słowem, patrzyło tylko, jakby patrzył ptak. Albo on wie, co z nim zrobią?

Dopiero jak go Stach w stodole wziął garścią, rozciągnął na ziemi i podgiąwszy koszulinę machnął od ucha, dopieroż Janek krzyknął:

- Matulu! - i co go stójka różgą, to on - —Matulu! matulu!!!, ale coraz ciszej, słabiej, aż za którymś razem ucichło dziecko i nie wołało już matuli...

Biedne, potrzaskane skrzypki!...

- Ej, głupi, zły Stachu! któż tak dzieci bije? Toż to małe i słabe, i zawsze było ledwie żywe.

Przyszła matka, zabrała chłopaka, ale musiała go zanieść do domu... Na drugi dzień nie wstał

Janek, a trzeciego wieczorem konał już sobie spokojnie na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem.

Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyzbą; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochraną główkę dziecka i twarz, w której nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść.

Dobrze, że choć w chwilę śmierci odchodziła szeroką, słoneczną drogą, bo za życia szła po prawdzie ciernistą. Tymczasem wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem, a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno.

Był to wieczór, więc dziewczęta wracające od siana śpiewały: —Oj, na zielonej, na runi!!, a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta.

Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept:

- Matulu?...

- Co, synku? - ozwała się matka, którą dusiły łzy...

- Matulu, Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki?

- Da ci, synku, da! - odrzekła matka; ale nie mogła dłużej mówić, bo nagle z jej twardej piersi buchnęła wzbierająca żalność, więc jęknąwszy tylko: —O Jezu! Jezu!!, padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania...

Jakoż nie wydarła go, bo gdy podniósłszy się znowu spojrziała na dziecko, oczy małego grajka były otwarte wprawdzie, ale nieruchome, twarz zaś poważna bardzo, mroczna i stężała.

Promień słoneczny odszedł także...

Pokój ci, Janku!

*

Nazajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch wraz z panną i kawalerem, co się o nią starał.

Kawaler mówił:

- Quel beau pays que l'Italie.

- I co to za lud artystów. On est heureux de chercher là-bas des talents et de les protéger... - dodała panna.

Nad Jankiem szumiały brzozy...

145

.
. .
. .
. .
. .

Omówienie

Nowelistyczną twórczość Henryka Sienkiewicza (dominowała w jego pisarstwie do r. 1883) można ułożyć w trzy, krzyżujące się kręgi tematyczne:

— chłopski,

— antyzaborczo-patriotyczny,

— amerykański (będący wynikiem obserwacji podjętych w podróży do Ameryki w l. 1876-78).

Jako motyw najczęstszy powraca w nich niezawiniona niedola bohaterów: bezradność ciemnego i oszukanego chłopca (—Szkice węglem, —Bartek Zwycięzca), bezradność krzywdzonego dziecka (—Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela), obraz skutków cywilizacji (—Orsol, —Sachem)

Narracja tych utworów oscyluje pomiędzy ujęciem groteskowym (zwłaszcza w nowelach chłopskich) a liryczno-patetycznym. Sienkiewicz zmierzał w stronę umiaru i harmonii stosowanych efektów, dbał o powściągliwość stylistyczną i starał się osiągnąć zwartość kompozycyjną oraz efektowne zakończenie. Dużo uwagi poświęcał też elementom opisowym, celując w perspektywicznym ujęciu krajobrazu oraz w oddaniu jego kolorystycznych i świetlnych walorów.

“Bartek Zwycięzca” (1882)

Treść utworu

Bartek Słowik z wielkopolskiego Pogonębina zostaje powołany do niemieckiego wojska na wojnę z Francją. Nie rozumie, że walczy za cudzą sprawę i jest dumny ze zdobytych odznaczeń. Wraca do domu osłabiony i zdemoralizowany. Gospodarstwo podupada i jego żona, Magda, musi zadłużyć się u Niemców. Bartek wdaje się w bójkę z niemieckim nauczycielem, który uderzył jego syna i zostaje skazany na 3 miesiące więzienia. Żona dziedzica Pogonębina, pani Jarzyńska, obiecuje pomoc, jeśli w wyborach do berlińskiego parlamentu Bartek będzie głosował na jej męża. Jednak Słowik, posłuszny nakazowi landrata i pruskich oficerów, oddaje głos na niemieckiego kandydata. On też zostaje wybrany.

—Zwycięzca spod Sedanu¹ traci gospodarstwo i musi odsiedzieć karę.

Problematyka

losy biednego, ciemnego chłopca wykorzystywanego przez zaborców groźba wynarodowienia Polaków w zaborze pruskim, siła propagandy Bohaterowie

Bohater utworu to ofiara antypolskiej polityki pruskiej w Poznaniu:

— zostaje wcielony do obcej armii i wykorzystany; walczy i naraża swoje życie w imię obcego, wrogiego państwa, zaborcy i gnębiiciela narodu polskiego,

— ogłupiony propagandą, walczy dzielnie, z niesłychanym oddaniem, męstwem i zapałem, w czym pomaga mu niezwykła siła fizyczna, poczucie dyscypliny i chłopska zaciętość,

— wierzy naiwnie, że dopomoże tym rodakom z Poznańskiego, Zaborcy wykorzystują jego bohaterstwo oraz źle pojęte poczucie obowiązku. Za brak pełniejszej świadomości narodowej w masach chłopskich winę ponoszą sfery ziemiańskie i inteligencja.

146

— leniwy, porywczy, skłonny do pijaństwa, ale pełen wiary w przyszłość powraca do domu, bo "czego by nie chciał, to mu dadzą", ponieważ "rząd dobrze wie, kto najlepiej prał

Francuzów"

— tu wierząc w sprawiedliwość broni dziecka krzywdzonego przez nauczyciela,

— nie mając absolutnie rozeznania politycznego i narodowego oddaje swój głos na niemieckiego kandydata,

— pozbawiony gospodarstwa rusza do miasta - —tak odwdzięczyli się Niemcy zwycięzcy spod Gravelotte².

Chłop spełnia swoje obowiązki wobec państwa, ale ono nic nie robi w jego obronie.

“Szkice węglem” (1877)

Treść utworu

Druga połowa XIX w., zabór rosyjski. W wójtowej kancelarii we wsi Barania Głowa pisarz gminny Zołzikiewicz namawia wójta Burka, aby zamiast jego syna oddał do wojsk chłopą, Warzona Rzepę. Młoda Rzepowa podoba się pisarzowi. Ten udaje się więc do zagrody gospodarzy i pod nieobecność męża napastuje młodą kobietę. W obronie gospodyni staje pies.

Zdenerwowany pisarz odgraża się, że pośle Rzepę —w żołdacy. Kilka dni później Burak i ławnik Gomuła upijają Rzepę, a Zołzikiewicz podsuwa mu do podpisania umowę, okłamując, że dotyczy ona lasu. Po przebudzeniu chłop dowiaduje się, że podpisał kontrakt w ramach którego ma pójść do wojsk. Następnego dnia Rzepowie idą do gminy ze skargą. Jednak Zołzikiewicz tak przedstawia sprawę, że Rzepa zostaje skazany na dwie doby więzienia oraz wniesienie opłaty —na kancelaryjnell. W niedzielę po nabożeństwie Rzepowa idzie do księdza, by prosić go o pomoc. Duchowny radzi oddać się modlitwie. Z kolei dziedzic Skorabiewski nie chce mieszać się do spraw wsi i chłopów. Rzepowie decydują się przedstawić sprawę naczelnikowi powiatu. Kobieta rusza z małym dzieckiem do miasteczka Osłowice, oddalonego o trzy mile. Dotarłszy na miejsce, jest tak zmęczona, zagubiona i wystraszona, że urzędnicy sądząc, iż jest pijana, odprawiają ją z niczym. W drodze powrotnej dwukrotnie traci przytomność. Tymczasem mąż pije z rozpacz. Żyd radzi nieszczęsnej, by udała się do Zołzikiewicza. Pisarz natychmiast wykorzystuje okazję i uwodzi kobietę. Po jej powrocie do domu Rzepa zabija ją siekierą i podpala dworskie zabudowania. Z epilogu dowiadujemy się, że pisarz doskonale zdawał sobie sprawę, że dokument podpisany przez Rzepę nie ma żadnej wartości, liczył jednak na ciemnotę chłopów. Uniknąwszy zemsty zdradzonego męża, cieszy się nadal szacunkiem i pełni funkcję urzędniczą.

Problematyka

Autor posługuje się tu narracją gawędziarską, obfitującą w liczne dygresje, felietonową, pozornie żartobliwą. Krytykuje stosunki panujące na wsi powłaszczeniowej.

Nowela ukazuje niedolę i wyzysk chłopą w Królestwie po uwłaszczeniu: Bohaterowie

Wawrzon Rzepa to:

— ciemny, zacofany, prymitywny i naiwny chłop,

— posiada zaledwie trzy morgi ziemi, na utrzymanie rodziny dorabia pracą w lesie, [\(cytat\)](#)

— przekroczył już wiek poborowy i nie grozi mu pobór do wojsk, ale niepiśmienny i nieświadomy swoich praw daje się zwieść intrydze urzędnika. [\(cytat 1, cytat 2, cytat 3\)](#)

Jego żona to:

— łatwowierna i bezkrytyczna kobieta bardzo oddana mężowi i rodzinie,

— z całych sił próbuje pomóc mężowi, ale jej zabiegi nie przynoszą żadnego skutku; popełnia błędy z

nieświadomości. ([cytat 1](#), [cytat 2](#), [cytat 3](#), [cytat 4](#), [cytat 5](#), [cytat 6](#))

Sprawcami nieszczęść rodziny są na równi:

— pisarz gminny (oszust, łapówkarz i denuncjator, uosobienie negatywnych cech carskiego 147

aparatu władzy; jako młody chłopak brał udział w powstaniu styczniowym, ale schwytyany w niewolę szybko zmienił się w szpiega; teraz robi karierę wykorzystując ciemnotę chłopów i ich lęk przed władzą), ([cytat 1](#), [cytat 2](#), [cytat 3](#), [cytat 4](#), [cytat 5](#))

— ziemiaństwo (nie interesuje się sprawami chłopów, uchyla od pracy w samorządach wiejskich; obojętne na sprawy wsi), ([cytat 1](#), [cytat 2](#), [cytat 3](#))

— kler (obojętny na krzywdę ludzi, koi cierpienia jedynie modlitwą, a w rzeczywistości wspiera bogaczy). ([cytat](#))

“Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela” (1879 r.) Treść utworu

Korepetytor Wawrzyńkiewicz wspomina swego ucznia Michasia. Matka chłopca, która straciła męża w powstaniu styczniowym, pokładała w synu wielkie nadzieje. Obciążony tą świadomością jedenastoletni uczeń pruskiego gimnazjum tracił zdrowie, ślęcząc nad książkami do późnej nocy. Nie uzyskiwał jednak zadawalających wyników, gdyż nie potrafił

znieść szykan narodowych i nienaturalnych warunków nauczania. Usunięty ze szkoły, zachorował na zapalenie mózgu i umarł.

Problematyka

Utwór napisany w formie pamiętnika. Nowela wydana wprawdzie w Lwowie, pt. —Z pamiętnika korepetytora (ukazuje stosunki panujące w szkolnictwie warszawskim), następnie w Warszawie, ale ze względu na cenzurę pod zmienionym tytułem.

Nowela ukazuje los dziecka w szkole zaborczej:

— bezlitosne tępienie wszelkich przejawów polskości poprzez prześladowanie mowy i kultury polskiej oraz dławienie uczuć patriotycznych,

— dręczenie dzieci wrogim systemem (śledzenie, podejrzewanie, straszenie, stosowanie surowych kar),

Bohaterowie

Michaś - jedenastoletni chłopak, pochodzący z rodziny o bogatych tradycjach patriotycznych; rodzina chłopca (Matka i siostra Lola) mieszka we wsi Zalesiu, on z panem Wawrzyńkiewiczem wynajmuje pokój w Poznaniu, tam też uczęszcza do szkoły.

Michaś jest dzieckiem delikatnym, drobnym i wątłym, bardzo kocha swą matkę, dla niej stara się

uczyć jak najwięcej, bowiem wie, że ona pokłada w nim wielkie nadzieje i jest przekonana o jego zdolnościach. Pracuje on ponad siły, jego niepowodzenia szkolne wynikają z tego, że niezbyt dobrze opanował język niemiecki, nie potrafi się nim biegle posługiwać, mówi z polskim akcentem.

Jest uczuciowy i wrażliwy - głęboko przeżywa każde niepowodzenie. Wychowany w tradycji patriotycznej czuje się urażony, znieważony i szykanowany w niemieckiej szkole.

Wawrzynkiewicz - korepetytor Michasia, bardzo przywiązany i serdeczny w stosunku do niego i jego rodziny; równocześnie narrator opowiadania.

“Sachem”

Treść utworu

Miejszem akcji jest Antylopa, miasto w Teksasie założone przez niemieckich osadników na zgliszczach indiańskiej osady Chiavatty. Jej mieszkańcy (plemię Czarnych Węzów) zostało wymordowane przez osadników. Ostatni przedstawiciel plemienia, syn sachema (wodza), został uratowany z rzezi i wychowany w cyrkowej trupie.

Kilkanaście lat później do miasteczka przyjeżdża cyrk i zapowiada się interesujący występ Sachema.

148

Cyrek zapełnił się do ostatniego miejsca. Sachem podczas występów "na grobach swych ojców" śpiewa po niemiecku straszną pieśń zemsty, grożąc zgromadzonej publiczności. Jego słowom towarzyszył gest: zamierzył się jakby chciał rozbić trzymanym w ręku drągiem lampę naftową i podpalić cyrk, lecz nagle zniknął. Widzowie zamarli.

Po chwili artysta powrócił na arenę, kłaniając się nisko. Do trzymanej w ręku miski zbierał datki. Po przedstawieniu bawił się z widzami w miejscowej knajpie.

Problematyka

Utwór porusza kwestię wynaradawiania Indian w Ameryce:

— akcja rozgrywa się ok. 1879 r. i sięga lat 50-tych XIX w., okresu najintensywniejszej kolonizacji Ameryki Północnej,

Utwór ukazując tragedię Indian jest wstrząsającym protestem przeciw krzywdzie i tragedii ludzkiej. Wyraźna jest analogia między Indianami w Ameryce a Polakami pod zaborami, poddanymi zabiegom germanizacji i rusyfikacji.

Bohaterowie

Bohaterem jest Sachem, Indianin, który pod wpływem środowiska nie tylko zapomniał o swym pochodzeniu, ale wręcz wyparł go się, wyrażając w ten sposób zgodę na los współziomków ([cytat 1](#),

[cytat 2\)](#)

Wystawia na pośmiewisko najważniejsze symbole przynależności plemiennej, wykonuje rytualny taniec zemsty, dostarczając kolonistom rozrywki.

Bohaterowie drugoplanowi - biali osadnicy: koloniści niemieccy, widzowie cyrku.

“Orso”

Treść utworu

W miasteczku Anaheim w południowej Kalifornii, w Ameryce kończy się winobranie.

Przybyli Indianie i Murzyni z gór roztasowują się na ulicach, oczekują na pracę. W

miasteczku zagościł również cyrk. Dyrektor Hirsz dba o reklamę przedstawienia. Krzykliwe afisze rozgłaszają, że gwoździem programu jest Orso, —Herkules amerykański półkrwi Indianin, niezwykły siłacz, który z łatwością unosi piękną tancerkę, Jenny. Niestety robotnicy przepili już większość pieniędzy i przedstawienie nie ma powodzenia. Rozzłoszczony dyrektor za domniemane próżniactwo straszliwą chłostą karze Orso, ale gdy próbuje to samo zrobić z dziewczyną, Indianin staje w jej obronie. Na nic zdała się interwencja czterech roślących Murzynów. Orso pokonuje wszystkich i razem z Jenny opuszcza cyrk. Z ogromnym trudem przebyli pustynię, a w kanionie w górach Santa Anna stary akwatar nakarmił ich i

—odtąd troje tych ludzi pędziło życie razem na odludziu. ([cytat 1](#), [cytat 2](#), [cytat 3](#), [cytat 4](#),

[cytat 5\)](#)

Problematyka

Nowela ukazuje stosunek kolonizatorów do ludności miejscowej:

— dwoje nieszczęśliwych artystów cyrkowy Orso (niedźwiedź) i młodziutka Jenny marzą o innym świecie, znanym im z Biblii, jedynej dostępnej im książce, ([cytat](#))

— tubylcy, na których zainteresowanie przedstawieniem liczył dyrektor, są odrażający ale budzą litość (wiecznie pijani, zarażeni chorobami przywleczonymi przez białych ludzi, żyją niczym niewolnicy na własnej ziemi). ([cytat](#))

Bohaterowie

Orso (niedźwiedź) i **Jenny** - para młodych akrobatów związanych wspólnym losem, pogodzona z rzeczywistością do czasu okrutnego postępowania Hirsza. Fakt znęcania się nad Jenny wywołał wstrząs u Orso i jego gwałtowne działanie. Młodzi uciekają.

Hirsz - dyrektor cyrku, pogromca lwów, "mistrz na bacie", okrutnik, pieniacz.

Robotnicy - Indianie i Murzyni, ludność przybyła do miasteczka na winobranie.

Zagadnienia do omówienia

149

1. Kompozycja i narracja w nowelach.
2. Problematyka utworów.
3. Charakterystyka głównego bohatera i jego środowiska:
 - obraz niedoli i wyzysku chłopca w "Szkicach węglem",
 - groźba wynarodowienia Polaków ("Bartek zwycięzca"),
 - stosunki panujące w szkolnictwie pod zaborami ("Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela"),
 - problem wynarodowienia Indian w Ameryce ("Sachem"),
 - stosunek kolonizatorów do ludności miejscowej w Ameryce ("Orso"),

150

Table of Contents

[Bartek Zwycięzca](#)

[Szkice węglem](#)

[Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela](#)

[Orso](#)

[Sachem](#)

[Latarnik](#)

[Wspomnienie z Maripozy](#)

[Za chlebem](#)

[Janko Muzykant](#)

[\(cytat\)](#)

[\(cytat 1,](#)

[cytat 2,](#)

[cytat 3\)](#)

[cytat 3,](#)

[cytat 4,](#)

[cytat 5,](#)

[cytat 6\)](#)

[cytat 5\)](#)

[cytat 2\)](#)